MICHAELA CARTER

SURREALISTKA

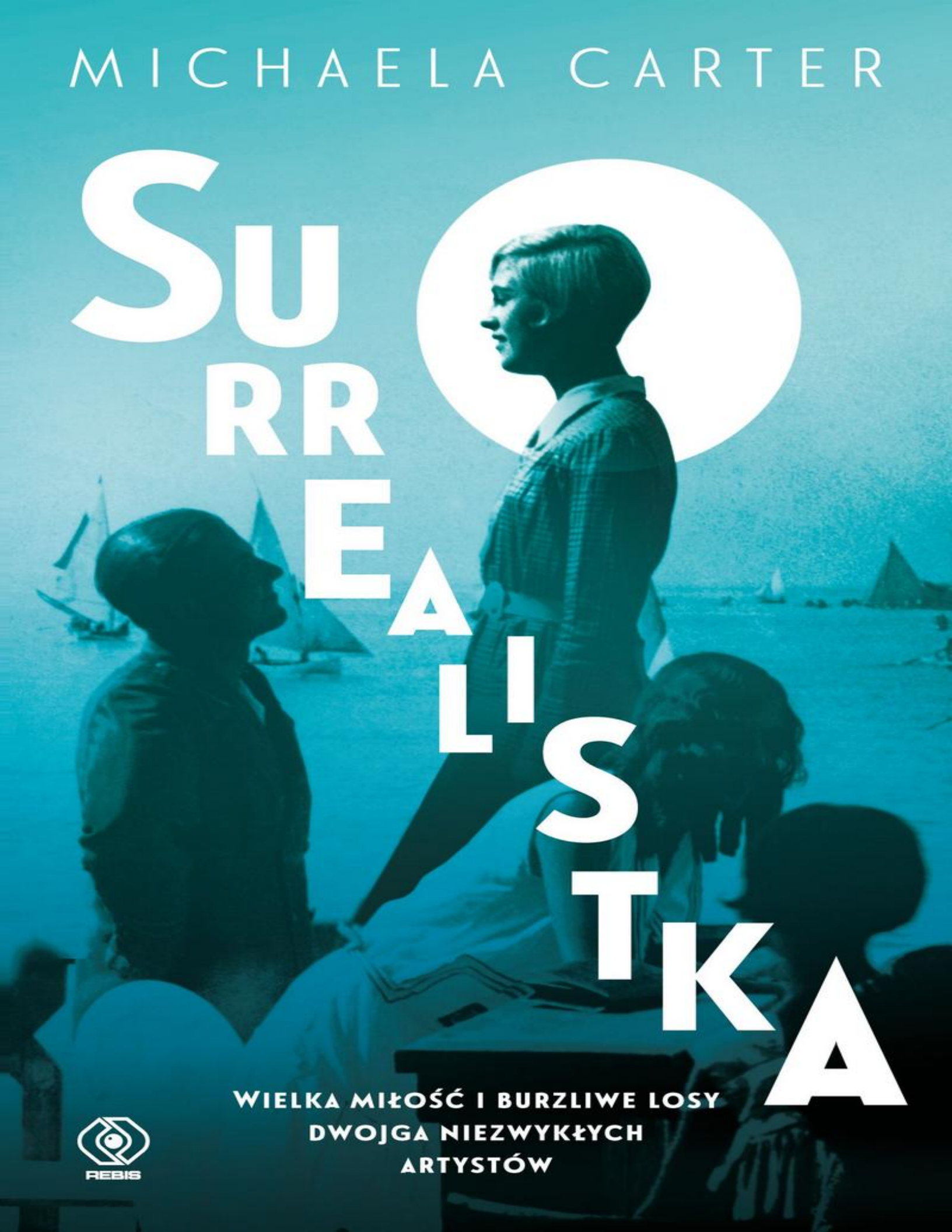

WIELKA MIŁOŚĆ I BURZLIWE LOSY DWOJGA NIEZWYKŁYCH ARTYSTÓW

REBIS

MICHAELA CARTER

SURREALISTKA

Przełożył
WALDEMAR ŁYŚ

DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Spis treści
***
Wszystkie dzieci mają swoje inne światy…
DWOJE DZIECI NAPASTOWANYCH PRZEZ SŁOWIKA
Czerwiec 1937, Londyn
Czerwiec 1940, południowa Francja
Czerwiec 1937, Londyn
Czerwiec 1940, południowa Francja
OBLUBIENICA WIATRU
Wrzesień 1937, Paryż
Czerwiec 1940, południowa Francja
Grudzień 1937, Paryż
Czerwiec 1940, południowa Francja
Kwiecień 1938, Paryż
OLBRZYMKA
Sierpień 1938, Saint-Martin d’Ardèche
Czerwiec 1940, Saint-Martin-d’Ardèche
Grudzień 1938, Saint-Martin d’Ardèche
PORTRET MAKSA ERNSTA
Czerwiec 1940, Saint-Martin d’Ardèche
Sierpień 1939, Saint-Martin d’Ardèche
Czerwiec 1940, Nîmes
Wrzesień 1939, Saint-Martin d’Ardèche
PASTERKA SFINKSÓW
Maj 1940, Saint-Martin d’Ardèche
Lipiec 1940, Nîmes
Sierpień 1940, Grenoble
Czerwiec 1940, Saint-Martin d’Ardèche
Sierpień 1940, La Roque-sur-Ceze
Czerwiec 1940, Saint-Martin d’Ardèche

Kwiecień 1941, Marsylia
Lipiec 1940, Andora
Kwiecień 1941, Marsylia
Lipiec 1940, Madryt
Kwiecień 1941, Marsylia
Maj 1941, Marsylia
POWIASTKA, W KTÓREJ POJAWIA SIĘ NIEWIELKA, ZASCHŁA KUPA
*
NAPOLEON W DZICZY
Czerwiec 1941, Lizbona
Grudzień 1940, Santander
Czerwiec 1941, Lizbona
Czerwiec 1941, Marsylia
Czerwiec 1941, Lizbona
Czerwiec 1941, Lizbona, Monte Estoril
Lipiec 1941, Lizbona, Monte Estoril
Lipiec 1941, Clipper, Lizbona
Lipiec 1941, w drodze do Ameryki
LEONORA W ŚWIETLE PORANKA
Lipiec 1941, Nowy Jork
Marzec 1942, Nowy Jork
Wrzesień 1942, Nowy Jork
Styczeń 1943, Nowy Jork
Maj 1943, Sedona w stanie Arizona
Maj 1943, Meksyk
Strona redakcyjna

Loplop przedstawia Oblubienicę Wiatru…

Na progu imponującej wielkości domu, jedynego domu w mieście zbudowanym z piorunowych kamieni, mocno obejmują się dwa słowiki. Milczenie słońca góruje nad ich igraszkami. Słońce zdejmuje swą czarną spódnicę i biały gorset. I znika. Noc zapada za jednym pociągnięciem, z łoskotem.

Max Ernst, przedmowa do *The House of Fear* Leonory Carrington

Dziewczyna, która przyjęła postać konia, była nieruchoma, lecz jej chrapy drżały.

Leonora Carrington, *The Oval Lady*

Co zaś się tyczy tych zdegenerowanych artystów, zabraniam im narzucać swe „doświadczenia” ludowi. Jeżeli faktycznie widzą pola na niebiesko, są niepoczytalni i winni znaleźć się w zakładzie dla obłąkanych; jeśli jedynie udają, że widzą je niebieskie, są przestępcami i powinni znaleźć się w więzieniu. Oczyszczę z nich naród.

Adolf Hitler, wystąpienie w Domu Sztuki Niemieckiej w Monachium, 1937

Wszystkie dzieci mają swoje inne światy, różne od naszego – to znaczy różne od owego „prawdziwego” świata, na jaki zgodnym chórem zdecydowali się dorośli, lecz nie tak znowu odmienne od innego, prawdziwszego świata, tego, który może się ujawnić jedynie, kiedy jest się naprawdę samemu, kiedy poczęstuje się śmierć filiżanką herbaty, usiądzie się i pogawędzi, a wszystkie koty, jakie się kiedykolwiek kochało, wiją się pomiędzy nogami, ocierają się o kolana i liżą koniuszki palców stóp, kiedy klacz, którą się uwielbiało w dzieciństwie, unosi człowieka na grzbiecie przez łąkę rozciągającą się aż po horyzont.

To jednak dzieje się później, kiedy świat dziecka staje się światem artysty, a choć oba są do siebie podobne, odróżnia je istotna rzecz: artysta jest świadom niebezpieczeństw takiego świata, lecz mimo wszystko weń wkracza, dziecko zaś, beztrosko nieświadome, wie jedynie, że dorośli są nudni, ślepi na tajemnicę i magię; a ponieważ ona nigdy nie chce stać się dorosła, postanawia – tam i wtedy, w klasztorze pw. Grobu Pańskiego – zamiast tego zostać artystką.

Siedzi w klasie, w ławce w tylnym rzędzie i mocą swego umysłu próbuje przyspieszyć wskazówki zegara. Siostra uczy rachunków. Dwa plus jeden plus jeden. Dziewczynka już to wszystko wie. Opiera czoło na dłoni i pozwala ciemnym włosom opaść.

Kurtyna.

Jej biurko to jedna wielka tajemnica.

Na papierze, na którym powinny znaleźć się cyfry, pisze list. Droga Nianiu, pisze, ale w taki sposób: uinaiN agorD. (Od tyłu. Pismo lustrzane).

Siostra Anne chwyta kartkę. „Mała wiedźma”, mruczy pod nosem. Uderza ją linijką po ręce i zamyka w pokoju.

Dziewczynka nigdy wcześniej nie była zamknięta w pokoju i czuje się jak księżniczka w bajce – Roszpunka albo Kopciuszek – spotwarzona i ważna, lecz wie, że naprawdę jest wiedźmą, tak jak mówiła zakonnica. Myśl ta brzęczy w jej wnętrzu. Chrząszcz z twardymi, czarnymi skrzydłami, śmiga w noc. Lecz dziewczynka siedzi w smudze słonecznego światła. Z ołówkiem w ręku wpatruje się w papier, w zdanie na górze strony, które siostra Anne przykazała jej przepisać pięćdziesiąt razy.

Nie będę pisała wspak.

Ale dlaczego miałaby napisać coś, czego nie ma zamiaru zrobić? Dlaczego miałaby kłamać?

W kącie jej pokoju stoi lustro, a ona przypomina sobie, jak Niania uczyła ją tajemnego pisma, jak przystawiała swe pierwsze próby pisania wspak do lustra w dziecinnym pokoju, jakie to było uczucie ujrzeć to pismo zapisane w przód. Dreszcz, jakby ujrzała węża, i gęsia skórka na rękach. I myśl: a gdyby lustro było tak naprawdę drzwiami, tak jak dla Alicji? Gdyby w ten sposób mogła dostać się do domu? Jeśli napisze Niani kolejny list wspak i będzie trzymać go do lustra, być może pokaże się on zapisany wprzód w lustrze w dziecinnym pokoju, i może gdyby go trzymała, sama również by się tam znalazła. Być może byłaby odwrócona albo wywrócona na lewą stronę czy coś, ale byłaby w domu.

Bierze ołówek w lewą rękę i zaczyna. Litery, odwrócone, wyglądają jak szyfr. Postanawia poprosić Nianię, żeby przyjechała i ją odebrała, na wypadek gdyby lustro nie zadziałało. Podpisuje list rysunkiem swego konia. Niania zrozumie.

Ostrożnie podchodzi do lustra. Nie za blisko, już czuje jego przyciąganie, a chce, żeby zabrało ją we właściwe miejsce. Podnosi list. To, co napisała wspak, brzmi następująco:

Droga Nianiu,

Dziewczynki są wredne. Siostry zbiły mnie po rękach, aż mi z kostek poleciała krew. Zamknęły mnie w pokoju. Jeśli nie przyjedziesz, żeby mnie zabrać jutro rano, jestem pewna, że już mnie nie będzie. Śni mi się, że kąsa mnie pająk, a myszy i zakonnice mnie zjadają.

Zauważa, że wspak jej podpis w postaci konia wygląda inaczej, jakby klacz próbowała zrzucić jeźdźca, a nie odwracała się, żeby się pożegnać, kiedy kątem oka spostrzega, jak coś biegnie za jej plecami przez pokój. Coś drobnego i białego. Serce i łysa głowa człowieczka promieniują.

Poznaje go ze swojego dziecinnego pokoju. To jeden z sidhe, baśniowych stworzeń, które mieszkają pod ziemią. Wychodzą, żeby odwiedzić niektórych ludzi, Niania powiedziała jej dawno temu. Tych, którzy mają otwarte oczy. Dziewczynka przygląda się, jak ludzik znika w ścianie. Kiedy na powrót spogląda w lustro, jej własne ciało jest przezroczyste.

A potem list unosi się w powietrzu.

Zniknęła.

W tym czasie (ponieważ wszystek czas jest jednym czasem), przed pierwszą wielką wojną i ostatnią, pewien chłopiec mieszkał w domu tak blisko lasu, że kiedy leżał w łóżku, słyszał przed zaśnięciem, jak drzewa mruczą do wiatru; za dnia czasami wychodził z domu w cień drzew, żeby zabawić się w chowanego z wiewiórkami, a ptaki nawoływały się wzajemnie z czubków drzew i wiedział, że ich śpiewy znaczą „dzień dobry" i „kocham cię", i „tak".

Pewnej jesiennej środy mama umyła go w kuchennym zlewie i chciała umyć mu włosy, jak to zawsze robiła we środy, lecz kiedy schyliła się po mydło, wyślizgnął się jej z rąk, cały mokry wybiegł z domu, pognał do lasu i zagrzebał się w liściach. I chociaż słyszał, jak go woła, nie odpowiedział. Wysłała trzech jego braci i trzy siostry na poszukiwania, ale nie przyszło im do głowy, żeby szukać pod liśćmi, i kiedy nadeszła pora obiadu, wrócili do domu, bo poczuli zapach pieczonego kurczaka, a byli głodni.

Chłopiec strząsnął z siebie liście i ruszył ścieżką, której nigdy wcześniej nie widział, bo nie zapuszczał się w las tak głęboko. Nie dostrzegł już swego domu; ze wszystkich stron otaczały go jedynie drzewa. Ścieżkę miękko wyścielał brązowo-pomarańczowo-żółty dywan zdeptanych liści wijący się pośród pni gigantów, którzy chronili i jego, i ptaki wołające doń z góry: „dokąd, dokąd?".

– Nie wiem – odpowiedział. – Idę tą ścieżką, bo oddala mnie od domu, a tam wciąż słyszę, co mam robić, że mam siedzieć cicho i słuchać, że muszę myć głowę, bo to środa.

Zastanawiał się, jak to jest być ptakiem, być wolnym, lecz kiedy je zapytał, odpowiedziały jedynie „tak, tak". Kiedy tak sobie szedł, wyobraził sobie, że ręce zmieniają mu się w skrzydła, wyobraził sobie wiatr pod gęstymi piórami, wyobraził sobie, że jego stopy odrywają się od ziemi. Wspiął się na sam czubek dużego głazu i stanął na jego krawędzi. Zamknął oczy, rozpostarł ramiona, a kiedy nie czuł już stóp i był pewien, że oderwały się od skały, otworzył oczy.

Przed nim zebrali się ludzie. Jakiś mężczyzna trzymał w ręku krzyż wielkości chłopca. Klęczeli przed nim, dłonie mieli złożone razem, dziwnie szeptali.

– To on? Czy to możliwe?

– Tak – rzekła jedna z kobiet. – Dzieciątko Jezus! – I wspięła się do miejsca, gdzie stał, zniosła go na dół i owinęła białą chustą.

Ludzie podążyli ścieżką do miasta, a opatulony blondwłosy, błękitnooki chłopiec był Dzieciątkiem Jezus niesionym przez dwóch mężczyzn w długich białych szatach. Chłopiec śmiał się z ich omyłki, ale podobało mu się to wyniesienie, pozostawał więc nieruchomy, kiedy mieszkańcy miasta przypatrywali mu się i wskazywali go palcami. Stale otoczony braćmi i siostrami nigdy nie był wyjątkowy, nigdy nie odróżniał się od reszty; teraz, kiedy unosił rękę, błogosławiąc ludziom stojącym u jego stóp, wiedział, że już nigdy nie będzie jednym z wielu, a gdyby tak miało się stać, będzie to tylko udawane.

Lecz gdy dotarli do kościoła i mężczyźni postawili go na ziemi, przekradł się, kiedy nikt nie patrzył, i uciekł. Jezus został przybity do krzyża i choć fajnie było odbierać wyrazy czci, nie chciał jeszcze umierać. W miasteczku policjant zgarnął go na swego konia i zabrał do domu, do matki o czerwonych, mokrych oczach i policzkach, do ojca o twarzy ściągniętej i surowej.

Kiedy ojciec podniósł rękę, by go uderzyć, ukarać go za ucieczkę, chłopiec zakrzyknął: „Ależ ja jestem Dzieciątkiem Jezus!”. I zamiast go zbić, jak zamierzał, ojciec usadził go na drewnianym krześle, tak wielkim, że jawiło się chłopcu jak tron, włożył mu do ręki krzyż i namalował go jako Dzieciątko Jezus. Kiedy ojciec pracował, przenosząc wzrok to z syna na płótno, to odwrotnie, chłopiec miał poczucie, że ojciec zauważa go po raz pierwszy, i wiedział, że ten rodzaj spojrzenia oznacza „dzień dobry” i „kocham cię”, i „tak”.

DWOJE DZIECI NAPASTOWANYCH PRZEZ SŁOWIKA

Czerwiec 1937, Londyn

To pierwsze przyjęcie Leonory w dorosłym życiu, a obie z Ursulą były jego gospodyniami. Ogród należał do Ursuli, ale kolacja była jej pomysłem: przyjęcie w ogrodzie oświetlonym światłem księżyca w pełni, z białymi potrawami i białymi strojami, ponieważ tego wymagała księżycowa poświata, ponieważ Max Ernst składał właśnie wizytę w Londynie, a ona miała się z nim spotkać.

Cały dzień piekły kruche ciasteczka, obierały rzodkiewki i kroiły je w plasterki oraz gotowały rzepę i ziemniaki, a ona zastanawiała się, jaki on będzie. Poprzedniego lata widziała jego prace na Międzynarodowej Wystawie Surrealistów w Londynie. Obok rozczłonkowanej, naturalnej wielkości lalki autorstwa Hansa Bellmera, na której widok robiło jej się niedobrze, Max wystawiał asamblaż: odlaną z gipsu dziewczęcą głowę zamocowaną na sznurze jak jojo. Dla niej miało to sens. W górę i w dół, nic ponadto, to ona była tą zabawką, którą manipulował ten, kto trzyma w ręku sznur, kto trzyma pieniądze i władzę, którą manipulował jej ojciec. Stała przed tą pracą i cała się trzęsła. Lepiej odetnij ten sznur, pomyślała. Ale to jego obraz *Dwoje dzieci napastowanych przez słowika* ją pochłonął i nie chciał puścić. Przedstawiał kulminacyjny punkt pewnej dziwnej historii, nieprzytomną dziewczynę na szmaragdowym trawniku i kolejną, z nożem w ręku, a groźny słowik był tuż poza jej zasięgiem. Najbardziej uderzającym elementem była rama, której miała nieprzepartą potrzebę dotknąć. Wyciągnęła rękę i wyczuła pod palcami gałkę, którą tam zamocował, by zmieniała ramę w drzwi. Obraz przedstawiał również mężczyznę, który biegnie po dachu i wyciąga rękę ku tej samej gałce na ramie – jakby mógł otworzyć drzwi i zejść z obrazu. Mężczyzna trzymał na rękach dziewczynkę. Może uda mu się ją ocalić, pomyślała i poczuła, że skóra pali ją od wewnątrz.

Ale jaki ten człowiek będzie sam w sobie, zastanawiała się rankiem, kiedy dodała zbyt wiele cukru do cytrynowego sorbetu. Ursula wycisnęła do środka sok z jeszcze jednej cytryny.

– Ma żonę.

– Wiem.

– Oczywiście bierze sobie kochanki. – Zessała sok z palca. – Jak wszyscy surrealiści. Ale nie chcesz chyba zostać jedynie jego kochanką, co?

– Chcę się z nim spotkać. A potem zobaczę, czego chcę.

Kiedy Erno ich sobie przedstawił, Max rzekł, że jest oczarowany, po francusku rzecz jasna. Próbując przypomnieć sobie francuski, którego wiele lat temu nauczył ją preceptor, poczuła, że się czerwieni, kiedy powiedziała mu, jak miło jej go poznać.

– *Vous* – odpowiedziała. Oficjalnie, uprzejmie.

– Jest świetną artystką! – wtrąciła Ursula, która chodziła z nią do szkoły plastycznej.

Uśmiechnął się.

– *Bien sur* – odparł. Oczywiście.

A ona, jak idiotka, zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Teraz, przyglądając mu się przez kuchenne okno, chwyciła się blatu, jakby po to, żeby trzymać się prosto. Siedział na patio z innymi surrealistami, rozgadany, a jego ręce były jednocześnie wszędzie. Śmiał się, z kącików jego oczu tryskały promienie, a jego białe włosy, gdy głowę odrzucił do tyłu, były rozwiane i rozświetlone.

Nie wiedział, że jest tutaj z jej powodu, i ten sekret dodawał jej odwagi. Równie dobrze mogło to być dziełem przypadku. Ursula jest żoną Erna, architekta; tak się składa, że jest on przyjacielem kuratora Rolanda Penrose’a, u którego zatrzymał się Max. Zaproszenie go na przyjęcie było czymś zgoła naturalnym, dlaczego więc kręci jej się w głowie?

Postanowiła, że będzie go ignorować – niech to on zwróci na nią uwagę – kiedy coś uderzyło w okno. Wybiegła na zewnątrz. Ptak, rudzik, leżał na boku i miał zamknięte oczy.

– Wezmę szufelkę – powiedziała Ursula.

Leonora jednak zagarnęła ptaka ręką. Wszyscy zamilkli. Nagle Max znalazł się tuż obok niej. Wyciągnął rękę i pogładził skrzydełko, a ona wstrzymała oddech.

– Dlaczego leciałeś o zmierzchu? To do ciebie niepodobne – rzekła do rudzika, gładząc pomarańczowe pióra na jego piersi, bardziej miękkie, niż sobie wyobrażała, i ciepłe.

– Nie powinno się dotykać martwych ptaków. – Ursula trzymała w rękach szczotkę i szufelkę.

– Nie jest martwy – odparła, ponieważ poczuła od niego impuls energii. Rudzik otworzył oczy, czarne i lśniące. Położyła go w gazonie z jaśminami

i wszyscy ujrzeli, jak rozpostarł skrzydła i poszybował do niewielkiego parczku poniżej.

Poszła za Ursulą do środka.

– Umyjesz ręce? – spytała gospodyni.

– Tak, mamo. Mydłem! – Roześmiała się do Ursuli, która krążyła wkoło i przyglądała się, by mieć pewność, iż naprawdę to zrobi.

Wyniosły wazy na patio, na stół, którego nakrycie z białego lnu błyszczało o zmroku i zdawało się lewitować. Wszyscy usiedli wokół niego, paląc papierosy. Ursula postawiła na stole misę delikatnych białych warzyw i zachichotała. Leonora miała na sobie męską, zapinaną na guziki koszulę wsuniętą w spodnie i najwygodniejszą parę mokasynów. Też czuła się niefrasobliwie, ale powstrzymała się od śmiechu. Stłumiła beztroskę i zniżyła głos.

– Mam nadzieję, że wszyscy lubicie halibuta.

Postawiła rybę przed Lee Miller, która również nie chichotała, nie w towarzystwie tych mężczyzn. Letnia sukienka opinała jej małe piersi i biodra, jakby zstąpiła ze stron „Vogue'a", dla którego często pozowała. Była opanowana i efektowna; upiła łyk brązowego drinka. Lód grzechotał jej w szklance, a kiedy Ursula zabrała ją do kuchni po dolewkę, Lee wyciągnęła się w fotelu, wydmuchując dym w kierunku gasnącego nieba.

Ursula opowiedziała jej o Lee, która – jak stwierdziła – jest posiadaczką najsłynniejszych piersi w całym Paryżu. Znana jako muza Mana Raya, przyjechała ze Stanów do Paryża, by się od niego uczyć. Czuła się równie dobrze tak przed, jak i za aparatem, a i nie stroniła od ciemni, tak że po jakimś czasie nikt nie mógł rozróżnić ich fotografii. A potem złamała mu serce, wyjechała do Nowego Jorku i tam założyła własne studio portretowe. Jednak po kilku latach znudzona metropolią przeniosła się do Egiptu, gdzie poślubiła bogatego mężczyznę, którego obrączka wciąż lśniła na jej palcu, mimo że siedziała tak blisko Rolanda, iż dotykali się ramionami. Jakże pewna siebie się wydawała, jaka wolna, jak bardzo niezależna. Nigdy wcześniej Leonora nie spotkała takiej kobiety i nie mogła powstrzymać się od ciągłego zerkania w jej stronę. Kiedy Lee odwzajemniła spojrzenie swymi opanowanymi bladymi oczami, wytrzymała jej wzrok, żeby zobaczyć, co się stanie.

Lee zachichotała. Pocałowała Rolanda wilgotnymi wargami, a potem całymi ustami.

Siedzący naprzeciwko Lee Max pił piwo. Czuła na sobie jego wzrok, ale nawet nań nie spojrzała. Zachowywała się powściągliwie, obojętnie, aż nadejdzie właściwa chwila.

– Zechce pani spocząć, panno Carrington? – powiedział, podsuwając krzesło obok siebie.

Posłała mu uśmiech i usiadła. Przypatrywała się ustom Lee, kiedy modelka wgryzała się w rzodkiewkę: wąskie, eleganckie, jak i cała reszta. Man Ray dobrze je oddał. Jego obraz na wystawie też widziała. Usta Lee, wielkie, płyną po błękitnym, nakrapianym chmurami niebie.

– Po tym, jak go rzuciła, przez większą część roku właśnie to malował – powiedziała jej Ursula tego ranka.

Jakież to musi być wspaniałe uczucie, pomyślała, być tak kochaną.

Stół się zatrząsł, a ona podskoczyła. Mąż Ursuli, Erno, uderzał w niego pięścią jak młotem, tak jak robił to ojciec Leonory. Skuliła się, jakby ją na czymś przyłapano, ale zaraz usiadła wyprostowana – nie była już dzieckiem. Mówił z emfazą i silnym węgierskim akcentem.

– Wszystko przemawia za tym, by mu stawić opór, by go teraz powstrzymać, przyjacielu. Zrozum, on się nie cofnie.

Mówił do Rolanda, lecz to Lee wskazała nań, a jej ręce były duże, silne i sprawne.

– A jeśli wywoła wojnę, to w efekcie powstanie parę fantastycznych fotografii, nie? Dym tworzy niezwykły nastrój.

Erno zmrużył oczy i cmoknął suchymi ustami, a Roland ujął jej policzki w dłonie i pocałował.

– Na Boga, pierwsza fotografka wojenna!

– Dość o wojnie – rzucił Max. – Mamy otóż lato i to każdemu powinno wystarczyć.

– Hej, Loplop! – Roland uniósł kieliszek.

Loplop, Ptak Przełożony. Już na wystawie zwróciła uwagę na to przezwisko. Co za osobliwe imię dla ptaka.

Ursula postawiła na stole talerze z czerwonej porcelany. Leonorze podała butelkę piwa, a Lee wręczyła drinka.

– Wzniesiemy toast?

Sięgając po otwieracz, Leonora pochyliła się nad Maksem i poczuła na policzku jego oddech. Zacisnęła rękę i podważyła kapsel. Piwo zaczęło się burzyć, Max więc wychylił się i zatkał szyjkę kciukiem.

Więc tak to się dzieje, pomyślała.

Jego oczy były lodem, zimnym, jasnym pożarem.

– Żeby się nie wylało na stół – powiedział.

Piana buzowała w butelce. Roland i Lee byli tak z sobą ściśnięci, że wydawali się jednym dwugłowym ciałem; Ursula się śmiała, a Erno, wciąż poczerwieniały na twarzy… reszta gości stała się tłem. Byli tylko oni. Ona miała dwadzieścia lat, Max – czterdzieści sześć. Ona trzymała butelkę za denko, on – za szyjkę i wyglądało, jakby już się dogadali.

– Jedzenie stygnie – rzekła Lee. – Jedzmy.

– Ale najpierw ten toast – przypomniał Max.

Księżyc zerknął na rząd domów, na stół, jedzenie, a wszyscy ubrani na biało pojaśnieli razem z nim. Włosy Maksa się rozświetliły, a jej oczy zaszły łzami. Coś w niej pękło, jakaś tama, choć ona – bezowocnie próbując spojrzeć na niego choćby ze szczyptą obiektywizmu – trzymała się tej chwili, zanim jego kciuk zatamował piwo. Jego ogorzała twarz, krzepkie ramiona i nogi, zmarszczki wybiegające z kącików oczu, lśniące jak błękit motylich skrzydeł. Za późno. Zagubiła się w tym błękicie. I choć wyjął już kciuk z jej piwa, nie przestawał się w nią wpatrywać.

Czy to ona uwiodła jego czy on ją? Nie była pewna. Wiedziała jedynie, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Była zdecydowana zatrzymać na sobie to jego spojrzenie.

– Za przyszłość – powiedział, trącając się z nią butelkami.

– Za przyszłość – przytaknęli wszyscy. Trącili się kieliszkami, pili, nakładali jedzenie na czerwone talerze, które połyskiwały jak odwłoki żuków. Więcej jaśminowego kwiecia otworzyło się na noc, a zapach był tak intensywny, że ziemniaki i rzepa, a nawet ryby smakowały jaśminem.

Ale szyjka jej butelki była słona. Miała posmak kciuka Maksa.

Czerwiec 1940, południowa Francja

Pociąg szarpie, a on się budzi.

Jak długo stali?

Wciąż jest noc, czarna, zimna i mokra. I jakimś cudem nadal trwa jego zmiana. Brakuje miejsca, by wszyscy mężczyźni mogli usiąść – nie mówiąc o tym, by mogli ułożyć się do snu – zgodzili się więc na zmiany. Przez dwie godziny jedna połowa mężczyzn w bydlęcym wagonie siedzi, a druga stoi, a potem następuje zmiana. Stają, siadają i stają, aż minie noc. Oto i on, wciąż zajmuje cenne miejsce na podłodze i śni.

Śni! Nie jakiś koszmar, jak wszystkie sny, które nawiedziły go od czasów Wielkiej Wojny, lecz sen taki, jakie miewał w dzieciństwie, taki z unoszeniem się w powietrzu, lataniem nad ciemnymi lasami, taki z bohaterką i bohaterem, on trwa nadal, łechce mu kark rozpadającymi się palcami. Gdybyż tak można go było pochwycić! Powrócić!

Gdy ciaśniej owija się cienkim, wilgotnym płaszczem, wstrząsa nim dreszcz. Krople deszczu spomiędzy desek sufitu kapią mu na głowę. Stawia kołnierz płaszcza, chowa głowę i opierając dłonie na policzkach, a łokcie na kolanach, zamyka oczy. Czy jeśli jego życie jest koszmarem, może sobie śnić? Widocznie. I jeśli uda mu się cofnąć do splątanej historii, którą opowiadała – jej głos ciepły i nieskończony, jak jej włosy – być może wytrzyma bez wody, bez jedzenia kolejną godzinę, a potem jeszcze jedną.

Jest w tym pociągu od paru dni. Dwóch? Trzech?

Nie jest pewien. Jego umysł nie funkcjonuje dobrze, ale nic nie działa dobrze.

We śnie jej głos go przyzywa. Chce jej powiedzieć, żeby została tam, gdzie jest – przyjdzie do niej jakoś – lecz usta ma zbyt odrętwiałe, by wypowiadały słowa. Jego płuca to worki pełne mokrego piasku.

– Boże moich przodków, Boże moich przodków, Boże moich przodków – męski głos dobiega znad odległych pól do lasu, w którym spaceruje, w którym trzyma ją za rękę.

– Niechaj Bóg zamknie ci gębę, stary głupcze – warczy ktoś inny.

Jest już rozbudzony i ta przytomność napawa go obrzydzeniem. Pierwszą rzeczą, jaka go uderza, jest fetor. Wiadro stoi gdzieś pośrodku stada mężczyzn, a on jest przyciśnięty do drewnianej ściany wagonu, najdalej od wiadra, jak tylko może być, ale mimo to smród jest nieznośny. Nie. Nie jest nieznośny, mówi sobie i wciska nos głębiej w płaszcz. Przynajmniej nie jest jedną z tych nieszczęsnych dusz cierpiących na biegunkę, nie jest zmuszony kurczowo trzymać się metalowego wiadra, by sobie ulżyć pośrodku tej lepkiej gromady.

Mężczyzna za nim potrząsa go za ramię. Koniec laby. Jego kolej trochę postać. Pochyla się do przodu, balansuje na pulsujących stopach.

Stać w ciemności, kiedy człowiek jest na wpół śpiący, mokry i wyczerpany, to istna tortura. Nie sądził, że życie może być jeszcze gorsze niż w Camp des Milles, gdzie spał na resztkach siana w piecu, w którym niegdyś wypalano cegły, i budził się z gardłem zrobionym z papieru, ustami spękanymi jak skórka chleba, bo cegły wysysały z jego ciała resztki wilgoci. Lecz możliwość wyciągnięcia się na płask byłaby teraz takim luksusem, że sama myśl o tym wydaje mu się nieznośna.

Kiedy wreszcie wstanie dzień, zrobi się jasno?

Kiwa się, wraz z innymi, w rytm stukotu kół.

– Co byś dał za coś ciepłego do picia? – To jego przyjaciel Hans Bellmer, artysta, który kiwa się obok niego. – Za kubek wołowego bulionu?

Odkasłuje, by odnaleźć swój głos, chropawy szept.

– Jak możesz myśleć o jedzeniu?

– Nie o jedzeniu. O cieple, rosole, czymś treściwym.

W wilgotnej ciemności słowa jego przyjaciela brzmią pełnią, nasyceniem, jakby miały dość mocy, by go krzepić. Mógłby być poetą.

– Kiedy będzie można otworzyć te drzwi? Brak mi powietrza! – ktoś krzyczy.

– Dość! – odszczekuje jeden z algierskich wartowników.

Za dnia wartownicy nastawieni są dość przyjaźnie, ale nocą, jak cała reszta, robią się poirytowani. Otwarcie drzwi oznaczałoby, że byliby widoczni. I gdyby mijali jakąś hitlerowską kolumnę zmotoryzowaną nie zdołaliby się ukryć.

– Ten pociąg – mamrocze Hans – to pociąg widmo. A my jesteśmy widmami w pociągu widmie.

Kiwa głową i czuje, że oczy na powrót mu się zamykają. Nie da się spać na stojąco. Ale pamięta sen. Czuje go wokół siebie. Las. I jak powiedziała,

że go znajdzie. Tylko jak ona może go znaleźć, skoro on sam nie wie, gdzie jest?

Kiedy pociąg ruszył z obozu, w Prowansji, słyszeli, że hitlerowcy idą od północy, a Włosi ze wschodu. Więc oni ruszyli na zachód… zdawało się, że nikt nie wie dokąd. Nawet maszynista twierdził, że czeka na dalsze rozkazy. No tak, cała Francja pogrążona była w chaosie; każdy uciekał w stronę granicy z Hiszpanią. Powinien był znaleźć jakiś sposób, żeby się wymknąć, kiedy ładowali ich do pociągu. Powinien był uciec. Z Camp des Milles w Aix miałby bliżej do Saint-Martin d'Ardèche, do domu. Bliżej do niej. Chyba że hitlerowcy już tam dotarli, a w takim wypadku już by jej tam nie było. Co by z kolei znaczyło, że w tej chwili ucieka. Może być wszędzie.

Przez bruzdę w desce spostrzega niewyraźne oznaki brzasku. Powrót słońca po takiej nocy to coś pięknego, przepięknego. Cud.

– Czujesz? – mówi Hans. – Morze?

Mimo smrodu niemal je czuje. Wygląda przez szparę. Pola stanowią rozmytą plamę, ciemnożółtą, ciemnozieloną.

Razem z deszczem przez listwy dachu wpadają słabiutkie promienie światła. Przygląda się oświetlonym tu i ówdzie mężczyznom. Ubrani są w szare szmaty z elementami mundurów od francuskich żołnierzy, zielone kapelusze i płaszcze, rzeczy, które kupili na czarnym rynku z nadzieją, że pomogą im wtopić się w otoczenie, gdyby próbowali uciec. Ale jak mieliby to zrobić? Są wykonanymi z popiołu i cieni, z kości i luźnej skóry, połamanymi marionetkami ze splątanymi, bezużytecznymi sznurkami.

Francuzi nazywali ich *Boches*. Niemcy. Nie ma znaczenia, że ci Niemcy są poszukiwani przez hitlerowców. Pisarze, artyści, Żydzi. Widma z pociągu widma były niegdyś ludźmi – ludźmi, którzy uciekli z Niemiec, kiedy hitlerowcy doszli do władzy, którzy przekroczyli granicę, legalnie bądź nie, do Francji, do wolności. Oczywiście niektórzy, jak on sam, przybyli na długo, zanim faszyści przejęli władzę. Ale wojna ich wszystkich uczyniła obywatelami wrogiego państwa. Byli wrogami w kraju, który niegdyś ich przyjął, w kraju, który pokochali.

Kiedy wojna ustała, tak szybko jak się zaczęła, a oni – łatwy cel w pułapce Camp des Milles – czekali, aż ich przejmą Niemcy, komendant robił, co mógł, by ich wyekspediować w jakieś bezpieczne miejsce. Wytrzasnął skądś ten pociąg i wysłał ich na zachód; teraz, próbując wyprzedzić hitlerowców, dotarli niemal na wybrzeże.

– Otworzyć drzwi – mówi widmo.

– Tak, otworzyć drzwi – wtóruje mu inne.

Wartownik stęka i drzwi odsuwają się na bok.

Przeciska się do przodu wagonu, siada obok przyjaciela na ochronnej barierce, nogi im zwisają. Odchyla głowę do tyłu i wysuwa zaschnięty język. Deszcz. Każda kropla to cud.

Mija ich inny długi skład wypełniony uchodźcami. Ludzie siedzą na niskich stopniach, leżą na dachach wagonów, cały świat prze ku granicy. Kiedy przeczesuje plamę twarzy w poszukiwaniu jej oblicza, wydaje mu się, że widzi kobietę z długimi ciemnymi włosami, a potem pociąg odjeżdża, a on łapie się na tym, że się modli. Po raz pierwszy od wielu lat modli się do Boga, w którego nie wierzy, modli się, by jego dziewczynka została w Saint-Martin i czekała na niego.

Czuje ocean.

– Port w Bayonne – mówi jego przyjaciel, wskazując jasny punkt w oddali.

Pociąg budzi się pełną nagłego ożywienia lawiną pytań. Dotarli na wybrzeże, ale po co? Oto i ocean – teraz już go widać – i maszty statków, które czekają, by ich zabrać, dokąd? Za morze? Do kolonii? Do budowy Linii Transsaharyjskiej?

Pociąg zwalnia. Jakiś młody człowiek przepycha się do otwartych drzwi.

– Jeśli nie chcecie być wysłani za granicę, teraz macie okazję – rzuca i skacze, sfatygowana walizka koziołkuje obok niego.

Pociąg zatrzymuje się za stacją. Pasażerowie wyskakują z wagonu za potrzebą. Młodzi i starzy opuszczają spodnie i kucają na najbliższym skrawku błota. On rozpina rozporek przy niskim płotku i czeka. I czeka. W końcu powolny strumień w kolorze ochry dołącza do deszczu.

Zapinając spodnie, spogląda za płot. Scena jak czarno-szary laserunek, osad, który nagle rusza, zaczyna napierać, i przed oczami ma szosę, po której przelewają się pojazdy wszelkiego rodzaju, monstrualna procesja prąca ku hiszpańskiej granicy. Każdy samochód ma na dachu przywiązane co najmniej dwa materace… to dla ochrony przed nalotami, uświadamia sobie i na nowo budzi się w nim przerażenie; zastanawia się, z jak daleka jadą. Aż z Paryża? Ciągną ogromne ciężarówki i wozy pełne ludzi z dobytkiem, wszystkim, co tylko zdołali zabrać. Krzesło zrobione przez dziadka. Lampa sprzed wieku. Skrzypce. Ludzie idą, prowadząc rowery, muły, konie. I każdy rwie do przodu, a powietrze – ciężkie jak mokry wełniany koc – przesiąknięte jest ich nadzieją.

Naczelnik stacji biegnie ku nim, krzycząc i wymachując rękami.

– Wsiadajcie z powrotem! Nadchodzą! Niemcy będą tutaj za dwie godziny albo i szybciej!

Mężczyźni podciągają spodnie i biegną do pociągu. On też biegnie, w zwolnionym tempie przez poruszający się w zwolnionym tempie świat, w którym wszyscy biegną, ale nie dość szybko. Mężczyźni upychają się w wagonach. On siada na ochronnej barierce; jego przyjaciel obok. Jeśli Niemcy tu są, to są. Chowanie się w głębi pociągu nic nikomu nie da.

Komendant podchodzi; ocieka deszczem, policzki ma czerwone.

– Musimy wracać – powtarza ciągle, by wszyscy z dwóch tysięcy mężczyzn mogli go usłyszeć.

Lecz pociąg ani drgnie; wnet mężczyźni gromadzą się na zewnątrz i przekrzykują wzajemnie.

Francuzi znowu zawiedli.

Granica Hiszpanii już blisko. Może dołączyć do strumienia uchodźców? Czy może lepiej samemu?

Granice Hiszpanii są otwarte, ale potrzebne są przepustki. Tylko obywatele Francji mogą je przekraczać.

Dla Francuzów będziemy wyglądali na wrogów.

– Idźcie! – krzyczy komendant. – Już nie jesteście więźniami.

– Wolni? Jesteśmy wolni! – dobywa się z męskich gardeł.

– Nie macie życia między hitlerowcami a żandarmerią – mówi komendant. – Albo was zamkną, albo zastrzelą. Mamy szansę przerzucić was do regionu, który nie znajdzie się pod niemiecką kontrolą, kiedy zostanie podpisany rozejm.

Mężczyźni chwytają swój dobytek, obejmują pożegnalnie przyjaciół i ruszają w stronę zatłoczonej szosy. Inne pociągi – pełne żołnierzy i cywilów – ruszają ze stacji, ich nadal stoi bez ruchu. Coraz więcej mężczyzn odchodzi. Bez pieniędzy czy papierów, bez wody, jedzenia.

Hans Bellmer kroczy wzdłuż torów.

– Pociąg rzuca się w oczy. Hitlerowcy usłyszą o nim. A we Francji pandemonium. Będzie łatwo zniknąć.

– Zostań. Zginiesz tam – perswaduje mu, choć bez większego przekonania.

Hans jest uparty i sprytny. Znajdzie sposób na przeżycie.

Pociąg gwiżdże z mocą i mężczyźni wskakują; popychają i wciągają do środka starców. Wagony szarpią z powrotem w kierunku, z którego właśnie

przybyli.

Czuje przygnębienie.

Hans Bellmer stoi w błocie.

– Chodź ze mną – mówi.

Czuje wielką chęć, by uciec, prześlizgnąć się razem z nim przez granicę. Wspólnie znaleźliby jakiś sposób. Nie. Kręci głową, że nie, bo nie ma wyboru. Musi się dostać do domu. Musi spróbować ją odnaleźć. Z wagonu patrzy, jak przyjaciel robi się coraz mniejszy, aż tor zakręca, a on znika.

Po południu i o zmierzchu wciąż jadą pośród tej samej rozmytej plamy zieleni. Pociąg zwalnia. Widzi pasącego się na pagórku konia. Kiedy pociąg staje, koń unosi gniadą szyję i wydaje się, że na niego spogląda.

– Odcięte zasilanie – wyjaśnia komendant, idąc wzdłuż pootwieranych wagonów. Spocony, o cerze w kolorze chorobliwej zieleni, wygląda niemal tak źle jak oni sami. – Spalcie papiery… wszystko, co świadczy o waszej lojalności wobec Francji.

Niewielkie ognisko wypełnia wagon dymem. Dorzuca do niego swoje papiery i patrzy, jak nazwisko *Max Ernst* skręca się, rozbłyskuje płomieniem i gaśnie. Patrzy, jak *Max Ernst* obraca się w popiół.

Czerwiec 1937, Londyn

Leonora otworzyła drzwi w nocnej koszuli i przeciągnęła ręką po zmierzwionych włosach. Był ranek po przyjęciu; na progu jej mieszkania w suterenie stał mężczyzna w czarnym kapeluszu i nienagannie wyprasowanym garniturze. Skłonił się lekko i wręczył jej niewielką kopertę. Prawie nie zmrużyła oka, myśląc o Maksie; rozerwała kopertę i bez zwłoki przeczytała liścik, jakby mógł wyparować jej z rąk.

Nie miałabyś ochoty wybrać się ze mną na piknik do lasu? Jeśli zechcesz, przyjadę po ciebie o drugiej po południu.

Odesłała mężczyznę ze złożoną kartką, na której widniało, po prostu, *Tak*.

Była za dziesięć druga, a ona koniecznie chciała się czymś zająć. W ciemnym mieszkaniu, w powietrzu przesiąkniętym odorem niedopałków i gotowanych jajek, siedziała pochylona nad kuchennym stołem i w świetle gołej żarówki pracowała nad serią szkiców: kobiety bez uśmiechu, bez piersi, kobiety z krótkimi włosami, w beretach na głowie i z papierosami między wargami. Całą wiosnę nad nimi pracowała; nie w szkole plastycznej Ozenfanta – tam rysowała jabłko za jabłkiem, próbując oddać owoc jedną nieskazitelną linią – lecz tutaj, samodzielnie. Rozłożyła rysunki na stole i zmrużyła oczy, jakby zatarcie konturów papieru mogło pozwolić jej spojrzeć na te kobiety jak na przyjaciółki, jak na fragment większego obrazu. Może jadły razem lunch, nie planując, za kogo i kiedy wyjdą za mąż albo jaki wzór porcelany wybiorą, ale raczej, co namalują, co sfotografują i jak ten świat dostrzeże w nich artystki, i kupi ich prace. Ich sztuka zawiśnie w galeriach, muzeach. Nie były pewne, jak się tam dostaną, ale jak amen w pacierzu pewne było, że nie zaakceptują takiego trybu życia, jakie wiodą ich matki.

Gdy się dobrze wsłuchała, mogła usłyszeć ich rozmowę.

– Błyszcz – stwierdziła jedna z nich – ale pozostań tajemnicza.

– Odwieś słuchawkę z powrotem na widełki – powiedziała inna. – Wsłuchaj się w swoje serce, w swoją krew. – Kobieta paliła cygaretkę, której żar zdusiła na stole, pozostawiając w drewnie wypalone ciemne oko. Leonora

zmrużyła oczy jeszcze bardziej, by wszystko uległo rozmyciu, by świat wokół postaci mógł nabrać ostrości. Jeśli dojrzy ich świat, będzie mogła w niego wstąpić. Wypalić własny ślad na drewnie.

Rozległo się pukanie. Stuk-stuk-stuk. Był punktualny. Chwyciła torbę i skoczyła ku drzwiom. Zamiast Maksa jednak stał tam Serge. Uniósł brew, zdjął fedorę.

– Spodziewasz się kogoś? – spytał, przechodząc obok niej w głąb mieszkania.

Usiłowała złapać oddech. Serge? A cóż on tutaj robi?

Serge był znajomym jej ojca, architektem, który pomógł umieścić ją u Ozenfanta. Ale od chwili, kiedy go tylko poznała, wiedziała, jaka jest jego prawdziwa rola – dowiadywać się, jakie ma plany, i donosić o tym ojcu.

Był też jej pierwszym kochankiem i jeszcze tak całkiem z nim nie skończyła. Zwykle wpadał wieczorem, po pracy, nie w środku dnia. Gdyby Max teraz po nią przyjechał, Serge by się o tym dowiedział, a to znaczy, że jej ojciec też.

Roześmiała się niby wesoło, ale wypadło to mdło i sztucznie.

– Jedziemy z Ursulą do Brighton, pojeść ostryg, porysować morze i molo, a przynajmniej spróbować – rzuciła nonszalancko. Usiadła przy stole, wzięła do ręki grafit i dorysowała do cygaretki kilka smużek dymu. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że lustruje jej kawalerkę, począwszy od jej wąskiego łóżka, na którym uprawiali nienadzwyczajny – teraz była już tego pewna – seks, aż po piętrzące się wzdłuż ściany sterty jej szkiców, książek, stosy ubrań. Wydawało się, że czegoś szuka, jakiejś wskazówki. Znów czując na sobie jego wzrok, uniosła głowę. Podkręcał ciemnego wąsa z prawej strony; uzmysłowiła sobie, że wszkicowuje go w narożnik za kobietą z cygaretką. Był jej karłowatym służącym o doskonale jajowatej głowie, której nie dorysowała włosów.

Przemierzał pokój z rękami wepchniętymi w kieszenie marynarki.

Kiedy rok temu przyjechała do Londynu, raz w tygodniu spotykali się w kawiarni. Opowiadała mu przy kawie to, co chciała, żeby dotarło do ojca. A potem Serge zaczął przychodzić po pracy do jej mieszkania. Robiła mu herbatę i pokazywała swoje rysunki. Rozmawiali. Siedemnaście lat starszy był na bieżąco z tym, co dzieje się na londyńskiej scenie artystycznej. Przyjaźnił się z Erno i był w każdym calu tak samo sumienny, choć nie tak do cna pozbawiony humoru.

– Ozenfant mówi, że rokujesz – powiedział jej pewnego wieczoru. Wydawał się szczerze zadowolony. Pochyliła się przez stół, zdjęła mu okulary i pocałowała go.

– Powiesz o tym ojcu? – droczyła się.

Chwilę później wylądowali w łóżku.

Władza nad ojcem była upajająca. Człowiek, który na jego polecenie miał ją na oku, będzie jej zdobyczą. Może mu donosić, ale ojciec nie będzie wiedział o niej nic ponad to, co ona zechce, żeby wiedział. Kiedy powiedziała Ursuli o romansie, przyjaciółka rozpromieniła się.

– Wyjdź za niego! – podsunęła. – Mielibyście najsłodsze dzieci!

– Nie zamierzam za nikogo wychodzić za mąż – odparła. – Jest moim pierwszym kochankiem, ot co.

Dziewictwo było przereklamowane i cieszyła się, że ma to już z głowy.

Romans ciągnął się w sekrecie miesiącami. A potem Serge nie mógł przestać przebąkiwać o małżeństwie i coraz mniej wyglądał jak przystojny szpieg, a coraz bardziej jak samotny kawaler. Zrobił się pospolity, a ona zaczęła wymyślać wymówki. Powiedziała mu, że potrzebuje czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć. Wiedziała, że musi zakończyć ten związek, ale nie mogła sobie pozwolić na to, by zwrócił się przeciwko niej. Gdyby uznał, że powinna zostać odesłana do domu, godzinę później stałby tam już samochód przysłany przez ojca.

Podszedł do niej od tyłu, położył jej rękę na ramieniu. Poczuła, jak jej ciało tężeje, i zasłoniła szkic ramieniem.

– Więc byłaś wczoraj na przyjęciu? Erno mówił, że to był prawdziwy zlot surrealistów. Lee Miller, Penrose, Max Ernst.

A więc Erno już mu powiedział. To stąd się tutaj wziął. Wstrząsnął nią kaszel, głośny i długi. Jej głos brzmiał chropowato.

– Tak, hmm, nie za dobrze się bawiłam. Coś mnie chyba bierze.

Serge był hipochondrykiem i wiedziała, że jej kłamstewko utrzyma go z dala co najmniej przez tydzień. Wkrótce powie mu, że to już koniec, ale teraz najważniejsze, żeby sobie poszedł.

– To niebezpieczna, niemoralna zgraja, Leonoro. – Otworzył drzwi. Kaszlnęła ponownie. W powietrzu unosiły się drobinki śliny. – Uważaj na siebie – powiedział, zamykając za sobą.

W miarę jak wchodził po schodach wiodących na ulicę, jego kroki cichły coraz bardziej. Niewiele brakowało. Kiedyś potrzebowała adrenaliny. W szkole u sióstr przemycała papierosy. W szkole dla dziewcząt we Floren-

cji wymykała się przez okno, by móc w pojedynkę powałęsać się po mieście i posiedzieć w muzeach tak długo, jak będzie miała ochotę. Ale teraz była już za stara na obłudę. Gdyby była mężczyzną, mogłaby żyć tak, jak by chciała, i nie rozumiała, jak z samego faktu, że jest posiadaczką ciała zdolnego wydać na świat dziecko, wynika, że nie może. Ale ojciec nigdy tak do tego nie podchodził. Nie da jej spokoju, dopóki nie wyjdzie za mąż.

Usłyszała jakby piłkę spadającą po schodach i chwyciła torbę. To Max, wiedziała, a była tak pełna energii, że jego pukanie falami rozkoszy zalało cały pokój. Otworzyła drzwi wprost na jego przewrotny uśmiech. Zaskoczył ją, podnosząc z ziemi swym uściskiem, tak że zapomniała o Serge'u, o ojcu, roześmiała się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Nigdy wcześniej nie zatraciła się w pocałunku, lecz teraz ich pocałunek rozciągnął przestrzeń pomiędzy Ziemią a Neptunem, a ona unosiła się w przestrzeni, nieważka, wykonując tysięczne obroty bez potrzeby stanięcia na nogach i zaczerpnięcia tchu. Nigdy wcześniej nie szła ulicą z mężczyzną, a teraz ujął ją za rękę i byli jak słonie dokazujące nad rzeką, kołyszące splecionymi trąbami, a ów język gestów nie wymagał tłumaczenia. Na środku chodnika przyciągnął ją do siebie. Jego usta wpiły się w jej wargi, oczy mieli zamknięte, byli żyrafami, a ich małe głowy mieszały się z gwiazdami, ich rzęsy stykały się w ciemnościach.

Puścił ją, a ulica powróciła codziennym zgiełkiem plątaniny aut i ludzi. Mężczyźni przechadzali się ramię w ramię, ich głosy rozbrzmiewały w przelocie. Kobiety spacerowały ręka w rękę. Ich śmiechy pieniły się i kipiały. Dzień zrobił się parny, a letni zapach Londynu był bujny i zmysłowy – ser mięknący z gorąca, sadza i papierosy, skrawki tłuszczu i przejrzałe owoce na śmietniku.

Bentley Rolanda stał pod dziwnym kątem, jakby zaparkowano go w pośpiechu, z jednym kołem na krawężniku. Max otworzył jej drzwi, wślizgnął się za kierownicę i ruszyli.

Lawirował między samochodami i pieszymi i – przekonany, że ona rozumie – cały czas mówił po francusku. Choć od jej lekcji francuskiego upłynęło trochę czasu, odkryła, że nadąża. Brakujące tu i ówdzie słówko nie miało większego znaczenia, gdyż jego entuzjazm przekazywał wszystko, co trzeba. Ma truskawki, słodkie bułeczki i koc, powiedział, i nie może się już doczekać, żeby zostać z nią sam na sam. Coś jej chciał pokazać.

Wpadający przez otwarte szyby wiatr rozwiewał mu białe włosy raz w tę, raz w drugą stronę. Zbyt nieokrzesany jak na wóz tych gabarytów

i klasy wyglądał jak ptak, jakim się mienił – napuszony w prążkowanym garniturze i z nosem jak wielki dziób. Dotąd nie dostrzegała tego ptasiego podobieństwa, jego kanciastego wdzięku. Zgięte długie nogi, kolana przy łokciach – istny żuraw. Kiedy wyjadą za miasto, może pokaże jej skrzydła.

Rozłożyli się piknikiem pod baldachimem klonu. Zsunęli buty i poczuli pod stopami chłodną trawę.

Chór cykad elektryzował powietrze. Brzmiały tak, jak czuła się jej skóra, włoski na ramionach zjeżyły jej się tylko dlatego, że była z nim sam na sam. By sprawić wrażenie spokojnej, ułożyła się na łokciu; spódnica za kolana. Skubnęła bułkę. Szkoda, że nie ma herbaty, pomyślała. Tymczasem on otworzył białe bordeaux, przytknął szkło do ust i wziął łyk.

– Chcę mieć pewność, że będzie dla ciebie wystarczająco dobre – powiedział, podając jej butelkę.

Upiła łyk wina – znacznie lepszego niż herbata – i zjadła truskawkę.

– Są dwie zasady – zaczął.

W torbie miał kawałek deski. Porozrzucał na niej liście, gałązki, drobne kamyki. Na tym położył arkusz papieru do rysowania i umocował go zaciskami. Bokiem ołówka potarł papier i krawędzie tych przedmiotów ukazały się w postaci ciemnych linii. To tak jak ze snami, pomyślała, cały dzień żyją w ciele, w kościach przegubów i łokci, w gąbczastej tkance wątroby i płuc. Trzeźwy umysł ich nie zauważa, a sny ośmielają się ukazać swe oblicza, dopiero kiedy człowiek opuści gardę i zapadnie w sen, podobnie jak zwierzęta w zoo wychodzą o świcie i o zmierzchu, kiedy samo światło staje się schronieniem.

– Te dwie zasady – ciągnął – to przypadek i intuicja: to, co się pojawia, i to, co ty w tym dojrzysz. Ty i ja moglibyśmy wyjść od tego samego frotażu i stworzyć kompletnie różne obrazy.

– Frotażu? – Czy to coś, co według niego powinna znać? Ozenfant słowem nie wspomniał o frotażu.

– Tarcie, pocieranie. Tak to nazywam. – Strząsnął resztki, zdmuchnął pozostałości grafitu. Oglądali obraz w świetle słońca, jego ciepła ręka na jej plecach, cudowny nacisk. – Tak jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem i patrzyłaś na chmury – powiedział.

Wiedziała, że nie jest dzieckiem, już nie. Nie siedziała w ławce, wpatrując się w obłoki za oknem i snując marzenia o swoim życiu. Była tutaj, w samym środku życia, i marzyła w nowy sposób.

– To jest królowa. – Obwiodła palcem zarys tego, co ujrzała. – A tu jest jej słoń, widzisz? Wyjeżdża ze swego królestwa, które jest tutaj. – Dotknęła narożnika. – Na wzgórzu za nią. Stoi na klifie i spogląda na pustynię, którą pokona. Nie wie, dokąd ją to zaprowadzi… wszystko to bezmiar, pustynia i ocean, a na brzegu statek czeka na nią i jej słonia.

Pochylił się bliżej.

– Bardzo bym chciał, żebyś to namalowała. – Pocałował jej czoło, powiekę, kość policzkową, ucho. – Pokażesz mi kiedyś swoje prace?

– Kiedyś – powiedziała, choć nie mogła sobie wyobrazić, by kiedykolwiek były wystarczająco dobre.

Położył się i oparł głowę na jej kolanach. Wstrzymała oddech. Pogłaskała jego opalone czoło, gładkie pod opuszkami jej palców. Powoli, myślała. Mamy całe popołudnie. I podała mu do ust kęs truskawki, a sama zjadła resztę.

– Opowiesz mi jakąś historię? – poprosił.

Odrzuciła zieloną szypułkę w trawę; wylądowała obok jakiegoś grzyba. Przyzwyczajona była zapisywać, a nie opowiadać różne historie, doszła więc do wniosku, że prawdziwa historia będzie najłatwiejsza. – Chcesz posłuchać o pierwszej szkole przyklasztornej, z której mnie wylali?

– Jasne.

– Kiedy miałam dziewięć lat, Ojciec wysłał mnie do sióstr Grobu Świętego. Szczerze nienawidziłam tego miejsca. Mogły zmusić mnie, żebym siedziała w ławce, ale nie mogły mnie zmusić, żebym pisała do przodu, więc nie pisałam. Ćwiczyłam pisanie do tyłu, lustrzane odbicie.

Opowiedziała mu, jak siostra odesłała ją do pokoju. O liście, który napisała do Niani pismem lustrzanym, i o tym, jak – trzymając go przed lustrem – zniknęła.

– Upadłam na podłogę – zakończyła – głowę miałam lekką jak listek.

Spojrzała na niego z góry. Bez słowa śledził taniec słonecznych promieni na liściach. To jeszcze nie koniec tej historii. Było jeszcze to miejsce, do którego trafiła, kiedy upadła, świat, który zachowywał się tak, jakby go nigdy nie opuściła. Znalazła się tam w połowie zdania, jak gdyby w jakiś sposób stale tam była.

Spojrzał na nią, spojrzał w nią.

– I co dalej?

Roześmiała się i napiła wina. Nigdy nie próbowała opowiadać o świecie, do którego wkroczyła owego dnia, o świecie sidhe, i lata całe nawet o nim

nie myślała. Nigdy nie miała pewności, czy jest prawdziwy, czy też jest ożywionym snem. Powiedzieć o tym komuś – nawet Matce czy Niani – wydawało się czymś niewłaściwym, jak nałożenie uzdy koniowi. Pomyślała jednak, że może zrozumie.

– Znalazłam się w innym świecie, ale jakoś znajomym. To miejsce, które znałam. Jeden z sidhe unosił się przede mną i prowadził mnie przez podziemny labirynt.

– Sidhe? – powtórzył.

– Nie znasz tych opowieści? To starożytne irlandzkie duszki. Skryły się pod ziemią, kiedy nadeszli chrześcijanie. Czasami jednak wychodzą i nawiedzają ludzi. A przynajmniej tak opowiadała mi Niania. – Roześmiała się, słysząc samą siebie. Miała rację, to zbyt trudne, żeby o tym opowiadać. Twarz Maksa pozostawała beznamiętna. Nie wciągnęło go. Najlepiej będzie przeskoczyć do tej części historii, która dzieje się na jawie. Może któregoś dnia dopowie mu resztę. – Usta i nos miałam przykryte jakąś szmatką. Była czymś nasączona; zapach był tak ostry, że otworzyłam oczy. Leżałam na łóżku. Lekarz zdjął szmatkę i wraz z pielęgniarką pochylił się nade mną. Wstrząśnienie mózgu, orzekł. A ja przypomniałam sobie zdania, których nie napisałam. Mój list do Niani leżał na podłodze. Nie zadziałało. Nie byłam czarodziejką, jedynie nieposłusznym dzieckiem. Siostra pokiwała głową, powiedziała mi, że jestem beznadziejna i że powinnam spakować rzeczy. Moja Niania będzie za godzinę.

Max tam był, jak i go nie było. Wpatrywał się w liście, lecz – zatopiony we własnych myślach – był daleko. Nie opowiedziała mu o ojcu i jak bardzo zdenerwowało go wyrzucenie jej ze szkoły ani o tym, jak zdumiewająco dobrze, pewnie się poczuła, widząc jego złość. Jakby pierwszy raz w życiu zwrócił na nią uwagę; i to nie dlatego, że dopasowała się do jego wyobrażeń o tym, jaka powinna być dziewczynka, schludna i urodziwa, z kokardą w wyszczotkowanych włosach, ale dlatego że stała się dla niego źródłem utrapienia. Czuła się jednak podle z powodu matki, która stała u jego boku, wyrywając sobie włos za włosem. Ponieważ każda kolejna wyrwana cebulka dawała jej ukojenie, nad jej lewym uchem powstał niewielki łysy placek, miejsce, które mogła zakryć włosami, które jednak odkrywała, kiedy chciała jej pokazać, co też najlepszego narobiła swoimi występkami.

Leonora odgryzła kawałek paznokcia i oderwała zadzior zębami. Max wziął go i zaczął wyginać w palcach. Po twarzy rozlała mu się strużka sło-

necznego światła. Uśmiechnął się szeroko i zawinął jej lok włosów za ucho.

– I Niania przyjechała, żeby cię zabrać?

– Tak.

Wyciągnął rękę ku górze, chwycił dłonią pukiel jej włosów i przyciągnął ją ku sobie. Znalazła się na nim, całowała go, a potem on znalazł się na niej. Czuła go przez spodnie, udem; przylgnęła do niego. Tyle tytułem wstępu.

Przerwał i usiadł. Przytknął butelkę wina do ust i podał jej. Wzięła długi łyk. Ujął jej stopę. Palce położył na podbiciu i naparł. Jego ręka przesunęła się na jej kolano, na udo. Czuła, jak płoną jej policzki, całe ciało. Końce jego palców znalazły się pod gumką jej bielizny. Zsunął ją aż do kostek i zdjął, powoli, płynnym ruchem. Odsunął jej kolano w bok.

Nigdy wcześniej nie była tak nieruchoma.

Poczuła, jak przepływa przez nią rzeka, poczuła, jak bryza chłodzi wewnętrzną stronę jej ud.

A on jedynie patrzył.

Jak gdyby przebierał modelkę, rozpiął górę jej sukienki, zsunął ramiączka z jej ramion. Ujął w dłoń jej pierś, a potem drugą, i trzymał je tak, że widoczne były jedynie sutki. Wciąż trzymając w ręku ołówek, wyjął kolejną kartkę, usiadł jej w nogach i szkicował. Nie poruszyła się. Ledwie mogła oddychać.

Spojrzał na nią, potem w dół, na swój rysunek, i znowu na nią. Jego głos był szeptem.

– Dotknij się.

Tam? Naprawdę tego chciał? Jeśli tak, dojdzie i tam, kiedy będzie gotowa.

Przesunęła ręką po piersiach, zjechała nią po sukience i oparła na udzie.

– Tutaj – powiedział, kierując jej rękę tam, gdzie przede wszystkim miała trafić.

Poduszka z włosów pod dłonią, wiedziała, czego on chce. To Ursula, o dziwo, jej o tym powiedziała. Że można dotykać tej części siebie, aż to osobliwe łaskotanie stanie się tak nieznośne, że wydaje się, iż nie da się go wytrzymać, a potem dotyka się coraz bardziej, a cały świat się zapada, rozszczepia, wiruje, jak wielka fala przetacza się ku brzegowi i cofa się. Spróbowała tego, w samotności, i przekonała się, że przyjaciółka mówiła prawdę. Światło przeniknęło ją do szpiku kości, wyfrunęła ze skóry i leżała rozpalona, jakby porażona prądem.

Czy ma mu dać to, czego chce? Eksplozję światła, tutaj, w lesie? Czy to w ogóle jest las? Są na odludziu, prawda, ale niedaleko stąd, tuż za zakrętem drogi, stoi dom.

Szkicował. A ponieważ przyglądał się jej bez usprawiedliwienia, mogła patrzeć na niego w ten sam sposób. Oczy miał blisko siebie. Były dzikie, kategoryczne, niezbyt widoczne głęboko w oczodołach, i zastanawiała się, czy zdołałyby się cofnąć z taką łatwością, z jaką żółwie chowają głowy w swych skorupach. Prawie nie mrugały. Lecz pod tą pewnością siebie skrywał się ktoś spokojniejszy, wycofany. Widziała zagubionego i poranionego chłopca.

Wsunęła palec w ciepły połysk swego wnętrza, wolno poruszała nim w sobie, w górę i w dół. On – tyczkowaty i niezręczny – przypominał jej teraz nastolatka, a jego świadome rozluźnienie było tylko zasłoną. Oczy mu błyszczały. Miał w sobie więcej życia niż ktokolwiek z jej znajomych. Bardziej niż seksu pragnął się w nią wpatrywać, rysować ją. Chciał, by jej rozkosz przelała się na jego rysunek. Ona też tego chciała. Chciała, by jego wyobrażenie stworzyło ją na nowo.

Na zalanym słońcem kocu pozwoliła oczom się zamknąć.

– Otwórz je – wyszeptał. – Chcę cię widzieć. Chcę pójść tam, gdzie ty. – Jego głos płynął przez nią jak ciepła whiskey.

Położyła się na plecach i słuchała, jak jego ołówek chrobocze po papierze. Wpatrywała się w drżące nad nią liście, patrzyła, jak słońce bieleje i wszystko pochłania. I krzyczała, nie zważając na to, czy ktoś w tym domu za zakrętem może usłyszeć.

Leonora siedziała po ciemku przy kuchennym stole. Choć jajecznica była gumowata, przełknęła ją z łykiem zimnej herbaty. To pierwszy wieczór od tygodnia, jaki spędzała bez Maksa, który był na kolacji z grupą kolekcjonerów – samymi mężczyznami, wyjaśnił, jakby to cokolwiek tłumaczyło. Żeby było jeszcze gorzej, jej ciało się go domagało. Jak może już czuć jego brak, zastanawiała się, skoro to zaledwie godziny? Żałosne.

Tęskniła do jego czystego, cytrusowego zapachu na skórze, brzmienia jego głosu, niskiego, niemalże bezgłośnego śmiechu. Brakowało jej smaku jego oddechu, tytoniowo-torfowego, z dodatkiem czegoś korzennego – może to goździki? Albo cynamon? Od czasu ich pikniku była w swoim mieszkaniu tylko po to, żeby się przebrać i wziąć prysznic, a ono samo wydawało się maleńkie i zapyziałe i zastanawiała się, jak będzie mogła

spać bez spokojnego kilu jego ciała obok. Pomyślała o tym, jak splatają się ich członki, i o tym, że gdy z powodu sennych koszmarów przebiegających mu w żyłach zaczynał się trząść i krzyczeć, tuliła go do siebie i przemawiała do niego tkliwie jak do dziecka. Budził się zlany potem. Kiedy potrzebował jej najbardziej, stawała się oazą spokoju, silniejsza, niż kiedykolwiek wydawało jej się to możliwe. Bardziej.

Dokończyła jajecznicę z ostatnim łykiem herbaty. Doszła do wniosku, że najbardziej w jego nieobecności brakuje jej tego, jak na nią patrzy. Jak w jego oczach, które zdawały się zdolne dojrzeć magię, została czarodziejką. *Femme-sorcière*, tego określenia użył. Jedna z kategorii kobiet według Bretona, wyjaśnił. Kobiet, dotarło do niej, które dla mężczyzn grały rolę muz. Była również *femme-enfant*, kobietą-dzieckiem, tak bliska swej dziecięcej nieświadomości, że służyła za łącznik pomiędzy artystą – mężczyzną – a jego własną nieświadomą inspiracją. Spodziewała się, że jako dziewiętnastolatkę Max postrzega ją również w ten sposób, ale nie dbała o to. W tym życiu będzie, kimkolwiek zechce.

Pomyślała o tym, czego nie zdołała mu powiedzieć w dniu pikniku. O tym, jak w wieku dziewięciu lat zemdlała w klasztorze, a sidhe zabrały ją do swej podziemnej siedziby i pokazały jej proces alchemiczny, nakarmiły zabielaną polewką z korzeni i płatków róży, by mieć pewność, że powróci. Lecz potem Ojciec wysłał ją do innych szkół przyklasztornych, do szkół dla dziewcząt, jednej za drugą, i ta pierwsza, dziwna lekcja zupełnie wypadła jej z pamięci aż do chwili, gdy Max posmakował jej specyficznego osadu, który w niej pozostał.

Femme-sorcière. Podobało się jej brzmienie tego określenia.

Pozmywała i zabrała się do gruntowania gessem płótna, które Max pomógł jej naciągnąć. Chciała namalować coś, co by mogła mu pokazać. Swoją pierwszą prawdziwą pracę. Ułożyła równo tuby z farbą, do słoika wlała terpentynę. Trzymała w ręku pędzel i wpatrywała się w puste płótno. Teraz pozostało jej tylko śnić z otwartymi oczami i namalować to, co ujrzy. A ujrzała sidhe przenikające przez błękitne ściany jej dziecinnego pokoju, jakby to było powietrze. Namalowała więc błękitny pokój. Nie była pewna, kto mógłby w nim mieszkać. Żeby dramat mógł się rozegrać, niezbędne jest zbudowanie sceny.

Usłyszała pukanie, głośne i zdecydowane; nie poruszyła się. Serge! To musiał być Serge. Jeśli będzie cicho, może sobie pójdzie? Lecz pukanie rozległo się na nowo – gniewne, natarczywe. Wytarła farbę z rąk. Wie-

działa, że musi zakończyć z nim tę historię, co ma mu jednak powiedzieć? Że zakochała się w Maksie Ernście, żonatym mężczyźnie? Posmakowana wolność, samodzielne mieszkanie w Londynie, to wszystko by się skończyło. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

W drzwiach tkwił blady jak ściana Serge. Cały się trząsł.

– Dziwka. – Wypluwał słowa, jakby chciał, żeby się przykleiły. Jego wzrok przygwoździł ją do podłogi. Zraniła go, to pewne. Mogła zapewniać go, że jest jej przykro, tylko po co?

Zrobiła krok w jego stronę.

– Serge, bądźmy cywilizowanymi ludźmi. Nie rujnujmy wszystkiego.

Spojrzał w powietrze ponad jej głową – w geście odrzucenia, jak to odebrała, i poczuła do niego wstręt – i pomaszerował schodami do góry.

A więc wiedział. Widział, jak Max całuje ją na chodniku, śledził ją? Wiedział, że mieszkała z Maksem u Penrose'a? Nerwowo chodziła po pokoju. Jak śmie przychodzić do jej mieszkania i nazywać ją dziwką. Jeśli już mieliby być ze sobą szczerzy, ona też ma mu kilka rzeczy do powiedzenia. Na przykład, jaki facet pieprzy się z dziewczyną, na którą ma mieć oko?

Wyskoczyła po schodach na deszcz, żeby go odnaleźć. Chodnik był mokry i ziębił ją w stopy, ręce pokryły się gęsią skórką; najpierw pobiegła w górę, potem w dół ulicy, ale go nie dojrzała. Stanęła bez ruchu, wbijając paznokcie w dłonie. Następnym razem będzie gotowa. Strzeli ripostą jak biczem.

Pod latarnią dostrzegła swe odbicie w oknie sklepu z kapeluszami. Widok ją zaskoczył. Jakaś para idąca za nią z parasolami kołyszącymi się im nad głowami również zwolniła, żeby się jej przyjrzeć… bez wątpienia, w ich mniemaniu, kobiecie obłąkanej albo ubogiej, a może ulicznicy, która znalazła się w niewłaściwej części miasta, komuś, czyj okres świetności już minął. Roześmiała się – nie mogła się powstrzymać – i ludzie zniknęli.

Czy to ta sama dziewczyna, która ledwie kilka lat temu została przedstawiona na dworze króla Jerzego V? Spojrzawszy na nią, nie dałoby się tego powiedzieć. Ubrana w strój do malowania, który miała na sobie cały dzień, bluzkę, która zsunęła się jej z ramienia, podartą spódnicę, z długimi włosami w dzikim nieładzie, na Boga! Oto ona, i to w publicznym miejscu! Była właśnie tym typem kobiety, którego najbardziej obawiał się jej ojciec, myśląc o przyszłości córki – niezamężną artystką. Stało się najgorsze.

W mieszkaniu zapatrzyła się w błękitny pokój ze swego obrazu, a wewnątrz miotał się głos Serge’a. Dziwka. Poczuła lęk, ów trzęsący się galaretowaty przymiot. Gdy przymknęła oczy, zauważyła, że przyjął on postać wymyślnego rzeźbionego krzesła z plisowanym pokrowcem, wysokimi obcasami na maleńkich nóżkach i połyskującym purpurowym językiem w charakterze poduszki. Krzesła, na którym mogłaby zasiadać królowa dziwek. Miałaby na sobie strój jeździecki, swoje najbardziej androgyniczne ubranie, i siedziałaby z rozstawionymi nogami – nie skrzyżowanymi, jak przystoi damie. Brzuch i uda byłyby kobiece, pełne i ponętne, widz więc miałby ochotę chwycić za ten wydatny kawałek ciała, tam, w okolicach krocza. Chciała, by ów rejon jej ciała kusił. Jej czarne sznurowane buty na wysokich obcasach byłyby większą, bardziej brutalną wersją nóg krzesła – co przywodziłoby na myśl rozmaite dewiacje seksualne, różne rzeczy związane z bólem zadawanym przez osobę noszącą te buty. Tak, pomyślała, wyobrażając sobie Serge’a pałającego uległością, ekstatycznie szczęśliwego w roli robaka, i ochoczo zabrała się do pracy.

Nazajutrz po południu lawirowała między stolikami zatłoczonej restauracji w Savoyu. Umówiła się z Maksem, Rolandem i Ursulą na podwieczorek. I oto widzi już przyjaciółkę przy stoliku na wprost wysokiego okna, a promienie słońca podświetlają jej luźno zebrany kok. To naprawdę ledwie tydzień, odkąd Leonora ją widziała? Niemożliwe. Obie się zmieniłyśmy, pomyślała. Nieodwracalnie. Ursula emanowała nabrzmiałą samozadowoleniem pełnością, a jej uśmiech mógł rozświetlić cały Londyn. Cmoknęły się w policzek.

– Przepraszam. Zaczęliśmy bez ciebie. Umierałam z głodu.

Obok niej siedziała kobieta w bluzce z podwiniętymi rękawami i spodniach podobnych do tych, jakie miała na sobie Leonora. Starsza, po trzydziestce tak na oko, wyglądała tak, jakby od jakiegoś czasu była sama. Miała ostre rysy i bystre oczy, niewymuszony uśmiech, paliła cygaretkę, jakby jedna z kobiet z rysunków Leonory ożyła. Od razu poczuła do niej sympatię.

– To Catherine – przedstawiła ją Ursula. – Stara przyjaciółka i artystka… prawdziwa, jak ty. Kiedy usłyszałam, że jest tu z wizytą, musiałam ją zaprosić. Jesteście takie podobne.

Leonora usiadła, opierając kostkę na kolanie, tak jak by to zrobił mężczyzna. Czuła na sobie spojrzenia wszystkich tych przyzwoitych mężczyzn

i kobiet; zignorowała je.

– Mieszkasz w…

– Paryżu. – Catherine wypuściła ponad ich głowami kółka dymu. – Raj dla artysty. Kobiety mogą żyć tak, jak chcą.

Ursula wbiła zęby w jedną z maleńkich kanapek z ogórkiem.

– Powiedziałam jej wszystko o Maksie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Leonora nalała sobie herbaty, dodała śmietankę i swą zwyczajową kostkę cukru.

– Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu?

– On ma taką reputację… że zawsze kręci się wokół więcej niż jednej dziewczyny. Po prostu.

Catherine roześmiała się. Ursula jednak przybrała ów zwarzony, zafrasowany wyraz twarzy, z jakiego słynęła u Ozenfanta.

– Jesteś pewna? Chcesz spotykać się z żonatym? No, wiesz… nie ma odwrotu.

– No właśnie. – Leonora wzięła do ust ptysia, a jego słodycz i konsystencja aż ją zatkały. Przełknęła go z wysiłkiem. Miała wrażenie, że lata całe nie jadła już podwieczorku, Max jednak nie znał tego zwyczaju i bardzo chciał go poznać. Ale gdzie on jest? Spojrzała na drzwi. – Wiesz, gdzie jest Max? I Roland też przyjdzie, co?

Ursula popijała herbatę.

– Pewnie się trochę spóźni. – Uśmiechnęła się konspiracyjnie, w sposób, jaki Leonora znała aż za dobrze. Policzki jej się zaróżowiły. – Mam nowinę.

I zanim zdążyła ją przekazać, Leonora wiedziała już, co powie.

– Och, kochana, to wspaniale! – Starała się bardzo wesprzeć to oświadczenie entuzjazmem, obserwując ją teraz jakby przez wodę, mgliście. Mimo iż siedziały przy tym samym stoliku, dzieliły je kontynenty. – Który to miesiąc? – spytała.

Ale właśnie nadszedł Roland, zbyt pospiesznie jak na hotel Savoy. Zdjął melonik, przeczesał palcami mokre włosy.

– Plany uległy zmianie. – Mówił cicho i nie patrzył ani na Ursulę, ani na nią, tylko przeczesywał wzrokiem tłum za nimi. – Mój samochód stoi na zewnątrz. Leonoro, spotkajmy się przy nim. Idź już. Tutaj nie możemy być widziani razem.

Jego słowa brzmiały bezsensownie. Nie możemy być widziani, myślała. Przez kogo? I wtedy zrozumiała. Serge powiedział Ojcu o Mak-

sie, a ten zrobił coś przebiegłego, coś strasznego.

Nie mogła złapać tchu, chwiała się na nogach. Ursula objęła ją ramieniem, poprowadziła do krawężnika i pomogła jej zająć miejsce na tylnym siedzeniu bentleya Rolanda.

Przypatrywała się dwóm *bobbies*, którzy kroczyli obok siebie przez tłum – cel ich przechadzki – czarne hełmy z paskami pod brodą, pałki, złote guziki mundurów połyskujące w słońcu. Serce pulsowało jej w koniuszkach palców u rąk i nóg. Czyżby Ojciec kazał zabić Maksa? Wsadzić do więzienia? Tego nie można było wykluczyć. Miał przyjaciół, ludzi w parlamencie i gorzej oświetlonych miejscach, którzy mieli wobec niego dług wdzięczności. Ale na jakiej podstawie, zastanawiała się, wspominając – o dziwo – chwilę, kiedy najbardziej ojca kochała. Było to popołudnie w dniu jej ostatnich urodzin, zanim posłano ją do szkoły, popołudnie takie jak to, ciepłe i jasne, kiedy założył jej na oczy przepaskę i wyprowadził na trawnik przed domem. Gdy już mogła spojrzeć, zobaczyła tam Winkie – wówczas zaledwie źrebaka – jej własną piękną kasztankę.

Usłyszała jakieś głosy. Roland wślizgnął się na miejsce pasażera, Max usiadł obok niej, ścisnął jej rękę w swojej i pocałował ją prosto w usta, i świat jej ojca zniknął, kiedy tylko ruszyli.

– Co się stało? – spytała.

Roland odwrócił się i spojrzał jej w twarz.

– Twój ojciec… – Słowo to trafiło ją, jak zawsze, celnie, i poczuła bunt. – Jego kontakty w rządzie. Nigdy niczego podobnego nie widziałem.

– Niby czego? – dopytywała.

Max wciąż trzymał ją za rękę, ale wyprostował się na dźwięk słowa r z ą d. Kiedy zapalał papierosa, ręka nieco mu drżała.

– Mówią, że prace Maksa to wytwory niemoralnego umysłu. Zły wpływ na prostodusznych londyńczyków. Degeneracja.

– To szaleństwo. – Max zachichotał, ale usłyszała w jego gardle zacięcie, jakby wpadł w nie niewielki pajączek.

– Policja przyjechała do galerii, szukali Maksa. Zamknęli jego wystawę. Jeśli go złapią, wtrącą go do więzienia. Musi natychmiast wyjechać z Londynu.

– Boże, będę za tobą tęsknił. – Posadził ją sobie na kolanach i zanurzył twarz w jej włosach.

– Wiem! – zakrzyknął Roland. – Zatrzymacie się w domu mojego brata, w Lambe Creek! Oboje! Lee tam jest, i Man ze swoją dziewczyną Ady,

Nusch i Paul mają przyjechać na dniach, i Eileen, i Joseph. Im więcej, tym weselej! Wszyscy przyjeżdżają na kilka tygodni. Są tam lasy i niestały strumień. Będzie absolutnie pogańsko. Wyjedziemy po południu.

Max zaśmiał się, przymilając się do niej.

– Co sądzisz?

Kilka tygodni z Maksem i surrealistami? Gdyby Ojciec się o tym dowiedział, ściągnąłby ją do domu w okamgnieniu, gdyby musiał, zaciągnąłby ją własnoręcznie. Ale jaki wybór jej pozostawił? Próbował wsadzić Maksa za kraty.

Cofnęła się, spojrzała mu w oczy. To był pakt, wyzwanie, głęboka, zimna glinianka, do której była gotowa wskoczyć jego śladem. Jego odpowiedzią był pocałunek tak pełen pragnienia, że odebrał sens wszelkim jej obawom.

Leonora nigdy nie dbała o to, co sądzą o niej inne dziewczęta, czy to w przyklasztornej szkole, czy w gronie debiutantek z wyższych sfer. Lecz kobiety w Lambe Creek były inne. Lee otaczała aura niezależności, którą chciała naśladować. Przy Nusch, nowej żonie Paula Éluarda, i dziewczynie Mana Raya, Ady, ciemnoskórej karaibskiej tancerce, tak pięknych i egzotycznych, czuła się pospolicie. Kiedy na nią spoglądały, traciła pewność siebie, robiła się wręcz wstydliwa i nerwowa. Wkrótce jednak zdała sobie sprawę, że każdy przygląda się każdemu, a ich spojrzenia zdawały się mówić, że niczego nie powinno się ukrywać. Życie to ciąg żartów, im bardziej absurdalnych, tym lepiej.

– Nie przeszkadza mi, że wszystko jest w środku, jeśli chodzi o orgazmy i całą resztę – powiedziała po francusku Nusch. – Ale zazdroszczę im, że mogą sikać bez zdejmowania spodni. Możecie sobie wyobrazić?

– No cóż – Lee odezwała się po angielsku i zwróciła ku Leonorze jedynie oczy. Zdecydowane, opanowane i dociekliwe, a pod ich bacznym spojrzeniem Leonora poczuła, że twarz jej się rozgrzewa. – Cieszę się, że nie masz jąder, Leonoro, bo wtedy musiałabym cię uwieść.

Wyciągnięte na kocu leżały nagie w promieniach popołudniowego słońca. Piersi Leonory były różowe. Przekręciła się na brzuch, niepewna, co odpowiedzieć. W przypadku Lee uwiedzenie wydawało się wszystkim, tylko nie obowiązkiem. Z niewielkimi, sterczącymi piersiami i kępką ciemnoblond włosów między nogami stanowiła doskonałe ucieleśnienie Wenus. Lecz jej łokcie były surowe, wyzywające. Przegryzła winogrono

i podała jej połówkę. Leonora poczuła, że pąsowieje na całym ciele; ugryzła winogrono, które było kwaskowate, i stała się jedną z nich. Jedną z nielicznych wybranych.

Nusch spała, nadal trzymając w ręku kiść winogron. Posiadała wspaniałą umiejętność ucinania sobie drzemki, gdzie i kiedy tylko miała na to ochotę… być może, myślała Leonora, z czasów, kiedy była asystentką hipnotyzera. Max powiedział jej, że Nusch pochodzi z rodziny cyrkowców. Jej ojciec zakuwał ją w łańcuchy, a ona uwalniała się z nich z taką łatwością, że wprawiała widownię w osłupienie. Zaczesane do tyłu blond pukle i wysokie, gładkie czoło pozłocone od słońca nadawały jej wygląd dziecka, nieświadomego, spokojnego. Leonora rozumiała, dlaczego – po Lee – jest najsłynniejszą modelką Mana Raya.

Lee naciągnęła na siebie orientalną szatę i przepasała się w talii.

– Mam pomysł.

Nusch otworzyła oczy.

– Tak?

Lee zaproponowała, by ubrały się jak na podwieczorek w Ritzu. Popędziły więc do swoich pokoi, by wyłonić się z nich w wełnianych żakietach i spódnicach. Ady dołączyła do nich w jednej z zapinanych na guziki sukienek Lee, której blada żółć przy jej śniadej skórze wyglądała jeszcze bardziej uderzająco.

Lee nałożyła im na twarze makijaż: cienie do powiek, róż, transparentny puder. Usadziła je blisko siebie, na brezentowych krzesłach na dziedzińcu. Jej ręka opierała się na nodze Nusch, a szczupła, ciemna dłoń Ady dotykała drobnych loków Francuzki. Nusch się roześmiała; był to śpiewny, zaraźliwy śmiech. Lee dołączyła do nich. Ona i Nusch trzymały talerzyki, na nich zaś znajdowały się filiżanki do małej czarnej, delikatne, stosowne, tak jak trzeba.

Roland, który miał w ręku aparat, był pełen podziwu dla Lee. Wniebowzięty, jakby zanurzono go w czerwonym winie.

– A teraz wszystkie zamknijcie oczy – poleciła. – I zaśnijcie.

Choć to on nacisnął spust migawki, pomysł wyszedł od Lee. W połowie przyjęcia, w połowie zdania zasnęły. W obiektywie Rolanda, z zamkniętymi oczami, były i śniącymi, i wyśnionymi.

Tego wieczoru tańczyli pod księżycem, atmosfera była luźna i swobodna. *Ta-tam, ta-tam, ta-tam*. Max uderzał w bębenek, a oni poruszali się w jego rytmie. Jakby znajdowali się wewnątrz jakiegoś serca, które ich

wszystkich ogarniało, jakby byli jakimś plemieniem. Włosy miała w nieładzie, cała pulsowała, a jej biodra poruszały się tak, jak nie śmiały nigdy przedtem. Bosym stopom kazała wirować i przytupywać na kamiennym patio, i zapomniała pomyśleć, jak to może wyglądać w oczach innych, nawet Maksa, który przyglądał się jej z uśmiechem. Patio zastawione było butelkami po szampanie, a ona przyłożyła jedną z nich do ust i dopiła do końca. Przejrzysta suknia Nusch pochwyciła światło księżyca. Połyskiwał szmaragdowy skarabeusz, który wczepił się jej we włosy. Paul kołysał nią w swych ramionach, to w tę, to w drugą stronę, choć wyglądało to tak, jakby to ona prowadziła.

Eileen Agar i jej partner Joseph Bard, którzy dojechali właśnie tego wieczoru, znaleźli sposób, by do tego rytmu zatańczyć walca. Chude chłopięce ciało przyodziała w męską koszulę z krawatem i spodnie. Trzydziestoośmiolatka była najstarsza wśród nich i Leonora uznała ją za powściągliwą, dopóki nie zrzuciła krawata, koszuli i spodni i nie zaczęła tańczyć w samym biustonoszu i majtkach. Jednym ruchem Paul chwycił ją za rękę i zakręcił ku sobie, jednocześnie okręcając Nusch od siebie, a Joseph, o ciemnych, kręconych włosach i swobodnym, pewnym kroku, ją pochwycił. Wszyscy się roześmieli. Nusch szepnęła coś Josephowi na ucho i poprowadziła go za rękę do lasu.

Leonora nigdy niczego podobnego nie widziała. Wydawało się, że Nusch czuje się dobrze w tej sytuacji. A nawet bardziej niż dobrze. Kiedy go prowadziła, zdawała się wręcz wzlatywać. Leonora pomyślała o Maksie oddającym ją na jakiś czas innemu mężczyźnie, pożyczającemu ją Rolandowi czy Manowi Rayowi. Czy poszłaby na to dlatego, że kocha Maksa i że on by tego chciał? Czy chciałaby tego, ponieważ on by tego chciał? Przyglądała się, jak Paul i Eileen się całują, a żołądek wykręcał jej jakiś cień purytanizmu, jaki musiała odziedziczyć – tłumaczyła sobie – ze strony ojca. Powinna być bardziej otwarta, myślała, bardziej swobodna; czuła się jednak zdegustowana.

Man zajął miejsce przy bębenku, a Max wstał, przeciągnął się i objął ją ramionami. Powiedział jej o inklinacjach Paula do użyczania żony mężczyznom, których najbardziej podziwiał, nazwał to hołdem. A teraz jej policzek przy nagim, słonym torsie Maksa; objęła go ciasno. Odwróciła w myślach całą tę sytuację. Gdyby miała Maksa oddać Lee jako wyraz uznania, ze względu na wielki szacunek, jakim darzyła Królową Surrealistów, i dlatego, że sama miała ochotę na Rolanda, gdyby kobiety miały się

dzielić swymi mężczyznami, jakby to były czarne sukienki Chanel, rozmiar uniwersalny, wymienne – jak oni by zareagowali?

Wcale nie była przekonana, czy Paul w ogóle by zaakceptował taką sytuację, gdyby to Nusch miała użyczyć jego.

Max przyciągnął ją bliżej i zamknął w ramionach. Przycisnął usta do jej czoła i się rozluźniła. Nie zamierzał jej puścić, a przynajmniej nieprędko.

W łóżku, nocą gorącą i duszną, kochali się z nową żarliwością. Wewnątrz i ponad nią poruszał się jak woda, której płynny ciężar absorbował każdą jej cząstkę, tak że zapomniała o zamęcie w żołądku. Lecz w miarę jak jej puls się uspokajał, zamęt powracał. Gdyby była Nusch, co by zrobiła? Byli zamotani w prześcieradło, więc je rozluźniła i skopała z siebie. Spytała, co on sądzi: o Paulu i Eileen, Nusch i Josephie i swobodnej wymianie partnerów.

Światło księżyca padło na jego ogorzałą od słońca twarz, cień zagmatwał gładkie linie jego ust. Opowiedział jej, jak on i Paul dzielili się jego żoną Galą, obecnie żoną Dalego. W latach dwudziestych przez trzy lata mieszkali razem. Zaczęło się beztrosko. Współpracowali, Max ilustrował wiersze Paula kolażami, a Paul polubił go tak bardzo, że chciał dzielić z nim wszystko, co posiadał, włączając w to Galę. Nie spodziewał się, że Max się w niej zakocha, porzuci swą żonę Lou i ich dwuletniego syna Jimmy'ego i podąży z Niemiec za nim i Galą do Paryża, by z nimi zamieszkać, by bezterminowo dzielić z nimi łoże.

– Przez lata to Paulowi nie przeszkadzało. Ale potem zaczęło.

Leżeli na plecach, wpatrując się w sufit, pustą, białą przestrzeń. Tylu rzeczy o nim nie wiedziała. Zostawił żonę, kiedy ich syn miał ledwie dwa lata? Jakby słyszała swego ojca. Jaki człowiek tak postępuje? Ucieka od swych obowiązków, bo chce być wolny?

Ujął jej dłoń, spletli palce. Co się stało, to się nie odstanie. Czyż nie postąpił tak, jak musiał? Kimże ona jest, by go oceniać?

– Paul popłynął w długi rejs do Sajgonu – opowiadał Max. – Gala i ja spotkaliśmy się tam z nim. – Przez chwilę milczał, porządkując szczegóły, tłumaczyła sobie, i zachowując je dla siebie. – Wrócili do Paryża – rzekł w końcu. – A ja ruszyłem ich śladem dziesięć dni później. To był koniec. Gala i Paul byli razem, a Paul i ja pozostaliśmy przyjaciółmi.

Oczy mu błyszczały… miłością do Gali, wciąż?

– Mogłem go stracić – powiedział – i to z tak trywialnego powodu jak kobieta.

Przeszedł ją dreszcz. Z tak trywialnego powodu jak kobieta? Teraz naprawdę zrobiło jej się niedobrze. Nie znała go i nie chciała go znać. To wszystko pomyłka. Zadzwoni do Ursuli, która przyśle samochód. Spakuje walizkę, pójdzie pieszo i złapie samochód gdzieś po drodze. Max może iść do diabła. Wstała, wzięła z szafy parę spodni, bluzkę, swoją walizkę. W następnej chwili stał za nią i ciągnął ją na łóżko.

– Co ja takiego powiedziałem? Nie chciałem…

– Co? – Zabrzmiało to zbyt głośno jak na tak późną porę, kiedy w sąsiednich pokojach na wolnym ogniu gotowali się inni i ich niezobowiązująco wymieszane partnerstwa.

Jego ręka zakrywała jej usta, ugryzła ją, mocno, i równie szybko pożałowała tego, co zrobiła.

Nie cofnął się. Wstał z łóżka, a ona spanikowała, bo pomyślała, że może wyjść. Gdyby ugryzła kogoś innego, byłby to niechybnie koniec. Ale on jedynie położył się po jej drugiej stronie, tak że leżeli twarzą w twarz.

– Nie chciałem powiedzieć, że kobiety są trywialne. Chodziło mi o to, że…

– Tak?

– Istnieją różne rodzaje miłości. Kocham Paula. Gala to była fascynacja. Moja muza.

A czymże ja jestem? – zastanawiała się, odwracając się od niego, żeby nie widział jej spoconej twarzy, jej łez. Przytulił ją mocniej, odgarnął jej włosy z czoła i przygładził je chłodną dłonią. Mówił jej prosto do ucha, głosem niskim i spokojnym.

– Byłem tak zaabsorbowany naszym pięknym eksperymentem z wolnością, że nie widziałem jego bólu.

Była niedziela i pszczoły skrupulatnie pilnowały, by każda malwa, każdy pierwiosnek doczekał się pocałunku. Szła boso polną drogą w stronę strumienia. Dni całe, odkąd tutaj przyjechała, spodziewała się, że jej ojciec lub któryś z jego ludzi zapuka do drzwi z policją i zabierze Maksa do więzienia, a ją z powrotem do domu, gdzie pozostanie pod jego nadzorem aż do chwili, gdy zostanie odpowiednio wydana za mąż. Minął tydzień, a nic się nie zdarzyło. Jej ojciec nigdy się nie zgodzi, by mieszkała w Londynie po tym wszystkim, ale dokąd mogłaby pojechać i jak? Max nie odezwał się ani słowem, co też miałoby się wydarzyć po ich wyjeździe z Lambe Creek, choć jak na razie to tutaj jej wystarczało. A nawet bardziej niż wystarczało.

Słyszała strumień, zanim jeszcze do niego dotarła. Weszła prosto do wody – była chłodna i czysta, słońce przeświecało przez nią aż do piaszczystego dna. Ptaki świergotały, przeskakując z drzewa na drzewo, a strumień śpiewał. Przyglądała się niewielkim ciemnym rybom, które przepływały obok jej łydek. Rozstawiła palce szeroko w mule i wyobraziła sobie, że jest drzewem, tak jak to robiła w lesie za ich domem, kiedy była dziewczynką, i czuła, jak jej korzenie rozchodzą się w ziemi, czuła, jak jej ręce, dłonie i głowa wyciągają się ku niebu jak gałęzie. Uniosła twarz ku słońcu; nadal jest tą dziewczynką, uświadomiła sobie z radością, tylko że teraz nie musiałaby wracać z lasu – to znaczy gdyby nie chciała. Znajdzie sposób, żeby pozostać wolna. Może pojedzie do Paryża, nawet jeśli Max jej o to nie poprosi. Chociaż byłoby lepiej, znacznie lepiej, gdyby jednak poprosił.

W drodze powrotnej zjadła na śniadanie jeżyny, a kiedy gałąź podrapała jej nadgarstek, po ręce popłynęły dwie strużki krwi. Dłonie miała pełne jeżyn, a ciemny sok mieszał się z jej krwią. Zlizała go… słodki i słony, żelazo i kwaśne łzy owoców zebranych z pnącza. Chciała spróbować wszystkiego.

Później tego ranka Lee z Eileen przygotowywały w kuchni sałatkę z kurczaka na lunch. Szczebiocząc jedna przez drugą, zaśmiewały się do łez.

– Ale Paul? – Lee wstrzymała oddech, wyglądając przez okno na patio, gdzie grał z Josephem w szachy. – W porównaniu z Joem nie bardzo jest na czym oko zawiesić.

– Och, a czy przyjrzałaś się, ale tak naprawdę dobrze się przyjrzałaś jego dłoniom? Długie, szczupłe palce. Dłonie poety. Bardzo zręczne, mówię ci.

Leonora kręciła się w pobliżu, chcąc do nich dołączyć, ale nie za bardzo wiedziała jak. A ponieważ drzwi do ciemni były otwarte, wślizgnęła się do środka. Była to spiżarnia, lecz teraz obok puszek z fasolką i słojów z gruszkami stały kuwety pełne chemikaliów. W drażniącym powietrzu na sznurku suszyły się zdjęcia. Był tam podwieczorek śpiących kobiet i obok zdjęcie, które musiał zrobić Man. Ady i Nusch, nagie, ich usta i sutki niemal się stykały. Nigdy wcześniej nie widziała niczego równie pięknego, tak pełnego napięcia. W szkole przyklasztornej dziewczęta zamykały oczy i próbowały się całować, lecz ich pocałunki były niezdarne i kończyły się śmiechem. W niczym nie przypominały tego.

Było tam też zdjęcie, które Lee zrobiła jej i Maksowi, kiedy się całowali. Przyjrzała się bliżej, żeby zobaczyć, kim to też się stała. Ociekała wodą ze strumienia, była toples. On był okryty wodorostami, co nadawało mu wygląd istoty rodem z mitologii. Gdyby Ojciec zobaczył to zdjęcie, udławiłby się własnym językiem. Jego córka z piersiami na widoku baraszkująca z niemoralnymi artystami – czuła oszołomienie już na samą myśl.

Z kuchni dobiegła ją fala śmiechu, wystawiła więc głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Roland stał za Lee, otaczał ją ramionami, a w dłoniach trzymał jej piersi. Odwróciła się do niego i go pocałowała.

– Trzymaj – powiedziała, podając mu koc. – Zrób nam piknik.

Rozłożył koc na trawie, a Leonora pomogła mu ustawić niewysoki stolik. Nakryli go koronkowym obrusem, na nim zaś rozstawili zastawę. On nalał szampana, a ona do każdego kieliszka wrzuciła jeżyny. Wkrótce wszyscy znaleźli się przy stole, jedli winogrona, ser i sałatkę z kurczaka i trącali się wysokimi kieliszkami różowego musującego wina.

– Zawsze zakładam, że nie będę piła – powiedziała Lee. – A potem przychodzi popołudnie.

Roland wstał, w ręku trzymał aparat. Bacznie przyjrzał się grupie.

– Muszę przyznać, że tej scenie przydałoby się coś więcej.

– A może mniej? – zasugerowała Lee, rozpinając bluzkę.

Max, który siedział obok Leonory, szepnął jej do ucha:

– Wiesz, że ona to wymyśliła. – Spojrzała na niego, nie bardzo wiedząc, o czym mówi. – Zrzucanie góry, ubieranie biustu.

– Nie chcę być jedyna – dodała Lee, ale Ady i Nusch już ściągały koszule.

Man i Paul pokraśnieli na widok swych dziewczyn w toplesie, a Leonora pożałowała, że ich nie ubiegła. Ale dlaczego? Czymże były te surrealistki? Rozrywką? A potem przyszedł jej na myśl Whitman, wersy ze *Źdźbeł trawy*, które pożyczyła jej Lee. I kiedy piła szampana, a w głowie wirowały jej jego słowa, zorientowała się, że recytuje.

Nad rzekę pójdę, pod las, nagość mą ukażę nieskrywaną;
powietrza dotyku łaknę nieprzytomnie.
Oddechu mego opar;
echa, szmery, szeptów gwar, miłości korzeń, jedwabna nić,
rosocha i pnącze.

Man i Lee, Eileen i Roland bili brawo. Nie była pewna, czy Max zrozumiał jej angielski, ale – zaskoczony przez nią, jak pomyślała – uśmiechał się szeroko.

– Lepiej go nie cytuj w pobliżu André, no chyba że chcesz wszcząć kłótnię – ostrzegł ją Paul, dopijając szampana.

Nusch napełniła kieliszki jego i Josepha.

Leonora z trudem się powstrzymywała, by nie spoglądać na jej piersi, dwie gałki lodów zwieńczonych wisienkami, i złapała się na tym, że zastanawia się, jak by to było poczuć je na swoich.

– Ale dlaczego? – spytała.

– Whitman był homoseksualny – odrzekł Man. – A André zajął bardzo pryncypialne stanowisko.

– Uważa, że surrealizm nie zdobędzie szacunku, na jaki zasługuje, jeżeli nie będzie nieskazitelny. – Max otworzył kolejną butelkę szampana, a korek wylądował gdzieś w gałęziach drzewa, płosząc kilka wróbli.

Eileen zapaliła papierosa.

– Więc homoseksualizm to skaza?

– Chyba że mowa o dwóch kobietach. – Nusch posłała Ady figlarny uśmiech.

– Nie twierdzę, że się zgadzam – rzekł Max.

– Jeśli o mnie chodzi, André nie zaszkodziłaby odrobina sodomii – oznajmiła Lee, wstając i otrzepując spodnie. – Trochę by go to rozluźniło.

Roland wyciągnął rękę i Lee pomogła mu wstać.

– Czas na drzemkę – stwierdził.

– Moje ulubione ćwiczenie – podchwyciła Lee.

– Twoje jedyne ćwiczenie – poprawił ją Man, lecz Lee i Roland szli już trawnikiem w stronę domu i nie słyszeli go. – Biedny Aziz – mruknął – biedny głupiec.

Lee nie wspominała swego męża, który się zgodził, żeby pojechała do Paryża, kiedy zaczęło jej się nudzić w Egipcie. Ale wciąż była mężatką. Żoną Aziza Eloui Beya, a na palcu nosiła podarowany przez niego gigantyczny diament.

Eileen włożyła Paulowi w usta swego papierosa i wstała. Otworzyła książkę, którą od niego dostała – wiersze Edwarda Leara – i przeczytała.

Pewien starzec o ogromnej brodzie
narodowi oświadczył: „Narodzie!

Klęska to żywiołowa: cztery Skowronki, Sowa,
Czyż i Kwoka gnieżdżą się w mej brodzie!” [1]

Mówiła z przesadną artykulacją, gestem ręki wywołując długą brodę. Wszyscy bili brawo, a policzki Leonory płonęły. Lear, na którego wierszach wyrosła, był o wiele bardziej trafionym pomysłem niż Whitman. Doskonały na tę okazję – niewinny, zachwycający jak akrobata. Choć to przecież żaden wyścig, strofowała się.

– Mam pewien pomysł – powiedział Paul. – Pozamieniajmy nazwiska. Ja będę Paulem Bardem. Dobre nazwisko dla poety, nie sądzicie? Nusch, ty możesz zostać Eileen Éluard. Ady, będziesz Ady Agar, niezła aliteracja. A Man?

– Paul Ray.

– Ja będę Eileen Fidelin – orzekła Eileen. Przybierając nazwisko Ady, ujęła jej dłoń i ucałowała z entuzjazmem godnym aktora niemego filmu.

– Joseph Penrose – przedstawił się Joseph. – Roland się nie pogniewa.

– A jeśli ktoś zapomni swego nazwiska, zostanie ukarany grzywną pięciu franków! – zarządził Paul, nawet nie patrząc na Maksa i Leonorę.

Wszystkie pary z wymienionymi nazwiskami szły w stronę domu, ręka w rękę z wymienionymi partnerami. Wyobraziła sobie wspólną drzemkę całej szóstki – ręce i nogi, palce, nawet usta anonimowe.

Położyli się w trawie. Z głową na jego wyciągniętym ramieniu przyglądała się, jak chmura z koguta przeistacza się w wieloryba. Max trzymał między zębami źdźbło, a jego oczy były jak długi haust wody. Choć nie chciała przerywać beztroskiej ciszy, musiała zapytać: – To, co powiedziałeś o André… naprawdę tak myślisz?

Skinął głową.

– Nie da sobie wytłumaczyć.

– Więc ty i Paul, wy nigdy…?

Okręcił sobie jej włosy wokół palca.

– A miałoby dla ciebie znaczenie gdybyśmy?

– Wcale a wcale – odparła szczerze. – Ale jak to przyjął André?

– Nie był zadowolony – powiedział Max. – Tylko co tak naprawdę mógł powiedzieć? Wtykanie nosa byłoby jakąś formą potępienia. A surrealizm właśnie się zaczynał, z całym jego łamaniem zasad, życiem, jak nikt nie śmiał żyć wcześniej. Ten cały polityczny nonsens, cenzura, byle uzyskać

akceptację na scenie politycznej… w czystej sztuce nie ma na nic takiego miejsca.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Roland wzywał wszystkich na kolację i na wszelkie inne okazje, które uważał za istotne.

– Chodźcie, wszyscy! – wołał. – Lee się kąpie!

Niespiesznie poszli w stronę domu. Uczyli się siebie. Sondowała, jak daleko może go zgłębić, które drzwi się otworzą, jeśli przekręci gałkę i je popchnie, a które w jego składnicy tajemnic na zawsze pozostaną zamknięte.

W zatłoczonej łazience Lee opierała się o tył wanny, bąbelki podchodziły jej do piersi. Nusch zdjęła cienką sukienkę i dołączyła do niej. Ady również. Leonora przypatrywała się z kąta, jak Paul i Man zdejmują spodnie, rozpinają koszule i wchodzą do wanny, wciskając się pomiędzy kobiety. Roland robił zdjęcia, kiedy woda chlapała na podłogę, a oni śmiali się, wcierając sobie wzajemnie mydliny w twarze i we włosy. Na koniec poszli się opłukać w strumieniu.

Max wziął ją za rękę. Posłał jej dyskretny uśmiech, który już zdążyła tak dobrze poznać, i poprowadził ją do sypialni. Opadli na łóżko. Miała wrażenie, że tworzy ją, w miarę jak jej dotyka. Przedtem była powietrzem, lekkim, suchym wiatrem. Lecz gdy jego palce poruszały się po niej i niej, stawała się ziemią, a korzenie w ziemi były jej korzeniami, a deszcz, jaki spijały, również pochodził z jej wnętrza. Jakimś cudem miała go w sobie przez cały czas. I wystrzeliła liśćmi, kwiatami, maleńkimi gwiazdami, płonąc.

Płakała. Patrzył na nią, leżąc na boku.

– Przyjedź do Paryża – powiedział, odsuwając jej włosy z mokrego policzka.

A ona całowała go raz za razem.

Ostatniego ranka w Lambe Creek ich przebudzeniu towarzyszyło zdjęcie w „The Daily Telegraph”; ktoś wsunął gazetę pod drzwi sypialni. Nagłówek głosił: HITLER UZNAJE SZTUKĘ NOWOCZESNĄ ZA ZDEGENEROWANĄ. Na zdjęciu Führer stoi na zorganizowanej przez hitlerowców wystawie. *Entartete Kunst*. Sztuka zdegenerowana. Hitler z charakterystycznym wąsikiem i z opaską na ramieniu stoi ze skrzyżowanymi rękoma przed jedną z takich występnych prac. Max przymknął oczy, twarz mu pobladła.

– *Mon dieu*. Toż to moje. *Piękna ogrodniczka*.

Choć na zdjęciu jego obraz był nie większy niż znaczek pocztowy, skupiła się, by go rozgryźć. W raczej zwyczajnej pozie stoi na nim kobieta, rękę trzyma za głową. Przyglądając się uważniej, spostrzegła, że nie jest ona wcale taka zwyczajna. Gołębica, która przysiadła na jej udzie, to swego rodzaju osłona jej intymności, a połowa jej twarzy wydaje się szkieletem. Za jej plecami widać tańczącego trefnisia. Na zdjęciu ledwie mogła go dojrzeć i żałowała, że nie może obejrzeć samego obrazu. Była pewna, że jest wspaniały.

Artykuł wymieniał „prace Picassa, Chagalla, Kandinskiego, Klee, Ernsta i Kollwitz". Sale, w których upakowano obrazy, oznaczono takimi określeniami, jak „Obraza niemieckiej kobiecości" i „Obnażenie duszy żydowskiej rasy". Przypomniało jej to opinię ojca o artystach, iż są to biedni homoseksualni kryminaliści. Myśl o ojcu oceniającym dzieła sztuki przeraziła ją.

– Dzięki Bogu wyjechałeś.

– Na paszport Paula – powiedział cicho. – Tak dostałem się do Francji. Wciąż jestem niemieckim obywatelem. Ponoć zdegenerowanym. Wrogiem państwa.

Zabrali gazetę na dół. Lee natrząsała się z zaczeski Hitlera i z innych brzuchatych, poważnych hitlerowców tak bardzo zniesmaczonych obrazem Maksa, Leonora zaś przeczytała fragment przemowy Hitlera. „Od tej pory dzieła sztuki, których nie sposób pojąć i które – by uzasadnić swe istnienie – wymagają pompatycznych instrukcji obsługi, nie będą już narzucane niemieckiemu ludowi". Wydawało się to bezpośrednim nawiązaniem do dadaizmu i surrealizmu. Dlaczego nie przejęli się tym bardziej? Filiżanka trzęsła się jej w dłoni.

– Ale dlaczego on nienawidzi artystów?

Max wziął ją za rękę i uspokoił drżenie.

– Bo sam jest niespełnionym artystą. Próbował się dostać do wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, ale nie został przyjęty.

– Cholerna szkoła powinna go była przyjąć – rzucił Man.

– Coś wam powiem – rzekł Paul. – Zróbmy ognisko, mamy przecież zaćmienie! Widok tej kanalii stającej w płomieniach dobrze nam zrobi.

Tej nocy, kiedy ognisko buzowało gałęziami, konarami i stronami „The Daily Telegraph", kiedy trzaskało, a płomienie unosiły się ku księżycowi, który już miał się skryć w cieniu, zrzucili ubrania i tańczyli, wymieniając się partnerami, mężczyźni tańczyli z mężczyznami, kobiety z kobietami. Delikatna Nusch uniosła Leonorę w powietrze jak cyrkowy siłacz. Lee oto-

czyła jej kościste łokcie swymi i tak wirowały. Eileen pocałowała ją w usta, muskając ledwie językiem, a Ady śpiewała jej po francusku głosem słodkim jak syrop.

Ogień zelżał; usadowili się przy nim. Krwisty cień ziemi zjadał księżyc, połykając go z wolna na ich oczach. Max posadził ją sobie na kolana i opowiadał o Paryżu, o tym, jak ona się tam znajdzie, nim ktokolwiek się zorientuje. A potem – przedwcześnie – ognisko zmieniło się w żarzące się węgle.

Będzie musiała stanąć twarzą w twarz z rodzicami. Oszczędzi im pięknych szczegółów, ale powie prawdę. Odchodzi z Ozenfanta i dołącza do Maksa w Paryżu. A on wróci do żony, Marie-Berthe. Wróci po to, żeby się z nią rozstać.

– Niczego nie mogę ci obiecać – powiedział. – Jest gorliwą katoliczką. Może nie zechcieć dać mi rozwodu.

– W porządku. – Oparła głowę na jego piersi. – Nie mam zamiaru wychodzić za ciebie za mąż. Będziemy kochankami, artystami. Czy to nie wystarczy?

Ścisnął ją tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

– Zobaczymy.

Cienki sierp światła zniknął, rozbłysły gwiazdy. Okrągły księżyc był czerwony. Cała się trzęsła. Czuła, jak chłodno potrafi się zrobić, kiedy opasła Ziemia przesłoni światło Słońca.

Pozbierała swoje rzeczy. Wszystko, co miało dla niej znaczenie – dobre ubrania i przybory malarskie – zmieściło się w kilku torbach. Wypowiedziała mieszkanie i powiadomiła Ozenfanta, że odchodzi.

– Paryż? – powiedział, zdejmując okulary i przecierając grube okrągłe szkła chusteczką. Stali przed jego akademią, przebudowaną stajnią w dzielnicy West Kensington, w parnym popołudniowym powietrzu. Kropelka potu sunęła jej po plecach. Nie myślała, że pożegnanie z nim będzie trudne, ale była jego pierwszą studentką i chociaż cały ten jego artystyczny puryzm niewiele ją obchodził, był miłym człowiekiem, dobrym nauczycielem, a dla niej kimś na kształt dziadka. Dotarło do niej, że oczekuje od niego błogosławieństwa. – Paryż jest cudowny, *ma cherie*. – Jego brązowe oczy miały łagodny wyraz. – Ale u kogo będziesz studiowała?

Max Ernst, pomyślała. Wiedząc jednak, że nie zaaprobuje ani surrealizmu, ani Maksa, powiedziała, że on pozostanie jej jedynym nauczycielem.

– Jesteś gotowa? – Choć jego pytanie było jak najbardziej na miejscu, nie mogła sobie pozwolić na to, by je roztrząsać. Nie miało ono wpływu na jej sytuację. Albo odejdzie teraz, albo nie odejdzie nigdy. Pocałowała go w policzek. Uśmiechnął się do niej (ze smutkiem, miała wrażenie) i dotknął jej twarzy szorstkimi dłońmi. – Będziemy za tobą tęsknić, panno Carrington.

Rzuciła ostatnie spojrzenie Ozenfantowi i stajni, gdzie nauczyła się rysować jabłko doskonałe, i ruszyła w stronę drogi.

– Nie chcesz swoich prac? – krzyknął za nią.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego.

– Proszę je zatrzymać. Będą panu o mnie przypominać!

Szalone bicie serca oznajmiało, że jest wolna, ale zanim będzie mogła pojechać do Paryża, chciała jeszcze zabrać z domu parę rzeczy, fotografii, kilka drobiazgów z dzieciństwa.

No, i była jeszcze kwestia pożegnania.

Spytała matkę, kiedy ojciec wyjedzie na jakąś delegację. Tak się złożyło, że będzie poza domem na początku września. Imperial Chemicals wyciągnęło macki na kontynent i chciał się osobiście przekonać, jak daje sobie radę biuro w Madrycie. Leonora powiedziała, że tęskni za domem, i tak zaplanowała podróż, by pobyt w domu jedynie nieznacznie zbiegł się z obecnością ojca.

Kiedy pociąg wjechał do Lancaster, dostrzegła na peronie Henry’ego, ich wieloletniego szofera. Uśmiechnął się na jej widok. Sprawiał wrażenie, że albo nic nie wie o skandalu z Maksem, albo go to zupełnie nie obchodzi.

– Stęskniliśmy się za tobą, moja droga. – Dotknął daszka czapki i przyjrzał się jej. – Wyglądasz jakoś inaczej. – Wziął jej torby. – Chyba wydorośłałaś.

Wrzesień był dojrzały i zielony, to jej ulubiona pora na wsi. Dosiadała Winkie przy każdej możliwej okazji, rano i po południu jeździła z ich domu na wzgórzu na pola nad zatoką Morecambe. Wędrowała sama; działalność charytatywna i inne funkcje zbyt mocno absorbowały matkę.

W siodle matka stawała się kimś innym. Opowiadała szokujące rzeczy – o chłopakach, z którymi całowała się przed Ojcem, jak marzyła o ucieczce z Moorheadami, irlandzkimi Cyganami ze strony rodziny jej mamy, o tym, jak uczyła się ich cwaniackich sztuczek, jaka była wolna. Leonorze brakowało matki, choć czuła również ulgę. W trakcie konnych przejażdżek

pozwalały sobie na największą poufałość i byłoby jej trudno zachować wystudiowane milczenie na temat swego życia.

Przystanęła, by Winkie mogła chwilę popasać, i przyglądała się, jak cienie chmur przesuwają się po połyskującej wodzie. Będzie jej brakowało tej zatoki, tych pól. Ale najbardziej – Winkie. Następnego dnia wyjedzie. Leciuteńko ściągnęła wodze, ścisnęła obcasami żebra klaczy i już pędziły polami pod błękitnym niebem. Winkie nie była młoda, lecz galopowała, jakby wiedziała, że teraz albo nigdy, jakby w jej sercu zagnieździło się słońce i jedynie gnając przez te łąki, mogła pozwolić mu zapłonąć.

Wkrótce jednak chmury zgęstniały, niskie i ciemne, i zmieniły zieleń w szarość. Zawróciła. Przemierzając bezbarwny, jałowy krajobraz, czuła się jak duch. I choć pokonała tę trasę setki razy, czuła się tutaj już obco. Dziwne uczucie – być tutaj tylko częściowo, jakby ciałem, duchem zaś już w Paryżu.

Tęsknota za Maksem przyjęła postać wręcz organiczną. Minął miesiąc, odkąd go widziała, i chociaż kilka razy krótko rozmawiali przez telefon, jej ciało już go zapomniało – zapach, smak jego pocałunków i skóry. Uczucie jego ciężaru na sobie – to pamiętała. Tęskniła, by ją przygwoździł sobą. Bez niego była pusta, była muszlą dziewczyny, balonem wypełnionym helem czekającym, by ujął linę i na powrót pociągnął ją ku ziemi. Odkąd była w domu, matka nawet się o nim nie zająknęła, jakby nie podnosząc tego tematu, mogła udawać, że cała ta sprawa w ogóle się nie wydarzyła. A przede wszystkim nie wspominała o niej przy Ojcu, który tego ranka wrócił do domu.

Przy kolacji rozmawiali o szkole jej młodszego brata, o Imperial Chemicals i o tym, jak to skorzysta na wojnie. Oczywiście, Ojciec nie chciałby, żeby wojna trwała nazbyt długo. Już mówiło się o poborze do wojska, a jej starszy brat Pat właśnie zaczął pracę w ojcowskiej firmie – był tam potrzebny. No i zaręczony z dziewczyną z bardzo dobrej rodziny. Na dodatek kontakty Ojca w rządzie i jego pieniądze – to wszystko oznaczało, że Patrick zostanie oszczędzony.

– Chcę walczyć za Anglię – powiedział Patrick, celując w niego widelcem. Był już na swoim, miał mieszkanie w mieście, ale przyjechał na kolację na okoliczność jej wizyty. – Naprawdę, ojcze. Jestem silny i zdrowy, dlaczego nie miałbym walczyć? – mówił żarliwie, unosząc gęste ciemne brwi. Wziął do ust kęs marchewki, mrugnął do siostry i posłał jej uśmiech, i znowu byli towarzyszami dziecięcych zabaw wymykającymi się z dziecin-

nego pokoju do lasu, by tam mieszać tajemne mikstury i odmawiać zaklęcia. Jakże chciała, by mogli tam pójść teraz, by mogła opowiedzieć mu o swych planach i by wiedział, że to jest pożegnanie.

Matka zmieniła temat na bożonarodzeniowy, choć od świąt dzieliły ich całe miesiące. Jakie nadzienie bardziej pasuje do kornwalijskiego kurczaka, to z kasztanami czy to bez?

Patrick złapał kontakt wzrokowy z Leonorą i się uśmiechnęła. Matka zawsze przejmowała się takimi rzeczami. To w trakcie jednej z takich właśnie rozmów, kilka lat temu, Leonora zakomunikowała, że ma zamiar pójść do szkoły plastycznej i zostać artystką. Matka zamilkła i wyrwała sobie włos z tego miejsca ponad uchem. Ojciec grzmotnął pięścią w stół.

– Nonsens – rzucił z twarzą czerwoną jak burak. Westchnął następnie, jakby wyczerpywało go samo jej istnienie, i przedstawił własną alternatywę. Nigdy nie zawadzi się potargować. Może zostać i malować w domu. Oczywiście musiałaby zdobyć jakiś prawdziwy zawód. Nie zgadza się, by utrzymywała się z jego ciężkiej pracy, trwoniąc czas na coś tak idiotycznego jak malarstwo. – A może hodowla foksterierów? – zaproponował, jakby doznał jakiegoś, cholera, olśnienia.

W końcu postawiła na swoim. Wciąż jednak słyszała jego słowa, zbyt głośno, zbyt wyraźnie. Przynajmniej teraz, pomyślała, nie będzie utrzymywała się z jego ciężkiej pracy. Będzie wolna, by samej móc ciężko pracować. Lecz na widok Ojca siedzącego u szczytu stołu zrobiło jej się go trochę żal. Powinien mieć córkę, która byłaby szczęśliwa, mogąc dobrze wyjść za mąż i żyć w luksusowym poddaństwie, która byłaby szczęśliwa, zachowując się tak, jak przystoi kobiecie.

Księżyc w pełni stał wysoko nad horyzontem i zalewał jej pokój bladą poświatą. Walizki zwalone na kupę w rogu pokoju przypominały owce, ale nie pomogły jej zasnąć. Wstała z łóżka, przeszła przez korytarz. U Niani paliło się światło, więc zapukała.

– Tak? – rozległ się jej cichy głos.

Myśląc, że może będzie mogła wyznać, co ma zamiar zrobić, Leonora zajrzała do środka. Niania czytała w łóżku i spojrzała na nią sponad grubych szkieł. Bardzo drobna, wyglądała na tak zmęczoną, że Leonora nie mogła jej kłopotać.

– Och, Nianiu, chciałam tylko powiedzieć dobranoc.

– Niech ci się przyśni sidhe, moja kochana dziewczynko – odparła Niania jak zwykle i przez moment Leonora chciała wślizgnąć się jej do łóżka, jak to robiła, gdy była dzieckiem i obudził ją jakiś zły sen.

Kiedy znalazła się z powrotem w pokoju, który już nigdy nie miał być jej pokojem, przyjrzała się wszystkiemu, chcąc zachować ten obraz w pamięci. Jej książki na półkach… *Czarny Książę*, *Don Kichot*, *Podróże Guliwera*, *Alicja w Krainie Czarów*… złote litery przyblakły na ich powycieranych grzbietach. Na ileż to dni znikała w fantastycznych krainach z ich kart. I cóż niby się zmieniło? Czyż nie otwiera księgi życia, jakie zawsze chciała wieść, by stać się Leonorą Carrington, artystką? Tylko że tej księgi nie da się zamknąć i wrócić do poprzedniego życia. Jutro wsiądzie do pociągu, a potem na statek do Paryża, i tak oto kurs jej życia zostanie obrany.

Ponad książkami połyskiwały w świetle księżyca jej porcelanowe konie. W jej imaginowanych scenariuszach konie zawsze próbowały uciec, porzucić stajnię i znaleźć odludne przestrzenie oznaczające wolność. Co konkretnie miały nadzieję tam znaleźć? Tak daleko nigdy nie zaszła. Liczyła się sama ucieczka.

Na górnej półce stały fotografie, świadectwa życia, do jakiego bez specjalnego przekonania próbowała się wdrożyć. Zaliczyła cały sezon [2], wypełniła obietnicę złożoną Ojcu, a oto dowód, seria przyjęć rozpoczęta od jej balu debiutantek. Oto jej twarz, jej przyklejony uśmiech. Duszący zapach lilii roznosił się po całym pokoju, w którym pewna kobieta, klnąc po szkocku i popijając whiskey, wyczesała z jej włosów całą dzikość. Kiedy dotarła do skóry, w pokoju rozległ się trzepot skrzydeł czarnego ptaka. Przyfrunął przez okno czy wyfrunął z gęstwiny jej loków? Nie była pewna. Przysiadł jednak na karniszu i przyglądał się, jak kobieta zwija jej fale w kok i ubiera ją w suknię z białego jedwabiu. Czy też tylko to sobie wszystko wyśniła? Kobietę tarmoszącą ją za włosy i tego ptaka? Na fotografii była dużą lalką, stojącą u szczytu schodów figurką trzymającą się łokcia ojca. Taneczny parkiet roił się od mężczyzn. W smokingach przypominali pingwiny. Jakże pragnęła, by był to bal pingwinów!

Dotknęła zdjęć tej drugiej Leonory. Królewskie Garden Party – podwieczorek w wielkim białym namiocie w pałacu Buckingham. Ascot, wyścigi. Jej prezentacja na dworze Jerzego V. Ujęła ramkę i podniosła ją do oczu. Zdjęcie przedstawiało ją i matkę. Stały obok siebie w lejących się na biodrach atłasowych sukniach od Cecila Beatona, które tężały w fałdy u ich

stóp; wyglądały, pomyślała teraz, jak aktorzy niechętnie występujący w czyjejś sztuce napisanej na długo przed ich narodzeniem. Lecz jej matka wcale nie była temu niechętna, chciała tego dla niej. A jednak w jej spojrzeniu widoczny był pewien dystans, jakby spoglądała w jakąś mglistą przyszłość. Teraz Leonora dostrzegła, że to rezygnacja. Już wtedy wiedziała, że jej córka zniknie z ich życia.

Wyjęła fotografię z ramki. Chciała zapamiętać mamę. Nie miała pojęcia kiedy – po jutrzejszym wyjeździe – znowu ją zobaczy. Zabrała też zdjęcie Winkie zrobione, gdy jako dwunastolatka siedziała wyprostowana na jej grzbiecie, trzymając w ręku wodze. Przyda się jakaś książka do poczytania w pociągu, wsunęła więc do torby podróżnej *Alicję*, do której wetknęła fotografie.

Następnego ranka zasiadła przy dużym stole do pełnego angielskiego śniadania. Jajka w koszulkach, szynka i angielskie bułeczki na ciepło, duszone pomidory i fasolka oraz filiżanka mocnej czarnej herbaty. Było to jej ostatnie angielskie śniadanie i nie odejdzie od stołu głodna, bez względu na to, jak jest zdenerwowana. Ojciec skończył już jeść, ale lubił posiedzieć w słonecznych promieniach późnego poranka, czytając gazetę i paląc fajkę. Matka też czytała i popijała herbatę.

Chociaż przy stole siedziała jedynie ich trójka, żadne z nich słowem nie wspomniało o całej aferze. Czy Ojciec będzie skłonny o niej zapomnieć? Pozwolić jej pozostać w Londynie i uprawiać sztukę? Odkąd wrócił do domu, tak naprawdę ani razu na nią nie spojrzał, co według niej oznaczało tyle, że jeszcze nie postanowił, co z nią zrobić. To bez znaczenia, pomyślała, biorąc kęs jajka. Wytarła żółtko bułką. Odtąd to ona będzie decydowała.

Matka uśmiechnęła się do czegoś, o czym czytała. Ojciec nabił fajkę. Leonora skubnęła szynki. Smakowała smutno, jakby marynowana była we łzach. Nie wyobrażała sobie, że będzie aż tak trudno. Ale kiedy pomyślała o swoim życiu tutaj czy w Londynie – gdyby pozwolił jej tam pozostać – i tworzeniu sztuki bezpiecznej, sztuki, która umacniałaby ustalony porządek, kiedy pomyślała, jak wkrótce będzie nalegał, żeby wyszła za mąż, wiedziała, że nie ma wyboru. Albo ona – kobieta, jaką wierzyła, że może się stać – albo Leonora Tu-Wstawić-Nazwisko-Męża.

Kolejnego kęsa nie mogła przełknąć. Powinna im powiedzieć, wyrzucić z siebie dławiące ją słowa. Nie była jednak gotowa przestać patrzeć. Spo-

sób, w jaki dym z fajki Ojca wirował w promieniach słońca. Jak ocieniała mu twarz ciemna szczecina – nigdy bowiem nie golił się w niedzielę. Jak piękna była bosonoga Matka w bladoniebieskim jedwabnym szlafroku.

Leonora odsunęła od siebie talerz, wstała i zaczekała, aż podniosą wzrok.

– Muszę wam coś powiedzieć.

Twarz Matki zrobiła się nagle jeszcze bledsza niż zazwyczaj. Wiedziała, że stanie się coś okropnego. Jakimś cudem zawsze to przeczuwała. Odłożyli gazety.

Ojciec zagryzł policzek. Matka wyrwała sobie włos. Wydawało się, że grunt zaraz usunie się jej spod stóp. Chwyciła się stołu.

– Wyjeżdżam. Jadę do Paryża, gdzie będę artystką i gdzie będę żyła z Maksem Ernstem. Kochamy się.

Wybałuszyli oczy, ich otwarte usta przypominały martwego karpia.

– Ale on jest… on jest żonaty – wyjąkała Matka.

– Odchodzi od żony – powiedziała Leonora z pewnością, na jaką tylko mogła się zdobyć.

Ojciec uderzył pięścią w stół i wstał.

– Jeżeli to zrobisz, nie dostaniesz ani pensa. Ani pensa.

Matka pospieszyła ku niej, szlafrok jej zatrzepotał.

– Kochanie, nie przemyślałaś tego. Odrzucasz swoje życie dla człowieka, który był dwukrotnie żonaty, człowieka, który mógłby być twoim ojcem. A jeśli od niej nie odejdzie? Co wtedy?

– Moje życie to Paryż – oznajmiła na tyle głośno, by Ojciec usłyszał. – Jadę dla siebie, nie dla niego. Nie zamierzam wychodzić za mąż… za niego czy kogokolwiek innego. Mam bilet. Wyjeżdżam dzisiaj.

– Wydaje się, że już zdecydowałaś. – Ojciec wymierzył w nią drżący kciuk. – Niech twój cień nigdy nie padnie na moje drzwi. Umrzesz bez grosza, w jakiejś mansardzie. – Wyszedł z jadalni; wahadłowe drzwi kołysały się za nim.

Matka wzięła ją w ramiona, a Leonora objęła ją jak nigdy wcześniej, aż poczuła kości w jej wnętrzu. Któregoś dnia obie będą martwe. Ale w tej chwili pozostają w swych ciałach, są matką i córką, obejmują się.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała Matka. – Odłożyłam trochę pieniędzy.

W sypialni Leonory wcisnęła jej w rękę portmonetkę pełną zwiniętych banknotów.

– Możesz za to wynająć mieszkanie.

Leonora pokiwała głową, niepewna, jak to zrobić, jak się pożegnać. Sama zaniosła torby do frontowych drzwi i chociaż samochód czekał już na nią, puściła się biegiem do stajni, żeby ostatni raz zobaczyć Winkie. Zarzuciła jej ramiona na szyję i płakała w grzywę. Ucałowała białą gwiazdę na jej czole, ucałowała jej miękkie chrapy.

Wyszła na zewnątrz, nie oglądając się za siebie. Jej młodość się skończyła. Skończyła się na zawsze. Nigdy już nie zobaczy swego konia. Już nigdy nie pogalopuje tymi ścieżkami wiosną, kiedy wzgórza lśnią zielenią, a świat spłukany jest deszczem.

Matka i Niania patrzyły, jak samochód rusza; pomachała im jak aktorka filmowa, choć w oczach miała prawdziwe łzy. Ostatnie słowo należało jednak do Ojca. Nie będzie tam wystawał jak jakiś inny ojciec, nie wiedząc, co począć z rękami.

Kiedy inni pasażerowie spali, stanęła na pokładzie promu; wełniany płaszcz miała zapięty pod samą szyję, a ramiona skrzyżowane dla ochrony przed zimnem. Policzki jej odrętwiały od wiatru. Był bardzo rzeczywisty – rześki, wiał prosto w twarz – jak przyszłość, ku której zmierzała. Rankiem dopłynęła do portu, skąd złapała pociąg do Paryża.

Trochę wiedziała, czego się spodziewać, mieszkała bowiem w Paryżu w wieku szesnastu lat, kiedy Ojciec wysłał ją do ostatniej szkoły dla dziewcząt. Była podobna do szkoły we Florencji, brakowało jedynie jazdy konnej, przez co raczej budziła skojarzenia z klasztorem. Leonora włosy czesała widelcem, a jagnięcinę jadła rękami. Przeciągając palcem po policzku, naznaczyła się na podobieństwo barw wojennych. Odesłali ją do pokoju, a potem kazali się pakować.

Jechała – jak to jej ojciec określił przez telefon – „do pewnego rygorystycznego miejsca” i taksówka zawiozła ją na Pensję Panny Sampson. Kobieta była pająkiem o szkieletowatych kończynach i wyłupiastych oczach. Co noc zamykała Leonorę w pokoju nad przykościelnym cmentarzem, maleńkiej kamiennej izbie, jak w więzieniu, aż pewnej nocy zwiała przez okno. Jedna z dziewcząt ze szkoły dała jej adres pewnego małżeństwa, państwa Simonsów; była pewna, że ją przygarną.

Od razu się w nich zakochała; zaoferowali jej, żeby została… nigdy, tak naprawdę, nie wiedziała dlaczego. Zadzwoniła więc do Ojca i dobiła targu. Będzie odgrywać rolę dobrej córki i zostanie przedstawiona na dworze, jeśli

do tego czasu będzie mogła pozostać u państwa Simonsów. „Zgoda”, odparł. Przynajmniej ktoś inny ją miał na głowie.

Za dnia siadywała na dachu i czytała Baudelaire’a, Zolę, Prousta. Albo przysiadała w ulicznej kafejce i rysowała ludzi, pisząc historie ich życia. Kobieta z haczykowatym nosem została łowczynią aligatorów, pulchny gość – konferansjerem w wędrownym cyrku. Nigdy bardziej nie czuła, że żyje. Miała szesnaście lat i mogła chodzić wszędzie, dokąd tylko miała ochotę.

Wracała jednak do domu na kolację. Pani Simon wyśmienicie gotowała: jej suflety były puszyste, a sosy jedwabiste i treściwe; pan Simon był profesorem Beaux Arts. Przy pokolacyjnej lampce koniaku oglądał jej rysunki i komentował osobliwe, uderzające szczegóły. Powiedział, że przypominają mu namalowane przez Arcimbolda portrety ludzi o twarzach z owoców i kwiatów. Zabrał ją do Luwru, by naocznie mogła się przekonać. Nos z gruszki, policzek z brzoskwini, skóra z kory, włosy z bluszczu i korzeni. Poszerzały one jej wyobrażenie tego, co w sztuce możliwe.

Teraz wracała do miasta wolności, artystów i tym razem nie będzie musiała już z niego wyjeżdżać. Skończyła z Ojcem, jak i on zresztą z nią. Walczyła z nim tak długo; poczuła się dziwnie zdezorientowana, kiedy konflikt stracił znaczenie. Zwyciężyła czy tylko wyszła z tego cało? I co miałoby stanąć mu na przeszkodzie, by mieszać się w jej życie, kiedy już znajdzie się w Paryżu, by pociągać za te rozliczne sznurki, co tak uwielbiał? Mógł powiedzieć, że umywa ręce, ale go znała… poddać się nie było w jego stylu. A może podchodził do zmagań ich woli jak do przeciągania liny? Puszczając swój koniec, doszedł do wniosku, że ona upadnie twarzą w błoto i na kolanach wróci. Nie miał jednak pojęcia, jak bardzo jest uparta. Wyobraziła sobie, jak umiera w jakiejś mansardzie, anonimowa artystka, głodna i chora. Nawet to byłoby tryumfem.

Szukała horyzontu, ale nie mogła dostrzec wyraźnej linii. Chmury i morze tworzyły jedną czarną masę, a światła promu nadawały bliższym połaciom wody kolor szarego lodu. Uderzenia fal o kadłub usypiały ją; jej myśli zwróciły się ku Maksowi. Już niedługo zwinie się w kłębek i zaśnie u jego boku. Jak lepiej można spędzić jesień? Próbowała usłyszeć jego głos, jego śmiech, ale mlaskanie wody zagłuszało wszystko. Minął tydzień od czasu, kiedy zadzwoniła do niego z informacją, którym pociągiem przyjedzie. Dwukrotnie odebrała jego żona, Marie-Berthe. *Bonjour*, powiedziała dźwięcznym głosem, a Leonora szybko odłożyła słuchawkę. Kiedy

w końcu porozmawiała z Maksem, wydawał się zachwycony, ale co by się stało, gdyby mu się odwidziało, gdyby spotkał kogoś nowego albo zdecydował, że jednak powinien pozostać przy żonie? Nawet kiedy takie myśli przychodziły jej do głowy, czuła, jak jego dłonie, długie i mocne, przyciągają ją, i wiedziała, że to nieprawda. Czyż nie powiedział jej, że potrzebuje jej jak powietrza, wody, jedzenia?

Jedzenie. Chryste! Gdyby mieli razem zamieszkać, zapewne będzie oczekiwał, że się tym zajmie. Została wychowana, by być panią domu, by zarządzać kucharkami, służbą, nianią, by przyozdabiać stół kwiatami, ale nie do tego, by przygotowywać posiłki. Oprócz jajecznicy z grzankami i kolacji, którą wydała razem z Ursulą, nie miała najmniejszego kontaktu z gotowaniem.

Kiedy dotarła na stację w Paryżu, Max swym uściskiem poderwał ją z ziemi i ocałował całą jej twarz, jakby chciał nabrać pewności, że ona istnieje. Wziął jej torby i ruszyli, i już byli częścią miasta. Wszystko załatwił, powiedział. Miała zamieszkać u jego przyjaciółki, artystki Leonor Fini, dopóki nie znajdzie czegoś dla siebie.

– Dla mnie?

– Dla nas – odrzekł i opowiadał o swojej pracy, o tym, że nie może się już doczekać, żeby pokazać jej swoje wielkie płótna, o tym, jak wspaniały będzie Paryż teraz, kiedy są już razem.

Wpatrując się w jego poruszające się usta, myślała jedynie o tym, by uciszyć je swoimi. Chciała, by przycisnął ją całym ciałem w jakimś kącie stacji, chciała, by świat zniknął, tak jak wtedy, na łące. Jakże był dziwny i piękny. Jego włosy rozświetlone na tle czerni wełnianej peleryny, która łopotała za nim, gdy szedł. Jego długie nogi poruszały się z powolnym wdziękiem, nawet gdy biegła, by dotrzymać mu kroku. Oto człowiek, który będzie jej towarzyszem w tym nowym świecie, który będzie stał przy niej, majestatyczny, kościsty przewodnik.

Ludzie mijali ich w pośpiechu – pary, przyjaciele, rodziny z dziećmi, samotni mężczyźni – torby i teczki zwieszały im się z ramion, ludzie obejmujący się i całujący na powitanie i pożegnanie… „witaj” jest o ileż lepsze niż „żegnaj”, pomyślała, kiedy mignęła jej twarz kobiety, która podnosiła torby i usiłowała nie płakać. Zerknęła na oczy Maksa, błękitne i błyszczące. Będzie ją miał przy sobie, będzie przy nim bezpieczna. O nic zupełnie nie musi się martwić.

Pchnął drzwi i wyszła w chłód wieczoru. Przywołał taksówkę. Pojadą do Leonor, powiedział, a potem na przyjęcie wydane przez tego projektanta M. Rochasa.

– Ale ja nie mam co na siebie włożyć! – oponuje, pewna, że jej wełniane spodnie to nie to.

– Nic się nie przejmuj. Takie rzeczy z reguły rozwiązują się same.

– No. – Leonor obróciła ją, żeby mogła w pełni ujrzeć efekt, jaki dało udrapowanie na niej prześcieradła. – Jesteś gotowa.

Jej przyjaciółka, księżna Maria de Gramont, paliła papierosa w czarnej zwężającej się fifce. Głowa opadła jej na poduszki sofy, posłała w stronę sufitu pióropusz dymu, do skroni przystawiła swój gin z tonikiem. Wyrównując turban z turkusowego jedwabiu i poprawiając suknię, bacznie przyglądała się Leonorze.

– Moje dziecko, ty nie potrzebujesz na sobie niczego.

– Możesz polegać na jej radzie. Jest projektantką ubiorów. – Leonor podniosła i przytuliła jednego z licznych kotów, które skradały się po podłodze mieszkania, po blatach, kanapach i stołach i – głodne czułości – ocierały się wszystkim o nogi. A potem pocałowała Leonorę w usta, powoli, przyciskając czerwone wargi do jej warg. – Dla koloru – wyjaśniła.

Mieszkanie M. Rochasa zajmowało całe szczytowe piętro starego budynku niedaleko rue de Balzac. Wysoki, ozdobiony sztukateriami sufit jarzył się blaskiem kandelabrów, a wysokie, rozjaśnione światłami Paryża okna były jak ogromne lśniące pudła, które z wielką niecierpliwością chciałaby rozpakować.

Kolorowe ptaki rodem z odległych wysp, goście wypomadowani, zadufani w sobie i napuszeni. Mężczyźni w smokingach bądź garniturach z przebłyskami koloru, błyszczącymi krawatami lub poszetkami, suknie kobiet zaś lśniły i zamiatały podłogę. Spojrzała na swe białe prześcieradło i pewnie zawróciłaby w stronę drzwi, gdyby Max nie otoczył jej ramieniem i nie powiódł pośród tłumu i dźwięków muzyki.

Trzyosobowy zespół swingował. To był jazz, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała. Gitarzysta uderzał i szarpał struny, palce chodziły mu tak szybko, że nie mogła oderwać wzroku. Mały i serdeczny palec lewej ręki miał przygięte i złączone, a jednak w sposobie jego gry te pokiereszowane palce wydawały się zaletą.

– Django Reinhardt – wyjaśnił Max i zakręcił nią do wibrującego rytmu.

Przedstawiali jej się ludzie, o których jedynie słyszała. Dali ze swym nawoskowanym wąsem i rozognionymi oczami padł na kolano i okrył jej dłoń pocałunkami. Gala, jego królowa (i – była tego dotkliwie świadoma – część niegdysiejszego *ménage a trois* Maksa), uśmiechnęła się do niego z góry i pogładziła po głowie jak psa. Wyobrażała ją sobie jako wielką piękność, skoro tak długo utrzymała miłość Maksa, ale wydała jej się pospolita; ciemne oczy osadzone były głęboko i tak blisko siebie, że wyglądało to, jakby miała zeza. Przyjechali z Hiszpanii i Gala stwierdziła, że brak jej oceanu, światła.

– Zobaczysz. Paryż jest znośny jedynie przez jakiś czas. To małe miasto, *n'est-ce pas*? – Wzięła łyk szampana i uśmiechnęła się, lecz zatrzymała wzrok na Leonorze zbyt długo. Czyżby postrzegała ją jako zagrożenie? Czyżby wyobrażała sobie, że nadal może rościć sobie jakieś prawa do Maksa?

Ale oto nadeszła kobieta w złotej sukni z tacą pełną kieliszków szampana, którą balansowała na dłoni. Max podał Leonorze jeden i wzięła długi łyk. Dlaczego nachodzą ją takie myśli? Czyżby naprawdę była zazdrosna o Galę? Dopiła trunek.

Max jest jej. A ona jest zmęczona, ot co. A oto i Éluardowie.

– Leonora! – zakrzyknął Paul. – Jesteś!

Objął ją tak mocno, że poczuła, jak ciało jej tężeje. W ręku trzymał butelkę szampana i napełnił jej kieliszek. Kilkukrotnie poklepał Dalego w plecy, po czym pocałował Galę w usta, a jego ręka – nie mogła tego nie zauważyć – ścisnęła jej pierś. Gala była teraz żoną Salvadora, nie jego. W najmniejszym stopniu jednak nie wydawała się zagniewana. W istocie rozkwitała, czując na sobie wzrok Paula, Maksa i Dalego. Tego właśnie oczekiwała. Jej czarną suknię zdobił jaskrawy kwiat fuksji na ramiączku, które zsunęła, ukazując krzepki obojczyk.

Nusch zwróciła się do Leonory. Przebrana była za błazna, miała pasiaste rajtuzy pod falbanami.

– Nie spotkałaś jeszcze Marie-Berthe?

– Jest tutaj? – Leonora poczuła, jak przechodzi ją dreszcz i otwiera się szczelina strachu. Nie przygotowała się. Miała teraz problem: co powie, co zrobi?

– *Mon Dieu*, nie! – Śmiech Nusch dźwięczał na równi z dzwoneczkami na jej nadgarstkach. – Jest zanadto bogobojna. Ale bądź gotowa na unik,

jakimkolwiek *merde* by cisnęła.

Leonora poczuła, jak czyjś paznokieć wędruje w górę jej kręgosłupa. Odwróciła się. Kobieta w ciemnoczerwonym gorsecie, wysokich butach i masce z białych i szarych piór, a na nosie miała dziób w kolorze musztardowożółtym. Jej ciemne oczy błyskały przenikliwie.

– Nie poznajesz mnie?

Oczywiście.

– Leonor!

– I co myślisz? – spytała. – Sama zrobiłam.

Zespół zaintonował walca i wzięła Leonorę w ramiona. Muzyka – zbyt wolna, a potem szybka w najdziwniejszych miejscach – zmieniła przyjęcie w karnawał. Kręciło jej się od tego w głowie. W masce sowy Leonor była jej wymarzoną bliźniaczką, mądrą i nieziemską, i kiedy tak wirowały, wydawała się taka godna zaufania, jakby była zrządzeniem losu.

Miejsce Leonory w ramionach Leonor zajęła księżna Maria de Gramont w turkusowym turbanie i sukni koloru płytkiego morza. Odpłynęły w tańcu, pozostawiając ją samą. Dookoła wirowały pary. Rozglądała się za Maksem. Muzyka pulsowała i wirowała w szalonym rytmie. Przesuwała się pomiędzy ciałami, próbując uniknąć łokci i wymachujących rąk. Ktoś oblał ją szampanem. Max ubrany był w czarny smoking jak wszyscy inni mężczyźni, którzy wyglądali teraz jednakowo. (Gdyby tylko mogli zamienić się w pingwiny!). Nie rozpoznawała ani jednej osoby. Znalazła ścianę i pozwoliła jej się podtrzymać. Próbowała oddychać. Jest wolna, przypomniała sobie. Jest na swym pierwszym przyjęciu w Paryżu. Dlaczegóż miałaby go potrzebować przy boku?

Bo ją tutaj przyprowadził, rozumowała. I to jest ich pierwsza wspólna noc w Paryżu! Gdzie on jest? Odepchnęła ścianę i rozpoczęła poszukiwania. Jakaś tańcząca para zderzyła się z nią i nawet nie zatrzymała się, żeby przeprosić; w ogóle wydawało się, że nikt jej nie zauważa. Prześcieradło uczyniło ją niewidzialną. Muzyka zwolniła i parkiet opustoszał. Dostrzegła burzę białych włosów. Tam jest Max; tańczy z Galą, oparła głowę na jego piersi. Czuła się oszołomiona, w prześcieradle było jej zbyt gorąco. W głowie dźwięczały jej słowa księżnej „nie potrzebujesz na sobie niczego”; rozluźniła prześcieradło pod ramieniem. Zobaczymy, z kim teraz będzie chciał zatańczyć, pomyślała, i pozwoliła opaść mu na podłogę.

Max wydał radosny okrzyk i ponownie znalazła się w jego ramionach, a sala wirowała dookoła nich. Całkiem spora grupa ludzi przestała rozma-

wiać, tańczyć i całować się, a zaczęła się przypatrywać. Również M. Rochas musiał się przypatrywać, choć nie w tak radosnym nastroju jak Max, ponieważ mężczyzna w smokingu – miękka biała rękawiczka spoczęła na jej ramieniu – odprowadził ją do drzwi.

Na zewnątrz Max oddał jej swoją marynarkę, która opadła jej do ud.

– Moja Oblubienica Wiatru – rzucił, a jego oczy nadal tańczyły.

Śmiali się całą drogę do Leonor.

Pewni, że nadal jeszcze będzie na przyjęciu, kochali się w jej mieszkaniu na kuchennym stole, a koty ocierały się o nich, drżąc i mrucząc. Kiedy wykrzyczał jej imię (jej imię!), jego oczy odnalazły jej spojrzenie i zapadł w nią, runął w nią na złamanie karku. Był jej. Wiedziała. Po co się było dręczyć?

Wykąpali się w wannie z nóżkami w kształcie lwich łap, wymoczyli się w parującej wodzie.

– Zupo nadobna w porze wieczerzy – zaśpiewała, kiedy Max ją mydlił.

Wytarł ją ręcznikiem, zaniósł na leżankę, zwinął się w kłębek dookoła niej i naciągnął na nich koc.

1. Przeł. Stanisław Barańczak, w: *Fioletowa krowa*, Kraków 1993 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [wróć]
2. Prezentacja debiutantek na dworze otwierała sezon imprez towarzyskich wyższych sfer w Wlk. Brytanii. [wróć]

Czerwiec 1940, południowa Francja

Max zeskakuje z ochronnej barierki w szarówkę i błoto, w rozmytą plamę mżawki. Błądząc w stronę zmierzchu, idąc śladem cieni mężczyzn niknących w półmroku przed nim, słyszy odległy, chrypiący okrzyk komendanta.

– Wracajcie! Nie wszystko stracone!

– Wracajcie! Wracajcie! – mężczyźni nawołują się nawzajem, choć niektórzy idą dalej, mrok rozpuszcza krawędzie ich sylwetek i całkowicie je wymazuje. Na ziemi zajętej przez hitlerowców są zgubieni, choć wcale nie bardziej niż ci w pociągu, myśli, wspinając się do wagonu. Hitlerowcy mogą być już wszędzie, ale pociąg przynajmniej zabierze go bliżej niej.

Kiedy pociąg znowu szarpie wprzód, jest w nim mniej ludzi niż poprzednio, lecz nie tak znowu niewielu, by każdy mógł usiąść. Tę noc będą musieli przecierpieć tak samo jak wszystkie poprzednie.

– Zasuńcie drzwi! – ktoś krzyczy.

– Zostawcie otwarte! – odkrzykuje para młodych Austriaków.

– Nie! – oponuje naukowiec. – Nie po to jechałem tak daleko, by umierać! – Chwieje się i przytrzymuje na nosie okulary, gdyż ich utrata równa się życiu we mgle nie wiadomo jak długo. Wyciera szkła w koszulę, po czym ostrożnie zakłada je na nowo.

Biedaczysko. Biedny starzec. Nie może mieć jednak dużo więcej niż pięćdziesiąt lat, a Maksowi pięćdziesiątka stuknie w przyszłym roku. Co oznacza, że i on jest stary i niczym nie może się wykazać przez te lata spędzone na tej przeklętej i pięknej planecie – no, chyba że uda mu się wrócić do Saint-Martin, do ich domu z jego rzeźbami na ścianach, jej obrazami na szafkach. Chyba że uda mu się zabrać z tego domu wszystko, co się tylko da, i uciec z nią tak daleko od hitlerowców, jak tylko zdołają.

– Zasuńcie drzwi – proszą kolejni.

Szarpanina po drugiej stronie wagonu przeradza się w bójkę, lecz nikt nie wrzeszczy na nich, żeby przestali. Dociera do nich, że algierscy strażnicy uciekli.

Drzwi pozostają szeroko rozwarte, a noc zaczyna się zimną, szarą plamą i szałem nihilizmu. Zaczyna się tratowanie i niszczenie. W Camp des Milles

mężczyźni walczyli o prawo do zabrania z sobą bagażu, który został potem jak najstaranniej złożony w jednym z narożników wagonu. Teraz jest ciskany na wszystkie strony, a zawartość walizek wyrzucana na podłogę i deptana z taką dziką rozkoszą, że na myśl przychodzi mu dadaizm i wściekłość, jaką młodzi mężczyźni z jego pokolenia odczuwali po Wielkiej Wojnie. W dewastacji prym wiodą dwaj Austriacy, którzy zniszczyli już własne walizki i przeszli teraz do bagażu innych.

Dociera do nich. Do tych młodych Austriaków dociera, że w obliczu wojny nie ma miejsca na logikę. Istnieje tylko antylogika. Żądza, by niszczyć twory świata, który dopuścił do bezcelowej rzezi. Uśmiecha się, ich żądza zniszczenia jest zaraźliwa. To daje mu nadzieję. Prawda jest jednak taka, że on nie ryzykuje utraty bagażu. Miesiąc temu skuto go i wywleczono z ich domu do Camp des Milles – już drugi raz – i odzyskanie jego rzeczy było niemożliwe. Francja rozpoczęła wojnę i z dnia na dzień do Camp des Milles trafiało coraz więcej ludzi.

– Moje okulary, moje okulary! – wrzeszczy naukowiec. Strącone mu z głowy, zostały zdeptane jak wszystko inne. Odnajduje pogięte metalowe ramki i łka.

A potem cichnie. Wszyscy cichną. Biadolenie na nic się nie zda. Co się stało, to się nie odstanie.

Ta noc jest równie żałosna jak poprzednia, brakuje jednak Hansa Bellmera i jego wygłaszanych szeptem żartobliwych dygresji. Nic nie rozjaśnia ciemności. Max godzinami stoi, chwiejąc się na odrętwiałych nogach.

W jakimś tunelu pociąg się zatrzymuje, a on, wraz z innymi stojącymi mężczyznami, przewraca się na siedzących. Nikt jednak nie złorzeczy. Wszyscy milczą. Na wzgórzu ponad torami dudni zmotoryzowana kolumna. Tak przemieszczają się hitlerowcy. To nie może być nikt inny. Wszyscy wstrzymują oddech. Nasłuchują.

Kiedy przejechał ostatni pojazd, mężczyźni bez protestów zasuwają drzwi, a pociąg prze w noc ku wschodowi. Godzina za godziną pociąg widmo staje i rusza, i znowu staje. Ciężko wlecze się przez te same pola, przez te same miasta, ale robi to wolno, tak wolno, że w Maksie rośnie obawa, monstrualna i nieskończona, że nie odnajdzie swojej dziewczynki. Dlaczego nie wyjechali przed wojną? Ile by jednak się zastanawiał nad tym pytaniem, faktów nie zmieni. Nie posłuchał głosu rozsądku. Stworzyli dom, nasycili go sztuką i miłością, i był on zbyt piękny, by go opuszczać.

Noc trwa nieskończenie. Nie śpi ani przez chwilę. Wysysa wilgoć z brudnej koszuli, lecz jego wargi to jeden pył, a pragnienie całkowite, straszne.

O północy są w Pau, a o świcie zbliżają się do Lourdes. Pełna udręki noc przesunęła ich najwyżej o sto pięćdziesiąt kilometrów, i po co to wszystko?

I wtedy, na stacji w Lourdes, zdarza się cud. Przyszła depesza od komendanta nakazująca przygotowanie prowiantu dla dwóch tysięcy Niemców. Nie sprecyzował, dla jakich Niemców. Kiedy wjeżdżają na stację, otrzymują żywność, wodę i gazety. Jest 26 czerwca, piszą w gazecie. Francja i Niemcy podpisały zawieszenie broni.

Świeży chleb, twardy żółty ser i salami to wprawdzie uczta, ale prawdziwym ocaleniem jest woda. Jeden drugiemu podają metalowe kubki, leją w nie i dolewają galony świeżej wody. Chciałby, wszyscy chcieliby pić ją wielkimi haustami, lecz są w stanie jedynie ją chłeptać. Zbyt wiele na raz i zaraz by się pochorowali. Więc się nią dzielą, podają sobie kubek i na nowo wracają do życia.

– Patrzcie! – Jeden z mężczyzn wskazuje pociąg wjeżdżający na stację.

– To niemożliwe – mówi inny.

Mężczyźni gramolą się na dach wagonu, żeby się przyjrzeć. Trzy perony dalej zatrzymał się pociąg pełen kobiet, ich kobiet. Mężczyźni wydzierają się i krzyczą:

– Mady! Rachel! Isa!

Kobiety wtórują:

– Karl! Franz! Klaus!

Imiona i głosy nakładają się na siebie we wzbierającej fali euforii i mężczyźni ruszają pędem w stronę ich pociągu.

Pomiędzy nimi francuscy żołnierze pilnują dwóch pociągów towarowych, lecz mężczyźni zupełnie na to nie zważają. Wspinają się na zderzaki, nawet gdy żołnierze krzyczą do nich, by wracali do swojego pociągu, nawet gdy jeden z nich mierzy z karabinu, ale nie strzela. Co rusz żołnierze odsyłają mężczyzn z powrotem. Pociąg towarowy wiezie zaopatrzenie dla wojska i żołnierze mają rozkaz pilnować go. Żony i mężowie więc krzyczą do siebie. Przesyłają wiadomości, które jeden z francuskich żołnierzy niechętnie przenosi pomiędzy składami. Pociąg przyjechał z obozu w Gurs, siostrzanego obozu des Milles. Kobiety zwolniono ot tak, jak stały, bez jakiegokolwiek nakazu czy protokołu, i tak oto znalazły się tutaj. Są tutaj żony niemalże wszystkich mężczyzn. Trwało to rok, ale się odnaleźli.

Jego dziewczyny, Angielki, tutaj nie ma, siedzi więc na ochronnej barierce wagonu i czyta gazetę. Wygląda na to, że jakiś stary faszystowski generał, marszałek Petain, objął rządy we Francji, nakazał żołnierzom zaprzestać walki i poprosił Niemców o zawieszenie broni – którego warunki pozostają do uzgodnienia. Co oznacza, że jego powrót do Saint-Martin mógłby być możliwy. Wszystko zależy od tego, które obszary Francji hitlerowcy będą okupowali, które zostawią w spokoju i gdzie będzie znajdował się ich pociąg, kiedy w końcu zostanie to ustalone.

– Max Ernst?

Natrętny ton głosu mężczyzny przeraża go. Zasycha mu nagle w ustach. To koniec. Znaleźli go.

– Oui?

Mężczyzna wręcza mu papierowy samolocik. Na skrzydle napis *Dla Maksa Ernsta*.

Rozpoznaje drobne, staranne pismo swojej pierwszej żony, Lou. Żyje! Bogu dzięki. Rozkłada samolocik. *Masz jakieś wiadomości od Jimmy'ego?* Jimmy, ich syn, który błagał ich trzy lata temu, żeby przyjechali do Ameryki, ich syn, który przewidział przyszłość, kiedy oni nie chcieli tego zrobić. Z kłującym poczuciem winy Max zdaje sobie sprawę, że przedwczoraj skończył dwadzieścia lat. Pożycza ołówek od mężczyzny obok siebie. *Nie*, odpisuje. *Jak tylko wydostaniemy się z tej matni, napiszemy do niego. Pomoże nam dostać się do Ameryki. Do tej pory jednak musisz przetrwać – dla niego! Pa, Max*.

Daje liścik żołnierzowi, a ten odnosi go do pociągu kobiet, w którym ktoś zaczął śpiewać. Śpiewać pośrodku tego szarego, bezwzględnego świata. Rozpoznaje melodię. To aria z *Madame Butterfly*. *Un bel dì*. Kiedy Cio-cio-san wyobraża sobie powrót męża. Pieśń jest perfekcyjna i łapie się na tym, że płacze. Podobnie zresztą jak większość mężczyzn.

Wpatruje się w okna wagonów. Kształty, rozmyte kształty. Wszystkie kobiety są muzami w takim czy innym sensie, a te, nawet z takiej odległości, budzą w nim wspomnienie – nie Lou, jego pierwszej miłości, lecz jego czarnowłosej dziewczyny, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat. Myśli, że on śpi, wstaje i przykrywa go kocem. To ich pierwszy wspólny ranek w Paryżu po nocy spędzonej na kanapie Leonor Fini. Słychać właśnie tę pieśń. *Un bel dì*. A on na powrót zapada w sen.

OBLUBIENICA **WIATRU**

Wrzesień 1937, Paryż

Obudził ją na kanapie czarny kot, który trącał nosem jej brodę. Była oszołomiona szampanem i zmarznięta. Koc zsunął się na podłogę. Max wydawał się bardzo daleki w swoim śnie, cicho mruczał, pochrapując. Dostrzegała w śpiącym dziecko – tak naprawdę nim był – spokojną krnąbrność, jaka w nim tętniła. Jednak bez spojrzenia oczu ożywiającego mu twarz wyglądał również starzej, jego skóra była przezroczysta i blada, na skroni pulsowała żyła. Naciągnęła mu koc aż po szyję, wstała i owinęła się jego marynarką.

Gdzieś tam patefon grał Pucciniego, *Un bel dì*. *Pewnego pięknego dnia nad dalekim morzem dojrzymy cieniutką strużkę dymu; a potem pojawi się statek.* Słuchała tego jako nastolatka, Farrar i Caruso, a to była jej ulubiona aria. Nadzieja w głosie Cio-cio-san, Madame Butterfly, brzmi tak potężnie i smutno, bo wiadomo, jak to się kończy, kiedy jej mąż przywozi z sobą amerykańską żonę, a Cio-cio-san podrzyna sobie gardło. Śledząc muzykę, Leonora poczuła, jak wzbierają w niej nowe emocje – przerażenie, jakie towarzyszy uczuciu miłości do kogoś i świadomości, że ów ktoś może odejść.

Stanęła w drzwiach i przyglądała się, jak Leonor maluje. Artystka mieszkała sama, mieszkanie pełniło też funkcję pracowni, a ten pokój służył tylko i wyłącznie jej sztuce. Zapach olejnych farb uderzał do głowy, był ziemisty i odrobinę grzeszny. Powodował, że Leonora zatęskniła za malowaniem. Bezgłośnie weszła do pokoju. Ściany pokrywały obrazy kobiet – kobiety w zbrojach, kobiety trzymające tarcze, miecze, kobiety w nakryciach głowy, nagie pod woalem lub po prostu nagie; była tam również seria sfinksów, jeden dwugłowy, jeden ciężarny, jeden – o nagich piersiach – wyginał grzbiet… a wszystkie miały ciemne, kręcone włosy i twarze podobne do twarzy Leonor. Na ścianach wisiały również maski: sowy, lwa, pantery. W miejscu, gdzie pracowała, płótno rozświetlało chłodne światło wpadające zza okna. Z okapów spadały krople deszczu.

Leonor wycisnęła na paletę farbę i wymieszała ją pędzlem. Obraz, kolejny autoportret – czarno-biały z krótkimi smagnięciami koloru – miał

w sobie swoistą nagość, tak ciemne i czyste były jej oczy. Siedziała na taborecie, trzymając pędzel jak czarodziejską różdżkę; pracowała nad włosami, nad jedną z owych jasnych plamek, które do nich przywarły… nad motylem. Same włosy miała rozpuszczone, a ubrana była w luźną czerwoną suknię. Z sięgających podłogi fałd co rusz wynurzały się i chowały koty, szare, rude i czarne mgnienia.

Leonor dostrzegła jej odbicie w oknie. Opuściła pędzel i wzięła łyk kawy.

– Chcesz trochę?

Leonora pijała herbatę, nie kawę, ale nie chciała odmawiać, a poza tym nie była już w Anglii.

– Poproszę – powiedziała i poszła za nią do kuchni. Szata Leonor ciągnęła się za nią, atłas poprzetykany złotem. Dotykając lśniącego materiału, Leonora zdała sobie sprawę, iż to kardynalska sutanna. Na widok takiej profanacji poczuła mrowienie w kościach. – Skąd to masz?

Leonor nalała jej kawy.

– Jest taki sklep, gdzie każdy może sobie taką kupić. Nie trzeba być ani katolikiem, ani mężczyzną i w ogóle. – Mówiła po francusku z hiszpańskim akcentem (a może to włoski?). – Wkładam ją, kiedy chcę się poczuć wyjątkowo frywolnie. A poza tym wydaje mi się, że moje ciało ją uszczęśliwia. Ta suknia co nieco ożywa.

Leonora zastanawiała się, co – jeśli w ogóle cokolwiek – nosi pod spodem, smakowała gęsty, gorzki napar i próbowała nie robić przy tym min.

Leonor przyjrzała się jej badawczo.

– Nie poznałaś jeszcze Marie-Berthe?

Potrząsnęła głową. Max zaledwie o niej wspomniał, mówiąc, że kiedyś była radosna i urodziwa, ale teraz jest religijna i męcząca.

– Na pewno niedługo ją spotkasz. Miejmy nadzieję, że da mu rozwód. Wiesz, że jest katoliczką. Uważa surrealizm za sprawkę szatana. Nie wiem, czy Max ci powiedział. Jest nieślubną potomkinią Ludwika Szesnastego i wciąż o tym mówi!

Wydawało się, że Marie-Berthe staje pomiędzy nimi i rzuca na nią urok. Dopiła kawę.

– Powinnam pozwolić ci pracować.

Leonor chwyciła ją za rękę.

– Nie gniewasz się, co? – Spojrzała jej w oczy, lecz nie znalazła odpowiedzi. O czym ona mówi? – O nas – wyjaśniła Leonor.

Zajęło jej to chwilę.

– Och. – Niewielka sylaba, lecz jej usta pozostały otwarte.

– Myślałam, że wiesz, że ci powiedział.

Leonor patrzyła gdzieś za nią, więc i ona spojrzała… na Maksa, który stał bez koszuli, w pomiętych spodniach, ze zmierzwionymi włosami i policzkiem odciśniętym od poduszki.

– Powiedział co?

Leonor ujęła jej dłonie.

– Coś tam między nami było, przez chwilę, dawno temu. Od lat jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale chciałam, żebyś wiedziała.

– Dziękuję. – Stając twarzą do Maksa, Leonora pozwoliła rozchylić się jego marynarce, i patrzyła, jak chłonie całą jej nagą postać. – Czy jest w Paryżu jakaś kobieta, z którą nie spałeś?

Za pieniądze od matki wynajęła mieszkanie w kamienicy przy rue Jacob na Montparnassie. Kamienica pochodziła z poprzedniego stulecia; były tu wysokie sufity i takież okna, a nawet mikroskopijny balkon. Choć było to trzecie piętro, a w kamienicy nie było windy, mieszkanie zostało wyremontowane włącznie z kanalizacją i ciepłą wodą, co w Paryżu było prawdziwym luksusem. Ojciec zapewne uznałby to za mansardę, lecz dla niej był to raj. Jej własny kąt w mieście ze snu.

Max pomógł jej wypełnić je wszystkim, czego mogłaby potrzebować. Wędrowali po pchlich targach Montparnasse’u, aż umeblowali mieszkanie dziewiętnastowieczną kanapą, solidnym stołem i krzesłami i prostym łóżkiem z baldachimem, w którym większość nocy spała sama. Jego dni należały do niej, lecz noce – nadal do jego żony. Odejdzie niedługo, powtarzał z uporem. Lecz swoje prace musi zabrać za jednym zamachem, żeby nie dać jej okazji, by je zniszczyła – to z kolei oznaczało, że on musi poczekać na swoją szansę.

Leonora próbowała przesypiać godziny, kiedy go nie było. Czytała, spała i śniła o nim, a kiedy otwierała oczy, on już był i domagał się jej całej. Lecz kiedy budziła się w nocy, jej serce chciało uciekać, skryć się w jakiejś mysiej dziurze, bo coś czaiło się w ciemności, czujne i głodne… nie była w stanie się poruszyć. Była jak sparaliżowana. Próbowała przyzywać sidhe, by ochroniły ją w kręgu światła, ale wyglądało na to, że pozostały w Anglii.

Razem z moją duszą, myślała przerażona tak bardzo, że nie mogła siebie rozpoznać. Gdzie jest ta dziewczyna, która miała rzucić Paryż na kolana? Dziewczyna, która może wziąć lub porzucić mężczyznę, która wie, że wszystko, czego jej trzeba, nosi w sobie?

Nigdy nie czuła się tak samotna, jak w trakcie tych cierpiętniczych godzin bez Maksa. Ale nie powie mu o tym. Wzbraniała się przed kruchością.

Jeśli nie będzie go potrzebowała, przyjdzie do niej. Zamieszka z nią. Będzie do niej należał.

I wtedy, pewnego deszczowego wtorkowego ranka, z pomocą Paula wywiózł swe obrazy, kiedy Marie-Berthe była na nabożeństwie. Pozbieranie reszty rzeczy okazało się przerażającym doświadczeniem, powiedział. Marie-Berthe była wściekła, rozgorączkowana, zachłanna. O zmierzchu miał zadrapania na twarzy, ślady zębów na rękach.

Wprowadził się. Odszedł od niej.

Wspięli się po schodach do Café de la Place Blanche; kiedy otworzyli drzwi, powitała ich chmura dymu. Z tyłu sali był wolny stolik, przy którym usiedli i zamówili stołowe wino. To było jej pierwsze spotkanie surrealistów i całe ciało drżało jej z podniecenia. Przez dym taksowała twarze mężczyzn. Yves Tanguy, którego poznała na ulicy rankiem tego samego dnia – szeroko rozstawione chłopięce oczy, rzadkie włosy postawione na sztorc – był tak pochłonięty tym, co mówi André Breton, że wydawało się, iż nie zauważył ich przybycia. Lecz Paul Éluard uśmiechnął się do niej, a Man Ray dotknął kapelusza. Tristan Tzara, którego rozpoznała z fotografii, spojrzał na nią przez nieodłączny monokl z obojętnością tak absolutną, że bardzo jednoznacznie uświadomiła sobie, iż jest jedyną kobietą w całej sali.

Breton siedział obok Tzary, lecz równie dobrze mógłby stać przy tablicy ze wskaźnikiem w ręku, wziąwszy pod uwagę kategoryczny ton jego przemowy i sposób, w jaki patrzyli na niego inni mężczyźni, wysłuchując jego teorii; wyrzucał je z siebie, nadając im coraz większy rozmach, gdy mówił o „niezależności sztuki dla rewolucji” i „rewolucji dla pełnego wyzwolenia sztuki”. Usiadła wygodnie i zapaliła papierosa. Odwiedził ich mieszkanie w poprzednim tygodniu, ucałował ją w policzki i był uprzejmy, a teraz powitał ją skinieniem głowy i – jak się jej wydało – cieniem uśmiechu.

– Nie nazywaj go André – ostrzegła Leonor. – Breton. Musisz zawsze zwracać się do niego per Breton – wymówiła nazwisko, jakby spluwała nim

na chodnik. – Nadęty fiut! Co daje mu prawo mówić wszystkim, co mogą, a czego nie mogą robić. To znaczy cóż takiego on sam stworzył, z wyjątkiem swego wszechmocnego manifestu?

Szły z Leonor pod rękę do Café de Flore na aperitif i zwróciła uwagę na to, jak patrzą na nie mijani mężczyźni. To było nowe doznanie, poczucie siły, jaką kobiety zyskiwały w grupie; spodobało się jej to uczucie.

– Oczywiście jest też ta jego powieść, *Nadja* – ciągnęła Leonor. – Czytałaś ją? Jej odbija, a wszystko skupia się na tym, jak to wpływa na artystę, mężczyznę. Inspiracją była prawdziwa kobieta. I gdzie ona jest, ta prawdziwa Nadja? Od dziesięciu lat zamknięta w szpitalu dla psychicznie chorych. Jeśli jest tylko muzą, jakież to ma znaczenie, co się z nią stanie? – Przystanęła na chodniku i przycisnęła łokciem rękę Leonory. – Tak wszystkie nas postrzega, moja droga, jako muzy. A ja odmawiam bycia czyjąkolwiek muzą. Chyba że twoją. To znaczy jeśli mnie zechcesz?

– Bezwzględnie – odpowiedziała Leonora. – Ale od tej pory będę zwracać się do ciebie per Fini.

– A ty, moja droga, będziesz Carrington.

Próbowała wyobrazić sobie Leonor w tej wypełnionej dymem sali, ale bezskutecznie. Nie zechciałaby zmarnować całego popołudnia na to, by przysłuchiwać się rozmowom grupy mężczyzn. Dla Leonory wszystko to jednak było nowością. Na własne oczy oglądała bowiem najświętsze miejsce ruchu.

Paul nie zgodził się z Bretonem i zaczęli się spierać, chociaż gdyby ich o to spytać, była pewna, że nazwaliby to dyskusją. Wsparcie Trockiego i Rewolucji oznacza dalsze rozbijanie Partii, upierał się Paul.

– Kiedy Stalin wygnał Trockiego, skaził komunizm. – Breton wycelował palcem w Paula.

– Z tego samego powodu, z którego ty potępiłeś homoseksualizm, z chęci zachowania czystości.

– Bezsprzecznie. Możliwe jest tolerowanie homoseksualizmu u jednostki. Lecz surrealizm, jeśli chcemy, by brano nas poważnie, musi być nieskazitelny, niepodważalny. Homoseksualizm jest skazą.

Nie chciała przerywać. Była aż nadto świadoma, że jest gościem. Kobiet nigdy w pełni nie dopuszczono do ruchu. Klubu małych chłopców Bretona, jak lubiła nazywać go Fini. Czy jednak nie był nieco zbyt ogólnikowy?

– Masz na myśli męski homoseksualizm?

Max ścisnął ją za ramię na znak, by nie drążyła tematu, ale wyglądał na rozbawionego.

– *Oui* – odparł. – W przypadku kobiet to naturalna kolej rzeczy wynikająca z ich anatomii. Kłania się Freud. Dziewczynki ssą pierś matki tak samo jak chłopcy.

– Można by wspomnieć, że Freuda prekonfigurował dadaizm – rzucił Paul i zakręcił winem w kieliszku. – A co powiesz na bycie z mężczyzną, gdyby pragnęła tego kobieta, z którą jesteś?

– Z taką kobietą nigdy bym nie był.

Gryzmoląc coś w niewielkim notatniku, Max dorzucił swoje pytanie:

– A sodomia?

– W porządku, jeżeli z kobietą – stwierdził Breton.

– A czy sprawiłoby ci przyjemność, gdyby to kobieta wychędożyła cię sztucznym penisem? – Paul uśmiechnął się, kiedy zadał to pytanie.

Twarz Bretona poczerwieniała. Zacisnął usta i nic nie odpowiedział.

Yves szkicował coś nożem w plamie ciemnego, gęstego sosu na swym talerzu. Podniósł wzrok.

– Mnie tak! To znaczy gdyby jej to sprawiało przyjemność. To nie ma nic wspólnego z homoseksualizmem – dodał, zerkając na Bretona.

– Jakim cudem miałoby to jej sprawić przyjemność? – oburzył się pisarz. – Toż to sztuczne. – Był to początek licznych dyskusji, jakie rozgorzały pomiędzy mężczyznami. Czy jej żądza jest świadoma czy nieświadoma? I jak istotne jest to rozróżnienie? Breton klasnął w dłonie, by przywrócić porządek. – Proszę, panowie! Nie widzicie? Surrealizm musi być nieskażony!

Max wstał tak szybko, że jego krzesło się przewróciło.

– A co czystość ma do sztuki? Przecież tu chodzi o swobodę myśli!

Niewielki mężczyzna klepnął ją w ramię. Wyglądał znajomo, ale nie potrafiła go umiejscowić. Wpatrując się w nią dzikimi piwnymi oczami, wyciągnął coś z kieszeni kurtki, sięgnął i wziął ją za rękę. Czy on z nią flirtuje? Poznała go. To był hiszpański malarz Joan Miró. Widziała jego obrazy na wystawie surrealistów w Londynie. Podobały się jej i na myśl, że mu o tym powie, serce zaczęło jej łomotać.

– Przynieś mi paczkę papierosów, moja droga, dobrze? – powiedział, wciskając jej w rękę kilka franków.

Czego to on chciał? Papierosów?

– Sam sobie weź i przynieś! – rzuciła na tyle głośno, by wszyscy słyszeli. Cisnęła jego pieniądze na stół. – Czy ja wyglądam na twoją służącą? Czy może na twoją matkę?

Cały się napiął, a ona pomyślała, że może ją uderzyć. W sali zapanowała cisza. Zakłóciła spotkanie. Czy Maksa też zbulwersowała albo wprawiła go w zażenowanie? On jednak uśmiechał się podekscytowany jej przekorą. Chwycił ją za rękę i ruszyli ku drzwiom.

– Jest śliczny jesienny dzień – obwieścił mężczyznom – a my będziemy uprawiać sztukę.

– I miłość – dodała. – Ogromnym sztucznym penisem!

Rozstawiła sztalugę w narożniku salonu, w pobliżu okna. Z Londynu dotarło w końcu jej niedokończone płótno, wysłane przez Ursulę, która była teraz w zaawansowanej ciąży, „prawie nie czując już potrzeby malowania”, jak napisała w krótkim liście dołączonym do obrazu. „Radośnie wiję gniazdo”. Ich życie potoczyło się tak różnymi drogami… Leonora jednocześnie czuła się szczęśliwa, że jest wolna – od Anglii, od swej rodziny i sztywnego społeczeństwa, od macierzyństwa – ale i przerażona wizją potknięcia się, jakby biegła tak szybko, że grunt pod jej nogami rozpłynął się, pozostawiając jedynie powietrze, a ona, gdyby tylko zatrzymała się zaczerpnąć tchu, mogłaby runąć w jakieś niewyobrażalne głębie.

Otworzyła pudło i wyjęła owinięty w pakowy papier obraz. Nie była jeszcze gotowa na niego spojrzeć. Najpierw herbata. Jej obraz nie mógł być po prostu dobry, nie mógł stanowić obietnicy, być świadectwem talentu, czymś, czego można by oczekiwać od studentki… by zapewnić jej miejsce pośród surrealistów, musiał definiować jej wizję. Musiał zszokować widza, przeszyć go, lub ją, zaniepokoić. Lecz przede wszystkim musiał zdumieć Maksa.

Był teraz w swoim studio i pozostanie tam przez całą resztę poranka. Miała czas, by popracować nad obrazem, czas, by pozwolić mu popracować nad nią. Popijała małymi łykami herbatę, którą zaczęła pijać bez mleka. Za oknem padał zimny deszcz, a ona trzymała kubek obiema rękami, delektując się jego ciepłem. Włożyła jedwabny szlafrok w nadziei, że być może jego orientalny wzór i jego śliskość ją zainspirują. Przebiegł ją dreszcz, wzięła koc z kanapy i owinęła się nim.

Rozdarła papier. Oto ona, w bryczesach, siedzi na krześle, a czerwona poduszka lśni jak mokry język. Jedyne w swoim rodzaju nogi krzesła przy-

krywała błękitna plisowana narzuta. Najbardziej zadowolona była z języka, tak lubieżnego i zmysłowego. Ale co dalej? Zamocowała płótno na sztaludze i obróciła w taki sposób, by światło padało na nie.

Zaczęła się koncentrować na tropach, jakie nieświadomość zawsze rozrzuca dookoła – miłosnych liścikach, jak je zwał Max – kształtach cieni lub plamach z piany, jaką szampon pozostawił na kafelkach pod prysznicem. Jednego dnia widziała jedynie żurawie, kolejnego – konie. Zwierzęta przemaszerowywały również przez jej sny. Dwa razy przyśniła jej się hiena, a potem znalazła się w jej opowieści o pewnej niechętnej debiutantce, coś jak o niej samej. Ten typ ożywienia przypominał wsłuchiwanie się. Cały świat nabierał znaczenia – nie konkretnego znaczenia uzgodnionego przez jakąś plotkarską większość, lecz znaczenia indywidualnego, zalążka własnej sztuki.

Stanęła przy oknie i spojrzała na obraz, na siebie – na owo „ja", które stworzyła, z burzą włosów i bezkompromisowym wejrzeniem – i to srogie „ja" odpowiedziało spojrzeniem. To ty, teraz, mówiła kobieta. Jesteś mną – w pokoju, w pokoju pozbawionym okien. Oczywiście! Pomalowanie ścian na kolor błękitu nieba nie wystarczało, pokój potrzebował okna, otwartego okna. Jeżeli będzie pozbawiona innej drogi wyjścia niż drzwi frontowe (gdzie bez wątpienia będzie obserwowana i śledzona, a o jej braku przyzwoitości mogłyby powstać tomy całe), z pewnością zwariuje.

Koc opadł na podłogę. Tuby olejnej farby – nieotwierane od czasów Londynu – były zapieczone. Wzięła szmatkę i otworzyła je na siłę. Uderzający do głowy, mocny, piękny zapach wypełnił pokój. Złota ochra na zasłony, kadmowa żółć i zieleń na angielski krajobraz z cyprysami i sosną za oknem. W końcu znowu malowała, a czas się rozpływał, jak zawsze kiedy pracowała.

Wytarła ręce w szmatkę, odsunęła się o krok i spojrzała na obraz. Ujrzała hienę ze swego snu ze słodkim, zapadającym w pamięć pyskiem i pełnymi sutkami, zobaczyła, jak stoi w tym pokoju i wpatruje się w nią rozumnymi owalnymi oczami. Hieny są praktycznie obupłciowe, samice posiadają pseudopenis, fakt ten przypadł jej do gustu… nie albo, pomyślała, lecz. Wymieszała sienę paloną z ciemniejszym brązem i umbrą. Właśnie ujrzała, gdzie hiena będzie stać, i zamoczyła pędzel w farbie, kiedy do pokoju wpadł Max. Szybko odwróciła obraz do ściany. Zobaczy go, kiedy będzie gotowy i ani chwili wcześniej.

– Chodź ze mną – powiedział.

– Pracuję. – Chciała nanieść hienę na płótno, kiedy miała ją jeszcze na tyle świeżo w pamięci, że mogła wyczuć jej smród.

– Éluardowie oglądają *Guernicę*. Powiedziałem im, że przyjdziemy. Musisz ją zobaczyć.

Westchnęła. Jak on by się poczuł, gdyby to ona mu przerwała? Wytarła pędzel i cisnęła go do słoika z terpentyną. Jej obraz będzie musiał poczekać.

Minęli niemiecki pawilon z bezsensowną swastyką i orłem, który – byli zgodni – za wszelką cenę musiał górować nad pawilonem rosyjskim, a przy okazji nad całą resztą, i ustawili się w kolejce do pawilonu hiszpańskiego. Deszcz ustał, ale było zimno. Wsunęła ręce do kieszeni żakietu.

– Będziesz zachwycona *Guernicą* – zapewniła ją Nusch. – Byliśmy tutaj wczoraj i musieliśmy wrócić.

Leonora kiwnęła głową, uśmiechnęła się. Jedyne, na czym się mogła teraz skupić, to jej hiena i to, jak bardzo się niecierpliwi, by ją namalować. Błękitne. Jej oczy będą błękitne i będą miały ludzki wygląd.

Kolejka posuwała się powoli; w końcu weszli do środka. Przed obrazem panował taki tłok, że nawet kiedy stanęła na palcach, mogła zobaczyć co najwyżej górną połowę. Max wziął ją za rękę i pociągnął na front, do samej barierki. Obraz Picassa był ogromny – cały w czerni i bieli, jak wiadomości. Zajmował całą ścianę. Piętrzące się powykręcane ciała wieśniaków, biedoty, uwięziony koń. Otwarte usta, ramiona wyciągnięte ku niebu, które zamiast czystości i błękitu zionęło ogniem. Postacie były płaskie, bardziej emblematyczne niż realistyczne, a jednak słyszała ich krzyki. Tu jakaś noga, jakaś wygięta stopa… do której jednak należy twarzy? Przełknęła ślinę, czuła gorycz. Miała uczucie, jakby obraz sięgnął jej do wnętrza i ścisnął trzewia. Tłum napierał. Czuła się słaba, kręciło jej się w głowie. Chwyciła Maksa za ramię.

– Co ci jest? – spytał. – Jesteś blada.

Ciężko dyszała.

– Poczekam na zewnątrz.

– Pójdę z tobą.

– Powinieneś zostać.

– Nie zostawię cię. – Odprowadził ją do drzwi. – Jedną chwilkę.

Zobaczyła, jak rozmawia z Nusch i Paulem, którzy ruszyli za nim w jej stronę.

– I tak jest dzisiaj zbyt tłoczno – stwierdził Paul, kładąc jej rękę na ramieniu.

Wciągając rześkie powietrze, zaczęła wracać do siebie. Żołądek się uspokoił. Lecz kiedy pomyślała o swojej hienie, widziała jedynie pysk tego konia, jego otwartą paszczę, ostry i nabrzmiały język. Choć dookoła warkotały samochody, ona słyszała jedynie końskie jęki.

– Czyż *Guernica* nie jest wielką sztuką? – Nusch brakowało tchu. – Na wszystkich z nas wywarła ogromne wrażenie.

– Wielką? Być może – rzekł Max. – Ale przestała być doceniana dla samej siebie. Jest aktualna. Stała się polityczną deklaracją.

– Traktuje o zgrozie, o niewidocznym wrogu – dodał Paul.

– To o Niemczech, które testują swoje bomby. Przekonują się, do czego są zdolne – orzekł Max.

Wszyscy zamilkli. Chciała porozmawiać o czymkolwiek innym. I pomimo chłodu w powietrzu poczuła nagłą ochotę na lody.

– Czy sztuka może powstrzymać wojnę? Czy sztuka może powstrzymać bomby, czy może powstrzymać Hitlera albo Franco? – Dotarli do Café de Flore, ale Nusch nie chciała odpuścić.

Usiedli przy stoliku na zewnątrz. Twarz zwróciła do słońca, zamknęła oczy, by nim nasiąknąć. Usłyszała, jak Max mówi:

– Sztuka to sztuka, bomby to bomby. Zamówmy. Jestem głodny jak wilk.

Wzięła lody czekoladowe, a Max butelkę szampana i ostrygi. Nie mieli na to pieniędzy. Wydali już pieniądze jej matki, a on nie sprzedał ani jednego obrazu… przynajmniej od czasu, gdy rodzice Marie-Berthe nastawili paryską śmietankę przeciwko nim. Nalegał jednak, by zachowywali się tak, jakby pieniądze miały lada moment napłynąć, a wtedy faktycznie napłyną. A poza tym Paul miał ich sporo. Być może Max założył, że to on zapłaci.

Jadła lody powoli, pozwalając, by topiły się jej na języku, i czując, jak chłodzą jej gardło. Zniknęło napięcie ramion. Znów oddychała normalnie. Nusch opowiadała o wielkiej wystawie surrealistów, jaką planowała wspólnie z Marcelem Duchampem.

– Włączymy do niej kobiety – powiedziała, łapiąc z nią kontakt wzrokowy. Otwarcie w styczniu, ledwo za trzy miesiące. Leonora nie miała jeszcze niczego, co by mogła im pokazać. Ale będzie miała.

Na nowo pomyślała o swoim obrazie, jej hiena z powrotem nabrała ostrości, kiedy na trotuarze ujrzała tę kobietę. Miała na sobie wciętą w talii

czarną suknię. Czerwona wstążka przytrzymywała jej ciemne włosy z dala od jej urodziwej twarzy. Zatrzymała się i wpatrzyła w Maksa. To była ona. Oczy jej się zwęziły i skupiły na Leonorze, a potem ruszyła w sposób, w jaki Leonora wyobrażała sobie szarżę afrykańskiego bawołu. Błyskawicznie znalazła się przy stoliku.

– Marie-Berthe! – wykrzyknął Max. – Przestań! Natychmiast przestań!

Wytrąciła Leonorze lody na kolana i uniosła ją do góry za włosy.

– *Putain!* – krzyczała, po czym wzięła zamach i wymierzyła jej policzek. Oczy miała szeroko otwarte.

Gdy puściła jej włosy, Leonora nie cofnęła się, tylko przeorała jej policzek paznokciami, pozostawiając czerwone krwawiące smugi. Marie-Berthe wybuchnęła płaczem. Max wkroczył pomiędzy nie. Stał do niej tyłem, twarzą zwrócony był do żony. Patrzyła, jak otacza ramieniem Marie-Berthe i odchodzi z nią chodnikiem. Żona od dziesięciu lat. Usiadła z powrotem, cała roztrzęsiona. Myśląc o tym wszystkim, co opowiadał jej Max – o tym, jak ich drogi rozeszły się już dawno temu, jak ona nienawidzi jego przyjaciół, a on jej małostkowej pobożności, jej zaborczości, jej zazdrości – Leonora patrzyła, jak żona opiera mu głowę na ramieniu.

Czerwiec 1940, południowa Francja

Jadąc pociągiem widmem na wschód, Max wraca do domu. A kiedy za Pirenejami się wypogadza i pozostawiają za sobą deszcz, sucha noc otwiera się na suchy dzień i wjeżdżają na stację w Tuluzie, gdzie gazety mają czarne ramki, co oznacza, że wojna oficjalnie jest skończona. Francuska wojenka dobiegła końca. W partii szachów rozgrywanej przez przygłupa i zbira królówka została przewrócona po pięciu minutach. Wszyscy mówią jedynie o warunkach zawieszenia broni… które regiony Francji są wolne, a które nie.

Komendant rozdaje kilka egzemplarzy gazety. Naukowiec chwyta jeden z nich, mruży oczy, próbując przeczytać tekst bez okularów. Z długim westchnieniem wręcza gazetę rabinowi. Max posuwa się i robi mu miejsce na ochronnej barierce, gdyż wszyscy tłoczą się za nim. W gazecie musi być mapa, dochodzą do zgodnego wniosku, a rabin trzęsącymi się dłońmi przewraca strony. Zatrzymuje się na zdjęciach Hitlera i jego ludzi w Paryżu. Wszyscy pochylają się nad gazetą. Hitlerowskie oddziały maszerują po Champs-Elysees, Hitler i jego świta pozują pod wieżą Eiffla, jak gwiazdy filmowe czy rodzina królewska.

– Odwróć stronę! – krzyczy ktoś z tyłu.

Stało się niewyobrażalne. Gapienie się niczego nie zmieni.

Mapę Francji znajdują na nowych stronach. Strefę okupowaną zacieniowano, strefa nieokupowana jest jednolicie biała. Ich pociąg znajduje się w tej właśnie strefie, podobnie jak Camp des Milles i Saint-Martin d’Ardèche. Wygląda na to, że całe południe Francji, z wyjątkiem zachodniego wybrzeża, jest wolne, co oznacza, że jego dziewczynka powinna nadal być w Saint-Martin. Powiedziała, że zostanie tak długo, jak tylko będzie mogła. Nie może przypomnieć sobie jej słów dokładnie, ale wie, że leżeli na swojej ziemi, jej głowa na jego ramieniu, i wpatrywali się w rozgwieżdżone niebo.

Próbuje uzmysłowić sobie, gdzie ona teraz jest, usiłuje ujrzeć ją przy domu, jak karmi koty i pawie, jak dogląda swej winorośli. Próbuje poczuć

jej obecność, lecz jedyne, co czuje, to pustka w żołądku. Straszne, kłębiące się uczucie przerażenia.

Pociąg szarpie, więc chwyta się barierki, nogi ma opuszczone na zewnątrz. Rabin łapie go za ramię, żeby nie upaść. Rozlegają się krzyki, jacyś mężczyźni biegną, usiłując wskoczyć do pociągu, to ci sami, którzy wysiedli w Bayonne i dalej, jeszcze bardziej złachmanieni… niestety nie ma pośród nich Hansa Bellmera. To było straszne, mówią, nie dało się znaleźć schronienia ani nic do jedzenia. Tłumaczyli więc kolejnym naczelnikom stacji, że oddzielili się od swego transportu, i w końcu udało im się dołączyć do nich.

Mijają pociągi pełne pasażerów zwracających twarze ku słońcu. Francja, jaką kochają, może być martwa, ale to koniec walk. Jadą do domu. Nawet półniewidomy naukowiec wysiaduje w słońcu i się uśmiecha.

Mężczyźni, którzy wrócili, opowiadają historie; wypełniają puste miejsca. Okazuje się, że koniec końców Niemcy nie doszli do portu w Bayonne. To szepty z ich pociągu zapoczątkowały tę plotkę. Ich komendant telefonował do kolejnych stacji w poszukiwaniu jedzenia. Kiedy w jednym miejscu nie mogli spełnić jego żądań, dzwonił do kolejnego. Zawsze z tym samym tekstem:

– Przyjeżdżam z dwoma tysiącami *Boches*. Czy możecie nas nakarmić?

I tak plotka zataczała coraz szersze kręgi. Niemcy nadciągają. Pociąg widmo nastraszył sam siebie. Ale w dobrym kierunku, Maks jest rad, że nie ruszył w stronę granicy.

Powietrze pachnie suszonymi trawami, polami, dalą i dawnym upałem; wkrótce też widzą już Morze Śródziemne, granatowe i połyskujące. Dokąd ich jednak wiozą? Z powrotem do Les Milles? Południe Francji jest nieokupowane, lecz jeśli hitlerowcy dowiedzą się o nich, Francuzi będą zmuszeni ich wydać. Mężczyźni debatują, lecz wkrótce rezygnują. Świeci słońce, jest ciepło, jest morze, a kiedy przychodzi ich kolej, by usiąść, kilku mężczyzn gra nawet w karty, rozkładając je na kolanach.

Max zachowuje swoje plany dla siebie. Nie wróci do Les Milles, jeśli okaże się, że właśnie tam jadą. Nie wróci do żadnego obozu. W kieszeni płaszcza ma suchary, kawałki sera i salami. Pozwala opaść powiekom. Będzie oszczędzał energię jak tylko się da. Wymknie się nocą.

Na rozjeździe do Les Milles pociąg jedzie na północ, w stronę Nîmes, i jeszcze bardziej zbliża się do Saint-Martin. Okrąża Nîmes i zatrzymuje się na bocznicy, w polu, kilka kilometrów od miasta.

Wytaczają się z wagonów, nad głowami mają gorejące niebo. Rozpraszają się po polu usianym kamieniami. Kładzie się i wpatruje w kolory, które przyswaja jak substancje odżywcze. Zmieniające się chmury na tle kobaltu nieba. Żółć indyjska. Pomarańcz kadmowa. Karmin.

Jutro, powiada komendant, postawią obóz. Dzisiaj jednak mają prawo spać pod gwiazdami. A kawałek dalej przy tej drodze jest gospodarstwo, gdzie znajdą wodę, mleko, wino.

– Ale nie próbujcie uciekać – skrzeczy schrypniętym głosem. – Żandarmeria wie, że tutaj jesteśmy. Sprowadzą was z powrotem, jak tylko was dostrzegą.

Rusza drogą z resztą mężczyzn. Za mleko i wino trzeba płacić, ale woda jest za darmo, zimna, ze studni. Pije, ile może.

Skwar dnia zniknął razem ze słońcem; mężczyźni owijają się kocami i kładą w polu. On też się kładzie. Poczeka, aż wszyscy usną. Lecz leżenie na płasko na ziemi jest zbyt piękne i za każdym razem, kiedy się zmusza, by otworzyć powieki, same się zamykają.

Budzi się pod rozświetlonym niebem i zrywa na równe nogi pewien, że przegapił szansę.

To tylko księżyc, niewidzące żółte oko, latarnia. Zapina płaszcz, zostawia koc na polu i skrada się między mężczyznami. Następuje na gałąź, która się łamie. Zamiera, widzi, jak jeden z mężczyzn siada. To jeden z młodych Austriaków, który ziewa tak przekonująco, że Max czuje przyciąganie ziemi, nagły zawrót głowy, i zastanawia się, czy nie powinien położyć się i jeszcze trochę pospać.

– Jedziemy? – Głos chłopaka jest zaspany, brzmi jak dziecięcy.

– Ja tylko na stronę po trochę prywatności. – Max wskazuje w innym kierunku niż pociąg, niewyraźnie, a chłopak przewraca się na bok i zasypia na nowo.

Wydłuża krok i wkrótce idzie ścieżką, która pod górę stromego zbocza prowadzi w kierunku Gwiazdy Polarnej. Jeśli uda mu się nadal kierować na północ, odnajdzie Loarę, ich rzekę, a stamtąd dotrze do Saint-Martin. Jeszcze raz rzuca spojrzenie na długi, szary pociąg, na liche bydlęce wagony, którymi odbyli najgorszą podróż życia. I wszystko po to, żeby wrócić do punktu wyjścia. Wszystko niepotrzebnie.

Lecz niebo nad nim jest czyste. Po raz pierwszy od miesiąca jest sam, oddycha chłodnym i świeżym powietrzem. A kiedy słyszy odległy dźwięk

capstrzyku, dźwięk, który co rano budził ich w Camp des Milles, ze szczytu wzgórza schodzi właśnie do doliny, która wypełnia się śpiewem ptaków.

Niebo się rozjaśnia. Latem rolnicy wstają wcześnie. Ma niecałą godzinę, nim będzie musiał zacząć się kryć. Przyspieszając kroku, potyka się o kamień, ociera sobie dłonie, kolano. Staje na nogi i rusza dalej, mruży oczy oślepiony wstającym słońcem, trzyma się skraju pól. Je suchara, powoli. Podjada ser, ssąc go jak lizaka, starczy na dłużej. Jest zmęczony, bardzo zmęczony, a dzień już jest gorący.

W cieniu jaworu rozkłada płaszcz na miękkich starych liściach. Kładzie się, przykrywa spadłymi liśćmi, jakby otulał się kołdrą – sztuczka, której nauczył się jako chłopiec, kiedy wymykał się z domu i chował w lesie – i zasypia.

O zmierzchu kieruje się na północ, ku Saint-Martin. Może mu to zabrać cztery dni, a może tylko trzy, jeśli będzie w stanie iść nocą. Zjadł resztę sucharów i salami i nadal jest słaby, a teraz jeszcze spragniony, strasznie spragniony. Powietrze jest suche i cały dzień, kiedy drzemał, wysysało mu wilgoć z ust.

Chwycił go skurcz w stopę i łydkę, przystaje więc, by je rozmasować, po czym rusza dalej. Wybiera dróżkę w pobliżu szosy, ścieżkę dla zwierząt, a kiedy widzi światła samochodów, kuca w krzakach i czeka, aż auta przejadą. Nie widział żadnych żandarmów, ale każdy obywatel Francji mógłby go wydać. Szkielet w łachmanach, wygląda jak uchodźca, którym de facto się stał. Człowiek szukający schronienia, człowiek, który nade wszystko pragnie znaleźć się w domu.

Kierując się gwiazdami, idzie na północ przez pola, wchodząc i schodząc ze wzgórz. Przypatruje się Wielkiej Niedźwiedzicy i Lwu i dochodzi do wniosku, że jego dziewczynka miała rację. Niedźwiedź bardziej przypomina wielkiego kota, a lew wygląda jak ślimak. A ponieważ jest z dala od jakiegokolwiek miasta, cień dryfujący wśród cieni, jest w stanie dojrzeć nawet małego konika, Źrebię, małe, niewyraźne i samotne w ciemnym zakątku nieba.

Grudzień 1937, Paryż

W przeddzień Wigilii na rynku panował tłok. Leonora trzymała się ramienia Maksa, kiedy przeciskali się przez tłum, już to przystając przy straganach wypełnionych starociami i osobliwościami, już to przyspieszając kroku przy klatkach zięb i kanarków, papug małych i dużych, bo kupiłby wszystkie ptaki, jakie by tylko mógł, po to tylko, by wypuścić je na wolność.

– Och! – kiedy go ujrzała, stanęła. Przeszły ją ciarki, włoski na rękach się zjeżyły. To był biały drewniany koń na biegunach, taki sam jak Marcepan, który stał w pokoju dziecinnym w Crookhey Hall i którego uwielbiała bardziej niż jakąkolwiek inną zabawkę.

Nawet nie próbowali się targować. Max zapłacił mężczyźnie, który wsunął banknoty do workowatych spodni, a on poniósł konia na biegunach – wczesny prezent pod choinkę – do domu. Ustawiła go obok sztalugi w dziennym pokoju i zaczęła malować, jak unosi się za nią w wielkim błękitnym pokoju z jej autoportretu. Głos, który jej towarzyszył, odkąd obejrzała *Guernicę*, szydził z niej. *Po co zadawać sobie trud malowania autoportretu? Jaki sens ma wyobraźnia, kiedy wojna niewinnym ludziom urządza rzeź? Powinnaś zrobić coś istotnego, coś, co może cokolwiek odmienić. Trwonisz czas.*

Malowała na przekór głosowi. Marcepan dodawał jej otuchy. A im dłużej malowała, tym bardziej głos słabł, aż przeszedł w szept.

Namalowała nie tylko konia na biegunach, ale też prawdziwego białego konia, który skacze przez otwarte okno. Pracowała długo w nocy, kiedy Max już spał.

Było już dobrze po trzeciej, kiedy kątem oka zauważyła jakiś ruch. Dojrzała jego odbicie w oknie. Ot, biały przebłysk przemykający przez pokój i znikający w ścianie. Przebiegł ją dreszcz. Było tak jak tamtej nocy w przyklasztornej szkole, kiedy przeczytała w lustrze swój list i dostrzegła jednego z sidhe. Nadal czuła zapach podziemnych tuneli, ziemnych wałów. W ustach miała mleczny, słodki smak zupy. I słyszała głos sidhe, który ją nakarmił.

– Wrócisz, kochanie – oznajmił. – Zjadłaś zupę.

Rozejrzała się po pokoju, który wyglądał tak samo jak przedtem. I wtedy do niej dotarło – w realnym życiu można je dostrzec jedynie jako refleks. Szukała w okiennym odbiciu, lecz blady przebłysk zniknął. Kiedy powietrze tak ochłodło? Zawinęła się w sweter i przyjrzała obrazowi. Wiedziała już, co namaluje, i myśl o tym przejęła ją dreszczem.

Na włoskach pędzla pozostała odrobina bieli, szybko więc naszkicowała sidhe, drobny kształt obok hieny. Namalowała serce, takie jak te, które im biją pod mostkami – widziała je przez skórę. Namalowała bezbarwną krew w jego żyłach.

Kiedy podniosła wzrok, w oknach szarzało. Nakryła obraz płachtą i wsunęła się do łóżka obok Maksa. W południe przyjdzie Fini, potrzebowała więc odrobiny snu.

W progu stała Fini w kardynalskiej szacie, z koszykiem w ręku; wyglądała jak Czerwony Kapturek. Podała Leonorze koszyk. Ze środka dobiegł stłumiony ryk, a kiedy Leonora uniosła wieko, ujrzała maleńkiego tygrysa – rudego kotka.

– Jedno z kociąt Atheny – wyjaśniła Fini. – Choć bardzo bym chciała, nie mogłam ich wszystkich zatrzymać.

– Chłopczyk czy dziewczynka? – Wyjęła kotka z koszyka i obróciła, żeby zobaczyć.

– Dziewczynka oczywiście. Nie żebym miała coś przeciwko chłopcom, ale kotki są najlepsze.

– Nazwę ją Woolf.

– *Loup*?

– Woolf. Od Virginii. – Leonora przytknęła nos do maleńkiego zimnego noska. Kocię zaplątało łapkę w jej włosach i potrząsnęło nią, żeby ją uwolnić. – Wiem, że nie znasz angielskiego, ale byłabyś zachwycona *Falami*.

– Powinnaś to dla mnie przetłumaczyć.

– Nigdy nie będę dość dobra!

– Opowiedz mi zatem fabułę.

Leonora uśmiechnęła się.

– To nie jest ten rodzaj, który da się opowiedzieć.

Woolf pacnęła ją w rękę i wskoczyła pod kanapę.

Fini wyswobodziła się z szaty i naga stała w kuchni jedynie w szpilkach.

– Te suknie ciężko się pierze, a kurczak bryzga – wyjaśniła, wyjmując z torby oskubane kurczaki. – Daj mi najostrzejszy nóż. – Leonora podała jej rzeźnicki nóż, a ona cisnęła kurczaka na deskę do krojenia i zaczęła kroić jego gumowate mięso.

Kiedy Leonora przyjechała do Paryża, Max przygotował dla nich wyśmienitą paellę. To jednak, jak się przekonała, był wyjątek, i niedługo potem zaczął oczekiwać kolacji.

– Nie rozumiem, jak kobiety sobie z tym radzą – zwierzyła się Fini. – Jak sprzątają, gotują i jeszcze znajdują czas, żeby malować?

– Spójrz na to twórczo – odparła Leonor. – Kiedy sprzątasz, przygotowujesz scenografię, w której rozegra się cudowna sztuka, historia twego życia, *ma cherie*. Kiedy gotujesz, jesteś alchemiczką. Jesteś czarownicą. Garnek na kuchni jest twoim kotłem. Max raz jest, raz go nie ma, tak? A to jest twoje królestwo, ty tu rządzisz. Naturalnie ja większość czasu mieszkam z całym korowodem mężczyzn i kotów, więc nikt nie może się ode mnie spodziewać zbyt wiele.

Tak oto Fini rozpoczęła lekcje gotowania – *boeuf bourguignon*, *confit de canard*, *îles flottantes* – i Leonora z niecierpliwością wyczekiwała owych popołudni, które wypełniały piciem wina i preparowaniem magii, Max zaś wyczekiwał kolacji w rozświetlonym blaskiem świec towarzystwie obu Leonor, jak je zaczął nazywać.

Leonora nie miała nic przeciwko temu. Fini była jej bliźniaczką – pierworodną i silniejszą z pary. A w jej towarzystwie ona była Carrington, beztroską i upartą. A poza tym zawsze, gdy Leonora i Max wychodzili coś zjeść do miasta, istniała możliwość, że pojawi się Marie-Berthe i wszystko zepsuje. Kierując się jakimś szóstym zmysłem, wyczuwała jego miejsce pobytu jak świnia trufle. Tak właśnie myślała o niej Leonora, jak o świni węszącej w błocie albo o więziennym klawiszu, z wredną desperacją przetrzymującym Maksa. Ledwie w zeszłym tygodniu w Le Deux Maggot Marie-Berthe zaczęła wrzeszczeć i rzucać w nią filiżankami do kawy. Max kazał żonie wracać do domu, a Leonorę mocno objął ramieniem. Patrzyli, jak odchodzi, powłócząc nogami w szpilkach. Teraz wie, że powinna jej była współczuć. Ale cała się trzęsła, jakby miała się wyswobodzić z uścisku, chwycić ją za włosy i… i co? Do jakiej przemocy byłaby zdolna?

– Wiesz, on wciąż się z nią spotyka. Z Marie-Berthe – powiedziała Leonora, rozlewając do dwóch kieliszków dobre bordeaux. Zakręciła czerwonym winem, tak jak jej pokazał Max, i uniosła kieliszek do nosa. Skóra,

czekolada. Sącząc trunek, wyczuła w nim jeżynę i dym. – Boi się, że jeśli nie będzie jej miał na oku, ona odbierze sobie życie. Ma pistolet…

– Może ty powinnaś teraz wziąć się do krojenia – zaproponowała Fini. – Dobrze tak sobie rąbnąć.

Leonora zdjęła białą bluzkę i spódnicę i przewiesiła je przez krzesło. Z impetem zaczęła kroić. Leonor miała rację. Przyjemne uczucie. Udko wystrzeliło przez blat, skrzydełko ześlizgnęło się na podłogę. Razem z innymi kawałkami Fini położyła je na patelni, roztopiła masło i dodała *lardons*, pokrojony w kostki boczek, dla smaku. Dodała do kurczaka czerwonego wina, aż ich twarze i piersi spowiła para.

Do skwierczącego kurczaka Fini dodała grzybów.

– Odkąd go znam, zawsze miał w tym samym czasie więcej niż jedną kobietę. Taki już jest.

– Mówi, że kocha mnie. – Zdała sobie sprawę, że brzmi to desperacko, więc spróbowała pokryć to śmiechem. – Tak czy owak to nic innego, jak burżuazyjne pojęcie miłości, które każe mi chcieć go dla siebie.

Fini przykryła kurczaka, odwróciła się i wzięła ją za rękę.

– Chcemy, czego chcemy. A teraz pokaż mi ten obraz.

Okna zaszły mgiełką pary, a w mieszkaniu roztaczał się zapach kurczaka i wina. Unosząc płachtę skrywającą autoportret, Leonora wstrzymała oddech. Nikomu go jeszcze nie pokazała, nawet Maksowi.

Fini pokiwała głową, objęła ją ramieniem i obie przyglądały się namalowanej kobiecie, tej drugiej Leonorze, którą Carrington wydała na świat, tej, która śmiało oddawała spojrzenie i zdawała się nie potrzebować niczego od nikogo.

Usłyszała pobrzękiwanie kluczy i Max otworzył drzwi. Podskoczyła, jakby schwytano ją na gorącym uczynku, choć wcale na nie nie patrzył. Ruszył prosto do sypialni, trzymając coś w rękach. Szybko zakryła obraz. Nie zamierzała pokazywać go Fini, dopóki Max go nie zobaczy, i zastanawiała się, czy nie będzie mu przykro. Ale dlaczego podskoczyła, kiedy wszedł, dlaczego poczuła się jak dziecko?

Fini położyła jej rękę na plecach, dokładnie na tylnych drzwiach do jej serca.

– Carrington – rzekła.

I Leonora odetchnęła, a w klatce piersiowej poczuła słońce. Jasne i ciepłe, nawet w grudniu. A oddychając tym światłem, czując, jak promienieje przez nią i przenika mieszkanie, Paryż i cały świat, przypomniała sobie,

kim jest. Że twardo stąpa po ziemi. Że jest mocarna. Że jest klaczą, która idąc ścieżką nad przepaścią, koncentruje się na ścieżce i nawet nie zauważa przepaści. Jest Carrington.

Max wszedł w świeżej koszuli ze spinkami do mankietów. Kiedy je ujrzał, nagą i prawie nagą, chłonął całą scenę, uśmiechając się szeroko. Otworzył butelkę likieru Pernod i nalał wszystkim po kieliszku.

– Za zdrowie dwóch Leonor! I mojej Leonory, mojej miłości, mojej dziewczynki.

Wypili zielony trunek i pocałowali się. Jej język był odrętwiały, przez co dotknięcie jego języka sprawiało dziwne wrażenie. Pozbawiony smaku był w całości kształtem – jak rysunek lub obraz w czerni i bieli. Mogłaby go całować godzinami, ale Fini stała tuż obok, przypatrując się z taką intensywnością, że policzki Leonory zapłonęły.

Max nastawił victrolę. Głos Josephine Baker pulsował, żywy i beztroski. *Wszyscy podkochują się w mojej ukochanej, ale ona kocha tylko mnie.* Z fałd zasłon wybiegł kociak; Leonora go podniosła.

– Max, poznaj Woolf – powiedziała.

A on dał Woolf buziaka, udrapował ją sobie na głowie i tańczyli tak we trójkę; jak mała rodzina, pomyślała.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Fini wskoczyła w swą czerwoną szatę, Leonora włożyła koszulę i spódnicę, a Max wprowadził kobietę, wysoką i atrakcyjną.

– Rose! – zakrzyknął. Objął ją sztywno i poklepał po plecach.

Fini poprowadziła gościa prosto do obrazu Leonory. Zdjęła zasłonę, a Leonora poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Spojrzała na Maksa, ale wyglądało na to, że ani trochę nie przejął się tym, że oglądają obraz przed nim. Czyżby nie był ani odrobinę ciekawy?

– Nadzwyczajny, *n'est-ce pas*? – spytała Fini.

– W rzeczy samej – potwierdziła kobieta. Głos miała niski, akcent amerykański.

– Carrington, to jest Rose Sevry – przedstawiła ją Fini.

Rose ujęła jej dłoń w swe przyodziane w białe rękawiczki ręce i pocałowała ją.

– Po prostu musisz powiesić swoje prace na naszym pokazie, kochana.

– Och, bardzo bym chciała – odrzekła Leonora, ale wpatrzona była w Maksa, który przyglądał się jej obrazowi i nie odezwał się ani słowem.

Próbowała wyczytać coś z wyrazu jego twarzy, lecz jego twarz pozbawiona była wyrazu.

Podał Rose kieliszek pernoda.

– Dopijcie. Wychodzimy.

– Ale zrobiłyśmy *coq au vin*! – zaoponowała Leonora.

– Będzie świetne śniadanie. Jest Wigilia! Wszyscy ruszą w miasto.

– Łącznie z twoją żoną.

– Wszyscy z wyjątkiem Marie-Berthe, ona ze swoimi rodzicami idzie na pasterkę.

– Pójdę na chwilę – oznajmiła Leonor – ale potem spotykam się z moim Włochem. To nasze pierwsze wspólne Boże Narodzenie, a on ma dla mnie jakąś niespodziankę.

– Ach! Tak! Niespodzianka – rzucił Max. – Co ty na to, kochanie?

– Nie powinniśmy zaczekać do rana?

Taka była tradycja w jej rodzinie. Prezenty wręczało się z rana.

– Prezenty – powiedział po angielsku – najlepsze są już, teraz [1].

Angielska gra słów. Nie mogła się nie uśmiechnąć.

Usiadła, zamknęła oczy i dał jej do rąk coś, co sprawiało wrażenie dużego płótna.

– Otwórz oczy – poprosił.

Dwa konie zbiegły ze wzgórza. Zwarły się w zakręconym, szaleńczym uścisku. A w narożniku zwieszało się biało-złoto-zielone kółko. To obrączka, uświadomiła sobie, niezdolna się odezwać.

– Ma dziesięć lat, ale należy do ciebie. Zawsze należał. – Oczy mu jaśniały. – To *Oblubienica Wiatru*. Jak ty. Tylko nie wiedziałem, że istniejesz.

Ucałowała jego wilgotne policzki.

– To najlepszy prezent na świecie – powiedziała, chcąc zostać z obrazem, dokładnie go obejrzeć, ale Fini i Rose były już za drzwiami. Więc ona i Max chwycili płaszcze i pospieszyli za nimi.

– Co myślisz o Marcelu? – szepnął Max, kiwając głową w kierunku schodzącej przed nimi po schodach Rose.

– To facet?

Max roześmiał się tym swoim donośnym śmiechem, który zazwyczaj uważała za bardzo zaraźliwy.

– To, moja droga, jest Marcel Duchamp.

Klatka schodowa zawirowała. Wypity na pusty żołądek likier uderzył jej do głowy. Przywarła do ramienia Maksa. Właśnie podarował jej obraz, ale myślała jedynie o tym, dlaczego ani słowem nie odezwał się na temat jej obrazu. Zaledwie wczoraj powiedział jej, że nie może się doczekać, żeby go zobaczyć, a teraz, kiedy go już ujrzał – milczy.

Szli chodnikiem, noc była zimna i czysta.

– Gniewasz się? – zapytała, gdy pozostali byli za daleko z przodu, żeby usłyszeć.

– Dlaczego miałbym się gniewać?

– Pozwoliłam jej pierwszej zobaczyć mój obraz.

– Jest Wigilia. Nikt nie może się gniewać w Wigilię.

– To nie jest prawdziwa odpowiedź – powiedziała i równie dobrze mogła na tym poprzestać. Musiała jednak zapytać – Ale co ty o nim sądzisz?

– Trzeba mi więcej czasu, żebym mu się przyjrzał, ale jestem zachwycony!

Przyciągnął ją do siebie i szli teraz równym krokiem. Jego odpowiedź, pomyślała, jest za szybka. Musiała wiedzieć, co naprawdę myśli.

Les Deux Magots skrzył się szampanem, światłem świec i śmiechem czerwonych od trunku artystów wydających pieniądze, których nie mieli. Paul w odprasowanym ciemnym garniturze miał na głowie nisko osadzony melonik. Leonorę uderzyło, jak znakomitą parę tworzą z Nusch, która ubrana była w suknię z kremowego atłasu, a oczy miała uczernione.

– Rose! – zawołała.

Cmoknęły się w policzki, po czym Rose, Max, Fini i Leonora wsunęli się do boksu.

Zamówili wędzonego łososia i ostrygi, *foie gras*, *dinde au marrons* (nadziewanego indyka z kasztanami), *buche de Noel* i mnóstwo butelek szampana.

– Kochana – Rose zwróciła się do Nusch – uwierz mi, właśnie widziałam prawdziwą gratkę. Autoportret Leonory z koniem i hieną. Musi pojawić się na pokazie. Będziesz zachwycona.

– Masz coś jeszcze? – spytała Nusch. – Na wystawę musisz mieć dwie prace.

– Pracuję nad czymś – bąknęła, chociaż wcale nie pracowała, jeszcze nie.

Przy wejściu pojawił się Breton, z grzywą przylizaną do tyłu, z ramienia zwieszała mu się wysoka blondyna. Paul poderwał się i ucałował oboje.

– Jacqueline, André, dołączcie do nas, proszę.

– *Bon soir* – przywitał się Breton, nie patrząc na Fini ani na Rose, którą (jak się Leonorze zdało) wolał jako Marcela. – Nie chcemy sprawiać kłopotu. Znajdziemy sobie stolik.

Leonor wstała.

– Muszę już iść. Powinno być sporo miejsca.

– Za mało dla ciebie tutaj homoseksualistów? – Uśmiech miał przyklejony, oczy mu lśniły.

– Weź się odwal, André – odrzekła słodko Fini, odwróciła wspaniałą głowę i ruszyła w wieczór, zamiatając szatą podłogę.

Breton i blondynka – „Moja żona Jacqueline", przedstawił ją Leonorze – wcisnęli się za stolik. Max napełnił im kieliszki. Wznosili toasty i pili, lecz szampan nie zdał się na wiele, by poprawić nastrój Bretona. Jak na ten wieczór, jego emocje miały nieodpowiedni odcień. Były zbyt nasycone, by zachować równowagę, więc skupił na sobie wszystkie oczy.

– Ta kobieta. Powiedzcie mi, że jej obrazów nie będzie na pokazie.

– No cóż… – mruknęła Nusch i dopiła szampana.

– Już kiedyś z tobą wystawiała – rzuciła Rose. – Nie widzę powodu, dlaczego teraz nie powinna.

Max opróżnił szampana do kieliszka Leonory.

– Zamówmy następnego – zaproponował.

Policzki Bretona zaróżowiły się, oczy mu płonęły.

– Jeśli ta kobieta znajdzie się na wystawie, ani ja, ani surrealiści nie będą mieli z nią nic wspólnego.

– W porządku – rzekła Rose. – Jestem pewna, że ona też wolałaby z tobą nie współpracować.

Ponieważ Leonor postawiła się Naczelnemu surrealizmu, ponieważ nie była uległa jak jego urodziwa żona, nie będzie mogła wziąć udziału w pokazie? Leonora jednak nie mogła zdobyć się na to, by coś powiedzieć. Cóż miałaby rzec, kiedy najbardziej na świecie pragnęła, by jej własne prace zawisły obok ich obrazów?

Sala była słabo oświetlona i cuchnęła węglem. Worki na węgiel wypełnione gazetami zwieszały się z sufitu jak brudne stalaktyty, a drobny czarny pył co rusz osypywał się w dół. To pomysł Duchampa, by sala przywodziła na

myśl pieczarę, łono, z tą różnicą, że brudne i złowrogie. Groźne. Podłoga pokryta była błotem i zwiędłymi liśćmi, a w narożniku, z łóżka wyrastały paprocie i porosty. To łoże na dnie grzęzawiska, na dnie snu – otoczone cieniami, które i Leonorę trzymały w swym kręgu, z minuty na minutę coraz bardziej go zacieśniając. Max objął ją ramieniem i wypuściła powietrze, ale jak miałaby się rozluźnić? To jest wystawa surrealizmu, a jej obrazy są częścią ekspozycji.

Stała w szeregu artystów – Dali, Miró, Giacometti, Hans Bellmer, Remedios Varo, Man Ray oraz Meret Oppenheim, która, jak jej powiedziała Leonor, była kolejną eksflamą Maksa. Oparci o ścianę czekali. Szalony śmiech, który Breton nagrał w szpitalu dla obłąkanych, wybuchał hałaśliwymi salwami z ukrytego patefonu. Zapach palonej kawy spowodował, iż powietrze zrobiło się gęste i cierpkie. Było tuż po dziesiątej i drzwi na wystawę powinny już zostać otwarte. Ludzie miną *Deszczową taksówkę* Dalego zaparkowaną w samym wejściu – manekin-szofer przyodziany w maskę rekina, a manekin-pasażerka w mokrej sukni z żywymi ślimakami na szyi. Przejdą przez salę manekinów – każdy zaprojektowany przez innego surrealistę.

Krew pulsowała jej głośno, gdy do sali poczęła wlewać się strużka kobiet i mężczyzn wymachujących latarkami i oświetlających kolejne ściany pełne dzieł sztuki. Podsufitowe oświetlenie Mana Raya nie zdało egzaminu, więc poszedł wczoraj do miasta i wykupił wszystkie latarki, jakie udało mu się znaleźć. To jeszcze bardziej podkreśli uczucie niepokoju, powiedział. I oto wlewają się widzowie i świecą latarkami po sobie, by zobaczyć, kto jeszcze jest w tłumie widzów. Smuga światła uderzyła ją w twarz i równie szybko pozostawiła ją w ciemności. Max ostrzegł ją, że będzie tłoczno. Zaproszenie obiecywało psy latające po niebie, histerię i inne osobliwości. Po Paryżu poszła fama… ludzie chcieli zobaczyć, do czego tym razem posuną się ci zdegenerowani artyści. Max przycisnął ją sobie do boku.

– W każdej chwili – wyszeptał.

– Narzucone szaleństwo, kochanie, ot, co – usłyszała głośne słowa jakiejś kobiety. Światło padło na jej obraz *Konie lorda Candlesticka*. To jednak, co ujrzała, to obraz wiszący obok jej pracy, *Las Almas de los Montes* Remedios Varo. „Dusze wzgórz”. Wieże pośrodku miały ludzkie twarze i ciągnęła się między nimi linia, zakos dymu, oddech górskich dusz. Leonora pożałowała, że nie zatrzymała delikatnego wizerunku sidhe na

swoim autoportrecie, zamiast go wymazać w gniewie po tym, jak Max powiedział jej, że według niego to nie działa. Dlaczego nie zaufała sobie?

– *Maintenant* – rzekł Man.

Max trącił ją łokciem; włączyła latarkę. Jak na komendę skierowali światło latarek na łóżko. Wyskoczyła aktorka. Szarpnęła za łańcuchy owinięte wokół jej ciała, i wydała tak długi, rozdzierający krzyk, że Leonora wystraszyła się, iż któryś z worków do węgla może spaść. Aktorka wybiegła z sali, w której zapanowała cisza. Wyłączyli latarki i w ciemności Leonora trzęsła się w swej sukni z nisko wyciętymi plecami. Słyszała bicie swego serca, tak głośne, że myślała, iż Max również je słyszy, lecz kiedy wyciągnęła do niego rękę, już go nie było.

Ktoś wpadł na nią i oderwał od ściany, i chwilę później przemieszczała się z resztą tłumu… ludzi było tak wielu, że nie mogła oddychać. Brakowało powietrza, a węgiel powodował, że czuła pieczenie w nosie. Zaczęła kaszleć i pocić się, i wyciągnęła przed siebie ręce, chcąc znaleźć oparcie, by nie upaść.

Wtedy jej rękę ujęła czyjaś chłodna, drobna dłoń. Kobieca ręka, usta obok jej ucha.

– Leonora. – Poznała jej aksamitny głos, jej hiszpański akcent. – Wygląda na to, że przyda ci się trochę powietrza.

To była Remedios. Spotkały się przelotnie, kiedy wieszały obrazy, ale teraz pojawiła się między nimi prawdziwa serdeczność. Kluczyły w tłumie w kierunku drzwi. Dłoń w jej dłoni, poczuła, że serce jej się uspokaja. Wzięła głęboki oddech.

Minęły aktorkę w rozdartej sukni wieczorowej, kiedy wchodziła do sali, która eksplodowała oklaskami. Szły pod prąd tłumu wzdłuż alei manekinów. W kieszeni marynarki manekina Duchampa pulsowała czerwona żarówka.

„Rose Selvy w jednym ze swych prowokacyjnych i androgynicznych nastrojów”, głosił podpis. Górna połowa odziana była w męski garnitur, dolna – naga; to była ulubiona figura Leonory.

„Surrealiści i ich lalki”, lubiła mawiać Fini.

Jakże Leonora chciałaby, żeby tu była. Fini udawała, że się tym nie przejmuje, udawała, że lepiej dla niej, że nie ma jej na wystawie. Ale ją to dotknęło. Breton wygrał. Wydawało się, że wszystkie inne kobiety spotykają się z nim w pół drogi – po części muza, po części artystka. Ale nie Leonor. I Remedios chyba też.

– Ubóstwiam twój obraz – powiedziała Leonora, pochylając się, żeby Remedios mogła ją usłyszeć ponad paplaniną tłumu. – Zawsze uważałam, że góry mają dusze.

– A ja twój! Ta hiena nawiedziła mnie we śnie. – Zanim Leonora zdołała poprosić ją, by powiedziała jej coś więcej, znalazły się na dziedzińcu przed budynkiem i Benjamin Péret, poeta i kochanek Remedios, odciągał ją na bok.

– *Cherie*, musisz poznać… – usłyszała, gdy niknęli w tłumie.

Kolejka do wejścia ciągnęła się w dół ulicy i skręcała za róg. Ruchem pieszych kierowała policja. Nigdy nie widziała niczego podobnego. Paryski szyk, niemieccy uchodźcy, grupa Amerykanek o głosach bezpośrednich i aroganckich – wszystko to przemieszane i tak pełne oczekiwań, że miała ochotę pójść sobie stamtąd. Dali pozował przed swą *Deszczową Taksówką*, a aparaty fotograficzne błyskały. Ponad zgiełkiem słyszała głos Bretona, wokół niego zebrało się stado reporterów.

– To pierwsza wystawa tego rodzaju na świecie. W której ekspozycja sama w sobie jest dziełem sztuki. Dzisiaj, przyjaciele, oglądacie przyszłość sztuki!

Dojrzała białe włosy Maksa i poczuła dreszczyk, jak zawsze na jego widok, a równie szybko i nagły przypływ ulgi. A potem spostrzegła, że rozmawia z Meret, z takim ożywieniem i intensywnością, że na sam ich widok zrobiło jej się niedobrze. Odwróciła wzrok. Co się z nią dzieje? Dopóki nie zeszła się z Maksem, nigdy nie była zazdrosna, nie wiedziała nawet, co to za uczucie. Błysnęła lampa jakiegoś aparatu. Ujrzała swoje odbicie w oknie taksówki. Jej twarz, na podobieństwo księżyca, unosiła się nad granatową sukienką. I mogła spojrzeć przez siebie na wylot. Była przezroczysta.

Zapaliła papierosa, przecisnęła się przez tłum. Potrzebowała powietrza i wkrótce złapała się na tym, że idzie. Dlaczego Max miałby chcieć być z nią, skoro mógłby być z Meret? Pokrycie tej filiżanki, spodka i łyżeczki futerkiem chińskiej gazeli było genialne. Jej praca była rewolucyjna. Za sprawą futerka filiżanka i łyżeczka stały się takie erotyczne i takie c i e p ł e, pomyślała Leonora. Trzęsła się i żałowała, że nie zabrała płaszcza.

Ale doszła już niemal do Sekwany. Musiała zejść nad rzekę. Woda zawsze wpływała na nią kojąco i dawała jej poczucie pełni, a tego teraz potrzebowała. Zeszła po cuchnących moczem cementowych schodach nad wolno płynącą rzekę, która w świetle lamp była szara. Martwa rzeka, pomyślała, szkoda. Żadnych ptaków, drzew czy węży wzdłuż jej brzegów.

Nie taki miał być Paryż. Uwolniła się od ojca. Tworzyła sztukę i wystawiała ją razem z artystami, których podziwiała najbardziej. Powinna czuć się szczęśliwa z tym wszystkim, co Max mógł jej zaoferować. I darować sobie to, czego nie mógł. Zdusiła butem niedopałek papierosa i zapaliła kolejnego. Przechadzała się wolno i dotarło do niej, iż ma nadzieję, że będzie mu jej brakowało, że będzie się zastanawiał, dokąd poszła, i że będzie się martwił.

Kurwa mać. Wcale nie jest lepsza niż Marie-Berthe. *A to we mnie jest zakochany*, przypominała samej sobie. *Mnie jeszcze nie porzucił dla kobiety o dekadę młodszej*. Jak mogłaby się poczuć za dziesięć lat, gdy po tym, jak kompletnie zatraciłaby swoje „ja", on by ją porzucił? To było niedorzeczne. Zachowuje się jak nadąsane dziecko. Wróci. Max może sobie rozmawiać, z kimkolwiek zechce. Ona jest ponad to.

Odwracając się od brudnej rzeki, pomyślała o Lambe Creek… o bujnej wolności tego miejsca, o długich letnich dniach i o tym, jak dokazywali, o tym, jak Max był tylko jej. A gdyby tak wyjechać z Paryża i wieść wspólne życie w miejscu takim jak Lambe Creek? Na samą myśl poczuła podekscytowanie. Zawróciła; weszła po schodach, a potem szybkim marszem ruszyła chodnikiem w otaczającym ją chłodzie.

Ulice były puste. Musiało być już po północy. Nie zdawała sobie sprawy, że odeszła tak daleko. A potem usłyszała za sobą kroki, stukot szpilek. Kobieta idąca równie szybko jak ona. Przyspieszyła kroku; kobieta uczyniła to samo. Skręciła za róg, lecz *klik-klik-klik* podążyło za nią. To Marie-Berthe, domyśliła się w mig, skóra jej ścierpła. Nie musiała widzieć jej twarzy. Domyśliła się z tempa, w jakim pospiesznie stawia niewielkie kroki. W kieszeni swego futra z norek Marie-Berthe ma pistolet, palec trzyma na spuście. Leonora usłyszała szczęk metalu, kiedy odbezpieczała broń. Jeśli to koniec, spojrzy jej w twarz. Spojrzy śmierci prosto w oczy.

Zatrzymała się i rozejrzała. Chodnik za nią był pusty. Nie było tam nikogo.

1. Ang. *Presents are best in the present.* [wróć]

Czerwiec 1940, południowa Francja

Zanim wzejdzie księżyc, gardło Maksa jest tak suche, że nie może przełykać. Mięśnie łydki skręciły się w twardy, bolesny węzeł. Powłóczy nogami, a oczy ma na wpół zamknięte, kiedy się poddaje. Na kolanach przyciska czoło do miękkiej ziemi.

I wtedy słyszy coś, co brzmi jak pohukiwanie sowy. Podnosi głowę, by posłuchać, wyczuwa w bryzie wilgoć. Czy to możliwe? Gard? Wstaje i jakimś cudem idzie, przez sięgające kolan trawy biegnie w stronę zapachu, w dół doliny. Sowa nurkuje, po czym wznosi się w czyste niebo, a z dzioba coś jej zwisa. Śledzi tor jej lotu i zapach… woń mokrej gliny i pokruszonych liści.

Szum rzeki jest piękniejszy niż wolność. Nawet cichy, rozpłomienia się w uchu, nadaje blask każdemu nerwowi, każdej komórce. Wreszcie widzi, jak w ciemności pobłyskuje woda, obiekt pożądania, wytęskniony, śpiewa, gdy przepływa nad niskimi głazami. Z tej odległości to czarna grzywa jego dziewczynki, migocząca srebrnymi rybami, gwiazdami i cząstkami księżycowego światła. A jeśli rzeka to jej grzywa, jego dziewczynka jest ogromną klaczą, a on siada na jej wysokim grzbiecie, drobny na jej zadzie niczym wróbelek.

Rzeka jest powolna, płytka przy brzegach, a woda przejrzysta i zimna. Zrzuca cuchnące ubranie, wchodzi w nurt, który ścina go z nóg i zaskakuje mocą. Ciągnie jego ciało, jakby był niewiele więcej niż martwym, opadłym konarem. Płynie, manewrując, w stronę brzegu, gdzie jego stopy na nowo dotykają dna. Trzyma się kamienia na płyciźnie i pije wodę, aż duszne, zatłoczone pomieszczenia Camp des Milles oraz ścisk i fetor pociągu rozpuszczają się w muł koszmaru innej osoby, a on wychodzi z wody, potrząsa włosami i mówi sobie, że jest nowym człowiekiem.

Niektóre rzeczy są logiczne. Rzeka świeci w nocy, ponieważ świeci księżyc, a on śledzi świecące rzeczne krzywizny w górę jej biegu. Podąża za rzeką, nawet kiedy jej kierunek zbacza od geograficznej północy. Poza tym nie czuje się taki zagubiony i może pić, kiedy tylko poczuje taką potrzebę.

Lecz przede wszystkim trzyma się rzeki, bo może poczuć jej obecność. Rzeki przypominają mu o niej.

Brzeg jest kamienisty. Koszula haczy o dzikie róże i rwie się. Jest mokry, poobijany i zmęczony, prawdziwy strach na wróble, choć w porównaniu z ostatnią wojną to drobiazg.

Lata całe, gdy ktokolwiek pytał, odpowiadał, że Max Ernst umarł w 1914, a w 1918 powrócił między żywych. Próbował zapomnieć ów zapach dymu, cały ten biały dym, to, że dźwięki poruszały się w nim jak zjawy, jak upiorne ptaki. Krzyki, eksplozje, odległe jak dzieciństwo, a potem tak bliskie, że uszy skowyczały mu całymi dniami i powodowały oszołomienie, otępienie i poczucie nieobecności; skulony trząsł się w białej sali w swoim wnętrzu, pewien, iż jest martwy. Dym zionął dookoła nich, powodując, że kiedy kuśtykali po polach, stawali się częścią jednego ciała. On jednak odstawał. Trzymał się na uboczu, poszukując jakiegoś rozwiązania, wyjścia. Gdyby tylko miał skrzydła, pomyślał, kiedy eksplodował pocisk. Gdy się obudził, był sam, a ciała dookoła niego nieruchome jak kamienie; powlókł się polną drogą, aż dotarł do miasteczka, gdzie ktoś dał mu chleba i pozwolił przespać się z końmi. Zabandażowali mu twarz, rękę, lecz on potrzebował swego oddziału i lekarzy, którzy podaliby mu lekarstwo, ruszył więc w drogę, rozglądając się zdrowym okiem, aż ich odnalazł. Zmienili mu bandaże, ale nie pozwolili odejść. Nawet jednooki ma rolę do odegrania.

A potem nadeszła chwila cudowna, chwila wspaniała. Jedna jedyna tak piękna w całym tym gównie dookoła.

Dali mu worek z prowiantem dla oddziału i odesłali na front. Całymi dniami jechał pociągami z zapieczętowanym workiem. Na jakiejś stacji, kiedy godzinami czekał na następny pociąg, przypatrywał się dzieciom, matkom, ojcom, dziadkom; wszyscy siedzieli, bezwładnie wpatrując się w obojętną i nieskończoną dal pomiędzy sobą. Wszyscy otępiali z głodu, ani jednego uśmiechu. Dlaczego by nie? – pomyślał, rozwiązując worek. Rozdał kiełbasę, ser i suchary. Ktoś otworzył butelkę wina i stacja stała się widownią przyjęcia, śmiech i śpiewy, ktoś brzdąkał na gitarze.

Rzeka się rozszerza. Nad głową, na bezbarwnym niebie, chmury rumienią się, różowieją i brzoskwinieją.

Wspina się na wzgórze, by się rozejrzeć, gdzie jest; wraz ze słońcem pojawia się miasto. Nad rzeką przerzucony jest most, a na obu jego końcach

siedzą żandarmi z karabinami. Z tej odległości wydają się jedynie szarymi kleksami, lecz to, że tam są, jest równie pewne jak to, że bolą go nogi. Każdy most jest strzeżony.

Wlecze się ścieżką dla zwierząt. Przejście przez miasto jest ryzykowne, lecz jest zbyt wycieńczony, by zawrócić czy iść dookoła. Potrzebuje jedzenia… czegokolwiek do jedzenia.

Słyszy stękanie silnika. Polną drogą toczy się w jego stronę traktor, ciągnąc za sobą chmurę pyłu. Jeśli się pokaże, rolnik mógłby go zadenuncjować, mógłby go pojmać i wydać… choć nie podda się bez walki, a i – Max zwraca uwagę – rolnik nie jest najmłodszy.

Musi spróbować. Wspina się na skarpę i macha ręką. Rolnik, w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, zatrzymuje się. By móc spojrzeć w jego oczy, z których jedno jest piwne, a drugie mleczne jak kolor nieba, Max musi osłonić swoje. Przypatrują się sobie. Obcy, których łączy nieme porozumienie. Obaj brali udział w Wielkiej Wojnie i znają wielkie kłamstwo.

– *Bonjour*. – Głos Maksa jest zachrypnięty. – Czy może mnie pan podwieźć do Saint-Martin-d'Ardèche? – pyta po francusku z nadzieją, że robi to bez jakiegokolwiek akcentu, choć spędził tak wiele czasu z innymi Niemcami.

Rolnik kiwa głową. Jedzie do Aiguèze, mówi, do sąsiedniego miasteczka, podaje Maksowi rękę i wciąga go na traktor. Najwidoczniej zauważa jego słabość, zadrapania na twarzy, brudne, wyświechtane ubranie. Zdejmuje słomkowy kapelusz i wciska Maksowi na głowę. Obchodzi traktor dookoła i gestem pokazuje mu, żeby usiadł za kółkiem. Przysiada obok niego i jeszcze raz kiwa głową, nie zadając żadnych pytań, nie oczekując żadnych odpowiedzi.

Max prowadzi, a żandarm przy wjeździe na most podnosi wzrok i zawiesza na nich oczy, jakby ustawienie ostrości trwało dłuższą chwilę. W końcu decyduje, że to wieśniacy niewarci jego zachodu. Odchyla się do tyłu, czyta gazetę i pali papierosa. Może jest po prostu zbyt wcześnie na nadgorliwość. Żandarm na drugim końcu śpi wsparty na swym karabinie. Jest młody i jest w nim coś delikatnego. Max czuje dziwny impuls, by go namalować, kiedy dociera do niego, jak niezwykle przypomina jego syna. Jimmy'ego.

Wkrótce rolnik przejmuje kierownicę, a Max opycha się morelami z jutowego worka. Pijany z cukru i gorąca, zapada w drzemkę. Traktor jest niemożliwie powolny i wsłuchując się, jak wielkie koła mielą polną drogę

jak wojenna nawała, jak czas, śni, że ten rolnik z pobrużdżoną skórą i sędziwymi, sękatymi rękami wrzuca w tej diabelnej maszynerii wsteczny bieg, a miesiące i wojna też biegną wstecz, a on tym razem słucha głosu rozsądku, słucha swojej dziewczynki, i wyjeżdża, kiedy wyjazd jest łatwy.

Traktor dojeżdża do rogatek Saint-Martin o zmierzchu. Z pól unosi się ciepło, a on wyczuwa w powietrzu Loarę… gałązka mięty w miseczce ryżu doprawionego curry. Dziękuje rolnikowi, mówi mu, że stąd może już pójść piechotą. Chciałby powiedzieć coś jeszcze, ale okazuje się, że nie jest w stanie mówić. Jakby wciągnęło go pod wodę, przez chwilę nie może oddychać.

Nostalgia, nadzieja, strach? Nie było go od tygodni, tylko tygodni… sześciu? Siedmiu? Przez to, że nie ma od niej żadnych wiadomości, ma wrażenie, jakby nie było go w domu lata całe. Powiedziała, że zostanie, powiedziała, że będzie czekać… ale przy chaosie, jaki panuje w całej Francji, jakie ma prawo mieć nadzieję? A jednak, kiedy schodzi z traktora na polną drogę, kiedy podaje staremu rolnikowi rękę, widzi ją oczami wyobraźni w tej czarnej chuście miękkiej jak pajęczyna, w jej koronkowej sukni, jak pije wino i w starej kamiennej kuchni pichci coś dziwnego i nieco niepokojącego, jak bawi się w gotowanie, w prowadzenie domu. Jego angielska dziewczynka, która konwenanse i rządzące nimi zasady zna na tyle dobrze, by cisnąć je prosto na wiatr. Oni wymyślili własne zasady. Kiedy pracować (od dziesiątej do drugiej), kiedy pływać (przed dziesiątą i po drugiej), kiedy się kochać (kiedykolwiek najdzie ich ochota), kiedy i jak sprzątać (nago, latem sprzątanie zawsze odbywało się nago). To wszystko było zabawą, tak oderwaną od rzeczywistości, że aż się boi, iż to mu się tylko śniło. A sny to zdradliwe pokoje, do których niełatwo powrócić; drzwi do nich zmieniają położenie, kiedy tylko człowiek odwróci wzrok.

Odprowadza wzrokiem traktor, który toczy się w stronę Aiguèze – opustoszałego, jakby nic się nie zmieniło – i dociera do niego, że nadal ma na głowie kapelusz rolnika. Choć, być może, odrobina przebrania nie zawadzi, myśli, kierując się w stronę Saint-Martin. Brukowana ulica biegnąca przez centrum też jest w większości pusta. Nie widać żandarmów w mundurach i sztywnych czapkach. Ma czas. Może zabrać Leonorę i ruszyć w stronę granicy.

Na zewnątrz baru siedzi starsza para, popijając i grając w karty. Spoglądają na niego, unosząc jedynie wzrok, i wracają do gry, jakby tak czy siak

nie było na co patrzeć. Czyżby nie rozpoznawali go w tym kapeluszu? Choć z drugiej strony, to ledwie znajomi. Przez te dwa lata, kiedy Max i Leonora mieszkali tutaj, mieszkańcy miasteczka przypatrywali się im z bezpiecznej odległości. Być może potraktowaliby go z mniejszą obojętnością, gdyby Leonora była innym typem kobiety – szeroka w biodrach, z obfitym biustem i grubymi kostkami i, przede wszystkim, gdyby była mu bliższa wiekiem. Potyka się na kocim łbie; głupotą było myśleć, że może sobie iść tą drogą jak kiedyś, był jednak zbyt zmęczony, by nadal się ukrywać.

Po raz drugi wtrącili go do Camp des Milles w charakterze podejrzanego. Ktoś na niego doniósł, ktoś z tego miasteczka, twierdząc, że wysyła Niemcom sygnały świetlne. Sygnały świetlne. Niedorzeczne. Dlaczego miałby wysyłać sygnały ludziom, którzy pragną jego śmierci?

Skóra na karku szczypie. Miasteczko jest zbyt wyludnione jak na czerwiec. W mieszkaniach nad sklepami okna zamykają się z trzaskiem. Za koronkowymi firankami przesuwają się cienie.

Patrzy przed siebie, tak dobrze znana pochyłość drogi… i te zapachy: rozmaryn, bazylia, oregano. Przez chwilę znowu znalazł się w lecie trzydziestego dziewiątego, jak gdyby ten koszmar ostatniego roku w ogóle się nie zdarzył. Mógłby wracać z wyprawy do sklepu, z torbą mąki pod pachą. Wyobraża sobie jej twarz i przyspiesza kroku. Jej oczy, żywe, ciemne jak las w nocy. Usta z wygiętymi ku górze kącikami, jakby myślała o czymś, co by człowieka zszokowało i rozbawiło, gdyby uznała, że ów ktoś jest wart, by to usłyszeć. Jej włosy, długie i rozwichrzone, założone za uszy, uszy, które lśnią jak muszle niewielkich słuchotek, a w nim wzbudzają żal, że nie jest lepszym poetą.

Ich dom stoi na skraju miasteczka, w pobliżu rzeki, gdzie wciąż widoczne są ostatnie promienie słońca. Drzewa oliwne, kamienne stopnie i ściany z wykrzywionymi w grymasie cementowymi strażnikami – kiedy lepił ich własnymi rękami, sprawili, że poczuł się, jak jakiś obłąkany bóg – wszystko to, całe to piękne miejsce migocze w świetle, jakby było wykonane z bladego ognia. Ona tam jest. Dopóty, dopóki nie wejdzie do środka, może być tego pewien. Wolno wspina się po schodach do domu; on również staje w ogniu. Zamyka oczy, by posmakować światła, i przekonuje się, że ma ono nieco mineralny posmak, jak dobre białe bordeaux.

Na horyzoncie słońce mruży oczy. Rzeka ma intensywny kolor brązowej zieleni, błękitnieją pola lawendy, żółcą się pola słoneczników. Zawsze stał w oknie swej wyobraźni i malował to, co widzi, lecz teraz chce uchwycić

ten widok. Chce wynieść sztalugę i płótno na patio. Chce namalować światło.

Popycha drewniane drzwi. Nie są zamknięte, otwierają się do wewnątrz domu.

– Nora! – krzyczy. – Leonora!

Jego głos rozbiega się we wszystkich kierunkach naraz – w górę schodów, na korytarz, do kamiennych pokoi – a on czeka, by mu odpowiedziała.

Kwiecień 1938, Paryż

Leonora otworzyła drzwi. Pablo Picasso przyszedł z dzbanem hiszpańskiego wina i kolegą.

– *Feliz cumpleanos* – rzekł na powitanie i objął ją, wtulając twarz, na dłuższą chwilę, między jej piersi. – *Por favor*, to jest Renato Leduc.

Jego towarzysz miał gładką, śniadą twarz i włosy białe jak Max.

– *Mucho gusto*. – Głos miał niski i cichy. Ujął długimi palcami jej dłoń i pocałował.

– Jest ambasadorem Meksyku w Portugalii, a tutaj prowadzi dyplomatyczne rozmowy. – Zanim Picasso wręczył jej dzban, sam spróbował wina. – Wszystko to jednak takie przymulone, nie to co Paryż, powiedziałem mu. – Upiła łyk czegoś, co smakowało jak sok domowej roboty, i podała Renatowi. – Więc przyprowadziłem go na twoje urodziny, żeby mu to udowodnić.

– W takim razie musicie wypić odrobinę pernoda. – Nalała obu po kropelce lukrecjowego napitku. Stuknęli się kieliszkami. Picasso utkwił w niej ciemne, błyszczące oczy. Roześmiała się. Cóż innego można było zrobić? Naprawdę był niepoprawny.

Na jej dwudzieste pierwsze urodziny Max wypełnił ich mieszkanie kwitnącymi gałązkami wiśni, które ściął o świcie w Ogrodzie Luksemburskim. Szarpnął się na *foie gras* z tapenadą i szampana. Zaprosił wszystkich, a ponieważ zaproszenie obejmowało również Bretona, przyjścia odmówiła Leonor.

Było ciepło jak na kwiecień, a zmierzch przyniósł sugestię zapachu jaśminu. Miała na sobie gładką białą suknię, we włosy wpięła martwego motyla, którego dostała od Leonor; jego skrzydła przecinał intensywnie pomarańczowy deseń. Max był w kuchni, kroił bagietki i nakładał jedzenie na talerze, kiedy rozległo się ciche, jakby przepraszające pukanie.

Zanim otworzyła drzwi, wiedziała już, że to Jimmy, syn Maksa. Pukał w taki sam sposób, w jaki zachowywał się w towarzystwie ojca, z bolesną nadzieją na zyskanie akceptacji. Był rok młodszy od niej, wysoki i szczupły, o oczach równie błękitnych jak oczy Maksa, lecz większych i łagod-

niejszych. Był nieśmiały, szybko się czerwienił, zwykle więc w jego towarzystwie była powściągliwa. Tym razem jednak musiała już chyba poczuć działanie trunku, ponieważ zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go w oba delikatne policzki. Zarumienił się i uśmiechnął szeroko.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział i wręczył jej żółtą różę.

Pomyślała, że doskonale się rozumieją. Oboje mają ojców, którzy – choć skrajnie różni – są kolosami.

– Jimmy przyjechał! Czas na szampana! – rzucił Max z wymuszonym entuzjazmem.

Zawsze w obecności syna zachowywał się niezręcznie. Na nowo nawiązali kontakty ledwie w ostatnim półroczu, odkąd Jimmy zaczął przyjeżdżać z Niemiec w odwiedziny do matki. Lou bowiem była Żydówką i uciekła stamtąd, kiedy hitlerowcy zaczęli wprowadzać swoje prawa.

Max napełnił kieliszki.

– Za Leonorę, która zaćmiewa księżyc! – rzucił.

Kieliszki zadzwoniły, Jimmy wypił swego szampana jednym haustem. Wydawał się wdzięczny za alkohol. Pomyślała, że to z powodu obecności Picassa jest jeszcze bardziej zdenerwowany. Oglądał *Guernicę* siedem razy, a kiedy przedstawiła go Pablowi, ściskał mu rękę przesadnie długo i musiał odchrząknąć, by wydobyć głos. *Ravi de vous ren contrer*. Miło mi pana poznać, powiedział oficjalnie i skłonił się lekko, choć była pewna, iż nie zdawał sobie sprawy z tego, że to robi.

Wkrótce pojawili się Nusch i Paul, a i Breton, który właśnie wrócił z Meksyku i nie mógł przestać opowiadać o dziwnych i wspaniałych wierzeniach tubylczych ludów, o soczystych kolorach, gorącej dżungli, i artystce Fridzie Kahlo, która jest surrealistką, nawet o tym nie wiedząc. Cały kraj, oświadczył, jest *surréaliste par excellence*.

Kiedy oznajmił, że czas na grę, rozegrali rundę „Wybornego trupa” [1]. Kolejka szła wokół pokoju, każdy dorzucał jedno słowo, nawet Renato, którego francuski był oficjalny i nienaturalny. Dla Pabla była to nowość i nie bardzo był chętny do współpracy, ale ponieważ miał już lekko w czubie, kiedy nadeszła jego kolej, włączył się, podając pierwszą rzecz, jaka wpadła mu do głowy, co zresztą było najlepszym sposobem, by wziąć udział w grze. Ostatnia osoba, która dołączała do gry, kończyła ją też, i ta rola przypadła jej. Poemat ciągnął się przez dłuższy czas. Nie chciała, by ten wieczór kiedykolwiek minął. Nabierała coraz większego przekonania do wina Pabla, a sącząc je, zdała sobie sprawę, że nigdy nie była taka szczę-

śliwa. I pewnie z powodu tego szczęścia odczuwała też przemożny strach, że cała ta radość przepadnie. Aż nadszedł koniec. Słowem tym było *cerises*, wiśnie. Stąd nie udało się już ruszyć w żadną stronę.

Max siedział cichy, niewiele w nim było z tego beztroskiego gawędziarza, jakim często bywał; usiadła na kanapie obok niego i wzięła go za rękę. Po dzisiejszej pracy miał pod paznokciami niebieską farbę. Posadził ją sobie na kolanach, objął i pocałował w szyję. Wiedziała, że to przez Picassa – bardziej rywala niż przyjaciela – sączy wino i niewiele się odzywa. Kiedy oznajmił na cały pokój, że Leonora musi przeczytać swoje opowiadanie, *Debiutantkę*, była zaskoczona, słysząc jego głos. Paul i Breton klasnęli w dłonie i zagwizdali.

– To i piszesz? – zdziwił się Pablo. – Moja droga, a czego ty nie robisz?

– Hm, nie za bardzo sprawdziłam się jako debiutantka. – Przeczytała im opowiadanie, w którym bohaterka przekonuje hienę, by poszła na bal zamiast niej. Napisała je po francusku i tych kilka slangowych słów, których użyła, Pablo przetłumaczył na hiszpański dla Renata. Meksykanin z trudem łapał powietrze, kiedy hiena zdarła pokojówce twarz, by założyć ją sobie jako maskę na bal, i spojrzał na Leonorę, jakby naprawdę mogła być hieną odzianą w twarz dziewczyny. – Jest całkowicie autobiograficzne – powiedziała.

Renato roześmiał się nerwowo i zapalił papierosa.

Nusch przyklasnęła.

– Chciałabym egzemplarz. – Zwinięta w kłębek na kanapie razem z Woolf, ze szczupłym ciałem i tajemniczymi, zielonymi oczami sama wyglądała jak kot i jak kot upiększała pokój.

– Wyjdzie w następnym numerze „Minotaure” – oznajmił Breton.

Mimo że okna były otwarte, powietrze w pokoju zrobiło się ciężkie od dymu, jakby gdzieś umarł wiatr. Jimmy wstał, żeby wznieść toast, tak się przynajmniej wydawało, ale kiedy zobaczył, że jego kieliszek jest pusty, usiadł z powrotem. Max nalał sobie czegoś innego, mocniejszego. Whiskey z lodem. Kapnął też odrobinę do kieliszka Jimmy’emu.

– Powinieneś opowiedzieć im o wystawie, którą widziałeś w drodze powrotnej do Kolonii.

Jimmy wypił i odchrząknął.

– No cóż, musiałem wrócić do Niemiec zrobić badania lekarskie do wizy do Ameryki. Otóż wysiadłem z pociągu w Hamburgu – mówił cicho. – I natknąłem się na obwoźną wystawę Sztuki Zdegenerowanej.

– Pierwszy raz, kiedy widział moją pracę w publicznym miejscu – rzekł Max. – Wyobrażacie sobie?

– Najlepsza kolekcja, jaką widziałem od lat. – Jimmy kiwnął głową w stronę Picassa. Alkohol, jak się wydawało, zadziałał.

– Moje prace prymitywne, jak mniemam.

– To było wspaniałe – rzucił Jimmy. – A *Guernica*! Mój Boże! Dzięki niej ujrzałem Dürera i Goyę w zupełnie innym świetle. – Jego poruszenie odmieniło atmosferę. Nusch powstała z kociego letargu; Renato uporał się z dzbanem wina. Leonora poczuła ciarki schodzące jej po plecach. Nie pamiętała już, kiedy rozmowa o nadciągającej wojnie nie narzuciła swej groteskowej obecności towarzyskiemu spotkaniu. – Och, i Da Vinci! – wykrzyknął.

Max zakręcił ginem w kieliszku.

– Nic świeższego? – spytał ostentacyjnie.

– Ty, twoje prace, oczywiście – wykrztusił Jimmy, znów się czerwieniąc. Dlaczego Max wprawia go w zakłopotanie? Czy musi skupiać na sobie cały podziw, nawet jeśli w pokoju znajduje się jego syn?

Breton przemierzał pokój.

– Cały czas to powtarzam. – Przystanął pośrodku. Coś w sobie miał. Kiedy mówił, wszyscy go słuchali. – Sztuka to potęga. *Guernica est formidable*. Czuje się to przerażenie, to cierpienie. I ludzie są pełni zrozumienia. Nadal nikt nie mówi o niczym innym.

Max popijał drinka w zadumie.

Pablo zapalił cygaro.

– To nie ci pełni zrozumienia wszczynają tę wojnę.

– Dlatego właśnie surrealiści muszą się sprzymierzyć z Trockim. – Palec wskazujący Bretona z naciskiem wycelował w niebo. – On wierzy w moc artysty do przeprowadzenia zmian.

– Dość o Trockim – rzucił bełkotliwie Paul, osuwając się na kanapę obok Nusch. – Dlaczego nie tworzysz po prostu sztuki? Kiedy ostatni raz napisałeś coś, co nie byłoby jakimś rodzajem manifestu? – To były jego pierwsze słowa tego wieczoru.

Breton stanął nad Paulem.

– Nie powinieneś wypowiadać się na tematy, na których się nie wyznajesz. – Choć pierś wydymało mu powietrze, w jego oczach widać było smutek.

Max wślizgnął się pomiędzy nich.

– *Mon dieu*. Toż to urodziny Leonory!

Breton zwiesił głowę i wycofał się, powłócząc nogami. – Wybacz mi, Leonoro. – Z najkrótszym skinieniem wyszedł z pokoju w głuchej ciszy.

Wyszła na balkon. Już po przyjęciu. Mogliby już wszyscy sobie pójść.

Renato oparł się o poręcz obok niej i zapalił papierosa. Gdzieś w dole ulicy miauczały bezpańskie koty. Syrena i zawodzenie, w harmonii. Czy to walka o miłość czy miłość sama w sobie, zastanawiała się, a kiedy pomyślała o Marie-Berthe, aż się wzdrygnęła.

Renato nałożył jej na ramiona swoją marynarkę.

– Naprawdę tu ładnie, co? – powiedział, ale ona mogła jedynie pokiwać głową.

Pierwszy raz w życiu nie mogła zasnąć. A kiedy już usnęła, przyśniły się jej przerażające rzeczy. Marie-Berthe wślizgnęła się do łóżka obok niej i wzięła jej włosy w swe dłonie. Delikatnie, bardzo delikatnie. Jej szepty były jak jedwab trący o jedwab. *On należy do mnie, jest moim mężem, a teraz i ty należysz do mnie*. Marie-Berthe przyłożyła usta do jej ust i Leonora nie mogła oddychać. Były pięćdziesiąt stóp pod wodą. Próbowała płynąć ku powierzchni, lecz Marie-Berthe ją trzymała. Uniosła ramię i Leonora ujrzała skrzela. Mogła pozostawać tam w dole tak długo, jak tylko chciała.

Obudziła się, ciężko chwytając powietrze. Owinęła się ramionami Maksa, chcąc wymazać jego przeszłość, chcąc by nawet nie spojrzał na inną kobietę. Chciała w niego wpełznąć, żyć w nim, dzielić jego oczy, palce, serce i płuca. To, co czuła, czyniło ją bezradną, było przeciwieństwem odwagi, a ona nade wszystko chciała być odważna. Postanowiła zatrzymać sen dla siebie.

Usiedli w słońcu przy stoliku na zewnątrz Café de Flore. Kelner nalał szampana i Jimmy, Max i Leonora stuknęli się kieliszkami musującego wina.

– Za Jimmy’ego – powiedział Max. – *Un voyage merveilleux*.

Jego syn pomyślnie przeszedł badania i nazajutrz wyjeżdżał do Ameryki.

Jakby to było zaplanowane, nadeszli Man Ray i Paul. Dostawili krzesła i zrobiło się z tego prawdziwe przyjęcie. Lou mieszkała za rogiem, Max więc ją zaprosił; dołączyła do nich i – kiedy tylko zapoznała się z Leonorą – ucałowała ją w oba policzki. Z rumianą buzią i rubasznym, beztroskim sposobem bycia Lou wydawała się odporna. Leonora uświadomiła sobie, że

choć mogłaby jej współczuć, zazdrości jej niezależności. Ale też minęły lata, odkąd Max zakochał się w Gali, a Lou zagroziła, że nie pozwoli mu już nigdy zobaczyć Jimmy'ego. Nigdy nie mogła tego pojąć, powiedział Leonorze. Tego *ménage à trois* i tego, jak oni się w tym odnajdowali. „Dlaczego ona ma mieć dwóch facetów, a ja żadnego?", miała go pytać.

Kiedy na horyzoncie pojawiła się Leonora, Lou zaprzyjaźniła się z Marie-Berthe. Miały z sobą wiele wspólnego. Były żonami… kobietami, które Max poślubił i porzucił. Nie wyglądało jednak na to, że ma coś przeciwko obecności Leonory. Była ponad to. Uniosła kieliszek.

– Za mego wyjątkowego syna. Płyń po morzach i oceanach, ciesz się *un bel temps*, a potem wracaj prosto do domu.

Nikt nie wspomniał o tym, dlaczego wyjeżdża, o tym, że Niemcy zaanektowali Austrię, o Żydach, na których urządza się łapanki i wysyła do obozów „reedukacyjnych", o tym, że być pół-Żydem w Niemczech jest gorsze, niż być pełnym Żydem, gdyż samo twoje istnienie jest dowodem na to, co Hitler określał mianem „osłabionej krwi aryjskiej". Nikt nie wspomniał o tym, co opowiedział im Jimmy, o tym, co widział z pociągu owej nocy po drodze do Kolonii, o reflektorach na polu, o wynędzniałych więźniach w pasiakach, którzy tam kopali.

– Jedźcie ze mną. Jedźcie do Ameryki. – W głosie Jimmy'ego brzmiała nuta ponaglenia, kiedy przenosił wzrok z matki na ojca, a i na Leonorę. – Wszyscy. Zanim będzie za późno.

Wiatr powiał w platanach i słoneczne światło zatańczyło im na twarzach. Max uśmiechnął się do Jimmy'ego, syna, który jakimś cudem nadal go kochał.

– Och, Jimmy – odezwała się Lou. – Nie martw się. To wszystko wkrótce się skończy. Wiesz, że takie rzeczy długo nie trwają. Dyktatorzy zawsze upadają. A poza tym to Francja, nie Niemcy.

Pili szampana, jedli całe stosy gotowanych na parze małży i pochłaniali wywar, maczając w nim smaczny chleb.

– Jak twój angielski? – zapytała Jimmy'ego Leonora.

Zaczerwienił się i odchrząknął.

– Miło mi poznać, panienko. Czy może mi panienka powiedzieć, gdzie jest stacja na pociąg?

Roześmiała się.

– To na dobry początek. Powtarzaj za mną.

– Nie, nie – wtrącił Man. – Przez ciebie będzie mówił jak Anglik i używał takich słów, jak „sakramencki” i „banialuki”, i „androny”, i „pora na podwieczorek”. Na miłość boską, natychmiast załadują go z powrotem na statek i odeślą do Anglii! – I przejął ster, dając mu lekcję amerykańskiego slangu. I tak, można „strzelić byka” albo „zabujać się bez pamięci”, policjant to „gliniarz”, zwyczajny gość to „joe”, można „zasięgnąć języka” albo „zostać olanym”, choć teraz, kiedy skończyła się już prohibicja, przynajmniej nie trzeba już pić tej „berbeluchy”.

Paul domówił szampana.

– André mnie wykopał – posłyszała, jak mówi do Maksa. – Ponoć mój wiersz w „Commune” był ostatnią kroplą. Nazwał mnie zdrajcą. Powiedziałem, że wybrałem to czasopismo z myślą o jego lewicowych czytelnikach, a nie dlatego, że jest stalinowskie, co mniej lub bardziej jest zgodne z prawdą. Tanguy powiedział mi, że ogłosił grupie, że każdy, kto nie będzie dokładał wszelkich starań, by zdyskredytować mnie i moją poezję, również jest zdrajcą. Mam wrażenie, że to sposób, jaki Tanguy sobie wymyślił, żeby wytłumaczyć mi, dlaczego mnie zignoruje, kiedy następnym razem wpadnie na mnie w Le Deux Magots.

Max uniósł rękę, żeby powstrzymać nowiny.

– Nie chcę znać szczegółów. Jeśli ty wylatujesz, ja też. Te spotkania są beznadziejne jak poranna msza. Nie zamierzam się żegnać ani chodzić do spowiedzi, i nie zamierzam pozwolić Bretonowi, by udzielał mi jakiegoś błogosławieństwa czy też mi go odmawiał. Być może kiedyś był prawdziwym przyjacielem, ale jestem na to za stary.

Wydawało się, że wzmianką o porannej mszy jakby znikąd przywołał Marie-Berthe. Stanęła przed nimi. Biała jak prześcieradło, z zaciśniętymi pięściami.

– O Boże – mruknął Max. – Znowu.

Leonora poczuła ucisk w żołądku. Zbyt wiele małży, a teraz to. Czuła się jak postać w opowiadaniu… jak Dorotka wobec Złej Czarownicy z Zachodu, jak Alicja wobec Królowej Kier. Wydawało jej się to takie oczywiste. Max kocha Leonorę i ona kocha jego, a Marie-Berthe odmawia uznania tego faktu, odmawia wręcz spojrzenia na nią. Bo gdyby ją dostrzegła, oznaczałoby to, że ma kłopoty, nad którymi nie ma kontroli, a gdyby Leonora nie istniała, wówczas zdołałaby na powrót przywabić Maksa swymi wielkimi brązowymi oczami. Lecz było to lepsze niż alternatywa.

Gdyby Leonora ją zaatakowała, nie jest pewna, czy byłaby w stanie się pohamować. Tym razem mogłaby ją podrapać jeszcze bardziej.

– Jimmy wyjeżdża do Ameryki – powiedział Max. – Nie rujnuj jego pożegnania.

– Jimmy? – powtórzyła zaskoczona.

Jimmy wstał i podszedł do niej. Wstała też Lou. Oboje otoczyli ją ramionami, kiedy się rozszlochała.

– To prawda – rzekła Lou. – Jest okropny. Wiemy, że jest okropny, ale to najzwyczajniej w świecie nie jest dobre miejsce. Jesteś ponad to. Jesteś silniejsza.

Marie-Berthe kiwnęła głową, kurczowo ściskając srebrny krzyż na piersi.

– Dołączę do sióstr od Świętej Anny – zwróciła się do Maksa. – Tego chcesz?

Twarz Maksa stężała.

– Doskonale.

Leonora nigdy nie widziała, by był tak oziębły, i to ją wystraszyło. Marie-Berthe strząsnęła z siebie dłonie Lou i Jimmy’ego i chwiejnie odeszła chodnikiem. Podbiegli, by ją podtrzymać, i odprowadzili za róg. Man dolał szampana, ale atmosfera była już zwarzona i miała smak kwaśnego mleka.

Kiedy wrócili, Lou spojrzała na Maksa ze zrozumieniem, w którym zawierało się i współczucie, i smutek, co przepełniło Leonorę bolesnym, palącym uczuciem, które z niechęcią rozpoznała jako zazdrość. Lou znała Maksa w czasach, kiedy jej nie było jeszcze na świecie, znała go tak, jak jej nigdy nie będzie dane.

I wtedy do niej dotarło… wszyscy przy stole wpatrywali się, ale nie w Lou czy Jimmy’ego, lecz w nią. Okazało się, że zdjęła buty i posmarowała sobie wierzchy stóp musztardą. Roześmiała się, jakby zrobiła to celowo. Widząc zbolały wyraz twarzy Maksa, odwróciła wzrok. Gdyby tak bardzo domagała się miłości jak Marie-Berthe, zdecydowałby z nią skończyć. Przeszyłby ją tym lodowatym spojrzeniem, a ona rozpadłaby się w garść pyłu.

Tej nocy Marie-Berthe przyśniła się Leonorze. W zatłoczonej sali wypaliła do niej z pistoletu i nikt nie próbował jej powstrzymać. Wszyscy się jedynie gapili. Obudziła się zlana potem.

– Nie mogę tutaj pozostać. Nie mogę zostać w tym mieście – powiedziała.

Oczy miał zamknięte i wydawało się jej, że śpi, lecz wtedy pogładził ją po czole.

– Światło w Paryżu nie nadaje się do mojej nowej pracy. Byłem kiedyś w takim miasteczku w Prowansji. Saint-Martin d’Ardèche. Takiego błękitu nieba na tle skał nie znajdzie się nigdzie indziej.

1. „Wyborny trup” – popularna wśród surrealistów gra wymyślona w 1925 r. przez Jacques’a Preverta. Kolejni uczestnicy dopisują bądź dorysowują do już istniejących zdań lub rysunków kolejne słowa lub fragmenty obrazka, po czym zakrywają kartkę, tak że następna osoba nie wie, co wymyślili jej poprzednicy. Nazwa pochodzi od takiego właśnie zdania. [wróć]

OLBRZYMKA

Sierpień 1938, Saint-Martin d'Ardèche

Dzięki hojnemu przekazowi od matki Leonora kupiła w Saint-Martin grupę porzuconych kamiennych zabudowań. Zamieszkali z Maksem w chłopskiej chacie. Walący się kościół stał się jego studiem (nazwał je wzniosłą herezją), ona zaś zajęła starą pocztę.

Pierwszą rzeczą, jaką robiła każdego ranka tego lata, była kąpiel w rzece i chociaż reszta dnia, leniwego i gorącego, była spowolniona, ona pozostawała przytomna, nienasycona, jakby miała stale, bez ustanku przeć do przodu. Zmiotła pajęczyny, kupiła łóżka i komody, szafy i toaletki, stoły i lampy, i wypełniła nimi dom. Kupiła dwie kozy, Sofoklesa i Platona, dwa pawie, Orfeusza i Eurydykę, i stadko kurcząt, które biegały sobie po dużym polu za starą chałupą. Co rano doiła kozy, zbierała jajka do koszyka i smażyła omlety, które jedli z mocną kawą.

Woolf urodziła cztery kocięta – Jaszczurkę, Świerszcza, Żuka i Arcimboldo, na którego mówili Archie. Przez kilka tygodni mieszkały w schowku, lecz teraz odważyły się zejść po schodach i skakały po całym ogrodzie; Woolf drzemała na piachu, a Leonora wysiewała szałwię i tymianek, pomidory i bazylię, pietruszkę, ogórki i bakłażany z nadzieją, że nie robi tego za późno.

Max załatał dziury w suficie, ponaprawiał ściany, a z cementu wymodelował na zewnątrz domu rzeźby – głowy z rogami i wykrzywione w grymasie usta. Zatarł cement na kamiennej ścianie, a ona na tym podkładzie namalowała monstrualne ptaszysko; jego wężowe ciało było większe niż ona sama, a smoczy pysk pełen był ostrych zębów. Jak gargulce na katedrze Notre Dame, miały za zadanie strzec przed wszelkim złem tego świata, Marie-Berthe nie wyłączając. Wciąż była jego żoną, ale jako że mieszkała w Paryżu, łatwiej było Leonorze wypierać ten fakt z pamięci.

Rolnicy, którzy przejeżdżali na traktorach z sianem, potrząsali głowami i pochrząkiwali na widok dziwacznych stworów. Śmiali się, ukazując braki w uzębieniu.

Ostatnią z prac Maksa była płaskorzeźba. Wielka, długoszyja para. Kobieta zamiast twarzy miała okrąg, w ręku kwiaty. Mężczyzna miał dziób,

ręce uniesione w geście poddania się – miłości, wyjaśnił Max. W fałdach jego szaty tańczył skrzydlaty homunkulus. To Loplop, w końcu szczęśliwy.

Jak Adam i Ewa, myślała, ale zaczarowani. W tym ogrodzie wąż lśnił zielono-błękitnie. Przepełzał przez jej sny i zjadał pomarańcze, które obierała dlań doskonałą spiralą; wysadzał z zawiasów szczękę, żeby objąć paszczą cały owoc. Ten ogród nie będzie świadkiem upadku.

Aż pewnego pięknego ranka we wrześniu, kiedy ozdabiała kaseton w drzwiach do łazienki wizerunkiem syreny, obwodząc zielony filigran jej grzywy, ciała i rybiego ogona żółtozielonym podświetleniem, usłyszała, jak ktoś puka do drzwi wejściowych.

– Max! – zawołała, a kiedy nie odpowiedział, odłożyła pędzel, wytarła ręce w szmatkę i pobiegła do drzwi, żeby przerwać to natarczywe stukanie. Na progu ich domu stała Marie-Berthe. Leonora pomyślała, że ma przywidzenie, że to jakiś koszmar na jawie.

Żona Maksa kurczowo przyciskała torebkę do brzucha. Co trzyma w ręku? Nóż? Pistolet?

Leonora krzyknęła, przekonana, że kobieta przyjechała ją zabić. Max wybiegł ze swego studia. Kiedy ujrzał żonę, zbladł jak papier. Gargulce nie spełniły swojego zadania, bo oto jest.

– Marie-Berthe. – Westchnął i podszedł do niej powoli, pełen smutku, a ona zarzuciła mu ręce na szyję.

Leonora przyglądała się, jak odwzajemnia uścisk. Jego ciało było zesztywniałe, ale uścisk jak najbardziej prawdziwy. Serce do serca. *A czegóż to innego miałabyś oczekiwać*, już słyszała tryumfujący ton ojca. W jej ręku Leonora dostrzegła parę czarnych okularów przeciwsłonecznych.

Wsadził ją do pociągu tamtego popołudnia, obiecując pojechać jej śladem tydzień później. Groźby wstąpienia do klasztoru, powiedział Leonorze, ustąpiły groźbom samobójczym. Raz za razem Marie-Berthe wypytywała go, dlaczego ją zostawił. Doszedł do wniosku, że gdyby pobył z nią jakiś czas, zdołałby ją przekonać, że nie są już razem, i musiałaby pozwolić mu odejść. A poza tym, stwierdził, są jeszcze te obrazy, które musi sprzedać. Chociaż wszelkie naprawy domu przeprowadzili własnym sumptem, a mając ogród, kozy i kurczaki, są niemalże samowystarczalni, nadal potrzebowali pieniędzy na życie, zwłaszcza jeżeli tak często, jak to mieli w zwyczaju, jadają poza domem. Upierała się, że Matka może podesłać im więcej. Tyle, ile potrzebują na życie, to dla niej pestka.

– Jeśli nie sprzedaję moich obrazów, to co ze mnie za artysta? – rzekł Max, owinął swoje prace w papier pakowy i powiązał je w rulony, które zabierze do pociągu.

Na płaskim rzecznym kamieniu rozłożyli się piknikiem, na który składały się liście mniszka i jej dorodne pomidory z własnego ogrodu, winogrona i dobry chleb z piekarni w miasteczku, ser i wino; ona jednak nie była głodna. O tej porze jutro już go nie będzie. Powiedziała sobie, że wszystko będzie dobrze, ale już dwa razy zdążyła zwymiotować, po kryjomu. Gdyby mu o tym powiedziała, stałaby się manipulantką; wcale nie byłaby lepsza niż Marie-Berthe. Wyssała winogrono. Przez cały dzień prawie nie odezwali się do siebie.

– W porządku – odezwała się, przełamując ciszę. – Jak musisz jechać, to musisz. Ale dlaczego musisz z nią zostać?

– To moja żona.

– Nie kochasz jej.

– Od kiedy to w małżeństwie chodzi o miłość?

Rzucony przez niego tępy, płaski kamień obracał się i podskakiwał, odbijając się od gładkiej powierzchni wody. W każdym miejscu, którego dotknął, zakwitały na wodzie zmarszczki.

Raz. Dwa.

– Trzy – powiedziała, czując w sobie chłód wapiennych skał. Tyle tygodni go nie będzie. Nie powie nic więcej. Poprzysiągł jej, że do dzisiaj będzie już po rozwodzie, że będą wolni, by móc się kochać. Cóż zatem za pożytek z gadania?

Zamknęła oczy, by poczuć słabnące promienie słońca, by je w siebie wchłonąć.

Wstała, strząsnęła kamyki ze spodniej strony ud i weszła do rzeki, powoli, czując, jak chłód ogarnia każdą komórkę jej ciała. Wślizgnęła się pod wodę i pozwoliła, by nurt ją poniósł. Mogłaby pozostać w wodzie i Max byłby jedynie szczegółem snu o byciu człowiekiem. Gdyby chciała, mogłaby zostać *selkie*, gdyby wystarczająco tego pragnęła. Od Niani usłyszała opowieść o kobiecie-foce, która zakochuje się w człowieku i ukrywa swoją skórę, by też przez chwilę być istotą ludzką. Wiedziała, że gdyby Max pozostawił ją na dość długo, wróciłaby do swej foczej postaci i znalazłaby drogę do oceanu. Nie zobaczyłby jej już nigdy więcej.

Wypłynęła, żeby zaczerpnąć powietrza. Stał nad nią, też brakowało mu tchu, bo biegł po kamieniach, żeby ją dogonić.

– Byłaś pod wodą za długo, *ma cherie*.

Zerknęła na niego, w słońcu oczy jej łzawiły. Nie powiedziała mu, że mogła zostać pod wodą na zawsze, gdyby tylko chciała.

9 października 1938

Moja droga Fini,

Max jest w Paryżu (być może się z nim nawet widziałaś?), a ja jestem sama w Ardèche, jeśli zajmowanie się kozami, kurczakami, kotami i dwoma pawiami można nazwać byciem samym. Myślałam o Tobie, przyjaciółko, i o tym, jak bardzo brakuje mi Twojego śmiechu.

Zaczęłam nowy obraz, który pewnie by Ci się spodobał albo przynajmniej Cię rozbawił. Zatytułowałam go Posiłek lorda Candlesticka. *A gdyby tak jedzenie ożyło, a ludzie byli martwi? – pomyślałam, a mówiąc o ludziach, miałam na myśli mojego ojca (lord Candlestick we własnej osobie) i ten typ kobiet, jaki musiałam znosić w Ascot i przy okazji tego drugiego nonsensu związanego z prezentacją na dworze. Na moim obrazie ojciec ma zamiast głowy ogromnego ziemniaka i nie ma ust, bo nie chciałam, żeby odezwał się już więcej ani słowem. Niech się przygląda, jak owe tęgoszyje kobiety zjadają jego cennego chłopczyka! Namalowałam, jak zjadają również dziwne ptaki. (Żadnego związku z tym, że Max mnie tutaj pozostawił, zapewniam Cię). Po tygodniu bycia samą i pracy nad nim dzień i noc usłyszałam, jak jedna z kobiet oznajmia: Flamenco smakuje jak wiśniowe toffi, po czym wszystkie zarżały jak osły.*

Rozmawiam z kotami. Co myślą o kierunku, w jakim zmierza mój obraz? Co powinnam zjeść na kolację? Cukinię czy ziemniaki z rozmarynem? (Odkąd Max wyjechał, straciłam apetyt i jedzenie stało się nudną rutyną). Aż któregoś popołudnia, kiedy spytałam Świerszcza (która wygląda wypisz wymaluj jak Woolf), czy nie sądzi, że jest jeszcze zbyt wczesne popołudnie, by otworzyć butelkę wina, wskoczyła mi na kolana i przekrzywiła głowę na bok. Jeśli wejdziesz między francuskie wrony – odparła i puściła do mnie oko.

Powiedz mi, że Twoje obrazy i Twoje koty też do Ciebie mówią i że jeszcze nie do końca zbzikowałam. Powiedz mi, że widziałaś Maksa i że usycha z tęsknoty za mną. Powiedz mi, że mnie kochasz i tęsknisz do mnie, i że

przyjedziesz z wizytą, kiedy pogoda znowu się poprawi, i będziemy mogły popływać w rzece jak syreny bliźniaczki.

Twoja Carrington

PS Jest tutaj tak pięknie, że obawiam się, że mnie znienawidzisz. Jeśli tylko ktoś zostanie tutaj wystarczająco długo, to miejsce każdego stworzy na nowo.

Kiedy zakleiła i wysłała list, poszła na spacer nad rzekę. Słowa Maksa same się przypominały, jakby zostały pochwycone przez wysokie skalne ściany. *To moja żona*. Co za paskudne słowo, pomyślała. *Żona*. Przywodziło na myśl drut kolczasty lub kotwicę wlokącą się w wodzie.

Położyła się na brzegu i pozwoliła, by jej ciało wsiąkło w ciepłe kamienie; poczuła, jak przejmują nad nią kontrolę niczym mali bogowie trwałości. Nazbierała kamieni i rozłożyła je sobie po całym ciele. Zaczynała czuć, że składa się z powietrza, że może przenikać przez ściany jak sidhe. Zastanawiała się, jak one żyją pod ziemią, i sama też chciała tam żyć. Wykopała dół długości swego ciała i ułożyła się w nim, a potem przykryła się aż po szyję ziemią i kamieniami.

Chłodny ciężar dodawał otuchy. Była częścią ciemności, częścią tajemnicy kamieni. Zapomniała o mówiących kotach i zapadła w sen.

Stanęła nad nią Marie-Berthe; w białej koronce przykrywającej ciemne włosy, ze srebrnym krzyżem na zranionym sercu, we łzach, wyglądała jak święta. Leonora czuła dziwne kłucie w dłoniach i stopach i zdała sobie sprawę, że nie może nimi poruszać. Spojrzała. Zmieniły się w kopyta. Próbowała mówić, ale wydała jedynie ciche rżenie. Potrząsnęła włosami i poczuła, że jej szyja robi się grubsza i mocniejsza. Marie-Berthe uniosła swój krzyż, jakby chciała odegnać wampira. Leonora stanęła dęba, a Marie-Berthe padła na kolana, żarliwie odmawiając różaniec.

A potem Leonora pobiegła – zielonymi wzgórzami, obok domu jej dzieciństwa, Crookhey Hall, i wzdłuż brzegu morza. Przystanęła pod jarzębiną, żeby złapać oddech; na gałęzi usiadła kawka i zaśpiewała, i ona wiedziała, że to Max.

Obudziła się z przeczuciem, że jest z nią, odgarnęła ziemię i wskoczyła do rzeki, teraz oświetlonej światłem księżyca i bardzo zimnej. Wytarła się swoją sukienką, naciągnęła sweter i poszła w stronę miasteczka pustą drogą. Chciała napić się piwa, ale przede wszystkim musiała z kimś porozmawiać, z kimkolwiek, by się przekonać, czy wciąż jest istotą ludzką.

Bar w Motel des Touristes był pusty, z wyjątkiem czerstwej barmanki wycierającej kieliszki ścierką do naczyń i innej kobiety, z czarno-siwymi włosami upiętymi w węzeł, która siedziała przy narożnym stoliku z gazetą, kieliszkiem wina i papierosem. Leonora zamówiła piwo, a barmanka obrzuciła ją spojrzeniem, w którym odraza mieszała się z niepokojem.

– Zamykamy za dwadzieścia minut – oznajmiła, nalewając jej trunek, po czym z szelestem bioder zniknęła na zapleczu.

Druga kobieta podniosła wzrok znad gazety i kiwnęła do niej.

– Niech się pani nie przejmuje madame Barbin – szepnęła. – Żona Étienne'a? Nie doczekasz się od niej nawet uśmiechu. Gardzi wszystkimi pięknymi kobietami.

Leonora się uśmiechnęła. A więc najwyraźniej wciąż jest kobietą. Wzięła łyk piwa, ale to była sama piana.

– Proszę usiąść – powiedziała nieznajoma. – Chyba się jeszcze nie spotkałyśmy?

– Leonora.

– Ach! Więc pani jest z tych szalonych artystów, o których wszyscy mówią! Jestem Alphonsine. Jestem właścicielką oberży przy tej ulicy.

– Tej obok piekarni?

– Właśnie tej. Mój mąż jest piekarzem. Wyszłam za niego dla jego croissantów. – Uniosła kieliszek. – Miło jest zrobić sobie przerwę… od męża, nie od croissantów, ma się rozumieć.

– Tego akurat nie wiem.

Pożałowała tego natychmiast, kiedy tylko to powiedziała. Nie było w jej stylu aż tak się otworzyć przed kimś obcym. Lecz kiedy popijały w niewymuszonym milczeniu, wiedziała, że Alphonsine zostanie jej przyjaciółką. Z pewnymi ludźmi nie trzeba nawet próbować. Wystarczy być. Wypiła piwo i opowiedziała jej wszystko o Maksie i Marie-Berthe, i o tym, jak bardzo samotna czuje się w domu.

– Jak tylko będziesz miała potrzebę towarzystwa, musisz zajrzeć do oberży. Zawsze tam jestem. Albo tutaj – rzekła Alphonsine, dopijając wino.

Przez te tygodnie do powrotu Maksa Leonora malowała każdego ranka. Pracowała nad *Posiłkiem lorda Candlesticka* w gorączkowym śnie, jak to robiła, kiedy była studentką i samotnie mieszkała w Londynie. Im więcej malowała, tym mniej przejmowała się tym, co pomyśli Max czy ktokolwiek inny. Jej gniew znajdował ujście na płótnie, z dnia na dzień zyskując na

wyrazistości. Ptak w samym centrum kanibalnej uczty składał się z samych kości, objedzony do czysta przez te kobiety, blade i żarłoczne, z szyjami grubymi jak u koni. A kiedy śmiały się za głośno i za długo, wycierała pędzle i szła z wizytą do Alphonsine. Pomagała jej gotować posiłki do oberży, opróżniały wspólnie butelki wina i rozmawiały aż do zachodu słońca. Oberżystka serwowała jej plotki z miasteczka, a Leonora opowiadała jej o Paryżu, o Nusch, Fini i Lee – swych cudownie osobliwych przyjaciółkach.

– Ale nie brak ci tego? – zapytała Alphonsine, mieszając sos beszamelowy.

– Tutaj jestem szczęśliwsza – odparła Leonora – z tą rzeką, gwiazdami i moimi zwierzakami. – Wzięła odrobinę sosu na palec i spróbowała. – Kiedy Max wróci, niczego więcej nie będzie mi trzeba.

Alphonsine nie zapytała, co zrobi, gdyby Marie-Berthe odmówiła rozwodu, a Leonora była wdzięczna za jej niemy dowód przyjaźni.

W Paryżu Max sprzedał kilka obrazów, a Marie-Berthe, na koniec jego pobytu, zgodziła się rozważyć rozwód.

– To już coś – odrzekł na milczenie Leonory.

– Nie dbam o małżeństwo – powiedziała. – Cieszę się, że jesteś z powrotem.

To była prawda. Z Maksem na powrót u swego boku była dziewczynką zajadającą się garściami czekoladek po Wielkim Poście. Była hipopotamem taplającym się w błocie stawu. A kiedy jego chrapanie wyrównało jej oddech, jej obawy spłynęły aż do stóp, aż do czubków palców. Całymi dniami nie wstawali z łóżka.

– Mój ty kumkwaciku – zwracał się do niej.

– Tak, moja ptaszyno? – odpowiadała, a on ją całą podgryzał i piszczała jak łaskotane dziecko, jak goniony królik.

Zabawom nie było końca.

Świerszcz nadal spoglądała na nią pytająco. Leonora wiedziała, że ma swoje przemyślenia, lecz odkąd Max był w pobliżu, kotka trzymała je dla siebie. Jedynie kiedy Leonora malowała, przekrzywiała głowę i mruczała swoje wtręty. *Czas na podwieczorek*, mawiała. Albo: *może odrobinę więcej czerwieni*?

Leonora kończyła *Posiłek lorda Candlesticka*. Na tle zieleni, jaką nałożyła na ścianę i blat stołu, żółć nalanej twarzy lorda Candlesticka, kwiatów

i płomieni wydała się… jadowicie żółta. Obraz zachwycał ją i mierził. Dodała młodą klacz z kwiatami na głowie, lecz koń zniknął za widelcem wbitym w brzuch małego żywego chłopczyka, którego krzyków nie mogła dobrze rozeznać ze względu na drapieżny śmiech kobiet.

Max oglądał obraz bez pośpiechu. Zawsze milczał, kiedy prawdziwie chłonął jakieś dzieło. Stała za nim i próbowała nie wyciągać wniosków co do jego przemyśleń ze zmieniającego się kąta, pod jakim patrzył. Cała pewność siebie, jaką miała w trakcie malowania, zniknęła. Jeśli to jej odzwierciedlenie, odbicie świata w jej wnętrzu, cóż to oznacza? Rozpozna, jak daleko i w jakie dziwaczne rejony zdryfowała bez niego, który by ją tutaj trzymał mocno na ziemi. Ujrzy jej słabość, potrzebę jego. I odejdzie.

Wreszcie odwrócił się do niej. Coś zmieniło się w jego oczach, jakby wcześniej myślał, że ona jest kimś innym, kimś odrębnym, jakby w tej chwili widział ją pierwszy raz.

Czyżby dopatrzyła się śladu niepokoju? Lęku?

Tak. Zadziwiła go.

– Byłaś tam – rzekł. – Zstąpiłaś w swój koszmar i namalowałaś go tak znakomicie, że wszystkich nas przerazi.

Czerwiec 1940, Saint-Martin-d'Ardèche

Leonora! – Głos Maksa odbija się echem od wysokiego sufitu; wrócił do domu, domu, który zna jak własne ciało. – Witaj, jaszczurze – mówi do ogromnej cementowej rzeźby w holu, jaszczura, któremu przydał postrzępionych skrzydeł i kolczastej korony. Za każdym razem, gdy mijał go po drodze do wyjścia frontowymi drzwiami, prostował plecy, wyciągał się nieco, jakby otrzymywał błogosławieństwo od króla zimnokrwistych. Przez ten czas, kiedy go nie było, jaszczur jakby się skurczył, a teraz odmawia mu nawet spojrzenia.

Czyżby aż tak się zmienił? Stał się nie do poznania?

W wejściu koślawo wisi lustro, a w nim koślawo stoi jakiś typ. Wpatruje się w niego bezlitośnie. Serce łomocze Maksowi w piersiach. Nie może przestać się wpatrywać. Jego skóra ma ziemistą, chorobliwie szarozieloną barwę. Ogromne, zapadnięte oczy unoszą się na powierzchni czaszki o wyostrzonych rysach. Próbuje się uśmiechnąć, ale zęby ma matowe i szare. Kości policzkowe wypychają mu skórę. Max odwraca się od niego. Nigdy nie lubił starców ani głupców, a ten człowiek jest jednym i drugim. Cóż Leonora chciałaby mieć wspólnego z takim typem?

– Leonora? – Wytęża głos, który robi się wyższy i cichszy.

Jeśli się pospieszą, mogą spakować się dziś wieczorem i jutro wyjechać, zanim po niego przyjdą. Bo ktoś na pewno przyjdzie. Wołając ją po imieniu, przechodzi przez hol, obok jej rzeźby głowy konia, która wyrasta – z otwartym pyskiem – z kamiennej ściany. *Nie znajdziesz jej tutaj*, cedzi. Konie często łżą, po to tylko, żeby się przekonać, czy im uwierzysz.

Tak czy owak, przestaje wołać.

Słychać męskie głosy i śmiech. Czuje zapach dymu papierosowego i coś jeszcze. Pieczony kurczak. Może Leonora urządziła jakieś spotkanie, może mają gości uciekających z Paryża, w drodze na południe, z Francji ku Hiszpanii i Portugalii, i ku wolności? Nie chce nikogo widzieć, tylko ją, ale ściąga ramiona i wchodzi do kuchni.

Zanim wyjdzie zza rogu, już wie, że się pomylił. To zły śmiech, wulgarny i chrapliwy. Nie jest oznaką porozumienia, lecz szyderstwa.

Przy ich stole siedzą rolnicy, jedzą kurczaka, grają w pokera, w brudnych rękach trzymają karty. Mężczyźni z wioski, których przelotnie widywał, a każdemu z nich – zauważa – brakuje małego palca. Żołądek mu się wywraca, pusty i zwarzony. Nie wierzy w wojnę. Rozumie gotowość do samookaleczenia, by móc trzymać się z daleka od tej makabry, by pozostać w domu i chronić swoich bliskich, a jednak mierzi go widok tych mężczyzn przy jego stole, ich ubłocone buciory kalające jego podłogę.

Jeden z mężczyzn odchyla się z krzesłem w stronę ściany, jego bose nogi opierają się o stół obok niedojedzonego kurczaka. Ssie kostkę z kurzego udka. Max już prawie przypomniał sobie, jak mu na imię. Jest właścicielem baru i oberży przy tej samej ulicy. Motel des Touristes. Jego żona czuła taką awersję do Leonory – za jej urodę i młodość – że nigdy się do niej nie odezwała. Mężczyzna poprawia krzesło, antyczne drewniane krzesło Maksa, które skrzypi, jakby chciało, żeby się z niego w cholerę wynosił. Wstaje, nadyma się i rusza w jego stronę, pięści zaciskając po bokach.

– To już nie jest twój dom.

Étienne, tak ma na imię.

– Ależ Étienne – Max próbuje przybrać łagodny ton.

Oberżysta rozluźnia pięści. Wciąż ma wszystkie palce. Ale jest zbyt stary, by iść na wojnę. Fuka i kaszle, i otwiera szufladę biurka. Wręcza Maksowi niewielki plik papierów, potrząsa głową, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

Max poznaje pierwszą stronę. To akt własności ich domu. Podłoga faluje mu pod stopami. Mój Boże, co też ona narobiła? Przerzuca papiery. Podpisała je ledwo parę tygodni temu, zaledwie miesiąc po tym, jak zabrali go żandarmi.

Co się z nią stało? Zajmowała się swoją winoroślą, wysiewała pomidory i bazylię, zeszłoroczne nasiona malw. Ale też nie pisała do niego, jak to robiła, kiedy zabrali go przedtem. Kiedy zabrali go tym razem, zrezygnowała, wie to, patrząc na nazwisko tego mężczyzny napisane jej kanciastym pismem, *Étienne Le Blanc*, człowiek, który jest właścicielem ich domu, a więc też ich rzeźb i murali. I gdzie ona jest? Gdzie jest Leonora?

– Mademoiselle wyjechała z kobietą i mężczyzną – mówi Étienne, jakby Max zadał to pytanie na głos. Wyjmuje z szuflady i podaje mu skrawek papieru.

Drogi Maksie, wyjechałam z C. i będę na Ciebie czekać w Estremadurze. L.

Zostawiła mu tylko wiadomość, tylko jedno zdanie? Zaciska zęby, wolno, równo, każdy ząb na swoim miejscu. Nie będzie krzyczał. Nie wywróci stołu i nie wyrzuci ich półmiska z kurczakiem w powietrze. Nie ma siły. A poza tym to nie w jego stylu. Przygląda się papierowej pozostałości. Jej pismo jest bardziej pochyłe niż na akcie własności, litery *e* bardziej przypominają pozbawione kropki *i*, jakby się spieszyła, jakby nie zadawała sobie trudu, by oddychać. *Estremadura*, napisała – Portugalia, skąd nadal można wyjechać do Ameryki, jeśli ma się szczęście. To do niej podobne, ta enigmatyczność, to użycie nazwy całego regionu raczej niż konkretnie Lizbony, gdzie – jak ustalili – spotkają się, gdyby znowu go zatrzymano, gdyby ona musiała wyjechać. Ale dlaczego nie zaczekała dłużej?

Wyjechałam z C., mówi wiadomość. *C.*? Kto to jest *C.*?

Mężczyzna wskazuje mu krzesło i przesuwa w jego stronę porwanego na kawałki kurczaka. Datek. Ci mężczyźni rozerwali go brudnymi paluchami, brudnymi pazurami. Mimo to sięga po udko, które jest wyborne, te chrząstki i w ogóle. Objada kość do czysta i dokłada do kupki. Który to z ich – a teraz Étienne'a – kurczaków? Leonora nadała wszystkim imiona. Czy to Celine, Agatha czy Gretchen… *Catherine*! No jasne! Tak na imię tej kobiecie, angielskiej przyjaciółce Leonory, tej, która mieszka w Paryżu z tym Węgrem. Catherine, która najwidoczniej uciekała, kierując się na południe, jak wszyscy.

– Zagrasz partyjkę? – pyta ten, który tasuje karty.

Max kręci głową. Oczy mu się zamykają, jest wykończony.

Któryś z mężczyzn przesuwa ku niemu butelkę wina. To ich wino, białe, wytrawne, które w zeszłym roku rozlali do butelek i które Leonora nazwała na cześć Winkie. Upija łyk… cytryny, zielone jabłka, siano, z finiszem rozpaczy, który pozostaje mu na języku, chwyta go za gardło. Z obawy, że może się rozpłakać przed tymi wszystkimi mężczyznami, zamyka oczy, przełyka ślinę.

Żuk, czarny kot Leonory, wskakuje na stół i liże kość kurczaka, a Étienne bierze go na kolana i głaszcze po lśniącym grzbiecie. Kiwa głową w stronę Maksa.

– Możesz tu przenocować – mówi, wskazując na sufit. – Tam są pokoje.

– Tak. Wiem. – Dom jest jego, nie Étienne'a. Lecz jest zbyt wyczerpany, by urządzać sceny. Dosuwa krzesło, jakieś resztki ogłady, które pozostały mu z czasów młodości.

Czteropalcy mężczyźni wpatrują się w swoje karty.

W salonie, obok pustego kominka, na stole wciąż stoi szachownica Maksa. Na ścianach wiszą ich obrazy – dwa malowidła, które ukończyli tuż przed tym, jak zabrali go po raz drugi. Teraz widzi, że współgrają z sobą i wydają się prorocze. Jego portret pędzla Leonory ukazuje zmrożoną krainę. Ma na sobie futro z kasztanowych piór, za nim po lodzie ciągnie się rybi ogon. Jeśli będzie poruszał się dość szybko, myśli, może jeszcze uciec. Może polecieć lub popłynąć, nim lód pochwyci jego ogon i uszkodzi pióra. Dlaczego nie spostrzegł tego wcześniej? Tego, jak obraz domaga się ruchu, nagłego gorąca, które roztopi lód. Na przeciwległej ścianie wisi jego obraz, *Leonora w świetle poranka*, niewielki i kunsztowny. Chciał, by był doskonały, i pracował nad nim całymi dniami, niemal bez przerwy, jakby w każdej chwili mogli wrócić i oderwać go od niego, od niej. Chciał, żeby ją uszczęśliwił, ale ją przeraził, powiedziała. Była sama w dżungli. Wspaniałej, mitycznej dżungli, wyjaśnił.

Skąd więc ów niewielki szkielet? Skąd minotaur z otwartą paszczą?

Bez względu na to, co próbuje zrobić, zawsze pojawia się coś innego. Tylko że on jest za głupi, żeby to dojrzeć, żeby odczytać znaczenie owego czegoś. Ale ona wiedziała. Jakimś cudem ona zawsze wie.

Wchodzi do góry po jednym stopniu. Najlepiej żyć teraźniejszością, nie wybiegać myślą do przodu ani nie rozpamiętywać przeszłości – ale jak ma to zrobić, skoro przeszłość to wszystko, co pozostało? Słyszy jej głos, jak woła go do łóżka. *Max? Max!* I ma ochotę wejść po schodach tak jak kiedyś, po dwa stopnie, i pobiec w stronę swego imienia. Uwielbia sposób, w jaki ona to mówi. Z jej akcentem brzmi to, jakby jadła coś wspaniałego – *mmmm*, *ahhhh* – i mogłaby nawet dać ci ugryźć. *Max!* – słyszy, lecz to tylko wiatr uderza w okno. Schody ciągną się w nieskończoność, a grawitacja niemiłosiernie ściąga w dół. Chwyta poręcz i podciąga się w górę.

Otwiera drzwi do ich pokoju, w którym roznosi się kwaśny zapach potu, ich lazurowa pościel rozbebeszona, pociemniała od ciał – nie jego, nie jej, innych ciał w ich łóżku. Drzwi do bieliźniarki otwarte na oścież, jej ubrania porozwlekane po całej podłodze, jakby w jakiejś podszytej udręką próbie ucieczki. Dolna szuflada jej biurka zwiesza się jak otwarte usta, przerażona taką nieprzyzwoitością. Zamyka ją i widzi, że pudełko w narożniku, w którym zawsze trzymali swoje paszporty, jest puste. Oczywiście zabrała swój, ale jego? I tak byłby mu teraz zupełnie nieprzydatny – ale jeśli chciała załatwić mu wizę, dlaczego nie dała znać bardziej precyzyjnie, dokąd jedzie?

Poci się, krew szumi mu w uszach; otwiera okno. Od chłodnych pól wieje lekki wiatr, nisko zawieszony księżyc, pomarańczowy i nabrzmiały, zniża się coraz bardziej. Kładzie się na łóżku, zbyt wyczerpany, by ściągnąć ubranie. Przewraca się na bok, przyciska poduszkę do zapadliny brzucha, by stłumić burczenie. Czuje, jak opuszcza go gniew, czuje, jak fala snu załamuje się nad nim, i wyobraża sobie, że to jej szczupłe plecy, które go na wskroś grzeją.

Lecz jego umysł odmawia spoczynku i przynosi jedną obawę za drugą. Do tej pory mogła dotrzeć wszędzie. Jak niby ma ją znaleźć? I jeszcze Niemcy. Może ich tutaj nie być, w tej części Francji, ale zmuszą Francuzów, żeby zastosowali się do ich życzeń. Jeśli odkryją, gdzie jest, wyślą go z powrotem do Niemiec, do obozów, w których przetrzymywani są *niepożądani* – w jak koszmarnych warunkach, tego nawet nie jest w stanie zacząć sobie wyobrażać.

Budzi się mokry od potu; w pokoju jest gorąco i panuje bezruch. Leży na podłodze, musiał się tam przenieść w środku nocy, łóżko jest zbyt miękkie, by w nim spać po tygodniach na twardym gruncie. I przez chwilę, zanim otworzy oczy, jest z powrotem w Camp des Milles, powietrze gęste jest od ceglanego pyłu. Słyszy kaszel, to musi być Hans Bellmer, myśli.

Ale jest sam w swoim pokoju w smudze słonecznego światła. Na zewnątrz brzęczą cykady, krzyczy paw, lecz w domu ani stęknięcia, ani skrzypnięcia. W rozświetlonym powietrzu tańczą błyszczące drobinki pyłu. Nad świecą, którą Leonora paliła w trakcie ich ostatniej wspólnej nocy, lśni pajęcza nić pokryta grubą warstwą złotego pyłu. Maj, a nadal zimno. Tej nocy, kiedy… kiedy co? Dlaczego nie może sobie przypomnieć? Czy może czytali przed snem, jak często robili, ponieważ kochali się w ciągu dnia, najlepiej na łonie przyrody, a najchętniej nad rzeką?

W wyobraźni widzi ją, jak dobrymi młodymi oczami czyta przy świetle świec egzemplarz *Alicji*, który ma jeszcze z dzieciństwa. Jak mówi, jeśli będzie ją czytać tuż przed snem, obudzi się przepełniona rozmaitymi wizjami i będzie malować ze szczególną wnikliwością. Lecz zamiast tego co? Żandarmi z kajdankami i powrót do Camp des Milles.

A teraz to. Jest obcy we własnym domu.

Oto nadchodzi Étienne, tupiąc po schodach, by mu o tym przypomnieć. Max wciąż leży na podłodze. Oberżysta patrzy na niego spode łba, ręce

oparł na biodrach. Ubrany jest do wyjścia w pole, ma na sobie czapkę i buty, rękawy koszuli podwinięte do łokci.

– Wstawaj i w drogę! – Jego oczy myszkują po pokoju, czy czegoś nie brakuje. – Nie prowadzę pensjonatu. – Łagodnieje, potrząsa głową, że niby nie miał pojęcia, co się święci. – Masz dokąd pójść?

– Muszę załatwić parę rzeczy.

– Tu nie możesz zostać. Mogliby zająć dom. Przechowywanie osób niepożądanych to przestępstwo. – Wzdycha. – Masz jeszcze jedną noc.

Max siada. Podnosi się wolno, lecz kolana się pod nim uginają i z powrotem pada na ziemię. Oberżysta pomaga mu wstać.

– Teraz chodź na dół coś zjeść. Jajka, chleb, kawa.

Kawa. Czuje jej zapach, co napełnia go czymś na kształt nadziei.

Przy stole Étienne i rolnik, w którym Max rozpoznaje człowieka mieszkającego przy drodze, pochylają się nad jedzeniem, porozumiewają się chrząknięciami. Winogrona wyglądają na zdrowe. Zbiory powinny być obfite. Sprzeda wino w swoim barze, oklei je własnymi nalepkami. Motel des Touristes będzie miał wreszcie własne wino na sprzedaż.

Étienne podchodzi do kuchenki i wraca z omletem.

– Siadaj – mówi do Maksa.

Omlet jest z serem i ziemniakami, posypany świeżym szczypiorkiem. Bokiem widelca Max odcina narożnik. Zjada mały kęs, rozkoszując się wszystkim… zapachem pary, stopionym serem gruyère, ziemniakiem. Piękno takiego prostego jedzenia doprowadza go prawie do łez. A potem wspomina omlet Leonory z dodatkiem włosów i wybucha śmiechem.

Étienne najwidoczniej uważa, że postradał zmysły.

– Pardon? – pyta, stawiając przed nim filiżankę kawy.

– *Merci*. – Max upija łyk. Gęsta i gorzka, smakuje bosko.

Czy może być wdzięczny człowiekowi, który ukradł coś, co należało do niego?

W tej chwili może, jest.

Oberżysta otwiera drzwi na bezchmurne niebo, łagodny wietrzyk. Kiedy razem z rolnikiem wychodzą, ogląda się na Maksa.

– Mógłbyś pozmywać naczynia w zamian za wikt i opierunek.

Max odprowadza go wzrokiem. Dzisiaj. Pójdzie dzisiaj w nocy, kiedy Étienne będzie spał. Przegląda spiżarnię. Zostało kilka słoiczków oliwek Leonory. Tuzin butelek jej wina. Chwyta dwie butelki i żałuje, że nie może unieść więcej, oraz dwa słoiki oliwek.

W zalanym promieniami słońca salonie jaśnieją ich obrazy. Zdejmie je z blejtramów, zwinie jeden w drugim i zabierze, co będzie mógł.

Na piętrze, w pakamerze, znajduje stary plecak, którego skóra po latach użytkowania zrobiła się miękka. Ma go jeszcze sprzed pierwszej wojny. Zdumiewające, że udało mu się zachować coś aż tak długo. W kieszonce jest mały szkicownik, a w nim kilka zdjęć: jego matka i ojciec, młodzi i nieskazitelni, dzieci w dniu ich ślubu. Wpatruje się w zdjęcie i próbuje wyobrazić ich sobie teraz, zastanawia się, czy jeszcze żyją. To już dwadzieścia lat, kiedy się z nimi widział. Przyjechali na wystawę dadaistów w Kolonii, w piwiarni Wintera, gdzie do środka wchodziło się przez męską ubikację, gdzie młoda dziewczyna w komunijnej sukience czytała obsceniczną poezję. Uśmiecha się na myśl o ich śmiałości. A potem myśli o liście, który ojciec przysłał mu po wystawie. *Przeklinam cię*, pisał. *Pohańbiłeś nasze nazwisko*. Efekty uboczne dadaizmu były nieuniknione, choć teraz przychodzi mu zaakceptować… uczucie żalu? Poczucie winy? A może to po prostu smutek, który pojawia się wraz z życiem wystarczająco długim, by umożliwiało spojrzenie wstecz aż tak głęboko.

Na drugim zdjęciu widać Lou z czupryną krótko przyciętych, ciemnych włosów, mały Jimmy na jej kolanach. Właśnie skończył roczek. Wpatruje się w jej pogodną twarz, myśli o jej błyskotliwości, poczuciu humoru. Była dużo bystrzejsza niż on. Gdzie ona teraz jest? W innym obozie? A może uciekła, jak on?

W kuchni nalewa sobie więcej kawy i przygląda się, jak oberżysta i rolnik chodzą między krzewami winorośli. Jedna z pomarańczowo pręgowanych kotek łasi się do jego nogi, więc podnosi ją i bierze na ręce. To Woolf czy Świerszcz? Matka czy córka? Jedynie Leonora potrafiła je rozróżnić. Wciska głowę w jego rękę, a on gładzi ją po karku, czując mięśnie pod jej miękką sierścią. Leonora tak bardzo uwielbiała te koty, że nie może zrozumieć, jak mogła je zostawić. Pazur haczy o jego rękaw.

– Przepraszam, że cię zostawiła. Jestem pewny, że nie chciała – mówi do kotki (jednak Świerszcz, decyduje), wyhacza jej pazur i stawia na ziemi.

A potem zmywa naczynia. Nie do końca wie dlaczego, ale pozostawanie w tym miejscu sprawia mu przyjemność. Czuje obecność Leonory, jak tutaj wystawała, dzień po dniu, płucząc te same naczynia, spoglądając przez okno na te same pola, te oliwkowe drzewa, te krzaki winorośli.

Później tego ranka idzie do miasteczka odwiedzić Alphonsine. Chociaż zawsze była ona bardziej przyjaciółką Leonory niż jego, ma nadzieję, że mu pomoże, pozwoli mu skorzystać z telefonu. Może nawet będzie wiedziała, co się dzieje z Leonorą.

W oberży Alphonsine pomaga pokojówce zmienić pościel w jednym z pokoi na górze. Jej włosy zwinięte w luźny kok wyglądają na bardziej siwe, a twarz, kiedy się odwraca, by na niego spojrzeć, naznaczona jest zmęczeniem.

– Max! Wróciłeś!

– Co się z nią stało, Alphonsine?

Kładzie mu rękę na ramieniu i prowadzi go przez hol. Na balkonie opierają się o poręcz. Zapala papierosa; proponuje też jemu. Nie zawsze była dla niego taka miła, ale dotrzymywała towarzystwa Leonorze przez ten długi czas, kiedy był w Paryżu, ponieważ Marie-Berthe wciąż była jego żoną i go potrzebowała. Czuje się z tym podle i chciałby jej o tym powiedzieć, prosić ją o wybaczenie. Lecz kiedy ona pochyla się, żeby zapalić mu papierosa, w jej oczach widać współczucie, a on wie, że nie musi już prosić.

Zaciąga się, a dym przywołuje wspomnienia. Przez króciutką chwilę nie jest uchodźcą, lecz artystą. Znowu jest w Paryżu, w Café de Flore, pogodny i uprzywilejowany obserwator świata.

– Nie wiem, co się z nią stało – mówi Alphonsine, spoglądając ponad polami w stronę rzeki. – Jestem zarobiona, wszyscy uciekają z Paryża. Aż do wczoraj ludzie spali tutaj na podłodze. Pierre powiedział, że wpadła na chwilę z pytaniem o zezwolenia na podróż i wspominała coś chyba o Portugalii. Byłam na rynku, a przedtem… – Jej głos odpływa w ciszę. – Była dziwna. Rozmawiała z kotami.

Zaciąga się… szybki, płytki oddech. Gdyby tu był, to wszystko by się nie stało.

– Muszę ją znaleźć – mówi. – Mam okropne przeczucia co do tego, gdzie mogła trafić. Mogę skorzystać z telefonu?

– *Mais oui*. – Muska go po włosach, wygładzając kilka kosmyków ponad czołem, tak jak to robiła jego matka. – Ale szybko. Pierre wróci lada chwila, a on jest zasadniczy.

W recepcji na aparacie za ladą Max wykręca numer, który jakimś cudem zna na pamięć. Dzwoni i dzwoni, aż w końcu odbiera kobieta. Jej głos jest gardłowy, pogodny.

– Halo?

– Lee?

– Max? Skąd dzwonisz? Wszystko u ciebie w porządku?

– Nawet nie wiesz, jak dobrze słyszeć twój głos. Posłuchaj, musisz mi pomóc.

– Dawaj.

– Leonora zniknęła. Przepisała nasz dom na pewnego gościa z miasteczka. Straszne. Ale jeszcze gorsze jest to, że jej tutaj nie ma. Zostawiła wiadomość. Ruszyła do Portugalii, z Catherine.

– Z kim?

– Catherine. – Próbował nie krzyczeć. – Przyjaciółką Ursuli.

– Spokojnie, chłopie. Nie panikuj.

– Wiesz, gdzie jest Leonora? Kontaktowała się z tobą?

– Ostatnim razem, kiedy z nią rozmawiałam, mówiła bezsensownie. Jej śmiech był jakiś dziwny, zupełnie jak nie ona. Ale to było w grudniu, zanim pojechałeś do domu.

– I od tamtej pory nic?

– Ano nic.

Pochylając głowę, Pierre, mąż Alphonsine, wchodzi do środka z jasno oświetlonej ulicy. Jest tak wysoki, że sala kurczy się, kiedy do niej wchodzi. Max odwraca się do niego plecami i mówi szybko:

– Potrzebuję pomocy. Wizy. Zabrała mój paszport. Chociaż to cholerstwo i tak na nic by mi się nie zdało.

– Przekażemy wiadomość Peggy Guggenheim, dobrze? Wolałabym nie rozmawiać z nią osobiście… wiesz, jaki mam do niej stosunek… ale ona finansuje Bretonowi i jego rodzinie przejazd do Ameryki…

– Tak, proszę – mówi, kiedy Pierre wyjmuje mu słuchawkę z ręki.

Grudzień 1938, Saint-Martin d’Ardèche

Kiedy Marie-Berthe była w Paryżu, Leonora miała Maksa dla siebie. Zima stała się jaskinią tworzenia, a oni – parą niedźwiedzi, którym się śni, że są ludźmi. Kiedy okna włączyły się jak wielkie świetlne tablice, a świat jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaistniał na nowo, zwęszyli śniadanie i zjedli ze zdumiewającym apetytem. Uczta składała się z bulw: ziemniaków, buraków, jamsu. Garnek bulgoczącej nad ogniem owsianki był kotłem, ona zaś czarodziejką, alchemiczką, która dodawała szczyptę cynamonu dla ożywienia wyobraźni, gałki muszkatołowej dla pobudzenia krążenia oraz gwieździstego anyżu, by i za dnia zdołali dojrzeć gwiazdy gdyby przyszła im na to ochota, by mogli wejrzeć za bladą kotarę nieba i poznać swój początek.

Nie czuła prawdziwej radości od czasów dzieciństwa… w lasach otaczających Crookhey Hall rozmawiała z ptakami i wiewiórkami. Lecz teraz radość powróciła i usadowiła się jej gdzieś w piersiach, poniżej serca, ale powyżej żołądka. Wyczytała, że Hindusi nazywają to *turija*[1], jedność z wszelkim stworzeniem, a to właśnie czuła. Czuła tożsamość z niespiesznym porannym światłem, jedność z kozami, kiedy je doiła, i z kurami, kiedy zbierała ich jajka. Trzymając w ręku jajko, widziała w nim mikrokosmos wszechświata, skarbnicę stworzenia i przyszłe stworzenie, rezerwuar potencjału i spełnienia. Możliwe, że organ radości ma kształt jajka, myślała… cienka, lecz mocna skorupa kryjąca pulsujące światło rozrostu, ukojenie, które może nadejść jedynie, gdy wierzy się w dobroczynność tego, co człowieka otacza. W Saint-Martin było bezkresne niebo, rzeka, wzgórza, głazy, kamienie i piach, zwierzęta, owady, jej sztuka i Max, jej muza. Pozostawił ją, by mogła pracować sama, lecz kiedy go chciała, natychmiast przy niej był.

A kiedy on jej potrzebował, stała się potężna. Została olbrzymką.

Łóżkiem wstrząsnęło. Max krzyknął. Nie spała.

– Nora?

Było ciemno i cicho. Nadeszła już wiosna i para strzyżyków uwiła sobie gniazdo na karniszu nad oknem, lecz w tej chwili ptaki były ciasno skulone. Objęła Maksa ramionami, przycisnęła jego plecy do nagiej piersi. Był zlany potem.

Od czasu wojny dręczyły go koszmary. Na początku – powiedział jej – pojawiały się nieustannie. Ale nadal, po dwudziestu latach, były to jedyne sny, jakie pamiętał; wstrząsały nim, co – wiedziała – było jednym z powodów, że nie mógł się obyć bez kobiety.

– Opowiesz mi jakąś historię?

Własny sen przenikał głęboko komórki jej ciała, kiedy zaczęła.

Historia z Olbrzymką

Była sobie dziewczynka o imieniu Olivia. Cierpiała na rzadką chorobę krwi. Kiedy miała siedem lat, przestała rosnąć, choć i tak nigdy nie była zbyt wysoka. Lekarze doszli do wniosku, iż wkrótce umrze, i stwierdzili, że musi zostać w łóżku, jeśli chce przeżyć kolejny dzień.

Max przerwał jej:

– Powiedz, że będzie radośniej.

Objęła go mocniej.

– Kto tu opowiada historię, Max? – spytała.

Leżała w łóżku, jej matka łkała, a ojciec przed wyjściem do pracy codziennie całował ją w czoło. Olivia nie mogła znieść ciągłego łkania matki i odesłała ją do salonu, gdzie przez firanki przyglądała się światu zrobionemu z dziur. Mieszkali na wsi, niedaleko wybrzeża, i dziewczynka poprosiła nianię, żeby otworzyła okna. Ponieważ wiosna była ciepła, niania się zgodziła, ale najpierw rozłożyła jej na łóżku jeszcze jeden koc. Wiatr owionął jej twarz i Olivia stała się długimi trawami na klifie. Słyszała, jak fale rozbijają się o brzeg, i stała się piaskiem rozcieranym na coraz drobniejsze ziarenka. Czuła, jak jej ciało się rozpływa, i była szczęśliwa.

Pewnego ranka obudziła się i spostrzegła, że dwa wróble wiją na karniszu gniazdo. Ponieważ Olivia przypatrywała im się bardzo cicho, zupełnie to ptakom nie przeszkadzało. Zeskakiwały na jej koc i jej odsłonięte ramiona, przekrzywiały główki i spoglądały na nią, a czasami skubały z jej głowy miękkie jasne włosy, którymi wyścielały swoje gniazdo. Musiały upuścić na podłogę nasiona, ponieważ kiedy deszcz wpadał ukośnie przez okno, wykiełkowały nie tylko trawy, ale i kwiaty, chabry i stokrotki. A dziewczynka, wsparta na poduszkach, zjadła zupę truskawkową i poczuła się sil-

niejsza. Cztery jajka w gnieździe zmieniły się w cztery głodne pisklęta, a do pokoju przez okno weszło drzewo, a kiedy jego owoce dojrzały, jeszcze więcej ptaków przyleciało, by je zjadać. Kawki, strzyżyki i pliszki.

Pewnej nocy dziewczynce się przyśniło, że jej łóżko to łódź i że wypłynęła nią daleko w morze. Napotkała wieloryba, a ten przemówił do niej językiem, który rozumiała. On też był niegdyś mały, ale znalazł na dnie morza pewne jajo, dotknął go nosem i urósł. Był to płetwal błękitny, faktycznie wielkich rozmiarów. Powiedział, że jeśli zechce, zabierze ją do jaja, włożył więc ją sobie do pyska i zanurkowali. Na dnie wypluł dziewczynkę. Jajo było tak duże, że nie mogła objąć go ramionami. Objęła je tak, jak się obejmuje gigantyczne drzewo. Przycisnęła do niego nos, a potem wieloryb z powrotem wyniósł ją na powierzchnię, żeby mogła zaczerpnąć powietrza, bo była dziewczynką i musiała oddychać.

Kiedy się obudziła, jej stopy zwisały z łóżka. Jej koszula nocna była w strzępach, więc ściągnęła podarte resztki materiału i wyszła przez okno. Z każdym jej krokiem kwiaty, drzewa, cały świat robił się coraz mniejszy. Zanim przeszła przez ulicę, drzewa sięgały jej do kolan. Szła i czuła się porowata i niewidzialna, a wokół niej fruwały ptaki. Rybitwy, pelikany, kilka białych żurawi. Kiedy doszła do morza, drzewa sięgały jej nie wyżej niż do kostek. Poczuła pieczenie na łydkach i usłyszała odległą, pełną wysokich tonów muzykę. Prawie nie mogła już dojrzeć palców u nóg, ale dostrzegła dziwne zawirowania wokół swych stóp i poczuła delikatne ukąszenia czy też ukłucia. Pomyślała, że to muszą być owady, ale kiedy się pochyliła, by się temu przyjrzeć, dotarło do niej, że owa muzyka to w istocie są krzyki, a ukąszenia to strzały i kule odbijające się od jej skóry. Ludzie byli przerażeni. Próbowała na nich nie nastąpić, ale raz poczuła pod piętą trzask, coś jakby zgniotła ślimaka.

1. *Turija* (sanskr. dosł. „czwarta”) – stan absolutnej świadomości. [wróć]

PORTRET **MAKSA ERNSTA**

Czerwiec 1940, Saint-Martin d'Ardèche

Nie ma księżyca, przynajmniej na razie. Étienne i jego koledzy są pijani w sztok, ich chrapanie dudni po całym domu, i nikt się nie porusza. Narzucił na ramiona czarną wełnianą podróżną pelerynę, na głowę naciągnął kaptur i tak zniknie w mroku nocy. Napełnił plecak winem i oliwkami, serem i salami, włożył do niego swą najlepszą kurtkę, zapasowe spodnie (które, podobnie jak te, które teraz ma na sobie, wiszą na nim) i kilka dobrych koszul.

Chce też włożyć do plecaka album Leonory, ale wypada mu z rąk i otwiera się na stronie z ich zdjęciem. Ona na brzegu Lambe Creek, toples, on zaś to ociekające wodą i spowite wodorostami stworzenie, które wynurzyło się z oceanu. On jest starcem z bagien, a ona jest czarowna. Co też mogła w nim widzieć, zastanawia się, wciskając album do plecaka razem z jej egzemplarzem *Alicji*, jego powieścią-kolażem i zbiorkami opowiadań, które napisała, *La dame ovale* i najnowszym, *La maison de la peur*. Dom strachu.

Skrada się schodami w dół. Staje na krześle i starając się nie czynić najmniejszego hałasu, zdejmuje po kolei ze ścian ich obrazy. Sprawia wrażenie, jakby zmienił się w jakieś nocne stworzenie, jak złodziej, mysz czy karaluch – te niechciane istoty, które harcują w ciemnościach, kiedy gospodarze śpią. Niesie obrazy do starego kościoła, do swego studia.

Przechodzi nawą, kiwając się między ławkami, wchodzi po schodach na ambonę i zapala świecę. Wszystko jest w takim stanie, w jakim to miejsce pozostawił. Na stole, który zrobił z drzwi, ze słoja, jak zasuszone kwiaty, wyrastają jego pędzle; jedna obok drugiej leżą zaschnięte tubki farby, a filiżanka z obwódką wysuszonej kawy na dnie stoi w miejscu, gdzie odstawił ją ostatnim razem. Zwój płótna opiera się o stary pulpit obok sterty desek i gwoździ. Wszystko jest gotowe i tylko czeka na niego. Spogląda na pustą sztalugę i wzdycha, zastanawiając się, ile by dał, by móc tutaj pozostać. Jego mały palec byłby niewygórowaną ceną za jeszcze jeden rok tak doskonałego światła.

Klęcząc na podłodze, wyciąga gwoździe z płócien i zdejmuje je z drewnianych blejtramów. Oto *Oblubienica Wiatru* – obraz, który podarował jej na ich pierwsze wspólne święta. Przekłada go pakowym papierem; potem idzie jej autoportret *Oberża pod koniem świtu*, jej dzikie oczy, rozwichrzone włosy, zatrzymuje wzrok na niewyraźnej plamie na obrazie, gdzie namalowane było upiorne stworzenie. Było to późnym wieczorem w Wigilię i oboje byli trochę wstawieni szampanem. Powiedział jej, że obraz jest fantastyczny, ale kiedy poprosiła, żeby był bardziej konkretny, nie mógł kłamać. Stwierdził, że upiór wydaje mu się nie na miejscu, że o tę jedną rzecz jest tam za dużo. Próbowała mu to wytłumaczyć. To jeden z sidhe, zaczęła. A potem zamilkła. Kiedy nalegał, żeby go zatrzymała, wymazała go. Ale pozostawiła rozmazaną plamę i cień, a wspomnienie jej oporu wywołuje jego uśmiech.

Znowu pakowy papier i jej *Posiłek lorda Candlesticka* z żarłocznymi, groteskowymi kobietami oraz jego portret, ten w zimowym entourage'u. Przykrywa je swymi najnowszymi poszukiwaniami w dziedzinie dekalkomanii, farba przyciśnięta jest do płótna szklaną taflą, organiczne, przypadkowe kształty zaś uwydatnione, a potem poprawione tak, że wyglądają na zamierzone. Oto dwa przedstawiające Leonorę: *Światło poranka* i jeszcze jeden, niemalże zbyt duży, by go zabrać, *Toaleta panny młodej*; ciało Leonory okryte piórami i strzegący jej żurawiogłowy mężczyzna z włócznią. Tylko że jego akurat przy niej nie było, myśli, dotykając jej nagiego brzucha. Zwija obrazy i wpycha je do plecaka, z którego wystają jak teleskop skierowany w gwiazdy.

Promień światła przebija się przez drzewa i wpada do kościoła. Kuca pod oknem i odprowadza wzrokiem przechodzącego mężczyznę z latarką. Ze sposobu, w jaki utyka, i z garbu na plecach rozpoznaje w nim tego półgłówka, który mieszka z matką. Czy to on go zadenuncjował? Miałby ochotę go przydusić, obić i porzucić na śmierć przy drodze.

Przeraża go myśl, że byłby zdolny do takiej przemocy. Co też z niego zrobili? Czyżby nie był lepszy niż żandarmi, nie lepszy niż hitlerowcy?

Wpatruje się, jak światełko znika za rogiem, rzuca ostatnie spojrzenie na studio i zdmuchuje świecę. Wkracza w noc, ponownie okrąża jeżyny i zarośla, przemyka polami. Zna prefekta z Aiguèze, z którym od czasu do czasu spotykał się w Motel des Touristes na drinka i gorące dyskusje, człowieka, który – ma nadzieję – jest do niego nastawiony wystarczająco przyjaźnie, by wystawić mu wizę wyjazdową. By do niego dotrzeć, będzie musiał prze-

kroczyć Loarę, a tym razem ma z sobą fotografie, książki i obrazy. Sam nie da rady przebyć rzeki, ale ponieważ mosty nie wchodzą w rachubę, posuwa się wzdłuż jej brzegu. Czasami przed jakimś domem można natrafić na łódź, na małą wiosłową łódkę.

Tymczasem wschodzi księżyc, migocząc w rzece, a jego myśli skupiają się na tym, co powiedziała Lee. Co to znaczy, że śmiech Leonory był dziwny? Jak ona to określiła? *Zupełnie jak nie ona*. I rozmawiała z kotami, powiedziała Alphonsine, co oznacza – on to wie – że koty mówiły do niej. To nie nowina. Już wcześniej podsłuchał, jak z nimi rozmawia. Martwi go jednak to, że nie mogła tego ukryć przed praktyczną, solidną Alphonsine. Przywołuje na myśl jej wygląd czasami, kiedy maluje od rana do nocy, kiedy pije wino i maluje, i zapomina o jedzeniu. Jej oczy dziczeją, robią się nieobecne i obce, przerażone niemal tym, co widzą.

Coś przed nim, jakaś połyskująca rzecz przykuwa jego uwagę. Kiedy się zbliża, zdaje sobie sprawę, że to niewielka łódka, bączek, spycha ją więc na wodę i wiosłuje po spokojnej rzece. Księżyc uśmiecha się na widok tej kradzieży i tego, co się z nim stało. *Mea culpa*, mamrocze, wyciąga łódź daleko na brzeg, żeby nie odpłynęła, myśli o Marie-Berthe i zastanawia się, ile razy by się przeżegnała, gdyby tutaj była.

Do domu prefekta, monsieur de Langeliera, dociera tuż po świcie. Staje pomiędzy przyciętym żywopłotem a dużymi niebieskimi drzwiami, używa mosiężnej kołatki w kształcie pięści.

Raz, dwa, trzy. Sześć. Dziewięć.

Czeka w wypełnionej ptasim śpiewem jasności. Jest za wcześnie, powinien przyjść później, myśli, kiedy kamerdyner otwiera drzwi – twarz i marynarkę ma wymięte, powieki ciężkie. Najprościej jak umie, Max wyjaśnia, skąd się wziął. Mężczyzna wpuszcza go do środka, usadza w kuchni, gdzie kucharka podaje mu kawę i gorącego croissanta, a on płynie na drożdżowym obłoku ciepła. Pana nie ma w domu i nie mają pewności, kiedy wróci.

– Ale przyjaciel monsieura, Georges, ten ekscentryczny prefekt La Roque-sur-Ceze – wyjaśnia kamerdyner – mieszka w zamku, gdzie bez wątpienia pozostanie na czas trwania wojny.

Twarz kucharki rozpromienia się jakby jakąś tajemną wiedzą, jaką skrywają wszyscy dobrzy kucharze, kobieta chichocze w rękaw.

Maksowi podoba się jego opis. Ten ekscentryczny prefekt La Roque-sur-Ceze. Jego miejsce jest w jednym z opowiadań Leonory. Wspaniale, mówi. Ale bardziej odpowiednią porą na podróż jest noc, a on jest zmęczony. Czy może się tutaj przespać? Czy jest tutaj jakieś zapasowe łóżko? A jeśli mają telefon, czy mógłby krótko zatelefonować?

Kamerdyner ściąga usta – nowa niedogodność. Kucharka wszakże obrzuca go szybkim spojrzeniem, wyciera ręce w zaplamiony fartuch i uśmiecha się, na policzkach ma dołki, a w oczach figlarność. Biedny artysta może przespać się w jej łóżku, tak czy owak nie będzie go dzisiaj potrzebowała.

Kamerdyner prowadzi go do gabinetu i kręci się koło drzwi, kiedy Max wybiera numer Lee.

– Proszę się streszczać – mówi szorstko.

Max przygląda mu się, gdy kroczy przez hol i przystaje, by wyprostować ramę obrazu. Nie ufa mu. Ten człowiek ma zbyt wiele wolnego czasu.

Telefon odbiera lokaj Rolanda, a po chwili przy aparacie jest sam Roland. Rozmawiał z Kay Sage, mówi, nową żoną Tanguya, a ona rozmawiała z Peggy, która planuje wrócić do Marsylii tak szybko, jak tylko się da, i gdyby się z nią tam spotkał – wydaje się jej, że powinno znaleźć się miejsce, od września, w willi Air-Bel, domu na niedalekiej prowincji, gdzie ukrywa się wielu artystów uchodźców – zrobi, co będzie mogła, żeby załatwić mu przejazd do Stanów.

– Dlaczego miałaby zadawać sobie tyle trudu, żeby mi pomóc?

– Powiedzmy, że ma słabość do artystów. – Roland się śmieje. Dodała też, mówi, żeby nie zapomniał powiedzieć Maksowi, że właśnie widziała jego rzeźby w „Cahiers d’art” i szalenie jej się spodobały. Czy chce jej adres w Grenoble? Max zapisuje go. – Och, byłbym zapomniał – rzuca w pośpiechu. – Rozmawiałem z Ursulą. Catherine była w drodze do Hiszpanii. Co znaczy, że Leonora może jej towarzyszyć.

Nie jest to wiele, ale zawsze coś. Dziękuje mu.

– Pozdrów ode mnie Lee – mówi na koniec.

Hiszpania. A potem do Lizbony? Ale jak miałby ją odnaleźć? Myśl jest powalająca. Nawet jeśli uda mu się zdobyć francuską wizę wyjazdową, będzie potrzebował hiszpańskiej wizy wjazdowej. I potrzebuje pieniędzy. Dlaczego nie poprosił go o parę groszy? Roland jest przecież przyjacielem; z pewnością zrobiłby, co w jego mocy. Jeszcze raz podnosi słuchawkę, żeby znowu do niego zadzwonić, i odwiesza ją. Jak Roland miałby przekazać mu

pieniądze? Przede wszystkim musi znaleźć jakieś miejsce, gdzie przez jakiś czas mógłby pozostać; o fundusze zatroszczy się później.

Spogląda w głąb holu. Kamerdyner zniknął, jak się wydaje, a na biurku leży wczorajsza gazeta. Przerzuca ją, poszukując jakichś wiadomości o zawieszeniu broni. Jak poprzednio, są na ostatnich stronach. Warunki zostały uzgodnione. I jest. Klauzula 19. Francuzi przekażą hitlerowcom wszystkich „poszukiwanych" Niemców. Każdego z ich listy. Tak, jak się tego spodziewał. Francuscy faszyści podporządkowują się hitlerowcom. Kręci mu się w głowie, na chwilę przysiada. Myśli o mężczyznach z tamtego pociągu, którzy najpewniej są już w jakimś nowym obozie. Co niby miałoby powstrzymać Francuzów przed ich wydaniem? Nie musieliby zapewniać im zakwaterowania ani wyżywienia. Staliby się zmartwieniem hitlerowców. On, Bogu dzięki, jest poza obozem, ale będzie musiał jakiś czas się ukrywać. Prefekt – ma nadzieję – pozwoli mu zostać, a Peggy Guggenheim powiedziała, że mu pomoże.

La Roque-sur-Ceze, Marsylia… przydałyby się mapa i kompas. Z pewnością prefekt nie miałby nic przeciwko temu, żeby je sobie pożyczył. Przeszukuje szafki w jego gabinecie, aż je znajduje. Wkłada kompas do kieszeni, zwija mapę i wsuwa do tuby z obrazami.

Bierze gorącą kąpiel i – wciąż nagi – wślizguje się do miękkiego łóżka kucharki w pokoju, który pachnie rosołem. Śniąc o Leonorze zamkniętej w rozpadającej się wieży, o jej twarzy w małym, wysoko umieszczonym okienku, kiedy przeszukuje kieszenie w poszukiwaniu klucza, budzi się o zmierzchu – już zmierzcha! – i przy ciele, które przywarło do niego z tyłu, które go tuli, ciele tak pokaźnym, że czuje się przy nim mały, bezpieczny, a ręka na nim, dookoła niego, ściska, porusza się w górę i w dół, to ręka, która doi krowy, ręka, która wie, że jej wartość zawiera się w ruchu, w pracy. Odwracając się do kucharki, zapada się w jej błękitne oczy, w jej ciało, jak w wyrośnięte ciasto, zostaje wchłonięty. Nie ma siły opierać się temu darowi. Te tygodnie, kiedy był z dala od Leonory, sprawiają wrażenie lat. Zapomniał, jakie to uczucie pragnąć wejść w ciepły ocean innej osoby, poczuć, jak ów ocean pochłania człowieka, poczuć, jak w nim wzbiera, nabrzmiewa i rozbija się, fala za falą, Boże, zapomniał, jakie to uczucie żyć.

– Niech to szlag – mówi – szlag niech to trafi.

A ona głaszcze go po rzednących włosach, całuje jego powieki, przyciska go do piersi, a on na powrót zapada w sen.

Wyślizguje się z jej ciężkich ramion w nieważkość nocy, zabierając z sobą bochenek jej chleba.

Przebiegając przez podjazd, czuje się tak lekko, że mógłby pofrunąć. Kiedy dociera do ulicy, słyszy za sobą dźwięk włączonego silnika. Czuje kłucie ramion. Zlany potem zwalnia do marszu. Ogląda się przez ramię i widzi, że reflektory skierowane są na niego. Samochód zrównuje się z nim. To żandarmeria. Musiał ich wezwać kamerdyner. Okno jest opuszczone, za kółkiem siedzi jakaś zacieniona postać.

– Max Ernst? – pyta. – Proszę wsiadać. Chyba że ma pan dokument zwolnienia z Camp des Milles? – Otwiera drzwi.

Ucieczka byłaby głupotą. Zanim żandarm go zatrzyma, Max odgryza kęs ciepłego chleba.

Noc Max spędza razem z pijaczkami w miejskim więzieniu, a rano młody żandarm zakuwa go w kajdanki i odwozi do Nîmes. Nie protestuje. Metal na nadgarstkach jest chłodny, a żandarm opuszcza oba okna. Przypatruje się wiekowemu miastu, a potem polom mijanym, kto wie, być może ostatni raz, tej krainie, Prowansji, która niegdyś wydawała mu się rozległa i spokojna, bezgraniczna jak ich wolność. Wydawała mu się stworzona dla nich, dla niego i jego Oblubienicy Wiatru. Kiedy spogląda na otoczoną murem wioskę na wzgórzu, zapomina, że wciąż pozostaje wrogiem Francji. Zapomina, że jest pionkiem, którego jeden rząd za chwilę przekaże innemu. Próbuje nie zauważać słoneczników chylących tarcze w posępnym *adieu*.

Kiedy przybywają na miejsce i żandarm prowadzi go do obozu, na rękach nadal ma kajdanki, jak pospolity przestępca. Mijają straże i przechodzą przez starą żelazną bramę, na której widnieje pochyły napis *San Nicola*. To był kiedyś czyjś dom, dociera do niego, kiedy spogląda na niedawno – i po partacku – wzniesiony płot z drutu kolczastego, na próbę zmiany tego porzuconego gospodarstwa w obóz jeniecki. Wewnątrz ogrodzenia zielone pola usiane są ładnymi białymi namiotami spiczaście zakończonymi jak papierowe kapelusze. Jest tam też kilka starych kamiennych budynków, dom gospodarza i kilka mniejszych budowli przeznaczonych dla robotników, a teraz dla oficerów i strażników. Nie aż tak zły jak Camp des Milles, myśli, i wtedy uderza go zapach. Smród otwartych latryn, wspólnego rowu, do którego dwa tysiące mężczyzn ma załatwiać swoje potrzeby.

Komendanta znajdują przy wielkim biurku w gabinecie w domu gospodarza. Każe żandarmowi zdjąć kajdanki, od tej pory on przejmuje sprawę. Max zastanawia się, czy nie powinien wytłumaczyć, dlaczego wysiadł, dlaczego musiał wysiąść z pociągu. Nie jest jednak wyjątkiem. Większość tych mężczyzn ma kogoś bliskiego, kogoś, kogo za wszelką cenę pragnie odnaleźć. Komendant przeciąga ręką po nieogolonym gardle. Sprawia wrażenie wyczerpanego. Potrząsa głową, jakby nie chciał zrobić tego, co zrobić musi, i kiwa na strażnika.

– To tylko na jeden dzień – mówi do Maksa.

Strażnik próbuje odebrać mu plecak.

– To wszystko, co mam – oponuje Max, jeszcze bardziej kurczowo ściskając paski.

– Dostanie go pan z powrotem – mówi komendant.

I strażnik zabiera to, co zostało z jego życia.

Umieszczają go w rozpadającym się drewnianym budynku, który kiedyś był chlewem. Strażnik zamyka za nim drzwi na klucz. Siada na ziemi, łupkowy dach jest zbyt niski, by mógł stać. Przez szpary wpadają promienie słoneczne. I choć w chlewie jest gorąco, wystawia twarz do słońca. Ulga. Znaczy to, że nadal stąpa po tej ziemi.

Na klepisku leży cienka warstwa słomy, lecz kiedy się kładzie, woń staje się obrzydliwa. To smród ludzkich odchodów. Wygląda na to, że mężczyźni, których trzymano tutaj przed nim, gołymi rękami robili w ziemi dziury, a potem przykrywali ekskrementy słomą. Jeden dzień. Wmawia sobie, że wytrzyma.

Siada ze skrzyżowanymi nogami i zamyka oczy. Słyszy głosy przechodzących obok mężczyzn. Mówią do siebie głośno, stanowczo i z pewnością siebie. Mówią, jakby to, co mają do powiedzenia, coś znaczyło. Lecz to wszystko przypadek, cały ten los, czyż nie? Wczoraj po południu był opatulony, wchłonięty miękkością łóżka kucharki, miękkością samej kucharki, pełnej wigoru, pachnącej ciastem, mięsem i drylowanymi owocami. A teraz, proszę, znalazł się w chlewie. Ale po prawdzie, gdyby nie został na cały dzień, być może by go nie schwytali. To jego kara, słyszy swego ojca. Zasługuje na to, by tutaj być.

Przysłuchuje się, jak mężczyźni w obozie, Francuzi z miasteczka najpewniej, zachwalają swoje towary. *Skórzane buty w świetnym stanie, rozmiar dziesięć, gazety z Paryża, wino, whiskey, sałatka pomidorowa i pieczony kurczak. Wszystko w bardzo dobrej cenie.* Któż miałby ich winić?

Nieszczęście jednego to zysk drugiego. Tak to już jest na tym świecie. A w tej chwili za pomidora, kawałek kurczaka i szklankę wina oddałby obraz.

Słońce z wolna przesuwa się po błękicie nieba. Gorące i wysokie wisi nad głową jakby tylko i wyłącznie po to, by się pocił. Wargi wysychają mu tak, że nie może przełykać. W końcu strażnik przynosi mu niewielkie wiaderko z wodą, kilka kromek chleba, stęchłego i twardego. Wypija wodę małymi łykami, smakując każdy z nich, przeciągając tę chwilę. Kiedy nadchodzi zmierzch, a on nie dostał niczego innego do jedzenia, zeskrobuje paznokciem pleśń z kromki chleba, odłamuje kawałek i zaczyna żuć.

Gdy tylko wypuszczą go z chlewu, postanawia, ucieknie, prześlizgnie się przez drut kolczasty i raz jeszcze wtopi się w ciemność.

Sierpień 1939, Saint-Martin d’Ardèche

Gorący, suchy wiatr przywiał przyjaciół. Fini i jej mężczyzn – André Pieyre’a de Mandiarguesa, francuskiego pisarza, i Federica Venezianiego, Włocha – a wkrótce po nich Lee i Rolanda. To było jak Lambe Creek na nowo, dwutygodniowe party z Maksem i Leonorą w roli gospodarzy. Wszyscy pracowali z rana, po południu pływali w Loarze, a wieczorami pili wino i jedli kolację pod jaśniejącymi planetami, wsłuchując się w gardłowe pieśni żab.

Ubrana w jedną z lejących się białych bluzek Fini i spódnicę Leonora usiadła na krześle w ogrodzie, a artystka udrapowała jej na ramionach chustę. Fini malowała wszędzie, gdzie się znalazła, i zawsze podróżowała z kufrem pełnym ubrań – jej inspiracją. Był ranek, w cieniu panował chłód. Za tydzień i ona, i jej mężczyźni będą w drodze do Arcachon, francuskiego kąpieliska na atlantyckim wybrzeżu, gdzie spędzą miesiąc z Dalim i Galą, a Leonora nie chce, żeby wyjeżdżała.

– Dali, rozumiem – powiedziała Leonora. – Ale Gala? Jimmy powiedział mi, że jego matka jest przekonana, iż to ona jest tą wiedźmą, która wykradła Maksa.

– Przez co wiedzie takie, a nie inne życie. Pomyśl tylko, gdyby go nie uwiodła, nie byłoby tutaj ani mnie, ani ciebie. Nasze żywoty się przeplatają, bardziej, niż jesteśmy to w stanie zrozumieć. – Rozpuściła kok Leonory. – Wiesz, co daje jej taką moc? Zrozumiała, że to męski świat, i zaakceptowała to. Nie próbowała przeciwstawić mu się tak, jak my to robimy… tworząc własną sztukę. Jestem pewna, iż myśli, że wybrałyśmy ciężką, głupią drogę. Po co ma malować, skoro może inspirować geniusz? Pomyśl tylko… za sto lat to jej twarz będzie wisiała na ścianach muzeów. – Przesunęła rękę Leonory i oparła ją o kolano. – A teraz siedź bez ruchu. Naszkicuję cię. To nie potrwa długo.

Fini pracowała szybko, węglem, lecz nie dość szybko. Leonora próbowała oddychać głęboko, opróżnić umysł. Czuła się, jakby miała wyskoczyć ze skóry i wziąć nogi za pas. Ptasi śpiew nie pomógł. Brzmiał fałszywie.

W tej chwili, w jakimś miasteczku jak to, hitlerowcy robili obławę na Żydów, artystów, homoseksualistów i komunistów – na każdego, kto nie pasował do ich wagnerowskiego ideału. Zadygotała. Większość czasu była tak zaabsorbowana pisaniem opowieści, że nie słyszała wielkich zgrzytliwych gąsienic czołgów, nie słyszała strzałów i krzyków, ale teraz, siedząc tutaj, nie mogła się od nich uwolnić. Niemcy zajęły Czechosłowację. Hitlerowski terror rozlewał się jak smoła z cieknącej beczki.

– Piszesz? – spytała Fini. Piszesz, a nie malujesz, pomyślała Leonora. Pisać mogła wszędzie… w kuchni czy w ogrodzie. Malowanie otworzyło w niej ten drugi świat, a tutaj nie czuła się bezpieczna. Za każdym razem, gdy zamykała drzwi swego studia, miała atak paniki… tak jak teraz. – Jaki tytuł będzie miała twoja książka? – spytała Fini. Ale nie mogła wydobyć ani słowa. Była jak zmrożona. – Carrington?

– Ma tytuł *Dom strachu* – powiedziała, gdy już mogła się odezwać.

Leonor szkicowała jej oczy, wpatrując się w nią z taką intensywnością, że sprowadziła ją na ziemię.

– Zrobiłaś z tego niebiańskie miejsce, Leonoro – stwierdziła. – Ale musisz być gotowa wyjechać, jeśli będziesz musiała. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

Oczy wypełniły jej się łzami. Zaskoczył ją ten nagły przypływ emocji; próbowała je stłumić. W zeszłym tygodniu przyszedł list od Matki. Anglia szykowała się do wojny z Niemcami. Błagała ją, by wróciła do domu. A Leonora nie wspomniała o nim Maksowi ani słowem. Postanowili, że nie będą rozmawiać o hitlerowcach, że ich dom będzie strefą bezpieczeństwa… wolną nawet od rozmów o wojnie.

– Wiesz, co się dzieje, co? Czytasz gazetę? – spytała Fini.

– Zawarliśmy pakt, że nie będziemy żyli w strachu. Max mówi, że to śmierć dla kreatywności.

– Chcesz, żebym mu przemówiła do rozsądku?

Portret, kiedy Leonor już go skończyła, miał w sobie coś ze szkicu, a jego punktem ciężkości była twarz Leonory. Wpatrywała się w nią. Jakim cudem namalowała ją taką piękną? Oczywiście to nie była tak naprawdę o n a, tylko to, jak widziała ją Fini.

Patrząc na obraz, poczuła się inaczej. Silniejsza.

Znalazła Maksa w jego studiu w kościele. Słońce wysoko na niebie świeciło przez otwarte okna i w pomieszczeniu było gorąco. Był bez koszuli,

pracował nad nową, wielką dekalkomanią. Misterny las pod niebem o brzasku. Zwrócony do niej plecami nie przerywał pracy. Nie cierpiał, kiedy mu przerywano, ale jeśli nie porozmawia z nim teraz, wiedziała, że później nie wystarczy jej odwagi. Nie będą sami aż do pójścia spać, a jeśli mieliby rozmawiać wtedy, już nie uśnie.

– Max? Kochanie?

– *Oui*? – Wytarł pędzel szmatką i wetknął go w białego kleksa na palecie, uzyskując najjaśniejszy odcień zieleni.

– Miałam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać.

– Śmiało, mów.

A więc to tak ma być. Wzięła głęboki oddech.

– Leonor się o nas martwi.

– Tak? – powiedział, wciąż na nią nie patrząc.

– I w swoim liście matka… – Zabrzmiało to tak, jakby była dzieckiem. – Pisze, że Anglia się mobilizuje. Wojna jest nieunikniona. Błaga mnie, żebym wróciła do domu.

– Jesteś wolnym człowiekiem, Leonoro. Jeśli chcesz jechać, jedź. – Powiedział to tak lekko, jakby była co najwyżej jego pokojówką.

– Jeśli Niemcy zajęły Czechosłowację, co miałoby ich powstrzymać przed przyjściem tutaj? – Czekała na odpowiedź, przypatrując się, jak maluje w ciszy. W tej chwili była bardzo niezadowolona z przyjazdu przyjaciół. Nie mieli czasu dla siebie i wydawało się, że ich przyjaciele przywieźli z sobą wojnę. – Max, do diabła. Spójrz na mnie. – Uniósł wzrok, zimny i gniewny. – To my powinniśmy wyjechać, ot co. Moglibyśmy pojechać do Ameryki, znaleźć miejsce takie jak Saint-Martin, z bezkresnym niebem i rzeką. To miejsce uczyniliśmy domem, możemy i inne.

Odłożył pędzel. Pod starannie utrzymywaną maską spokoju był wściekły.

– Pracuję, Leonoro. Nie widzisz? – Mówił przesadnie cicho, jak do dziecka. – Potrzebuję spokoju. Czego nie rozumiesz?

– Nie możesz tego ignorować. To się samo nie rozwiąże. Musimy porozmawiać.

– O czym? Jeżeli musisz jechać, jedź. Jedź z Lee i Rolandem, jeśli chcesz. Ja zostaję tutaj.

Wyszła z kościoła, usłyszała, jak trzaskają za nią drzwi. Ona może i pojedzie. On miałby swój cholerny święty spokój, dopóki nie przyszliby Niemcy i go nie zamknęli.

– Zaczekaj! – zawołał. Szła dalej. – Proszę.

Przystanęła, niech mówi do jej pleców.

– Nora, przepraszam. Wiem, że się boisz. Wiem.

Odwróciła się. Znowu był tym zagubionym chłopcem i cały gniew z niej wyparował.

– Tak jak i resztą żołnierzy rządził mną strach. Robiłem to, co Niemcy chciały, bym robił. Zabijałem ludzi, dobrych ludzi. Paul i ja strzelaliśmy do siebie przez pole w Verdun. A gdyby któryś z nas nie chybił? – Wzięła go za rękę, chcąc, by wiedział, że został odnaleziony. Ona tutaj jest. – Kiedy wróciłem z wojny, obiecałem sobie, że bez względu na to, co się zdarzy, nie będę się bał.

– Ale moglibyśmy wyjechać. Rozpocząć na nowo gdzie indziej.

– Nora. Rozejrzyj się wkoło. To jest nasz dom. – Ujrzała ciężkie grona zwieszające się z krzewów winorośli. Ze ściany wyłaniała się gigantyczna cementowa para, na dziobie mężczyzny przysiadł strzyżyk.

Wiedziała, że nigdzie nie pojadą.

Tej nocy nie mogła usnąć, a kiedy poszła do kuchni napić się ciepłego mleka, na kuchennym blacie już czekały na nią nożyczki. Wzięła je do ręki i obcięła niewielki kosmyk włosów. Pomyślała, że zakopie go w pobliżu ziemniaków, które zdawały się nie mieć problemów z zasypianiem tak w dzień, jak i w nocy. Pamiętała, jak bezpieczna i czysta się poczuła, gdy wykopała jamę nad rzeką i zagrzebała w niej swoje ciało; pomyślała więc, że jeżeli zakopie kosmyk w pobliżu ziemniaków, być może poczuje się ciężkostrawna, bogata w skrobię i zmęczona. Wykopała dziurę, przysypała włosy warstwą ziemi. Była pełnia, a księżyc najwidoczniej nasączył ją swą upiorną krwistością [1], ponieważ przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł.

Z nożycami w ręku przekradła się przez stare domostwo i weszła na piętro; serce biło jej jak oszalałe. Roland i Lee spali w pierwszej sypialni. Powoli, bezszelestnie otworzyła drzwi. Nusch powiedziała jej, że Roland ma skłonność do krępowania partnerek i sypia wyłącznie z kobietami, które mają związane ręce, zastanawiała się więc, co też ujrzy. Okna były otwarte i światło księżyca padające na pościel i ich nagie ciała było oślepiające. Nadgarstki Lee były owinięte jedwabną apaszką ozdobioną kwiatami, jak maleńkie kleksy w kalejdoskopie. Trzymała je nad głową, jakby wylegiwała się w słońcu. Miała krótkie włosy, a kiedy Leonora ścięła niewielki kosmyk, tuż nad uchem, pomyślała o matce i jej łysym placku, i o tym, jak

bardzo chciałaby ujrzeć jej twarz. Ciachnęła też odrobinę włosów Rolandowi i przekradła się z powrotem do kuchni, gdzie w spiżarni ułożyła pukle i oznaczyła je imionami.

Przeszła przez hol, pod stopami czuła chłód kafli. Drzwi do pokoju Fini jęknęły, kiedy otworzyła je przy akompaniamencie dudniącego chrapania Federica, który spał na plecach. Leonor obejmowała ramionami André. Zdawali się śnić ten sam sen. Obcięła kosmyki ich włosów, pochowała w różnych kieszeniach i wyłożyła na półkę w spiżarni. Następny był Max, czupryna jak po rażeniu piorunem, włosy delikatne jak u dziecka.

Kiedy niebo pobladło i światło dnia wymazało cienie, nazbierała ziół: pęki oregano, bazylii i dwa dojrzałe pomidory. Otwierając kuchenne drzwi, ujrzała Fini w kardynalskiej szacie, jak siedzi przy stole, pali i pije kawę. Przez chwilę się nie odzywały, jedynie patrzyły jedna na drugą; zastanawiała się, czy jest prawdziwa, czy też ją sobie tylko jakoś wyczarowała. A potem Fini przemówiła i wizja wyparowała.

– Rozmawiałaś z nim?

– Rozmawialiśmy. – Zaczęła siekać zioła. Z nożem w ręku była mocarna. Dlaczego, do diabła, była taka pełna obaw? – Zostajemy. Jesteś głodna?

Fini westchnęła, jakby było po prostu zbyt wcześnie, by wszczynać kłótnię.

– Jeszcze nie. Chcę popracować na kawie i dymie. Jest w tym coś bardziej płynnego. Świat marzeń łatwiej przenieść do świata realnego na czczo.

I wyszła z kawą i papierosem.

Kiedy Leonora czekała, by wszyscy inni powstawali, ścięła sobie trochę więcej włosów, by poeksperymentować. Chciała, by jej goście poczuli, że jedzą włosy, ale nie tak od razu. Przecięła na pół dwucalowy własny kosmyk i dorzuciła do ziół w rondlu, uważając, by wszystko gotowało się na małym ogniu, tak by włosy się nie spaliły. Kiedy kosmate ziołowe masło już skwierczało, wbiła dwa jajka, a gdy mieszanina zbrązowiała na krawędziach, dodała szczyptę startego ementalera i złożyła omlet na pół.

Wzięła kęs. Włosy były twarde. Omlet trzeba było przeżuwać bardziej niż zwykle. Bliżej środka kęsy robiły się coraz bardziej włochate. Po pięciu zorientują się, że ich śniadanie jest jakieś kudłate.

Max zszedł na dół, a za nim Roland i Lee. Apaszkę miała na głowie, a Leonora złapała się na tym, że szuka śladów na jej nadgarstkach, choć

jedyne, co zwróciło jej uwagę, to jej delikatne kości, kiedy rozciągała się na powitanie dnia, śpiewających strzyżyków i pól lawendy i kiedy stanęła w świetle słońca na werandzie, by wypalić papierosa.

Kiedy Max przyprowadził Leonor, Federica i André, Leonora usmażyła omlety w niewielkiej ilości tłuszczu i bez najmniejszej pomyłki wypisała wizytówki. Postawiła talerze na stole – omlet z włosami właściciela przed każdym z imion – i dodała gałązkę rozmarynu.

Lee pierwsza zauważyła wizytówki.

– A gdzie twój talerz, Leonoro?

Upiła łyk herbaty.

– Zjadłam wcześniej. Na kimś musiałam wypróbować przepis.

Jak przypuszczała, po czterech czy pięciu kęsach wyjęli z ust włos, potem dwa. Oglądali jajeczne kęsy pod światło.

– Co, u diabła? – zdenerwował się Roland.

– Nie odpowiada wam smak własnych włosów? – spytała.

Max się zaśmiewał.

– Więc surrealizm trafił do kuchni!

– Surrealizm był w kuchni – rzekła Lee. – Tylko was tam nie było.

– Nazwałam to *omelet à la cheveaux* – oznajmiła Leonora, kłaniając się nisko.

Federico wypluł swój kęs.

– *La donna è pazza*? – spytał Maksa, pukając się w skroń.

Fini wzięła kolejny kęs.

– Wiesz, te moje włosy nawet mi smakują. Smakują jak… – Zamyśliła się. – Wspomnienia stonowane w maśle.

– Chcesz moich wspomnień? – Federico przerzucił jej na talerz swój omlet, a sobie usmażył dwa jajka.

– Jak ci się udało? – spytał André, dziobiąc skraj swego omleta.

– Kiedy spaliście.

– Być może powinienem nazywać cię Dalila – powiedział Max.

– Być może powinieneś mieć ją na oku – rzucił Federico.

– Najlepiej, gdyby miał mnie na obu oczach – odparła Leonora.

Pili wino w winnicy. W popołudniowym słońcu grona chenin blanc były pulchne i złociste, gotowe do zbiorów. To był koniec spotkania, wszyscy mieli wyjechać następnego dnia. Man i Ady dojechali ledwie wczoraj, ale nawet i oni musieli wracać do Paryża.

– Zanim wybuchnie wojna – dodał Man, spoglądając ciemnymi oczami na Maksa.

– Dlaczego Paryż? – rzekła Fini. – To będzie jedno z najgorszych miejsc, w jakich można się znaleźć, kiedy wybuchnie wojna. Rozdają maski przeciwgazowe.

– Żadna nowina – wymamrotał Man, nie próbując nawet ukryć rozdrażnienia.

Wszyscy łatwo robili się poirytowani. Było gorąco; nie padało od tygodni.

Lee i Roland wybierali się do Antibes, gdzie mieli zatrzymać się u Picassa.

– Stamtąd będzie łatwiej złapać jakiś statek do Londynu – wyjaśnił Roland. – Jeśli będziemy zmuszeni. Możemy wypłynąć z portu w Saint-Malo.

– Ale musicie zostać, wszyscy, jeszcze co najmniej z tydzień – powiedział Max dolewając im wina, zanim jeszcze opróżnili kieliszki.

Leonora najwidoczniej wstrzymywała oddech. Kiedy Lee wzięła ją za rękę i podniosła z krzesła, poczuła się słabo.

– Chodź – poprosiła Lee. – Czas zrobić to zdjęcie.

– Ale nie jestem…

– Nonsens. Jesteś piękna. Siadaj tutaj, na schodach. Ty też, Max.

Ubrana w jedną z koronkowych bluzek Leonor, Leonora odchyliła twarz w kierunku słońca. Ostatniej nocy dopadł ją koszmar. Inwazja. Ucieczka i ukrywanie się. Nie wiedziała, kiedy ją znajdą, wiedziała jedynie, że znajdą, to było nieuniknione, nie mogła pozostać w ukryciu na zawsze. Ale w promieniach słońca, z Maksem przy boku, uspokoiła się. Jego ręka na jej ramieniu, przyciągnął ją ku sobie. I kiedy Lee nacisnęła spust migawki, jej uśmiech w niczym nie przypominał drętwego, przyklejonego uśmiechu z czasów, kiedy była debiutantką. Ten był prawdziwy.

– Mam fantastyczny pomysł – oznajmiła Leonora. – Zróbmy dzisiaj przyjęcie. Ucztę!

– Zrobimy z niej ostatnią wieczerzę lata surrealistów – orzekła Lee.

– A kto potem zostanie ukrzyżowany? – spytał Max.

Wtedy usłyszała głosy w winnicy, głos Fini brzmiał najdonośniej.

– Przyjeżdża? Tutaj?

– Czas rozdzielić walczących – rzucił szybko Max.

Lee tworzyła menu, dobierając składniki, wyczarowując dania, kiedy Fini ruszyła w ich stronę.

– Urządzamy ucztę – powiedziała Leonora. – Pomożesz nam?

Fini wpatrywała się w nią piorunującym wzrokiem. Coś przegapiła?

– Słyszałam.

– Co słyszałaś?

– Wciąż chcesz im tylko sprawiać przyjemność, Carrington. Jesteś jak pies robiący sztuczki dla swego pana. Kiedy posłuchasz własnego wewnętrznego głosu?

Zszokowana Leonora mogła tylko patrzeć, jak wbiega po schodach do góry.

– Fini! – zawołała. Nie miała pojęcia, co takiego zrobiła.

Lee położyła jej rękę na ramieniu.

– Pozwól jej ochłonąć. Nazbieraj trochę jabłek. Zrobimy „zasuszone głowy", które będą pływać w sangrii. I może uda ci się znaleźć trochę grzybów do kurczaka.

Miała rację. Trochę czasu jej nie zaszkodzi.

Słońce stało nisko, a mężczyźni byli tylko sylwetkami, kiedy Leonora podeszła bliżej. Głos Mana, zwykle podszyty ironią i humorem, był kategoryczny.

– Na miłość boską, Max, wyjedźcie, póki możecie.

Max gestykulował kieliszkiem wina.

– To nasz dom, nasza ziemia.

– Jest francuska. A ty jesteś Niemcem. Ich wrogiem.

– Postanowiliśmy, że nie będziemy żyli w strachu, co znaczy, że nie mamy wrogów.

– Jest strach – odparł Man. – I jest racjonalna myśl.

Max wstał.

– Od kiedy to szukamy racjonalności?

Szybko nazbierała jabłek, minęła mężczyzn i wyszła na pole, gdzie coraz głośniej rozbrzmiewał śpiew ptaków. Wszystko szło nie tak. Nie tak miało się zakończyć ich spotkanie. A na dokładkę czuła już w powietrzu zapach jesieni, do czego nie bardzo chciała się przyznać. Koniec lata zawsze wprawiał ją w melancholijny nastrój, ale tym razem wyglądało to na koniec czegoś znacznie istotniejszego.

Poszła polną drogą do kępy starych dębów, gdzie widziała grzyby rosnące w koleinie. Kiedy schylała się, żeby je zebrać i włożyć do koszyka,

usłyszała odgłos nadjeżdżającego z daleka samochodu i ujrzała, jak wzbija tuman kurzu w ostatnich promieniach słońca. Czarny kabriolet miał opuszczony dach i zdawało się jej, że dojrzała błysk monokla.

Czyżby Tristan Tzara? Max powiedział, że być może na chwilę wpadnie. Tzara, jeden z twórców dadaizmu, był członkiem klubu podstarzałych chłopców, jak ich nazywała Fini. Z powodu, którego Leonora nigdy nie zrozumiała, Fini nie cierpiała go jeszcze bardziej niż Bretona. Wymachując koszykiem, z mocno bijącym sercem Leonora pospiesznie ruszyła z powrotem w zapadającym zmierzchu. Odeszła znacznie dalej, niż myślała.

Kiedy wychodziła zza rogu, dojrzała samochód – czerwone renault Federica – który wyjeżdżał z ich domu. Do dachu przytroczone były walizki André i Federica oraz kufry Fini. Ona sama siedziała z przodu. Ręce skrzyżowane na piersiach, usta zacięte, patrzyła prosto przed siebie.

Leonora machała i krzyczała, ale samochód minął ją, jakby była niewidzialna. Pobiegła do domu, gdzie na patio stał przygotowany stół, migotały świece.

Mężczyźni siedzieli dookoła niego i palili papierosy. Tzara chichotał, poprawiając monokl. Oprócz tego, że się pojawił, wszystko wyglądało tak, jak w chwili jej wyjścia.

– Lepiej mieć to już za sobą – rzekł Roland. – Kiedy tylko Anglia się włączy, pójdzie szybko.

– To samo mówiliśmy o pierwszej wojnie – przypomniał Max.

– Czy ktoś widział, jak Leonor wyjeżdża? – spytała. Skierowali wzrok w miejsce, w którym stała na kamiennych stopniach, lecz nikt nie odpowiedział, nawet Max. Twarz jej płonęła. Wbiegła po schodach.

Lee była w kuchni i nuciła jakąś melodię, na rożnie nad ogniem obracały się dwa kurczaki, butelka whiskey była do połowy opróżniona. Wzięła koszyk Leonory.

– Dobrze. Przyniosłaś grzyby. Ja też nazbierałam jabłek. Nie było cię całą wieczność. – W sangrii, która wypełniała wazę, pływały jabłka, obrane i wydrążone tak, by wyglądały jak czaszki. Była też sałatka z płatkami dzikiej róży i nasturcji, z mleczami wyglądającymi jak miniaturowe słońca. Utłukła ziemniaki i dodała do nich soku z buraków, co nadało im różowy kolor, a teraz nalała jej kropelkę sangrii. – Jeszcze nie jest gotowa; powiedz, czego jej brakuje.

– Widzisz mnie? – spytała Leonora.

Lee rzuciła jej szybkie spojrzenie. Roześmiała się, mieszając na małym ogniu garnuszek jagód.

– Do kurczaków… żeby zabarwiły się na granatowo.

Leonora jednym haustem wypiła sangrię, nawet jej nie smakując.

– Co się stało Leonor?

– Kto wie? Znasz Leonor. Jest kapryśna.

Leonora wolno weszła po schodach; czuła się niedobrze, jakby brakowało jej tchu w piersiach. Drzwi do pokoju Fini były otwarte. Weszła do środka… widok był żałosny. Pustka uderzyła ją falą mdłości. Pod ścianą w narożniku pokoju, jakby wyeksponowany specjalnie z myślą o niej, stał jej portret malowany przez Fini. Tylko że Leonor zdrapała nożem całą farbę. Wymazała ją.

Ale ona tam była, w lustrze szafy, wciąż w bluzce Fini.

1. W trakcie całkowitych zaćmień Księżyca jego powierzchnia zdaje się przybierać barwę krwistoczerwoną. Zjawisko to nosi nazwę „krwawego Księżyca”. [wróć]

Czerwiec 1940, Nîmes

Wraz ze słońcem dochodzą śpiewy ptaków. Dociera do Maksa, że leży na boku. Do ciemnego kąta pierzcha jakiś szczur. Z przerażającą nagłością przypiera go potrzeba wypróżnienia, odkrywa więc dziurę zrobioną przez innych i kuca nad nią. To, co się z niego wydobywa, ma postać płynną. To nic, myśli. Poczuje się lepiej, kiedy tylko znowu coś zje. A potem widzi krew.

Żołądek odmawia mu posłuszeństwa, a on, śliski od potu, zwija się w kłębek. W głowie mu łupie i wie, że nie da rady uciec z obozu w takim stanie.

Do czasu, aż przyjdzie po niego strażnik, mówi sam do siebie. Cytuje Rilkego, by wiedzieć, kim jest. *Ja, die Frühlinge brauchten dich wohl. Es muteten manche sterne dir zu, daß du sie spürtest.* Tak… wiosny cię potrzebowały. Nierzadko gwiazdy czekały, byś je dostrzegł.

Z pomocą strażnika, niepewnym krokiem dociera do kloacznego rowu. Łapią go okropne skurcze. Kuca obok innych, żeby sobie ulżyć. Próbuje wstać, lecz kolana odmawiają mu posłuszeństwa.

Ktoś go podnosi, prowadzi do jednego z namiotów, gdzie mężczyźni wpatrują się w niego z niechęcią. Przesuwają koce, by zrobić mu miejsce na słomie.

– Cuchniesz – odzywa się jeden z nich.

Próbuje powiedzieć, że mu przykro, lecz z jego ust wydobywa się jedynie chrypienie. Inny mężczyzna pochyla się nad nim. Rozpoznaje go. To jeden z tych młodych, nihilistycznych Austriaków z pociągu tak zawzięcie niszczących bagaże. Chce mu powiedzieć, że docenia jego *hucpę*, jak by to powiedziała Lou.

– Achhhhh – mówi.

Chłopak przytyka mu do ust szklankę wody.

Wkrótce jest przy nim jeszcze inny człowiek, inny Austriak, lekarz. Kiedy spogląda na Maksa, twarz marszczy mu niepokój. Powraca z buteleczką lekarstwa i łyżeczką wlewa mu je do ust. Gorycz, którą Maksowi udaje się przełknąć. Coś mówią, a ich twarze i głosy pływają w wirze jego

gorączki. Obozowa izba chorych to beznadziejne, szkodliwe miejsce, gdzie wszyscy zarażają się nawzajem. Lepiej już zostać tutaj. Ale czy mężczyźni w namiocie zgodzą się na kubeł?

– Będę go opróżniał – mówi młody Austriak.

Ale dlaczego, zastanawia się Max, skoro prawie go nie zna?

Wszyscy się zgadzają i w namiocie pojawia się kubeł. Wspomagany przez młodego Austriaka, Wilhelma, kuli się nad kubłem nieskończoną ilość razy. Dzień się ciągnie, skwar jest potworny, duszące powietrze przepełnia odór jego odchodów.

Z wieczorem opadają ich chmary komarów. W uszach słychać ich bzyczenie, obsiadają twarze i ręce, zbyt wiele, by je odganiać. W całym obozie rozpalają się ogniska, jedno na zewnątrz ich namiotu. Jeden z mężczyzn dużymi zielonymi liśćmi nagarnia dym do środka. Liście platanu? – zastanawia się. Dym wypełnia namiot. Początkowo wita jego zapach z radością, ów wyrazisty drzewny zapach; później zaczyna kaszleć. Przewraca się na bok i naciąga koc na twarz.

Jest późno – wszyscy mężczyźni ułożyli się już do snu – kiedy lekarz wierzchem dłoni dotyka jego policzka. Może zdobyć opium, mówi. Ale do tego potrzeba pieniędzy. Czy Max ma coś, co może sprzedać?

Maksowi udaje się wydobyć z plecaka kompas i mapę. Nie będzie ich potrzebował. Lekarz wraca z opium i wyciska mu na język całą objętość zakraplacza.

Opium, cudowne opium. Jak zdołał je znaleźć?

Wizje nachodzą go falami. Kucharka zagniata jego brzuch. Formuje z niego pieróg, a ptaki wydziobują się na zewnątrz i rozpierzchają, wznosząc się ku chmurom. Ojciec pochyla się nad nim. On wyciąga rękę i dotyka zmarszczek na jego policzku. Bóg karze go za to, że z nią był, powiada, kiedy przecież kocha Leonorę. Gorączka gwałtownie rośnie, jak nigdy od czasów, kiedy był chłopcem. Słyszy płacz matki, jej szloch dociera do niego z bardzo daleka.

Sny o domach, nieskończenie pogmatwane, wiodą go z namiotu do ich salonu w Saint-Martin, gdzie gipsowa głowa konia potrząsa grzywą tak, jak Leonora potrząsała włosami, kiedy wychodziła z Loary, a on cały pokryty jest kropelkami lodowatej rzecznej wody. Schody prowadzą od jednego pokoju do drugiego, od jednej żony, jednej kochanki do drugiej.

Leonora pozostawiła swój śmiech w ich paryskim mieszkaniu, w garderobie przy sypialni, tej ze ścianami pomalowanymi na ciemnoróżowo, czyli

na kolor wnętrza jej warg sromowych, i ten śmiech szarpie jej koronkowe stroje jak wiatr, który znalazł się w potrzasku i ze wszystkich sił stara się uwolnić.

Zamyka drzwi na ten widok. W ciszy słyszy głos kobiety. To Marie-Berthe na tronie, w ręku trzyma krzyż, uniesiony, jakby chciała go uderzyć, lecz kiedy wypłakuje się jej w spódnicę, opuszcza krzyż i głaszcze go po głowie. *Gdzie byłeś?* – pyta. *Dlaczego nie wróciłeś?* Otwiera usta, żeby jej odpowiedzieć, a z gardła wydostają się chrząszcze, wspinają się po języku i wypełzają spomiędzy warg. Pną się po jej sukience, a ona wydaje pisk i od niego ucieka.

W łazience w wannie leży Gala, woda sięga jej sutków, kolana ma odsłonięte. Lazur wody to kolor oceanicznych płycizn u plaż Sajgonu, gdzie zakończyli swój związek. Zdejmuje ubranie i klęka obok niej, odmawiając *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna,* tak jak uczyła go matka. Zanurza palec w wodzie i żegna się.

Przemierza długi korytarz i wchodzi po schodach jeszcze wyżej. To ich stare mieszkanie w Kolonii, jego i Lou, i małego Jimmy'ego, którego drewniane klocki i samochodziki porozrzucane są po podłodze. Jest tutaj więcej pokoi, więcej, niż mu się wydawało, całe trzecie piętro, wypakowane różnymi rzeczami z jego własnego dzieciństwa, a może Leonory? Tutaj, na szczycie wieży z mebli, jest koń na biegunach z jej dziecinnego pokoju, koń, którego – jak mu powiedziała – kochała, zanim zaczęła różne rzeczy pamiętać. Może mały Jimmy miałby ochotę się na nim przejechać, myśli.

Kiedy sięga, by go zdjąć, widzi, że zamiast rąk i ramion ma teraz skrzydła i odlatuje w poranek z nadzieją, że będzie mógł wrócić do tego pokoju wypakowanego skarbami. A co z pozostałymi pokojami? Pokojami, do których nie zajrzał?

Najpierw jednak musi ocalić śmiech Leonory z tej garderoby. Czuje niesmak, że go tam pozostawił.

Nie, myśli. To nie tak. To ona mnie zostawiła. A kiedy się budzi, na nowo staje się zwierzęciem, żałosnym ciałem kucającym nad kubłem. Wilhelm przystawia mu do spękanych ust szklankę wody. Twarz mu się wykrzywia. Max chce mu powiedzieć, żeby się nie martwił. Jego życie nigdy nie było zbyt wiele warte.

Kolejny dzień, kolejna noc. Czas płynie nieustannie, nie zważając na jego błagania, by się skończył. Marzy o bezruchu, o pustce, białej pustce, która

go obmyje.

Głosy mężczyzn zbliżają się i oddalają. Mówią o hitlerowcach, o klauzuli dziewiętnastej i o tym, że nie ma czasu do stracenia. Cóż to jest, ta klauzula dziewiętnasta? Już nie pamięta i nie rozumie, dlaczego miałoby to być istotne teraz, kiedy dotarli na Saharę. Słyszy coś, co brzmi jak piasek sypiący się na namiot, kiedy wieje wiatr. Wilhelm odzywa się w półmroku:

– Wydadzą wszystkich więźniów czy tylko polityków, pisarzy, artystów?

Artystów? Ale dlaczego, zastanawia się, skoro sztuka jest nic niewarta? Wszystko, w co wierzył, wszystko, czemu oddał życie… jest nic niewarte… mniej niż nic, to *merde*. Wierzyli, że sztuka może odmienić świat, może pozbawić ludzi zachłanności, potrzeby niszczenia. Nie osiągnęła niczego. Niczego.

W powietrzu unoszą się drzwi. Bez problemu może ich sięgnąć, nie dotyka już podłogi. W dniu, w którym zdechł jego ptak, urodziła się jego siostra. Pamięta ciało ptaka na podłodze klatki i wrażenie, że skurczyło się wraz ze śmiercią. Pamięta plamy na twarzach matki i siostry na jej rękach. Jest dość blisko, by sięgnąć drzwi, ale gdyby tylko dotknął klamki, wie, że drzwi się otworzą. Będzie po drugiej stronie.

A Leonora! Nigdy już nie dotknie jej włosów, nigdy nie zatraci się w jej ciemnych oczach, nigdy nie poczuje, jak go ku sobie przyciąga i coraz głębiej w siebie wciska. Dlaczego jej nie posłuchał? Okazał się upartym jak osioł idiotą. Chciał, czego chciał. Chciał zostać w niebie i myślał, że jest Bogiem.

Nora, woła. Wie, że jęczy przez sen, ale nie dba o to. Woła głośniej. *Nora! Mea culpa, mea culpa*.

Przyciska mu zimną szmatkę do czoła. *Ciiii*, mówi. *Opowiem ci historię*.

Lecz kiedy otwiera oczy, jest sam, unosi się w białej mgle jej oddechu. A tutaj są drzwi, lśnią. W porządku, myśli, sięgając do klamki.

Wrzesień 1939, Saint-Martin d’Ardèche

Był ranek, okna się rozjaśniały, a Leonora postanowiła pospać dłużej. Jej pierś przyciśnięta do pleców Maksa, ciężar jego nogi na jej nodze, równy rytm jego oddechu. Objęła go mocniej i zapadła w sen.

Głęboko w lesie ptasi śpiew ogłusza, a ów wąż, błękitno-zielony i lśniący, pełznie zakosami w górę drzewa. *Uciekaj*, mówi jej. Ale którędy? Wszystko wygląda tak samo. Światło padające przez liście tworzy kałuże pomiędzy przyporami korzeni gigantów, a wszędzie pada drobny deszcz. A potem słyszy straszny łoskot drzew, zgrzyt czołgów. Biegnie, ale nie jest w stanie uciec przed hałasem.

Ktoś stoi za drzwiami; pukanie jest głośne, natarczywe. Max zapina spodnie, swą poplamioną farbą białą roboczą koszulę.

– Kto? – pyta ona przez rozwichrzone brzegi snu.

– Pewnie Étienne. Dlaczego nie kazaliśmy gościom samym płacić za siebie w barze?

– Domyślam się, że to oznacza kawior na śniadanie – mówi, lecz Max już jest w drodze do drzwi.

Naciąga na siebie sukienkę i śmieje się na myśl o zaserwowaniu Étienne’owi tapioki macerowanej w atramencie z kałamarnicy, która jest gotowa wylądować w ich lodówce. I wtedy słyszy głos odbijający się od wysokich ścian.

– Max Ernst?

Zbiega po schodach, zatrzymuje się na półpiętrze. Duży mężczyzna trzyma kajdanki, a inny, drobny, trzyma coś, co musi być nakazem.

– Urodził się pan w Niemczech?

Max jest blady. Głos mu się łamie.

– Jestem tutaj od osiemnastu lat. Jestem lojalny wobec Francji. – Nigdy nie widziała go tak wystraszonego, a i sama odkrywa, że nie może się ruszyć ani oddychać. – Mam przyjaciół, ludzi, którzy mogą za mnie zaręczyć.

– Musi pan pójść z nami – mówi mały mężczyzna.

Ten drugi zakuł Maksa w kajdanki i prowadzi go na zewnątrz.

Ona biegnie, wypada za nimi na zewnątrz.

– Stójcie! On jest wrogiem Hitlera! – krzyczy, a jej głos brzmi osobliwie. Niski i zachrypnięty, postrzępiony.

– Nie my o tym decydujemy – odzywa się ten duży i popycha Maksa w dół po schodach.

– Chcecie pieniędzy? Dam wam, ile chcecie. – Nigdy nie myślała, że posunie się do przekupstwa, ale to przecież Max.

– Chcemy tylko jego, mademoiselle – mówi chudy. – Pani mąż?

– Nie.

– W takim razie *au revoir*. – Dotyka rantu czapki. Kładą mu ręce na obu ramionach i ciągną do samochodu.

– To nie potrwa długo! – krzyczy Max. – Coś wymyślimy!

– Co powinnam zrobić?

– Zadzwoń do Éluarda! Zobacz, co on jest w stanie zrobić.

W samochodzie Max przyciska czoło do szyby.

Ciało jej wiotczeje, jest oszołomiona, wmawia sobie, że nie zemdleje. Nie zostanie jedną z tych kobiet pokonanych brutalnością świata. Wpatruje się w samochód, dopóki nie zniknął jej z oczu, a potem pada twarzą na ziemię pomiędzy kartoflami a fasolką szparagową i płacze.

Dzwoni do Lee i Rolanda, do Paula i Nusch. Nikt niczego nie może zrobić. Francja jest w stanie wojny z Niemcami, a Max jest niemieckim obywatelem. Ale nawet gdyby był obywatelem Francji, i tak by go zabrali, gdyż teraz każdy, kto urodził się w Niemczech, jest *wrogim cudzoziemcem*.

Prosi Alphonsine, by nakarmiła jej menażerię, i jedzie do miasteczka Largentière, odległego o jakieś sześćdziesiąt kilometrów, gdzie Max siedzi zamknięty w więzieniu razem z setką innych Niemców. Stary kamienny budynek wysoko na wzgórzu, rodem z baśni, tyle że ona pozbawiona jest magicznych mocy, by rozbić bramę, jego skrzydła zaś zostały oskubane, a pierze użyte do wypchania posłań jego ciemiężycieli. Wie, że w tych pomieszczeniach z kamienia jest mu przeraźliwie zimno, ponieważ wstrząsają nią dreszcze, kiedy o nim myśli, bolą ją kości, a chociaż wkłada sweter na sweter, wcale nie jest jej cieplej.

Zatrzymuje się w małym hotelu, przywozi mu z Saint-Martin ubrania i jedzenie – dojrzałe pomidory i kawały sera, salami i kiełbasę oraz świeży

chleb. Strażnicy rozpakowują jej piknik. Rozbijają pomidory i ser, dźgają mięso i chleb. Może się z nim zobaczyć, mówią. Na chwilę.

Siedzi z Maksem na maleńkim dziedzińcu, a obok stoi strażnik i pali papierosa, przez ramię ma przewieszony karabin. Trzymają się za ręce. Nie widziała go od dziesięciu dni, dni długich jak miesiące. Zmarniał, ubranie na nim wisi. Oczy ma podkrążone i wydaje się, że się postarzał. A jednak nadal jest słońcem po zimie pełnej deszczu. Każda sekunda z nim to jak dar. Jak mogła już zapomnieć czysty błękit jego oczu?

Pracuje w kancelarii, wypełnia papiery za kapitana, mówi jej. Lepsza praca niż inne, niż czyszczenie latryny na przykład. Jeśli przywiezie mu przybory, kapitan obiecał mu trzy godziny dziennie na słońcu w zamian za landszaft, „pamiątkę", mówi Max szorstkim głosem kapitana.

– Jakby był na wakacjach – dodaje pod nosem.

Kiedy on je kiełbasę, ją zaczyna mdlić. Od czasu jego zatrzymania je niewiele. Ziemniaki, pomidory, trochę zieleniny, kiedy może ją dostać. Zapach mięsa – nawet zimnego – powoduje, że żołądek staje jej w gardle, ale tak samo działa choćby kawałek placka.

Nie mówi mu, że jest bez niego zagubiona, nie mówi mu, że chłopi wszyscy wyglądają jednakowo, jak świnie. To oni mu to zrobili, ci skończeni idioci o knurzych ryjach. Nie mówi mu, że je kolacje w samotności na tarasie, pałętając się z kotami, ani o tym, jak mówią jej o obrzydliwej miernocie wieśniaków, o zarazie, jaką jest ludzkość. Ocierają się o jej nogi, kiedy chodzi tam i z powrotem po tarasie, licząc kroki od jednego końca do drugiego, pewna, że ktoś jest tuż za nią (słyszy jego oddech), lecz kiedy się odwraca, widzi jedynie powietrze.

Zamiast tego mówi mu, że pisze. Opowiadania. Jakby chciała, żeby poczuł się dumny.

– Czas już – mówi strażnik, jeden z tych świniopodobnych pachołków. Nie mogą się objąć, więc ociągają się z rozejściem. Powietrze między nimi gęstnieje; jak urzeczone, włoski na jej rękach podnoszą się i wyciągają w jego stronę.

Łapie pociąg do domu, wraca z farbami, pędzlami, płótnami. Przywozi też jeden z jego skończonych obrazów, osobliwą niewielką pracę z roślinami o wyłupiastych oczach, z ustami i haczykowatymi zębami. *Nie daj się poskromić*, mówią rośliny.

Max maluje, a słońce dodaje mu sił. Ale nie namaluje landszaftu. Mogli wszystko zabrać, ale nie są w stanie zmusić go, by tworzył jakąś mdłą

galanterię, której mógłby przyklasnąć sam Hitler. Mija miesiąc, nie tak straszny, jak gdyby miał go spędzić w zimnym, ciemnym pomieszczeniu. A kiedy pewnego ranka na początku listopada komendant prosi o swój *petit landscape*, Max daje mu obraz, który przywiozła. Jego wyłupiaste oczy płoną żądzą; jego zębate usta drwią.

Kiedy przyjeżdża z wizytą, Max opowiada jej, jak kapitan eksplodował. Naśladuje jego wściekłość.

– Jak można namalować coś takiego? Nie masz prawa!

Nawet uwięziony jest zwycięski, chociaż wolałaby, żeby zamiast tego udobruchał kapitana. Może wtedy pozwoliłby im na piknik na tym słonecznym wzgórzu.

Kilka dni później, kiedy przyjeżdża na kolejne widzenie, zastaje opuszczony budynek z paroma ledwie strażnikami. Max i pozostali zostali przeniesieni, mówią jej, do większego więzienia, Camp des Milles w Aix-en-Provence.

Pakuje swe rzeczy i łapie najbliższy pociąg do Aix.

Podróż pociągiem ją wycisza. Jesienne drzewa i pola dają jej nadzieję. Kupuje w bufecie ciastka i zjada je wszystkie. Może w tym Camp des Milles przejrzą na oczy. Może sprawdzą i przekonają się, że Max nie stanowi zagrożenia, i odeślą go do domu.

Aix to urocze miasteczko z płynącą przez nie rzeką. Od starszego mężczyzny na targu kupuje jabłka, a kiedy pyta go, czy może ją pokierować do obozu, ten rozkłada ręce.

– Obóz? – mówi zdziwiony.

Nikt inny na rynku też nie słyszał o obozie. Idzie więc do ratusza i tutaj zmęczony człowiek o poszarzałej twarzy wskazuje jej drogę.

– Ale dlaczego chce pani tam iść? – pyta ją. – Tam nie ma odwiedzin.

– To się zobaczy. – Ściąga ramiona, pochyla podbródek i dziękuje mu.

Kiedy zakurzoną drogą kieruje się na peryferie miasteczka, zjada jabłko. Gdy tylko dostrzega Camp des Milles, wie już, że robienie sobie nadziei było błędem. Była fabryka cegieł przypomina więzienie, masywny budynek z cegły otaczają wysokie zasieki z drutu kolczastego. I chociaż uśmiecha się do strażników, chociaż biorą jabłka, którymi ich częstuje, nie pozwalają jej zobaczyć się z Maksem. Może sobie gadać, ile chce, mówią, nie wpuszczą jej do środka, a żadnemu więźniowi nie wolno opuścić terenu więzienia, nawet na chwilę.

– A czy przynajmniej powiecie mu, że byłam? – pyta.

– Spróbujemy – mówi młody strażnik. – Jeszcze raz, jak się pani nazywa? – Uśmiecha się, przekomarza się z nią, jakby to była jakaś gra.

Łapie nocny pociąg do Saint-Martin i do ich pustego domu. Karmi koty, kozy, kurczaki i pawie, wdzięczna za ich ciepło, ich głosy i głód. Bo inaczej równie dobrze mogłaby zapakować się do łóżka i czekać powrotu Maksa. Nie może jednak usnąć. Leży rozbudzona, rozwibrowana unosi się w ciemności, a kiedy zasypia, śni się jej, że Max umiera, woła o wodę, woła ją, słyszy jego głos, ale nie może go odnaleźć w tej ciżbie mężczyzn.

Dni robią się coraz krótsze, noce długie, a każda z nich to pochłaniająca ją przepastna paszcza, każda jest nieskończonością. Każdego wieczoru rozpala ogień, zwija się przy nim w kłębek razem ze swymi pięcioma kotami i śpi na tyle, na ile to w salonie możliwe. Lecz jej serce jest zbyt głośne jak dla jej uszu, a i koty nie przestają mówić. *Nie wiesz nawet, czy jeszcze żyje. A jeśli żyje, mogą go nie puścić. Co wtedy zrobisz? Wrócisz do Anglii? Uciekniesz?*

Wpatruje się w swoje na wpół skończone płótno, to, które zaczęła jeszcze w Paryżu. Portret Maksa jako ptaka-ryby w zamarzniętym śnie. Ale nie potrafi podnieść pędzla. Otwiera notatnik i nie potrafi pisać, nawet odpowiedzieć Jimmy'emu; z jego listu wynika, że robi wszystko, co w jego mocy, żeby wydostać Maksa, ale nikt niczego nie jest w stanie zrobić… to znaczy nikt w Ameryce.

Każdego dnia czeka na Henriego, starego listonosza, mozolnie pokonującego całą drogę. Każdego dnia kręci głową.

– *Rien* – mówi i idzie dalej.

Aż pewnego dnia na początku grudnia wręcza jej kopertę, małą i pomiętą, znaczoną odciskiem buta, jak gdyby leżała, zapomniana, na podłodze na jakiejś poczcie. Adres zwrotny brzmi: *Max Ernst, Camp des Milles*. Rozrywa kopertę. Kartki są grube, z jednej strony oddarte… wyrwane z notatnika.

18 listopada 1939 r.

Cher *Nora*,

Tutaj jest zimno. Nie ma ogrzewania. Więźniowie potracili palce u nóg, u rąk. Zawinięty w cienki koc śpię na stercie słomy w piecu, w którym kiedyś wypalano cegły. Powietrze, jedzenie pełne są ceglanego pyłu. Osiadł mi na płucach i na włosach i stale mam drobny piasek między zębami. Czer-

wony pył wniknął mi w skórę. Zaczynam myśleć, że teraz składam się jedynie z kości i cegieł.

Przynajmniej jest tutaj ze mną Bellmer. Siedzimy w jednej celi i dzielimy ten sam piec. Złożyliśmy petycję do komendanta, który zezwolił nam na przybory rysunkowe. Hans i ja poprosiliśmy też o materiały do malowania. Chcę mu pokazać proces dekalkomanii, który, jak mi się wydaje, bardzo mu się spodoba. Na razie wzajemnie szkicujemy swoje portrety, żeby na chwilę zapomnieć o głodzie, żeby zapomnieć o swędzeniu wywołanym przez wszy, które iskamy nawzajem z naszych skalpów, żeby zapomnieć o odorze dyzenterii i niekończących się kolejkach do obskurnych wspólnych latryn i po jedzenie, jeśli to, co jemy, można nazwać jedzeniem, zaprawionym na dokładkę bromem, żeby stępić nasz rozum i popęd seksualny.

Powiedziałbym Ci więcej, gdyby to był poufny list, ale w tym piekle nic nie może liczyć na prywatność. Nic.

Tęsknię do Ciebie tak bardzo, jak tęsknię do samej wolności. A pewnie bardziej.

Napisałem do Éluarda w nadziei, że może napisze list do prezydenta w moim imieniu.

Twój, Leonoro, bez reszty –
Max

Żyje! Jest tak szczęśliwa, że płacze. Ponownie czyta list, skupia się na jego zakończeniu. Jest jej bez reszty. Odpisuje i wysyła mu opowiadanie, które napisała w Largentière i które, ma nadzieję, doda mu otuchy, jakkolwiek dziwne może się wydać z motywem kolacji ślicznej, martwej kobiety z pokrytym gęsią skórką ciałem oskubanego kurczaka przybranego porzeczkami i gotowanymi gruszkami oraz nadziewanego marynowanymi sercami jeży.

Tygodnie jakoś mijają. Rankami spaceruje wzdłuż Loary, a kiedy wiatr woła ją, by za nim poszła – wkoło jednego zakola rzeki, a potem następnego – biegnie, by dotrzymać mu kroku, frunie. Jest powietrzem. Bezcielesna jak światło.

– Leonora? – To Alphonsine, ze swą zwyczajową popołudniową wizytą. Żeby ją sprawdzić.

Ale ona jest na górze, w ich sypialni, i nie porusza się, nie odzywa się ani słowem. Stoi w promieniach słońca, jest jak zaklinowana, jakby

w jakiejś głębokiej jamie. Słyszy, jak Alphonsine chodzi po trzeszczących deskach w salonie, słyszy jej głos brzmiący u szczytu schodów, ale nie potrafi jej odpowiedzieć… głos skrywa się gdzieś w jej wnętrzu, niemożliwy do odnalezienia. Zegar przy wejściu tyka. Słyszy, jak kieruje się ku drzwiom, słyszy, jak się za nią zamykają, i wreszcie może się poruszyć. Wybiega na zewnątrz, wołając za nią:

– Alphonsine!

Jest, schodzi po kamiennych stopniach w swoich praktycznych butach. Jej długie szpakowate włosy zwykle związane z tyłu głowy – włosy zawsze nosi zebrane – są rozpuszczone na plecach. Unoszą się na wietrze. Są rozświetlone. Odwraca się do Leonory. Ma na sobie maskę sowy. Jest Leonor Fini na balu, pochylającą się, całującą ją w usta. Jest Fini, która nie odpowiedziała na list, jaki napisała do niej ponad miesiąc temu.

A potem Alphonsine trzyma ją za ramiona.

– Zemdlałaś. Chodź. – Sprowadza ją po schodach. – Zrobiłam zupę. Zjesz. *Mon dieu* – mówi smutno. – Nikniesz mi w oczach.

Grudzień przynosi deszcz i deszcz ze śniegiem, któremu Leonora stawia czoło jedynie codziennym popołudniowym biegiem do skrzynki na listy. W kuchni wyżyma deszcz z włosów, ściąga mokry sweter i spodnie. Dzisiejszą nagrodą jest pudełko od Fini, która pisze z Monte Carlo; rozcina przesyłkę. Wewnątrz jest różowy sweter, pulower. Jest miękki i puszysty i kiedy Leonora go wkłada, czuje się jak dziecko. Zrobiła go sama, wyjaśnia list Fini. Podarunek w ramach przeprosin. Przeprasza za to, że wyjechała z Saint-Martin tak, jak wyjechała, ale nie mogła zostać w tym samym domu co Tzara ani sekundy dłużej. Myślała, że to Leonora go zaprosiła, i z radością dowiaduje się, że to jednak nie ona. A z innych rzeczy, cóż innego miałaby robić w Monte Carlo, niż robić na drutach, malować i palić? Przeczekuje tam wojnę, a w sensie artystycznym zbyt wiele się nie dzieje.

Leonora parzy herbatę, siada przy kuchennym stole, żeby jej odpisać. Pióro ma ostrą metalową stalówkę; zaciska chwyt z obawy, że mogłoby ulecieć w świat i stać się instrumentem jej gniewu i atakować oficerów i głowy państw, dźgając ich w to wrażliwe miejsce między obojczykami. Liże stalówkę i rozpisuje pióro, aż atrament zaczyna płynąć.

9 grudnia 1939

Najdroższa Fini,

Twój list przychodzi w czasie, kiedy jestem samotna jak nigdy wcześniej. Wiedzieć, że mnie nadal kochasz, oznacza, że mogę umierać bez strachu. Proszę. Nie śmiej się. Słyszę twój śmiech, ale wysłuchaj mnie. Rozumiesz mnie jak żadna inna kobieta. Nauczyłaś mnie, by się nie hamować, by wyzwolić mój gniew na płótno. Chociaż akurat teraz nie mogę malować. Niczego nie czuję, nawet głodu, i miewam takie zawroty głowy, że muszę położyć się na podłodze, żeby zrozumieć właściwy porządek rzeczy.

Jeśli zniknę z powierzchni ziemi – jeśli zostanę zlizana przez białego, rozpromienionego konia i nie będę mogła powrócić – obiecaj mi, że nie porzucisz Maksa. Czuwaj nad nim, jakbym to ja zrobiła, gdybym była silniejsza.

Nie porzucam nadziei. Paul napisał list do prezydenta Francji, zaręczając za charakter Maksa, deklarując jego absolutną lojalność wobec Francji, i modlimy się, by prezydent okazał łaskę i by do świąt Max mógł być w domu.

Przesyłam całusy i wyrazy uwielbienia. Napisz, proszę, do Maksa do Camp des Milles. List od Ciebie dodałby mu otuchy.

Twoja wielbiąca Cię bliźniaczka,
Carrington

W dniu, w którym Max wraca do domu, pawie przysiadają na kamiennym murku, by go powitać, wykrzykując od początku do końca opowieść o Orfeuszu, choć z wyjątkiem Leonory nikt jej nie rozumie. Ona zapala w domu każdą świeczkę. Ma na sobie sukienkę z białej koronki, wyczesuje z włosów kurz i perfumuje się suszoną lawendą i rozmarynem. Gotuje jagnięcinę na ich nowej kuchence, kuchence, na którą pieniądze przysłała jej matka nalegająca, że ma jeść, jeść, co było bardzo trudne w czasie tych trzech długich miesięcy, kiedy Maksa nie było w domu, ale teraz jest i koty, które zrobiły się przezroczyste, na nowo przywdziewają grube i obfite okrycie na zimę. Jest Boże Narodzenie, a ona szykuje gorącą kąpiel dla mężczyzny, którego straciła, mężczyzny, którego powrót ze świata podziemi przywrócił również ją. To pierwotne zwierzę, jej dusza, wróciło do stajni, by na nowo jeść, pić i kochać. Pali jego ubranie, całe sztywne od potu, przesiąknięte fetorem dusznych pomieszczeń, cegieł, kredy i gówna, brody starego capa i fatum ciążącego nad światem.

Jej matka wysłała paczkę z groszkiem w kremowym sosie, grzybami, kasztanami, migdałami, suszonymi figami, cukrem i mąką… i bażantem, który zepsuł się w trakcie dwumiesięcznej podróży. Piecze kasztany, odgrzewa groszek i grzyby i podaje je razem z jagnięciną; przyrządza też migdałową tartę na *pâte brisée*, kruchym cieście, które matka nauczyła ją robić, kiedy była dzieckiem. Są Święta, victrola gra Django i Josephine Baker, śpiewają, tańczą i ucztują; są Święta, list Paula do prezydenta Francji zadziałał i Max jest w domu.

Wraca jej apetyt. Racjonowanie żywności stanowi wyzwanie, które podejmuje z zapałem. Własne oliwki i suszone na słońcu pomidory wraz z puszką tuńczyka pozwalają stworzyć duszoną potrawę, która starczy im na kilka dni. Wymieniając jajka i kozie mleko, oliwki, suszone jabłka i leśne grzyby na mąkę i cukier, piecze biszkoptowe puddingi i ciasta z porto i rodzynkami, i coraz bardziej tyją.

Lee przysyła zdjęcia ze wspólnego tygodnia zeszłego lata, a Leonora kupuje album i popołudniami wkleja fotografie. Wszędzie ona i Max. Jest Lambe Creek i paryskie kafejki, Max na koniu na biegunach w ich mieszkaniu. I Saint-Martin d’Ardèche, zanim go zabrali. Zanim. Mój Boże, jacy byli szczęśliwi.

– Powinnaś malować – zauważa, kiedy widzi, co ona robi.

– Będę, kiedy będę gotowa – odpowiada. – Któregoś dnia będziesz tego chciał.

Max nie mówi o obozie, a ona nie pyta.

– To już za nami – twierdzi. – Dlaczego psuć to, co tutaj, tym, co tam?

Jest w nim jednak coś chłodnego, coś pełnego wycofania i zamyślenia. Z pełną desperacji niecierpliwością rzuca się w wir pracy nad nową dekalkomanią. Groźnie wyglądająca plama farby w kolorze ochry staje się czymś, co przypomina niedźwiedzia, a potem z peleryny z piór wyłania się jej nagie ciało. Jest też obraz w obrazie. Wisi za nią na ścianie z cegieł i w miniaturze powtarza jej wizerunek. Powtórnie wychodzi z okrycia z piór, tyle że tutaj jest wolna i stoi na tle błękitnego nieba.

Przerywa jedynie, kiedy ona przynosi mu posiłki, i wkrótce pracuje nad kolejnym płótnem; tym razem niebo jest blade, a oprócz tego dżungla, plątanina korzeni i winorośli wybuchająca kępami drobnych, prehistorycznych kwiatków. Są tutaj rogate stworzenia, minotaur, brązowy jednorożec. Pomiędzy nimi – ona, jej twarz wyziera spomiędzy liści.

– Nazwałem go *Leonora w świetle poranka* – mówi, a ona widzi, że dedykowany jest jej.

Dotyka ramienia niewielkiego szkieletu w jeżynach. Z jej piersi rozchodzi się uczucie odrętwienia, chłodu.

– Przeraża mnie to – mówi tak cicho, że musi powtórzyć, by usłyszał.

– Ależ spójrz na siebie. Jesteś silna i opanowana, jak świt. Czekałaś na mnie. Obudziłaś mnie z mojego koszmaru.

Bierze ją w ramiona, a ona czuje się okolona. Czuje się całością. Jak długo była jedynie częściowa?

Wstrzymując oddech, wkracza do swego studia. Odkurza swój portret Maksa. Tuby farby, jej pędzle sprawiają wrażenie czegoś obcego, tak długo je zaniedbywała. A w zasadzie nie tyle zaniedbywała, ile się ich obawiała. Lecz teraz już wie, co namaluje, i pracuje szybko, nim zacznie się martwić, co Max pomyśli o obrazie lub też, co obraz mógłby powiedzieć o nich samych.

– Czy ja cię niewolę, kochanie? – Bacznie studiuje swój portret i krzywi się na małego konia, którego trzyma w szklanej kuli.

– Trzymasz mnie przy życiu, zabierasz w ciepłe miejsce, gdzie nie będziesz potrzebował tych śmiesznych skarpetek i gdzie ja będę mogła przebiegać całe mile łąk.

Jest pierwsze prawdziwe wiosenne popołudnie, a oni otworzyli butelkę jej wina z zeszłego roku, wina, któremu nadała nazwę na cześć Winkie. Siedzą w słońcu na patio i jedzą oliwki i sardynki na krakersach. Max kuca na kocich łbach i przygląda się uważnie jej stylowi malowania, swym delikatnym kościom nadgarstka i palcom, błyskowi w oczach, trzeźwemu i precyzyjnemu, swej twarzy jak u sokoła. Żadna kobieta nigdy wcześniej go nie malowała. To swego rodzaju roszczenie, ona to wie.

– Ale dlaczego jesteś taka mała? Zmniejszyłem cię dla ułatwienia transportu?

– Sama się skurczyłam. – *Oto, co się robi, kiedy się kogoś kocha*, chce powiedzieć. *Kurczy się, żeby dopasować się do obrazu*. Ale to by nie miało dla niego sensu. Jest mężczyzną, gwiazdą własnego dramatu i to scena się zmienia, żeby się do niego dopasować… zawsze, jak się wydaje.

– Nie namalowałaś mi na palcu obrączki.

– To twoja prawa ręka [1], Max. – Śmieje się, zjada oliwkę. – A poza tym nigdy nie nosiłeś obrączki, jak długo cię znam.

– Dla ciebie bym nosił.

Leonora czuje, że się cofa, że się robi lodowata… jak ów koń w tle jej obrazu. Nie może myśleć w ten sposób, że mógłby być jej, kiedy tak naprawdę nie mógłby. Nigdy. Zna go zbyt dobrze, żeby dopuszczać do siebie inne myśli.

– Marie-Berthe podpisała papiery. Za jakiś miesiąc czy dwa będzie już po rozwodzie.

– Będziesz wolny. – Jej słowa brzmią pusto. Zbyt trudno w to uwierzyć.

– Nazwałem mój obraz *Toaleta panny młodej* – mówi Max.

A ona, z obrazem wewnątrz jego obrazu przed oczami, myśląc o tym, jak pewna siebie i wolna jawi mu się na tle błękitu, odwraca się od własnego obrazu, od niewidzącego, zamarzniętego konia za Maksem, od małego konia, którego on niesie zapieczętowanego w macicy lampionu.

Max wyciąga rękę. Ona ją chwyta, a on ciągnie ją na podłogę i całuje. Zmiażdżona w jego ramionach cofa się. To już lata, całe lata, od kiedy z nim jest, lecz czuje się samotna. Te wszystkie razy, kiedy zostawiał ją, by być z Marie-Berthe, razy, z których nie może czynić mu zarzutów, bo czyż nie pomogły uczynić jej silną, uczynić jej tą kobietą, którą on teraz chce dla siebie… obrączki i tak dalej?

Po winie poczuła się senna, a promienie słońca zrobiły się złociste. Kiedy się całują, płonie od wewnątrz i chce, żeby ją unicestwił, żeby starł ją na miazgę, starł ją w drobny puch. Kochają się tu i teraz, na zewnątrz, bo znowu są razem, są Maksem i Leonorą i jest wiosna.

Pisze Jimmy. *Wyjeżdżajcie*, nalega. *Natychmiast spakujcie swoje rzeczy. Przyjeżdżajcie do Nowego Jorku. Proszę, posłuchajcie głosu rozsądku. Wyjedźcie z Francji, póki jeszcze możecie!* Lecz ponad oknem do sypialni na nowo gnieżdżą się strzyżyki – pięć ciasno upakowanych jajek, a matka i ojciec na zmianę utrzymują je w cieple. Jeśli Max i Leonora leżą pod kołdrą absolutnie bez ruchu, strzyżyki wskakują na łóżko, przekrzywiając główki na ich widok. W ogrodzie otworzyły się purpurowe kwiaty rozmarynu, a lawenda i róże zaczęły puszczać pąki. Wykluwają się kurczęta, miękkie i żółte, a Sofokles, koza, rodzi Zenona, samicę, która na patykowatych nogach podąża za kurczętami. Leonora gotuje i pisze opowiadania ociekające jedzeniem: *foie gras* i purée z kaczej wątróbki, miodem oraz lodami i chałwą.

Nadchodzi kwiecień. I czterdzieste dziewiąte urodziny Maksa. Ona kończy dwadzieścia trzy lata. Daje mu biały rzeczny kamień w kształcie jaja

i koronę, którą zrobiła z piór. On daje jej naszyjnik z czarnych i czerwonych chrabąszczy, które w zeszłym roku, w sierpniu znalazł martwe na brzegu rzeki. Lśnią w słońcu niczym polerowane kamienie.

Kiedy Niemcy dokonują inwazji na Danię i Norwegię, Max maluje dziób i oczy sowy na pierzastym płaszczu swej panny młodej – *Leonory*. Maluje mężczyznę ze skrzydłami i głową żurawia, który z włócznią w dłoni trzyma nad nią straż. A potem Niemcy najeżdżają Francję, a on odwraca się od swego płótna, odkłada pędzel i pali na tarasie w oczekiwaniu na *Boches*, którzy wtoczą się do miasta, by go pojmać – zdegenerowanego artystę, profanatora ojczyzny.

– Ale tutaj jesteś bezpieczny. – Wciąga go do środka na kolację. – Skąd mieliby wiedzieć?

– Myślisz, że nasi sąsiedzi im nie powiedzą? Myślisz, że będą mieli wątpliwości?

– Nie Alphonsine.

– Nie. Nie Alphonsine – mówi, biorąc do ust kęs kaczki z figami w porto.

W ciemnościach księżycowego nowiu owijają się kocem, kładą się na pochyłości stoku i wpatrują w gwiazdy.

– *Ja, die Frühlinge brauchten dich wohl* – cytuje Max.

– Rilke? – pyta Leonora, pozwala zamknąć się swym oczom i odpływa w jego ramionach.

– Tak… wiosny cię potrzebowały. Nierzadko gwiazdy czekały, byś je dostrzegł.

Przyciąga ją bliżej, a ona każe powiekom się podnieść.

– Widzisz niedźwiedzia?

Mruży oczy, by przyjrzeć się Wielkiej Niedźwiedzicy.

– Wygląda bardziej jak kot. Jak Świerszcz, kiedy szykuje się do skoku.

– A Lwa?

– Tego ślimaka?

– Doskonale. – Tak długo jest cicho, że myśli, iż zasnął. I wtedy widzi jego łzy. – Jeśli mnie wezmą, obiecaj mi, że tutaj zostaniesz. Wrócę po ciebie.

– A jeśli wojsko przyjdzie szybciej? – Próbuje mówić spokojnie, ale jej serce gna. Obiecał jej, że wyjadą, kiedy zrobi się naprawdę źle, i oto, co się dzieje.

– Wtedy spotkamy się w Lizbonie. Ale czekaj na mnie. Czekaj tak długo, jak będziesz mogła.

1. W anglosaskim kręgu kulturowym obrączkę zwyczajowo nosi się na lewej dłoni. [wróć]

PASTERKA **SFINKSÓW**

Maj 1940, Saint-Martin d'Ardèche

Kiedy drugi raz zabierają Maksa, nie ma żadnego pukania. Żandarmi wkraczają do ich domu z wyciągniętymi karabinami, w ubłoconych buciorach. I znów to Francuzi go wywlekają.

– Nie macie prawa, nie macie powodu – mówi Max, kiedy zakładają mu kajdanki na ręce. – Sam prezydent mówi, że nie jestem zagrożeniem. Leonoro! Pokaż list!

– Papiery są bez znaczenia, monsieur. Jest pan podejrzany – mówi mężczyzna, chłopiec właściwie, wyprowadzając go. – Przekazywał pan informacje wrogowi.

Leonora nie może się poruszyć ani nic powiedzieć. Patrzy, jak żandarm szturcha Maksa karabinem w plecy i popycha go po kamiennych schodach do samochodu. Patrzy, jak odjeżdżają. A potem wzuwa mokasyny i w nocnej koszuli biegnie na posterunek policji w nadziei, że go tam znajdzie.

Przy swoim biurku komendant pije *café au lait* i stroi radio, chcąc złapać lepszy odbiór. Coś o nieprzenikalności Linii Maginota, odwadze francuskiej armii. Pojawiają się zakłócenia i wyłącza radio, ale ona wciąż próbuje złapać oddech.

– Żandarmi zabrali Maksa. Widziałeś go?

Wyciera okruchy bagietki z szerokich ust.

– Nie. To inny wydział żandarmerii, zajmują się wrogami Francji.

– Znasz Maksa, wiesz, że nie jest żadnym wrogiem. Możesz coś powiedzieć!

– To nie jest w mojej gestii, mademoiselle.

– Leonora, Serge. Na miłość boską, znasz mnie!

Patrzy w okno, policzki mu poczerwieniały.

– Złożyliśmy raport. Musieliśmy. Niezłożenie go jest traktowane jak zmowa.

– Raport?

– Jean-Pierre, ten głuchoniemy syn biednej Adelaide. – Wpatruje się w niego. Nie zna biednej Adelaide i nic jej ona nie obchodzi. – Postano-

wił patrolować miasto. Doniósł o sygnałach świetlnych wysyłanych z waszego domu. Jestem zaskoczony, że i ciebie nie zatrzymali.

– Sygnały świetlne? Pewnie Alphonsine z latarką szukała ślimaków. Robi to, kiedy nie może spać.

– Jeśli to naprawdę nieporozumienie, wyobrażam sobie, że odeślą go do domu.

– Dokąd go zabrali?

Przerzuca papiery, wyciąga kartkę.

– Camp des Milles. Nie jesteście małżeństwem, nieprawdaż? – Leonora gryzie się w policzek, mocno. – Niczego nie możesz zrobić. – Zapala papierosa. Ona chce go udusić, komendanta idiotów o twarzach tuczników. On wzdycha. – Masz rodzinę? W Anglii? Francja to nie jest miejsce dla niezamężnej kobiety. Wracaj do domu, Leonoro, wracaj natychmiast.

Zamiast tego idzie do Motel des Touristes, gdzie zamawia piwo, choć nawet jeszcze nie ma południa. Piwo jest ciepłe i wypija je, żeby poczuć się duża i widoczna, żeby stępić szpetne ostrza świata. Max opuścił ją raz jeszcze. Zamawia następne i następne, a kiedy oberżysta odmawia napełnienia jej kufla, ciężkim krokiem wraca do domu przez miasto zdrajców.

W łazience spryskuje twarz wodą pomarańczową. To tylko sen, z którego może się obudzić. Tylko że, na przykład, powinna zamiast tego wypić wodę z pomarańczy? Jak napój magiczny. Przełyka pozostałą połowę butelki. Obudź się. Obudź się! – myśli. W gardle, w ustach, w głowie czuje pieczenie. Obudzi się, a jej ciało będzie czyste i nowe jak kwiaty pomarańczowego drzewka.

Chwyta ją skurcz żołądka. Zwija się z bólu, biegnie do ogrodu, pada na kolana i wymiotuje – z ulgą, z przyjemnością. Chce być pusta, oczyszczona ze świata i jego nienawistnej biurokracji. Jeśli potrafi się oczyścić, będzie mogła wznieść się ponad to wszystko.

W kolejnych dniach je niewiele. Mogłaby pojechać do Les Milles, ale nie pozwoliliby jej się z nim zobaczyć. A poza tym powiedział, żeby zaczekała na niego w domu.

Obrabia winorośl, która kwitnie i musi być od dołu do góry spryskiwana siarką. Pracuje przy ziemniakach, a im więcej potu wyciska z niej popołudniowe słońce, tym czystsza się staje. Uświęcona. Opala się na gorących nadrzecznych kamieniach i czuje się mocniejsza niż kiedykolwiek w życiu.

Jakie znaczenie ma, czy Belgia padnie? Ona ma słońce. Ma swoją winorośl i kozy, swoje koty i kurczaki.

Wieczorami pije w Motel des Touristes. Kieliszki whiskey, kufle piwa. Po tygodniu kończą się jej pieniądze.

– Nic się nie martw – rzuca Étienne i napełnia jej szklankę. – Jakby co, masz przecież swój dom.

Każdą noc kończy podpisem na kolejnym pokwitowaniu. To łatwe. Jej podpis to taka odległa, abstrakcyjna rzecz. Leonora Carrington to tylko nazwisko. Mogłoby należeć do każdego.

Na początku czerwca Niemcy bombardują Paryż, a Saint-Martin zalewa fala uchodźców. Alphonsine użycza swoich pokoi za darmo, a Leonora zamiata starą pocztę, swoje studio, w którym – odkąd zabrali Maksa – ani razu nie wzięła pędzla do ręki. Dach cieknie, a sufit zaanektowały całe pokolenia kosarzy, ale otwiera jego podwoje.

Wkrótce każdy budynek w miasteczku przepełniony jest uchodźcami.

– Musisz wpuścić ludzi do twojego kościoła – mówi jej pewnego ranka Alphonsine.

– Kościół to studio Maksa – wyjaśnia Leonora, wyskrobując do kocich misek resztki kolacji składającej się z kurczaka i ryżu, którą ledwo tknęła.

Świerszcz wpatruje się w nią. *Nie rób tego*, mówi.

– Wróci lada dzień – ciągnie. – Wściekłby się, gdybym kogokolwiek wpuściła.

– Ludzie muszą gdzieś spać. Niezadługo wszyscy możemy być uchodźcami. Musimy sobie nawzajem pomagać. – Jest zła, usta ma zaciśnięte. Ale jednocześnie obserwuje Leonorę, wycofując się wolno, niepostrzeżenie. – Potrzebujesz czegoś, Leonoro? – Głos ma miękki, życzliwy.

– Niczego – mówi Leonora. I obiecuje przemyśleć sprawę kościoła, co zdaje się zadowalać Alphonsine, której się z ulgą pozbywa.

Po nakarmieniu reszty swojej menażerii idzie do starego kościoła. Przy drzwiach się waha. Jeśli ich nie otworzy, Max równie dobrze mógłby być w środku, jak kot Schrödingera [1]. Ta myśl jest absurdalna. Nie było go tutaj od tygodni. A jednak czuje jego obecność, a możliwość, że jest wewnątrz i pracuje, sprawia, że nie jest w stanie wejść do środka.

Następnego popołudnia, kiedy przychodzi Alphonsine, siedzi na czubku drzewa. Leonora przypatruje się jej jak kot ptakowi. Alphonsine, nie mogąc jej znaleźć, idzie do domu.

Norwegia poddaje się w poniedziałek. Niemcy zajmują Paryż w piątek. Wolałaby raczej nie wiedzieć o takich rzeczach, ale od czasu do czasu musi iść do miasta, a wtedy nagłówków gazet nie da się uniknąć. A i ludzie cały czas gadają. Oznacza dni w swoim kalendarzu. Maksa nie ma od miesiąca i nie ma od niego żadnych wiadomości. Ale też ona nie próbowała do niego pisać. Jeśli do niego nie napisze – dochodzi do wniosku – wówczas może się okazać, że on jakimś cudem zrobił jedynie wypad do Paryża i lada dzień może wrócić do domu.

W środę w skrzynce pojawia się list. Od tak dawna nie było żadnego listu, że ma wrażenie, iż skrzynka pocztowa sama go urodziła, i jeśli tylko dotknie listu, on stanie w płomieniach. *Nie bądź śmieszna*, mówi Archie, ocierając się o jej gołą nogę. Porywa list i zamyka skrzynkę, zanim może wydać z siebie cokolwiek jeszcze.

List jest cienki, ostemplowany tygodnie temu. Maureen Carrington, głosi napis w narożniku. Siada na ziemi z Archiem na kolanach i rozrywa kopertę.

28 maja 1940

Moja droga Leonoro,

Twój list szedł całymi tygodniami. Ponieważ nie odpowiedziałaś na mój telegram, nie mam pojęcia, czy do Ciebie dotarł. Gdzie jesteś? Dlaczego nie wysłałaś depeszy? Boję się, że Niemcy dotarli już do Saint-Martin i ten list w ogóle do Ciebie nie dotrze.

Proszę, Leonoro, wracaj do domu. Twój ojciec zgodził się, byś przemieszkała z nami dopóty, dopóki ta okropna wojna się nie wypali. Dopóki nikt się nie dowie, że tutaj jesteś, będzie bezpieczny przed drwinami, jakie bez wątpienia na niego spadną, gdyby wiadomość o Twoim powrocie miała się roznieść.

Wspominasz o Maksie i o tym, że nie możesz wyjechać, zanim wróci, ale musisz posłuchać głosu rozsądku. Jeśli na nowo znalazł się w Camp des Milles, niczego nie jesteś w stanie zrobić. Musisz ocalić siebie. Co, według Ciebie, on by zrobił, gdyby to Ciebie zamknęli?

I jeszcze jedna rzecz. Winkie choruje. Twój ojciec mówi, że powinniśmy ją uśpić, ale jakże mam się na to zgodzić bez Twojego przyzwolenia? Jeśli chcesz się pożegnać, musisz przyjechać szybko. Bardzo cierpi.

Powiedz mi, przyjedziesz? Będziesz musiała jakoś dotrzeć do Bayonne, a Twój ojciec załatwi łódź, która przywiezie Cię z powrotem.

Ściskam Cię,
Mama

Winkie zdycha? Jeśli cokolwiek mogłoby spowodować, by wróciła do domu, to perspektywa ujrzenia jej konia jeszcze ten jeden, ostatni raz. Znów czyta słowa *posłuchać głosu rozsądku*. To słowa Jimmy'ego, słowa, które Max i ona mogli wziąć pod uwagę we wrześniu, a nawet w lutym czy marcu, ale kiedyż to Max zrobił coś, czego chciał od niego ktoś inny? I kiedyż to, na miłość boską, ona słuchała głosu rozsądku?

Jest też coś innego, czego Matka nie rozumie, nie potrafi zrozumieć. W ostatnich tygodniach pozbyła się strachu. Sama chwyta i zabija kurczaki. Zrobiła się zwinna i silna, i pociemniała od słońca. Niech Niemcy przyjdą, myśli. Nie umrze, dopóki nie nadejdzie jej czas, a wtedy nie będzie mogła powstrzymać śmierci, bez względu na to, co zrobi.

Szybko pisze odpowiedź do Matki. *Pocałuj ode mnie w chrapy Winkie i pozwól jej odejść. Kocham Cię – Leonora*. Odchyla się do tyłu i przypatruje słowom, swemu pochyłemu charakterowi pisma. Swemu, wie, bo pióro znajduje się w jej ręku. Ale Winkie! Nie może pozwolić jej, ot tak, odejść. Jakżeby mogła? Ale jak miałaby wrócić? Kiedy się z nią żegnała, kiedy przycisnęła czoło do jej czoła, kiedy poczuła na ustach jej wilgotny nos, wiedziała, że widzi ją ostatni raz. Ale teraz bardzo odczuwa jej brak. Bierze się w garść. Szybko zakleja kopertę, przykleja znaczek i – by uniknąć paszczy skrzynki pocztowej – wręcza ją Henriemu, gdy listonosz wraca do miasta.

Tej nocy jest już w łóżku i rozczesuje splątane włosy, kiedy słyszy, jak otwierają się frontowe drzwi, głosy, tupot mężczyzn na schodach. Serce jej wali, ale umysł pozostaje chłodny i opanowany. Staje przed nimi w holu. To belgijscy żołnierze. Wcześniej tego wieczoru widziała ich w barze, jak pili, zbyt głośno się śmiali i śpiewali. Czyżby przyszli tutaj za nią? Jest ich pięciu, mają czerwone twarze, chwieją się na nogach. Jeden wycelowuje w nią karabin, kiwając się, jakby stał na pokładzie statku.

– Jesteś szpiegiem – mówi po francusku.

– Zajmujemy twój dom – mamrocze inny.

W nocnej koszuli stoi na szeroko rozstawionych nogach, ręce oparła na biodrach.

– Jestem takim szpiegiem, jak pan, monsieur, artystą.

Wpatrują się w nią z osłupieniem, jakby przeczuwali, do jakich rzeczy jest jakimś zrządzeniem losu zdolna. Przez otwarte okno wpada wiatr; zatrzaskuje za nią drzwi do sypialni.

– Możecie zatrzymać się na poczcie – dodaje. Schodzi po schodach, wkłada płaszcz, a oni bez słowa wychodzą za nią na zewnątrz.

1. Kot Schrödingera – słynny paradoks, eksperyment myślowy opublikowany w 1935 r. przez austriackiego fizyka Erwina Schrödingera. W uproszczeniu, zgodnie z regułami mechaniki kwantowej, stan kota znajdującego się w zamkniętym pomieszczeniu jest fundamentalnie nieokreślony – zwierzę jest jednocześnie żywe i martwe. Dopiero przeprowadzenie pomiaru (w tym wypadku – otwarcie pomieszczenia) pozwala ustalić stan faktyczny. [wróć]

Lipiec 1940, Nîmes

Max otwiera oczy, nad nim rozpościera się rozświetlony namiot. Jest ranek, a on umiera z głodu. Wilhelm przynosi mu dwa krakersy i filiżankę herbaty. Pomaga mu wygramolić się na zewnątrz. Max mruży oczy od blasku, znajduje sobie miejsce na słońcu, siada i powoli je krakersy. Żywność to dziwna rzecz, podobnie jak całe to przeżuwanie i przełykanie. Tak długo musiał obyć się bez jedzenia, że teraz nawet ten mdły krakers nabiera smaku.

Zamyka oczy i wpatruje się, jak pod powiekami czerwienią pulsuje słońce. Wsłuchuje się w swój oddech, równy i mocny. Dotarł na drugą stronę. Żyje.

Po tygodniu zjada niewielkie posiłki. Po kolejnym nabiera przekonania, że ma dość sił na ucieczkę. Wilhelm wszakże nie jest tego pewien. Mężczyźni wychodzą na zewnątrz i wracają przez dziury w zasiekach, chodzą do miasteczka bądź na spacer po okolicy czy choćby tuż za obóz, by wypróżnić się w lesie, a nie w cuchnącym rowie. Lecz jeśli ktoś oddali się bardziej niż do miasteczka i żandarmi sprowadzą go z powrotem, zostanie wtrącony do chlewa, tak jak Max. Na samą myśl o tym miejscu wpada w panikę. Drugi raz by tego nie zniósł.

– A bez świadectwa zwolnienia nie dostanie pan kartki na jedzenie – rozsądnie zauważa Wilhelm, kiedy Max wtyka kilka krakersów do kieszeni swojej torby.

– Niemieckie komisje przeczesują obozy – mówi Max, powtarzając najnowsze plotki.

A i *Leonora*, myśli. Już stracił całe tygodnie. W snach słyszy jej uwięziony śmiech, jak rozpaczliwie grzechocze o drzwi, i wie, że musi zrobić wszystko, żeby ją znaleźć. Ale najpierw musi się spotkać z ekscentrycznym prefektem La Roque-sur-Ceze i zdobyć wizę wyjazdową.

– Ale tak daleko nie może pan iść, Herr Max – mówi Wilhelm. – Będzie pan potrzebował transportu.

Przez parę dni prawie nie widuje Wilhelma. Aż pewnego wieczoru, kiedy w namiocie szkicuje mężczyzn grających z zapałem w pokera, Austriak zagląda do środka.

– Jutro – szepcze.

Zabierze Maksa nad pobliskie jezioro, gdzie zaczeka na kobietę w błękitnym renault. Będzie jechała na północ i może zabrać go do La Roque-sur-Ceze.

Poranek przed podróżą spędza, rysując Wilhelma, a za nim ogrodzenie z drutu kolczastego. Podpisuje i wręcza mu portret.

– Na wypadek, gdyby kiedyś było to cokolwiek warte.

Wilhelm obejmuje go, jak syn obejmujący ojca, myśli Max i żałuje, że nie ma tak dobrego kontaktu z Jimmym.

Po obiedzie, kiedy zaczyna się południowy marazm, przemykają przez zasieki. Wilhelm nalega, by nieść jego torbę, i przywiązuje ją sobie z przodu, gdyby więc ktoś obserwował ich z obozu, będzie to wyglądało tak, jakby szli tylko na przechadzkę. Minęli już las i zbliżają się do drogi, kiedy słyszy, że ktoś biegnie w ich stronę.

To strażnik, jest zbyt blisko, by mogli mu uciec. Ale jak to możliwe? Przecież ledwo co odeszli na tyle daleko, by można było zaryzykować podejrzenia. Max sięga po torbę. To on powinien ponieść karę, nie Wilhelm… ale ten nie chce puścić torby.

Strażnikowi brakuje tchu. Musi splunąć, żeby wydobyć głos.

– Max Ernst? – pyta.

Nie musi pokazywać broni. Gdyby Max miał uciekać, wystarczyłoby, żeby wezwał żandarmerię, a pojmaliby go natychmiast. Nie ma w okolicy takiej dziczy, w której można by się skryć.

Przechodzą przez tę piękną starą bramę i znów są wewnątrz zasieków wraz ze stadem mężczyzn. Gdyby tylko miał działkę kwasu pruskiego, mógłby raz-dwa z tym wszystkim skończyć. Może Wilhelm by trochę zdobył? Ale jak miałby go poprosić? Chłopak płacze, zauważa Max, kiedy oddaje mu torbę.

W biurze komendant każe Maksowi usiąść. Ociera czoło, wypija herbatę i przeszukuje stos papierów na biurku. Z każdą sekundą ciszy cierpienie Maksa się wzmaga. Dlaczego ten człowiek nie może obwieścić mu jego przeznaczenia i mieć go z głowy?

Będzie błagał, postanawia, padając na kolana.

– Wstawaj! – rzuca komendant. – Na miłość boską.

Co Bóg ma z tym wszystkim wspólnego, zastanawia się Max, wstając. Komendant podaje mu jakiś dokument.

– Twoje zwolnienie.

Jego zwolnienie? To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Bóg zapłać – mówi na przekór sobie.

Przy wyjściu Max macha papierami w stronę strażników i przechodzi przez bramę w przeciwnym kierunku. Wilhelm spotyka go na drodze.

– Musimy się pospieszyć – oznajmia, zarzucając sobie torbę na plecy.

Gdy wychodzą zza kępy rozmarynu, Max je spostrzega; błękitne renault. Kobieta opuszcza szybę.

– Niech pan wsiada – mówi z uśmiechem.

Wsuwa się obok niej, jej perfumy pachną jaśminem i morzem. Przyjechała, żeby odebrać męża, wyjaśnia mu pomiędzy drobnymi trzaskami gumy do żucia. Postanowili jednak zaczekać na dokumenty zwolnienia. Mogą nadejść w każdej chwili, mówią. A dlaczego on wybiera się do La Roque-sur-Ceze?

Opowiada jej o ekscentrycznym prefekcie, który mieszka, jak powiadają, w zamku, i o tym, że Leonora oddała ich dom oberżyście. I wspomina jej o Peggy Guggenheim, o tym, że może będzie mu mogła pomóc, zwraca uwagę, że mówi *mnie*, a nie *nam*. To zapach jej perfum, myśli, tak go rozkojarza.

Odnajduje adres na kawałku papieru, jakimś cudem nadal znajdującym się w jego torbie.

– Och – wzdycha ona, kiedy podjeżdżają pod budynek. – To faktycznie zamek.

– Zbudowany w dwunastym wieku – opowiada prefekt La Roque-sur-Ceze. – Jest fosa, wieża i duch, Błękitna Dama, która w nocy błąka się po korytarzach, recytując Baudelaire’a.

Zażywny, czerwonolicy mężczyzna o rzednących włosach oraz gęstej ciemnej brodzie przetykanej siwizną przemieszcza się w kapciach i pikowanej atłasowej szacie, jakby był opatem jakiegoś wspaniałego kościoła dekadencji. Max natychmiast czuje do niego sympatię. Ma psa o imieniu Milton, krzyżówkę czegoś, co musi być beagle’em, z owczarkiem szetlandzkim. Smukły, długonosy, długowłosy, podąża za Georges’em krok w krok.

Tego wieczoru Georges przygotowuje królewski posiłek. Uwielbia gotować, podkreśla, i w końcu ma gościa. Max siada przy długim biesiadnym

stole w wielkiej, pustej sali, a prefekt, nadal w swej szacie w kolorze burgunda, wynosi z kuchni zmętniałą zupę, krem grzybowy, w miseczkach barwy rubinowej czerwieni, które skrzą się w świetle zakurzonego kandelabru. Zupa jest wyśmienita. Może poczuć smak gleby, na jakiej wyrosły grzyby; przysięga, że może posmakować lata i deszczu. Delektując się kieliszkiem czerwonego wina, Max niemal na nowo czuje się człowiekiem.

Georges wynosi jedne i niemal natychmiast powraca z kolejnymi czerwonymi miseczkami, tym razem wypełnionymi sałatką z cykorii, orzechów włoskich i jabłek. Następnie pojawia się danie z kurczaka z orzechami laskowymi oraz sosem, który śpiewa każdej z jego komórek o śnie, śnie martwych i nasyconych, znowu w identycznych czerwonych miseczkach. Zachwyca się, jak są połyskliwie czyste, jak z każdym daniem zdają się lśnić coraz bardziej. Tarta jabłkowa i trzy rodzaje sera kończą posiłek, choć jest zbyt pełen, by zjeść więcej niż kęs.

– *Plein du la grâce de Dieu* – mówi Georges, dolewając wina. Odchyla się do tyłu, rękę kładzie na wydatnym brzuchu.

– Proszę – mówi, kiedy Georges wstaje z ostatnim zestawem miseczek. – Chciałbym pomóc.

Macha ręką, by Max z powrotem usiadł, po czym wraca z butelką koniaku i dwoma kieliszkami.

– Żadnych naczyń – mówi z naciskiem, zapalając fajkę. Pies siada w nogach swego pana, oblizując pysk. – Widzi pan, Milton i ja całkiem dobrze dajemy sobie radę.

A więc ten pies to jego pomywaczka? Max gryzie się w policzek, a potem wybucha śmiechem, donośnym niepohamowanym śmiechem. Tyle czasu już minęło, odkąd tak się śmiał, zgina się wpół, nie mogąc przestać. Jakżeby chciał, by Leonora tutaj była. Tęgi, zażywny, piękny mężczyzna śmieje się razem z nim.

– Może pan zostać, jeśli ma pan ochotę – zaprasza. – Jak pan widzi, mam tutaj jedynie Miltona w tym naszym małym Raju Utraconym.

– Z wielką chęcią – dziękuje Max, po czym ziewa. Po posiłku jego ciało jest rozgrzane i ociężałe, a zapach koniaku powoduje, iż odpływa falą jego aromatu ku morzu odrętwienia. Delektuje się bursztynowym płynem, pierwszy raz od miesięcy czuje w ustach smak alkoholu.

Georges prowadzi go do pokoju z oknem wychodzącym na ciemne wzgórza, biurkiem, szeroką pierzyną. To był pokój syna, tłumaczy, zanim umarła mu żona, zanim Europa straciła rozum, a syn wyjechał do Stanów.

Jak mój, myśli Max, ale na głos nie wypowiada ani słowa. Nie czuje się dobrze, uzurpując sobie w ten sposób prawo do Jimmy'ego. To Lou go wychowała.

Georges życzy mu dobrej nocy, a on się rozpakowuje, wiesza kilka sztuk odzieży w szafie, odkurza biurko. Myśli o Peggy i o tym, że musi do niej napisać; otwiera górną szufladę i znajduje tam pióro, atrament, papier i koperty opatrzone monogramem, który najwidoczniej zawiera inicjały syna prefekta: BEM. Na tym papierze list od niego nie będzie miał sensu, ale przecież nic już nie ma sensu. Ośmielony posiłkiem i koniakiem bierze do ręki pióro i zamienia B w piersi, a pomiędzy E i M rysuje węża, który odwraca ich kolejność.

28 lipca 1940

Droga pani Guggenheim,

Roland powiada mi, że zgodziła się Pani pomóc mi dotrzeć do Ameryki, za co jestem wielce zobowiązany. Teraz ponownie znajdzie mnie Pani na kolanach, błagam bowiem o kolejną przysługę. Ostatnimi czasy wróciłem do domu w Saint-Martin d'Ardèche czy – jak powinienem powiedzieć – mojego byłego domu. Pamięta Pani Leonorę, której obraz była Pani łaskawa kupić kilka lat temu? Gdy byłem uwięziony w Camp des Milles, w przypływie najwyraźniej jakiegoś szaleństwa przepisała nasz dom na pewnego francuskiego oszusta.

Roland wspominał, że widziała Pani moje rzeźby w czasopiśmie „Cahiers d'Art"*; zastanawiam się, czy byłaby Pani skłonna napisać oficjalne pismo poświadczające, że je Pani widziała i że są one warte co najmniej…* Waha się. Ile one są warte? Są bez ceny. Dom i życie, jakie Leonora i on tam stworzyli, są bez ceny. Ale potrzebuje pieniędzy i musi przypisać im jakąś wartość. *…co najmniej sto siedemdziesiąt pięć tysięcy franków. A gdyby była Pani jeszcze w stanie przesłać mi sześć tysięcy franków celem najęcia prawnika, byłaby to również nieoceniona pomoc.*

Pozostaję z pokorą i wdzięcznością,

Max Ernst

Zdejmuje ubranie, wyłącza światło i wślizguje się pod chłodną, gładką pierzynę. Być może powinien powiedzieć jej coś więcej o Leonorze – o tym, że zamierza w jakiś sposób ją też sprowadzić do Ameryki? O tym, że ma nadzieję, iż Peggy będzie w stanie pomóc?

Nie. Na szczerość przyjdzie czas później, kiedy będzie ją miał po swojej stronie.

Sierpień 1940, Grenoble

Peggy zaciąga się pall mallem i rozcina kopertę z listem od Maksa Ernsta.

Spotkała go w Paryżu zimą trzydziestego ósmego. Widziała jego obrazy w Londynie, w domu Rolanda, po niespodziewanym zamknięciu wystawy artysty, kiedy jakiś brytyjski oficjel czy ktoś tam orzekł, że jego obrazy są zdegenerowane. Wszystko to z powodu Leonory Carrington, najnowszego kociaka Maksa, i jej władczego ojca. A przynajmniej taką historię Roland opowiedział jej pewnego dnia w łóżku, po czym zsunął z niej jedwabną suknię Elsy Schiaparelli, zawiązał cienki jedwabny pasek, który całą noc zwieszał się z jej bioder, ciasno na jej nadgarstkach i kochał się z nią z determinacją, która wprawiła ją w zaskoczenie.

Kiedy spotkała Maksa w jego paryskim studio, Leonora była kotką zwiniętą w kłębek u jego stóp ocieplającą pokój dyskretną urodą. Tworzyli dziwną, baśniową parę – białowłosy czarnoksiężnik w czarnej szacie i dziewczyna, którą zaczarował. Spodziewała się wręcz ujrzeć cienki złoty łańcuszek tworzący pętlę wokół jej kostki, magiczny przyrząd utrzymujący ją u jego boku. Dość młoda, by mogła być jego córką, była jednym z całego szeregu kociaków – kobiet, o których Peggy słyszała – Leonor Fini, Meret Oppenheim i jego żona, Marie-Berthe.

Ale też prawdą jest, że mimo wieku coś w sobie miał. Ten prominentny nos jak dziób, te błękitne oczy. Cechował go swoisty, dobrze pojęty majestat, jakby było dla niego naturalne, że znajduje się w centrum zainteresowania. Trzymało się to kupy. Koty zawsze ciągnie do ptaków. Odgryzają im głowy, miażdżą kości, ciskają ich zwłoki na wszystkie strony jak zabawki. Ale to był Ptak Przełożony, treser kotów surrealistów.

Jeden obraz Maksa szczególnie przykuwał jej uwagę… cały w odcieniach błękitu, z białym kołem w narożniku i dwoma końmi splątanymi w tańcu – albo w pojedynku woli – ekstatycznymi i narowistymi, jeden z nich miał obnażone zęby. Zapytała go o tytuł.

– *Oblubienica Wiatru* – odpowiedział.

A potem zamilkł, a w jego oczach było coś, co kazało jej paplać o swej kolekcji obrazów, o swej galerii w Londynie, gdzie – ma nadzieję – on

zechce zaprezentować któreś ze swoich malowideł na kolejnej wystawie grupowej. Mówiła i mówiła, nie mogąc przestać. A on cały czas gładził ciemne, błyszczące włosy Leonory. Kiedy powiedziała, że chciałaby kupić obraz, odpowiedział, że nie jest na sprzedaż. Należy do Leonory.

Kiedy zbierała się do wyjścia, dostrzegła kolejny obraz z końmi. Nie w szorstkim, ekspresjonistycznym stylu Maksa, lecz bardziej kolorowy, bardziej świetlisty, pulsował zmysłowością i strachem. Były tu konie, jeden z nich utknął na drzewie, niezdolny z niego zejść, jakby w jakiejś wcześniejszej scenie miał skrzydła, jakby był ptakiem, a jakiś oszukańczy bożek zamienił go w konia. Oczy miał wybałuszone, porażone wysokością. Jak koń w *Guernice*, pomyślała. Lęk w jego oczach był wręcz namacalny.

– A ten? – spytała.

– Ten jest mój. – Głos Leonory choć delikatny, brzmiał pewnie. – Nosi tytuł *Konie lorda Candlesticka*. Ja go namalowałam.

Peggy, która zapomniała, że jest dziewczyną, a nie dziewczęciokształtnym kociakiem, zaskoczył jej głos. Przeszył ją dreszcz. Owo elektryczne doznanie znaczyło, że kupi obraz bez względu na koszt.

Szybko czyta list Maksa. Tak, oczywiście, że mu pomoże.

A w zamian zażyczy sobie jakiegoś obrazu.

Czerwiec 1940, Saint-Martin d’Ardèche

Leonora wstaje razem ze słońcem i odkrywa, że gniazdo jest puste.

– Strzyżyki wyfrunęły z gniazda – mówi w przestrzeń i wsłuchuje się w śpiew strzyżyka, głuchy i pusty, który szemrze za oknem.

Rozpacz umknęła w krainę tak głęboko skrytą w jej ciele, że nawet gdyby próbowała, nie zdołałaby jej umiejscowić. Odbębnia dni ciągiem obowiązków. Prowansja wzbiera życiem. Rozmaryn, lawenda, dzikie róże eksplodują kwieciem. Pełne entuzjazmu mrówki, pszczoły i motyle są niezmordowane. Dziś dzień letniego przesilenia. Ziemia w całej swej okazałości rozkoszuje się słońcem.

W popołudniowej spiekocie, ubrana w jedną z koszul Maksa zawiązaną w pasie na węzeł i w parę powycieranych szortów, które nosi teraz codziennie, pieli na kolanach grządkę ziemniaków. Jaszczurka i Żuk śpią na grzbiecie na skąpanej w słońcu grządce. Świerszcz łasi się jej do kolan.

– Nie mogę cię pogłaskać, mam ubłocone ręce – mówi jej, choć nie używa słów. Wypowiada je w myślach, a Świerszcz podnosi głowę i spogląda na nią, nasłuchując. Dni całe nie używała słów, nie rozmawiała z żadną istotą ludzką.

Przestała chodzić do baru, bo jest winna Étienne’owi pieniądze. Kiedy zaoferowała mu jeden ze swoich obrazów dla wyrównania rachunków, roześmiał się.

– Te konie wyglądają na opętane. A poza tym sztuka w czas wojny nie znaczy nic. – A potem tak blisko, że mogła niemal posmakować jego oddechu, rzucił: – Daj mi akt własności twojego domu, kochanieńka, i możesz pić do woli.

Z chwastami w ręku przygląda się, jak w oddali podnosi się tuman kurzu i zbliża coraz bardziej. Stary żółty fiat z łoskotem przetacza się wzdłuż domu, zawraca i zatrzymuje się na podjeździe. Upuszcza chwasty i wyciera ręce o szorty. Pierwsza wysiada kobieta, za nią mężczyzna. Ona ma na sobie spodnie, mokasyny, koszulę z krótkim rękawem, na włosach ma chustkę. To Nusch? Leonora mruży oczy. Nie, to nie Nusch, a mężczyzna to nie Paul. Kobieta osłania oczy od słońca i podnosi wzrok na dom. Leonora

chowa się za rozmarynem. Jeżeli zbiegnie ze wzgórza drugą stroną, będzie mogła wymknąć się nad rzekę, tak by jej nie zauważyli. A kiedy wróci, ich już nie będzie.

Ale oni wchodzą już po schodach. Przegapiła okazję.

– Leonora? – woła kobieta, jej głos brzmi znajomo. To Catherine, przyjaciółka Ursuli. Uśmiecha się i macha niespokojnie.

Leonora wynurza się zza rozmarynu.

Na kolację otwiera butelkę własnego wina. Serwuje im ziemniaki z masłem z gospodarstwa przy tej samej drodze, i Charlotte, jednego z najtłustszych kurczaków, z tapenadą z oliwek.

– Paryż jest nie do poznania. Te bomby! Ten dym! Ludzie uciekają pieszo, z całym dobytkiem na plecach, dzieci, potykający się starcy. Hitlerowcy maszerujący po Polach Elizejskich. – Catherine mówi z ożywieniem, jakby wciąż uciekała. Ręce jej się trzęsą, kiedy sięga po wino. – Dzięki Bogu, że wyjechaliśmy… i to bez hamulców! Hamulce wysiadły. Wyobrażasz sobie?

– Jutro im się przyjrzę – obiecuje Michel. Przeżuwa wolno, jak hipopotam. Jest Węgrem, mocnej budowy, z prostym, praktycznym nosem, gładką częścią ciała na tle ciemnego uwłosienia.

Zdają się nie zauważać milczenia Leonory. Zapach jedzenia jest zbyt intensywny, by mogła cokolwiek zjeść, pije więc wino i przygląda się, jak wkrawają się w ciało Charlotte, w jej skórę i mięśnie, i unoszą ją do ust. Nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo akt zjadania innego zwierzęcia działa na zmysły. Gąbczaste, myśli, przygryzając kosmyk włosów.

– Musimy zdobyć wizy wyjazdowe – oznajmia Catherine. – Wszyscy będą pchać się w stronę granic. Coraz trudniej będzie wyjechać. – Ich słowa brzmią dziwnie… gdakanie kur. A kiedy Leonora odwraca ku nim wzrok, czekają, jakby zadali jej jakieś pytanie. – No – naciska Catherine – masz?

Wyjmuje włosy z ust.

– Co mam…?

– No, Leonoro. Czy ty… masz jakiś plan?

– Plan? – Powtórzenie jest łatwe. Słowa tak gładkie, że staczają się z języka prosto w rzeźwiące powietrze. Catherine i Michel odkładają widelce. Wpatrują się w nią. Oczekują, że powie coś jeszcze? Za oknem niebo ma kolor żółtej ochry. Barwę cynobru, pomarańczy kadmowej, indygo. Słońce zaszło w najdłuższym dniu roku, a ona to przegapiła!

Zabiera kieliszek z winem do winnicy, wpatruje się w tętniące kolorami niebo. Jej gołe stopy na ciepłej ziemi, spogląda ku zachodowi, na swój ogród, jabłonie, winorośl. Eurydyka, która na kamiennym murku prezentuje doskonały zarys swojej sylwetki, wydaje żałosny krzyk. Koty łaszą się do jej nóg z prośbą o kolację. Jak miałaby to zostawić… swój dom?

Catherine staje obok.

– Nie wiesz, co zrobisz, co?

– Czekam na Maksa. – Wyrzuca z siebie słowa, w które tak bardzo chce wierzyć. – Jeśli Francja się podda, będą musieli go wypuścić. Nie mogą go przecież trzymać. Chyba że… – Nie wypowie jednak tej myśli na głos, wypowiedzenie jej byłoby przydaniem jej mocy. A jeśli wydadzą go hitlerowcom? Może już to zrobili, zapakowali do jakiegoś pociągu jadącego do Niemiec. To by znaczyło, że już go nigdy nie zobaczy. Kolana się pod nią uginają.

Catherine obejmuje ją ramieniem, podtrzymuje ją, a Leonora odwraca się do niej i całuje ją w usta, odruchowo, z potrzeby kontaktu z drugim człowiekiem i uścisku, czegoś, co pozwoli jej ustać na nogach.

– Jestem tak długo sama – mówi.

– Pojedziesz z nami. Naprawimy hamulce, zdobędziemy wizy wyjazdowe i pojedziemy.

– Ale co z tym? – pyta, zataczając ręką niewielki łuk. – Jeśli mnie tutaj nie będzie, zabiorą to hitlerowcy.

– Oni zajmą całą Francję. Nic na to nie poradzisz. I nie jesteś tutaj bezpieczna. Kobieta, sama?

Myśli o belgijskich żołnierzach i o tym, jak się jej bali, myśli o zdobytych ostatnio mocach, lecz nie potrafi wyrazić tej wiedzy słowami. Jeszcze nie. Jest zbyt świeża, zbyt krucha, jak pisklę strzyżyka. Pije więc wino i smakuje w nim słońce, ziemię… jej *terre*. Kiedy słyszy samą siebie, jej głos brzmi nietęgo.

– Jeśli wyjadę, jak znajdę Maksa?

– Wszyscy wyjeżdżają do Lizbony. Tam możemy zaczekać na Maksa. A potem wszyscy popłyniemy statkiem do Ameryki.

– Lizbona – szepcze, myśląc o owej nocy z Maksem i o tym, co powiedział pod gwiazdami.

Kiedy idzie do miasteczka pod księżycem tuż przed pełnią, czuje się, jakby płynęła. Jest duchem, wcale jej tutaj tak naprawdę nie ma. Miasteczko raz

wydaje się snem, raz jawą. Może naprawdę śnię, myśli, mijając ciemne budynki – komisariat, oberżę, gdzie Alphonsine z jej nieudawanym uśmiechem i szorstkimi dłońmi jest i królową, i służącą. Ona by nie wyjechała, nie uciekłaby jak Leonora.

Jedynie w Motel des Touristes palą się światła, okna są otwarte, a z baru dobiegają salwy śmiechu. Jak ktokolwiek może się śmiać w takich czasach? No, chyba że w środku są hitlerowcy? Zagląda przez okno. Żadnych mundurów, te same typy, co zwykle. A jej nie zaszkodziłaby kropelka whiskey. A potem pójdzie do domu, spakuje, co potrzeba – jedynie najniezbędniejsze rzeczy – i ruszają. Czuje zew oddali, kiedy otwiera drzwi, podmuch powietrza omiata jej twarz i dopada ją chęć, by sobie odpuścić, by dać się porwać wiatrowi, by uwolnić się od wszystkiego, co kocha.

Siada przy barze. Po drugiej stronie staje Étienne, wycierając kontuar. – Miło cię widzieć – mówi – ale jak zapłacisz?

– Tylko jedną whiskey, proszę. Wyjeżdżam do Portugalii. Przyszłam się pożegnać.

– Chcesz powiedzieć, przyszłam na szklaneczkę whiskey. – Ale uśmiecha się, nalewając jej na palec alkoholu. Przesuwa szklankę przed nią i patrzy, jak przechyla bursztynowy płyn do ust.

– Zostawiasz dom Niemcom? – Skubie długą, siwą brew. – Równie dobrze mogłabyś im go podać na tacy, hę?

– A jaki mam wybór? – Stawia szklankę, a on nalewa. Na dwa palce.

– Oddaj swój dom mnie. Będziemy kwita.

– Tyle to na pewno nie wypiłam! – W lustrze za barem sala pochyla się to w jedną, to w drugą stronę. Whiskey pali, w miarę jak spływa coraz niżej, a noc robi się zamglona i powabna. – A poza tym jaki miałbyś z niego pożytek? Niemcy…

– …chcą polubownego zajęcia. Nie przejmą nieruchomości, jeśli będzie ona własnością Francuza. Przepisz swój tytuł własności na mnie, a twój dom będzie bezpieczny. Coś ci powiem, dorzucę do tego interesu tę butelkę brandy. – Ścierką wyciera kurz z bardzo starej butelki. Nacina nożem woskowe zamknięcie, zdejmuje je spiralnym ruchem i wyciąga korek. Nalewa jej szklankę. – Jak ta wojna się skończy, będziesz mogła go odzyskać.

Nie za bardzo wierzy w tę ostatnią część, tę o zwracaniu domu, ale brandy jest najlepsza, jakiej kiedykolwiek próbowała… rozgrzewające

przyprawy i wanilia. Jest prawdziwa, a słowa to tylko powietrze. Och, a jej skarby!

– A będziesz karmił moje koty i kozy, moje kurczaki i pawie?

– *Mais oui*, Leonora. Ale musimy zrobić to zgodnie z przepisami. Bo w przeciwnym wypadku mogą zabrać go ot tak. – Jego słowom towarzyszy pstryknięcie palców.

Nie śpi. Nie ma na to czasu. W szafie, pod stertami ubrań – spodniami Maksa, jej koszulami, kilkoma koronkowymi rzeczami, jakie zostały po Leonor – znajduje walizkę. Jest opisana jej nazwiskiem na mosiężnej tabliczce, a wyżej ma wygrawerowane słowo *Apokalipsa*. Prezent od Ojca, kiedy jechała do przyklasztornej szkoły. Objawienie Jana, ze smokami, aniołami i diabłami szalejącymi w kosmicznym tańcu końca czasu, było jej ulubionym rozdziałem Biblii. Teraz jednak słowo to nabrało innego znaczenia. Oznacza coś, ku czemu zmierza ona, coś, co zmierza ku niej. Owo coś rozpozna się w niej, stanie nagie i zrzuci skórę, by ukazać jej swe kości, swe kartoflowate serce. Już zaczęła dostrzegać różne rzeczy. Zmysły jej się wyostrzyły.

Ręka, którą dotyka szafy, robi się ciepła, potem gorąca. Drewno pełne jest historii i kiedy zamyka oczy, wyczuwa drzewo, jakim ono niegdyś było, jakie to było uczucie wzrastać, żywić się światłem, oddychać w lesie pełnym takich samych drzew. Wyczuwa jego męczarnie po ścięciu, jak to jest być martwym, a jednak wciąż istnieć. Jego smutek ją paraliżuje. Cofa rękę jak oparzona.

Porusza się żwawo, wrzuca do walizki spódnice, koszule, spodnie, upycha szczotkę do włosów, szczoteczkę do zębów. Wkłada bluzkę Leonor – tę, którą miała na sobie w dniu, w którym wyjechała – w nadziei, że doda jej ona odwagi. Na szyi zapina naszyjnik z chrabąszczy, który Max podarował jej na Boże Narodzenie, całą wieczność temu. Głaszcze połyskliwy grzbiet chrząszcza. *Jakie to wrażenie fruwać, jakie to wrażenie paść na brzegu rzeki, poddać się ziemi*.

Zamyka walizkę i stawia ją koło drzwi. Gdyby Max był tutaj, wiedziałby, co robić, a ona by mu zaufała, jak zawsze zresztą. Teraz taka wiara wydaje się słabością. Zapomniała już, jak to jest polegać na sobie.

W dolnej szufladzie komody znajduje paszporty, swój i Maksa. Trzymając w rękach paszport, trzyma jego, a jeśli zabierze paszport z sobą, zabierze i jego, do Portugalii, gdzie zdobędzie wizy wyjazdowe dla nich obojga.

To ja jego ocalę, myśli i wsuwa dokumenty do zapinanej na zamek kieszeni w spódnicy.

Rano spotyka się z Étienne’em u notariusza. Jakże lekko się czuje, kiedy siedzi w tym biurze. Trzymając w ręku pióro, jest balonem kołyszącym się gdzieś ponad ciałem. Myśli o Woolf i Świerszczu, Żuku, Archiem i Jaszczurce, o Platonie, Sofoklesie i Zenonie, o Eurydyce i Orfeuszu; myśli o świetle poranka nad winoroślą i drzewkami oliwnymi; myśli o swoim winie, klarownym i rześkim, o swych obrazach i o tym, co mogłaby namalować, gdyby pozostała; myśli o Maksie i jego możliwym powrocie. Jeśli wróci do domu, jak ją odnajdzie?

Wiadomość. Zostawi mu widomość.

Na biurku leży karteczka, na której gryzmoli, *Drogi Maksie*, *wyjechałam z C. i zaczekam na Ciebie w…* tutaj się zatrzymuje. Chce mu powiedzieć „Lizbona”, ale tym samym by się wydała. Gdyby hitlerowcy znaleźli wiadomość, mogliby przetrząsnąć Lizbonę, by go znaleźć. Zamiast tego pisze *Estremadura*. To prowincja, w której leży Lizbona, zbyt duża, by ją przeszukiwać. Max będzie wiedział, co ma na myśli. Wsuwa wiadomość do kieszeni, a kiedy podnosi wzrok, widzi, że się jej przyglądają wyczekująco.

Pochyla się nad aktem notarialnym, lecz nie jest w stanie przeczytać ani słowa. To terminologiczny gąszcz, prawnicze brednie. Co on znaczy? Daleko mu do tego, by zdefiniować ją, Maksa czy raj, jaki stworzyli. Étienne stuka palcem stronę na dole. Jest tam linia, pasek, który tylko czeka, żeby powiodła po nim piórem.

– Nakarmisz je wieczorem? – pyta. – Wszystkie moje skarby?

– Nakarmię. Twoje pociechy będą ze mną bezpieczne. – Kładzie spoconą dłoń na jej ręce. Jego twarz jest nalaną maską z wosku, która topi się po bokach. Gorący i duszny pokój wiruje. Żeby wyjść, musi podpisać. Chodzi o to, żeby być w ruchu. Ruch to wolność, a wolność to jedyne, co się liczy. Ruch ręki i oto pojawia się… znowu to imię i nazwisko.

Leonora Carrington.

Sierpień 1940, La Roque-sur-Ceze

Poranne słońce przygrzewa w plecy, kiedy Max je śniadanie, siedząc przy stole z Georges'em. Prefekt podaje mu gazetę. Vichy wprowadza nowe prawa, na nowo bada obywatelstwo imigrantów, współpracuje z hitlerowcami.

– Jest pan na ich liście. Jest pan poszukiwany przez gestapo – mówi Georges, tak zwyczajnie, jakby mówił, że dzisiaj może padać. – Na południu Francji też jest pan poszukiwany. Dostałem list nakazujący bezzwłoczne zgłaszanie elementu przestępczego.

Spogląda na Maksa sponad okularów. Dolewa mu kawy.

On go jednak nie wyda. Nie Georges.

Max upija łyk kawy. Jest za gorąca i się krztusi. Kaszle.

Georges zrywa się i klepie go w plecy.

– Jeśli ja to dostałem, wszyscy inni urzędnicy też.

– Ale Leonora – mówi Max, jakby mantra jej imienia mogła ją przywołać, gdziekolwiek by była.

Milton, który leży u stóp Georges'a w plamie światła, unosi ucho, ale nie zadaje sobie trudu, by otworzyć oczy. Georges pochyla się przez stół i kładzie rękę na dłoni Maksa.

– Nie na wiele przyda się jej pan w niemieckim obozie. Niech pan zostanie tutaj – proponuje – dopóki nie znajdzie pan bezpiecznego miejsca.

Peggy odpisuje, przysyłając pieniądze i list do prawnika, którego znajduje mu Georges. Prawnik sądzi, że będzie w stanie wydobyć dla niego pieniądze, ale że to potrwa. Wszystko trwa dłużej, niż powinno. Peggy jest w Grenoble, porządkuje własne rzeczy, wyplątuje dwadzieścia lat swego życia z Europy i próbuje znaleźć sposób, by wyekspediować swoją kolekcję sztuki do Stanów. Nie będzie jej w Marsylii aż do wiosny, a to miejsce dla niego w willi Air-Bel jest odroczone aż do grudnia. Max dzwoni do Rolanda, ale nie było żadnych nowych wiadomości od Catherine. Leonora może być wszędzie.

Nadchodzi jesień. Liście kasztanów na zamkowych włościach brązowieją i opadają, a on pozostaje u Georges’a.

Najczęściej prefekt porzuca swój gabinet jedynie dla kuchni lub by pokonać ścieżkę do skrzynki pocztowej i z powrotem. Uważa, że jego spiżarnia jest wystarczająco pełna, by przeczekać wojnę… jeszcze rok, najwyżej dwa, nie do wyobrażenia, by miała potrwać dłużej.

Kiedy jednak jedzie do miasta, przywozi dla Maksa farby i wielkie płótno. Zapewnił mu wikt i opierunek w zamian za obraz. Max zaczyna bez zwłoki. Wkrótce jest już błękitne niebo, a na jego tle pomarańczowo-czerwone ścięgna dekalkomanii. Jest postapokaliptycznie. Ziemia jest poszarpana i porozciągana. Ani śladu wegetacji. Ale jest kobieta, która spogląda przed siebie przez przestwór. Czeka. Odwrócona jest tyłem do widza, ale nawet od tyłu wygląda jak Leonora. Mógł namalować jej twarz, ale jej nie pamięta, nawet kiedy zamyka oczy.

Czasem ktoś puka do drzwi i czy jest to obywatel chcący skorzystać z jego usług jako prefekta, czy po prostu ktoś znajomy, Georges wpuszcza go dopiero, kiedy Max skrywa się w sypialni na piętrze, a zasłony zostają zaciągnięte.

Max nigdy nie był tak cicho, tak nieruchomo. W miarę jak noce robią się coraz dłuższe, a dni zimne, sypia, jak nie spał od lat. Śni, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie, jakby miał nigdy nie przestać. Lecz noc za nocą Leonora odmawia mu odwiedzin. Aż pewnego dnia wcześnie rano słyszy jej śmiech. Podąża za nim w bezkresnej sali, gdzie odnajduje go, jak bije skrzydłami o sufit, rozpaczliwie usiłując uciec. Ciemne zwierzątko, delikatne i narowiste. A potem spada na podłogę, nieruchomy i mały, kos, którego bierze w ręce.

Słyszy jakąś kobietę, która mówi wierszem. *Moi, mon ame est felee.* Ja, dusza ma rozdarta. Baudelaire. *Kobieta w błękicie* kroczy ku niemu, piękna, promieniejąca… nocna koszula w kolorze pruskiego błękitu podwija się na jej długich nogach, jej białe włosy unoszą się nad nią, jakby była pod wodą.

Georges siedzi przy swoim biurku zabarykadowany stosami książek oraz imponującymi stertami papierów. Grudzień. Świt. Światło przyćmione i pozbawione kierunku. Stempluje wizę wyjazdową Maksa, wyzywająco, wszystkimi stemplami, jakie tylko może znaleźć. Podczas tych miesięcy wyrosła mu broda. A i posiwiała, tego Max jest pewien. Prefekt wstaje, obchodzi biurko. Wręczając Maksowi wizę, zaskakuje go uściskiem. Max

odwzajemnia uścisk, myśląc, że jeśli kiedykolwiek namaluje anioła, będzie on wyglądał jak Georges. Dziękuje mu za wszystko, lecz Georges upiera się, że to on jest wdzięczny, za jego towarzystwo i obraz, który wisi już na ścianie.

Wpatrują się w niego, w postrzępiony krajobraz, w ruiny, jakie zostawia za sobą wojna.

– Chyba nie za wiele w nim nadziei – mówi Max.

– Nadziei nie da się zobaczyć – odpowiada Georges, uśmiechając się lekko, jakby go to bawiło.

Max owija się swą czarną peleryną, przewiesza sobie przez ramię plecak. Georges i Milton odprowadzają go do ulicy, gdzie przyjaciel prefekta siedzi w lśniącym czarnym citroenie i czeka, by zabrać Maksa do Marsylii, jakby był on jakimś dygnitarzem.

Czerwiec 1940, Saint-Martin d'Ardèche

Kiedy Leonora opuszcza Saint-Martin, jest popołudnie, światło robi się złociste. Nie patrzy za siebie, nie zerka we wsteczne lusterko. Wcisnęła się do fiata pomiędzy Catherine i Michela i ledwie pełzną do przodu, podczas gdy ona marzy o prędkości, która pociągnie ich ku wolności. Za wolno, dużo za wolno. Nie powinna była wyjeżdżać. Nałożyła kotom do misek jedzenia do pełna, lecz kiedy nadejdzie noc, będą próbowały ją znaleźć, a jej tam nie będzie. A jeśli Étienne nie będzie ich karmił? Jeśli będą głodować? Powinna była poprosić Alphonsine, by ich doglądała.

Chce, by samochód się zatrzymał. Nie mogli ujechać więcej niż dwadzieścia kilometrów. Wróci piechotą. Lecz teraz gnają z górki, rozpędzają się, a kiedy Michel hamuje pulsacyjnie, hamulce zacinają się i rzucają ich wszystkich na deskę rozdzielczą.

– To moja wina! – słyszy swój okrzyk.

Michel wrzuca na luz, a potem wrzuca bieg. Szarpie i hamulce się poddają. Catherine jest zlana potem.

– Leonoro, jak to miałaby być twoja wina?

Była. Chciała, żeby samochód się zatrzymał, i tak się stało. Jakie znaczenie ma jak?

Podskakują na drodze. Głowa Catherine na jej ramieniu, Leonora przysypia, po przebudzeniu widzi ciemne niebo i jadący przed nimi konwój ciężarówek. Tył ostatniej ciężarówki okrywa jutowa plandeka, a w blasku tylnych świateł widzi, że coś dynda. A właściwie dynda wiele różnych rzeczy, uzmysławia sobie, kiedy się zbliżają. A ściślej, nie rzeczy; kiwają się zwiotczałe nogi, stopy, ramiona i ręce. Odwraca się do Catherine, której podbródek podskakuje na klatce piersiowej, a potem do Michela, który też musi je widzieć. Czy aby na pewno? Słowem się nie odezwał.

– Widzisz ciężarówki? – ośmiela się zadać pytanie.

– Możemy wcisnąć się obok nich – mówi, przyspieszając.

Kiedy je mijają, ona widzi wymalowane na drzwiach swastyki. Robi się jej niedobrze. Max, myśli, gdzie jesteś?

Przeciąga się, mruga, ziewa, aż odtykają jej się uszy. Droga wije się przez Pireneje; nastał nowy dzień. Na szczytach jaskrawią się czerwone maki. Mijają stare kamienne budynki, kobiety i mężczyzn, ostatnie miasteczko przed granicą z Andorą. Michel parkuje przy jedynym hotelu, który, jak się okazuje, jest zapełniony. Szepcze coś Catherine, która bierze Leonorę pod rękę i prowadzi ją do kafejki.

– Kochana – mówi, wciskając jej w rękę kilka franków. – Zjedz coś i nie rozmawiaj z nikim, dobrze? Spróbujemy coś wykombinować. Wracam niedługo.

Leonora wie, że od niej zależy znalezienie przewodnika, kogoś, kto wskaże im drogę przez góry i przez granicę. Kiedy Catherine i Michel wypróbowują własne kanały, ona poszuka prawdziwej wiedzy wśród ludu, tam gdzie zawsze można ją znaleźć.

Bagietka i herbata parują. Kelner ma ciemne, kręcone włosy i ciemną, gładką skórę. Puszcza do niej oko, kiedy stawia na stole talerz, a jej serce tańczy dziko, pewne, że powie jej, dokąd powinni pójść. Smaruje chleb masłem i dżemem i kiedy bierze kęs, on rzuca jej spojrzenie, wyjmuje z fartucha papierosa i wychodzi na zewnątrz. Wychodzi za nim. Kelner staje w plamie światła, oczy ma zamknięte, wystawia twarz do słońca. Kiedy się pojawia, obrzuca ją wzrokiem od stóp do głów, wypuszcza pióropusz dymu w chłodne powietrze.

– Mamy nadzieję dostać się dzisiaj do Andory – mówi Leonora po angielsku.

W odpowiedzi on jedynie kręci głową, ona więc powtarza, tym razem po francusku.

– *Bon chance, mademoiselle*. – Upuszcza papierosa, rozgniata go butem i wchodzi do środka. Nie zrozumiała sygnałów?

Nie. Jakiś mężczyzna przechodzi przez ulicę i podchodzi do niej. Ma na sobie grube spodnie przewodnika górskiego, szeroki filcowy kapelusz zdobi piórko.

– *Monsieur* – zwraca się do niego. Jego oczy błyszczą. Dotyka kapelusza. Idzie za nim za róg, gdzie na chodniku czeka na nią czyścibut. – Czy może mi pan powiedzieć, jak przekroczyć granicę? – Proponuje franki, które dała jej Catherine, a on klepie ławkę, by na niej usiadła.

– Leonora! – Catherine ujmuje ją za ramię i odwraca.

Michel podjeżdża do krawężnika.

– Wsiadaj – mówi. – Przewodnicy czekają.

Już? – zastanawia się zdumiona tym, jak tutaj rozchodzą się informacje, tak szybko i bez potrzeby używania słów. Michel i Catherine nie dziękują jej za zorganizowanie przewodników, ale jej to nie przeszkadza. Ona swoje wie.

Michel jedzie drogą na południe, w stronę wyższych szczytów; wkrótce suną krętą, wąską polną drogą, kluczą między koleinami i wystającymi skałami, a poniżej rozciąga się strome urwisko. U podnóża góry, tam gdzie kończy się droga, na kamieniach siedzi dwóch Andorczyków. Michel zatrzymuje auto. Wręcza kluczyki Catherine jednemu z mężczyzn. Taka jest umowa, bezpieczne przejście w zamian za samochód. Zarzucają torby na ramiona i ruszają pod stromą górę.

– Adieu, staruszku. – Catherine kładzie rękę na zdezelowanej masce swego fiata.

Mężczyźni, za którymi podążają, są niscy, ogorzali od słońca. Przywodzą jej na myśl Picassa, bystrego i rzeczowego. Rusza za nimi, ale przekonuje się, że nie daje rady, jej kolana są za słabe, a świat raz po raz się wywraca. Nie jest pewna, którędy droga wiedzie w górę – choć pomaga nieosłonięte słońce, tak gorące i bliskie, że jest pewna, iż zapłonie, jeśli zbyt długo pozostanie bez ruchu. Pełznie na boki chwiejnymi ruchami. Jak krab pokonuje skalistą przełęcz, używając rąk dla złapania równowagi. Musi wyglądać głupio, ale mężczyźni nie oglądają się za siebie. Utrzymują tempo, a Catherine i Michel idą tuż za nimi. Nieomal traci ich z oczu.

Dlaczego nie ma tutaj Maksa? On by o wszystko zadbał. Wszystko byłoby w porządku. Na myśl o nim sztywnieje, niezdolna do ruchu. Dotyka jego paszportu w kieszeni spódnicy, zmusza się, by iść naprzód. Jest z nią. Niesie go ku wolności.

Słońce zachodzi. Jerzyki wznoszą się i nurkują. Wchodzi na szczyt góry i ma przed sobą niebo w kolorach purpury i oranżu. W dolinie jaśnieje jakieś miasto. Idą przy świetle księżyca w pełni, wiedźmiego księżyca. Pięknie tutaj, czysto i niepokalanie, i chciałaby móc pozostać tutaj, w górach, i spać na łożu z piasku. Lecz kiedy się kładzie, Catherine zmusza ją, by wstała, i wkrótce chwiejnym krokiem schodzą z ciemnego wzgórza w kierunku odległych świateł.

Mężczyźni zostawiają ich torby na schodach Hotel de France – jedynego hotelu w mieście. Po próbie z dzwonkiem Michel łomocze w zamknięte drzwi pięścią. Kiedy nikt się nie pojawia, znajdują na zapleczu drzwi dla służby, które są otwarte, i wchodzą po schodach do holu. Hotel jest pusty

z wyjątkiem jednej pokojówki, dziewczęcia najwyżej piętnastoletniego, która krzyczy na ich widok, łka w ramach przeprosin i znajduje im pokoje. Izdebka Leonory jest wielkości bieliźniarki, pusta, z toaletką, oknem i jednoosobowym łóżkiem, na które pada, nawet nie myśląc o rozbieraniu.

Słońce pulsuje przez brudną taflę okna. Zmierzcha. Przespała cały dzień i jest wściekle głodna. Puka do drzwi Catherine i Michela, puka głośniej, lecz nikt nie podchodzi. Tuż obok tłuką się uchodźcy, taszcząc walizki. Gdzieś na końcu korytarza płacze dziecko. Musi zaczerpnąć świeżego powietrza, musi wyjść na zewnątrz i stanąć pod gołym niebem. Na schodach obok niej cisną się mężczyźni; przywiera do ściany, by ich przepuścić, i orientuje się, że nie może się ruszyć. Ściana zbudowana jest z kamieni, gładkich rzecznych kamieni. *Woda gna, śpiewa. Te kamienie koziołkują i żyją! A potem nad rzeką zapada cisza, ciepło w słońcu.* Jakaś dziewczynka wpatruje się w nią wystraszona. Musi wyglądać okropnie, włosy ma skołtunione, twarz opuchniętą od zbyt długiego snu. Odpycha się od ściany, rusza w bok, powoli, jakby była na dnie jakiegoś oceanu, przygnieciona milą wody.

Hol zapchany jest ludźmi i musi pomagać sobie łokciami, by wydostać się za drzwi. Po przeciwnej stronie ulicy jest kafejka, w której jedzą Catherine i Michel. Nie widzi ich, ale wie, że tam są. Czuje ich gorący oddech, kiedy naradzają się przy narożnym stoliku.

Kiedy przechodzi przez wyłożoną kocimi łbami ulicę, czuje, że musi powłóczyć nogami, jakby miała dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Jakiś samochód trąbi, uskakuje mu z drogi.

Wewnątrz widzi, że miała rację. Siedzą w rogu, skuleni. Michel macha do niej. Gryzie bagietkę.

– Wizy są trudniejsze do zdobycia, niż myślałem – mówi; na języku, na zębach ma bladą papkę. – A my ich potrzebujemy, żeby dostać się do Hiszpanii.

– A co z twoim ojcem? – pyta Catherine, rozsmarowując pasztet na kromce chleba.

Leonora zakrywa nos, żeby się nie zakrztusić.

– Co z nim?

– Niedobrze ci? – Catherine przesuwa w jej stronę miskę pomidorowej. – Jedz. Zamówię jeszcze jedną.

– Mogę wysłać depeszę w sprawie wiz? – ostentacyjnie mówi Michel.

Zupa pachnie dobrze. Kiedy Leonora podnosi łyżkę, jej ręka trzęsie się i łyżka wypada. Nigdy nie cierpiała łyżek. Unosi miseczkę do ust i pije.

– Ojciec? – Myśli o jego płonących oczach, policzkach zaczerwienionych ze złości, myśli o jego słowach wypowiedzianych przy rozstaniu: *Niech twój cień nigdy nie padnie na mój próg. Mam nadzieję, że umrzesz bez grosza*. – Czy istnieje jakiś inny sposób?

Michel pochyla się i mówi niskim głosem:

– Imperial Chemicals ma biura wszędzie. On wiele może. Nie możemy zostać tutaj długo. To miasto jest już przeludnione.

Catherine kładzie rękę na jej dłoni.

– Leonoro, dla ciebie on to zrobi.

Przypomina gęś, jej długa szyja jest wyciągnięta, oczy jak twarde, ciemne koraliki.

– Już do niego napisaliście, co? – To fakt, któremu nie zaprzeczają. Leonora odstawia miseczkę na stół. – Róbcie, co trzeba – mówi. – Ja idę na tę górę.

Kiedy przechodzi przez kafejkę, dotyka tyłów krzeseł, żeby zapamiętać, żeby się nie pogubić. Na ulicy trzyma się blisko sklepów. Kiedy wydostaje się spośród budynków, pomiędzy skały i drzewa, próbuje wspiąć się na górę, lecz grawitacja jest zbyt silna. Rezygnuje więc, kładzie się na brzuchu na ziemistym zboczu, z czołem przy ziemi. Wypuszcza powietrze i pozwala ziemi, by ją objęła. Niebo ciemnieje, wschodzi księżyc, a ona zmienia się w nicość, zapomina o wojnie i Hitlerze, o Catherine i Michelu, zapomina o sobie, a nawet o Maksie. Śpi. Kiedy się budzi, staje na nogi, wolno przesuwa się wyżej i wkrótce jest w stanie wspiąć się na każdy pionowy fragment skały, silna jak jaszczurka, teraz, kiedy jest górą, a góra jest nią.

Wspina się na wzniesienie i widzi stado dzikich koni, białych i gniadych, klaczy i źrebiąt, które pasą się w świetle księżyca. Powolnymi i pewnymi zygzakami zbliża się do nich i wchodzi między nie. Biała klacz jest tak blisko, że wyciąga rękę i drapie ją po szyi, miękkiej jak powietrze oceanu. Jest bardzo cicha i spokojna, a klacz trąca ją nosem w ucho. Zawsze rozumiała język koni, lecz teraz wygląda na to, że one rozumieją ją, jakby była jedną z nich.

Inna klacz ociera się o nią. Gniada z białą gwiazdką na czole i białymi skarpetami na nogach, wygląda zupełnie jak Winkie. Jej oczy lśnią w świetle księżyca. To jest Winkie! Pierś Leonory faluje, ona wie, że Winkie jest teraz wolna, tak jak i ona jest w końcu wolna. Kładzie rękę na jej gwiazdce.

Skurcz narodzin, chłodne powietrze, wylizana z czułością. Ciepło mleka, ciało matki. Siano. Chwiejne nogi. Galop przez pola.

– Leonora! – krzyczy jakaś kobieta.

Matka, myśli. Och, to Catherine, przyszła z Michelem. Potykają się na skałach, spychając kamyki w dół zbocza, a konie pędzą w noc.

Kwiecień 1941, Marsylia

Noc jest chłodniejsza, niż się spodziewał. Max naciąga na ramiona swą czarną pelerynę w nadziei, że uczyni go to niewidzialnym. Od miesięcy mieszka w willi Air-Bel z innymi artystami uchodźcami i chociaż to tuż za Marsylią, jeździ do miasta tak rzadko, jak tylko się da, by zminimalizować ryzyko; dzisiaj jednak pije wino w ulicznej kafejce, czekając na Peggy Guggenheim.

Rząd w Vichy nasila represje, wprowadza w życie *Statut des Juifs* – prawo o Żydach – organizuje obławy i deportuje Żydów do obozów. Czarny rynek pełen jest donosicieli, a wszyscy ubiegają się o wizy i marzą o Ameryce. Skoro Peggy załatwiła podróż Bretonowi, może załatwi i jemu.

Kiedy dotarł do willi, Breton wciąż w niej był. Całymi dniami niemal się nie odzywali. Aż któregoś wieczoru, kiedy skończyli kolację, na którą składała się podawana na zimno zupa porowa oraz jagnięcina z zieloną sałatą, Breton wyciągnął dzban z modliszkami. Małe zielone mniszki rozpełzły się po ich pustych talerzach, ruszyły po ich rękach, ramionach i szyjach we włosy, chwytając się po drodze ich skóry, i nagle całe to udawanie chojraków uderzyło Maksa swym idiotyzmem. Znali się ponad dwadzieścia lat. Mogli nie spotykać się twarzą w twarz, lecz tutaj, na końcu znanego im świata, nie miało to już znaczenia. Roześmieli się i na nowo byli przyjaciółmi.

Kiedy wyjechał, Consuelo de Saint-Exupéry, żona pisarza lotnika, zajęła jego pokój, choć całe dni spędza, czytając w konarach platanów. Malarz Victor Brauner, który ma jedno oko szklane, mieszka tam bezterminowo, odkąd odmówiono mu amerykańskiej wizy, gdyż pula na rumuńskie wizy została wyczerpana, a nowa nie zostanie ustanowiona, jak mu powiedziano, co najmniej przez dwa lata; zagląda też Chagall w nadziei, że nadejdzie jego wiza. I nadal ani słowa o Leonorze.

Za dwa dni Maksowi stuknie pięćdziesiątka. Nigdy w życiu nie miał mniej albo stracił więcej – rzeźby i obrazy nadal na ścianach domu w Saint-Martin, choć więcej obrazów spalonych przez hitlerowców po zamknięciu wystawy Sztuki Zdegenerowanej. Jednak w otoczeniu artystów i ożywiony

dłuższymi dniami zaczął w końcu na nowo pracować poważnie, malując kobiety jako monolity, jako olbrzymki, spowite w dekalkomanię – postrzępiona, rozkładająca się tkanka w odcieniach pomarańczy, umbry, czerwieni – wszystkie kobiety nagie, wszystkie kobiety na poły skryte przed wzrokiem, wszystkie kobiety – to ona. Leonora.

Lecz oto przybywa Peggy, wysiada z tyłu ciemnego samochodu, włosy ma zebrane w luźny kok, wyprasowaną białą bluzkę wpuszczoną w szytą na miarę spódnicę. Konserwatywna fasada go nie zwodzi. Wie – któż tego nie wie? – że to dzikuska, która wskakuje do łóżka na prawo i lewo, trochę tak jak on sam. Podchodzi do niego z uśmiechem, kołysząc wąskimi biodrami. Zapach flirtu otacza ją jak perfumy, wyczuwa go z daleka. Uśmiecha się, całuje ją w oba policzki, gładkie policzki swej wybawicielki.

Dołącza do nich Victor Brauner, który odstawił samochód. Fedorę ma nisko nasuniętą na czoło i po to, by mu było ciepło w łysą głowę, i by ukryć twarz. Nie tylko surrealista, ale i Żyd, stara się wtopić, by nie zwracać na siebie uwagi.

Kiedy Max zamawia butelkę szampana, za który – wie to – rachunek ureguluje Peggy, a ona śmieje się, nie próbując nawet ukryć zębów, Victor jest cichszy niż zazwyczaj. Odmawia spojrzenia na nich prawdziwym okiem. Lecz jego szklane oko nie może przestać się wpatrywać. To owo brakujące oko, które namalował lata całe, zanim pewnego wieczoru stracił je za sprawą kawałka szkła, kiedy kłótnia w knajpce na Montparnassie zrobiła się gwałtowna. Max tam był. Widział, jak to się stało. Bili się inni ludzie, nie miało to nic wspólnego z Braunerem, lecz owemu kawałkowi i jego oku pisane było spotkanie. A po tym, jak je utracił, powiedział Maksowi, że stało się to dla niego źródłem inspiracji.

Teraz szklane oko zdaje się widzieć wszystko swym glazurowanym spojrzeniem. Wiedząc, że Peggy będzie raczej kochanką Maksa niż jego, oko widzi, jak stół z wiaderkiem lodu, do połowy pełną butelką szampana, odpływa na powolnej, acz nieuniknionej fali, która zabiera Peggy i Maksa z sobą. Stracił ją i sznurki, za jakie mogła pociągnąć, w taki sposób, w jaki wszyscy bogacze potrafią manipulować światem, kiedy przyjdzie im na to ochota, i Max mu współczuje.

Peggy delikatnie dotyka ręki Maksa, przeciągając wymanikiurowanymi palcami po jego kostkach. Ten gest, jednocześnie roztargniony i bezczelny, przeszywa go jak prąd i powoduje, że odwraca rękę, podając wewnętrzną stronę dłoni. Obwodzi jego linię życia, łaskotanie smakuje wybornie.

– Słyszę, że pan maluje – mówi. – Kiedy mogę zobaczyć pańskie prace?

– Jutro. – Niby dlaczego nie miałaby przyjechać jutro? Rozlewa resztę szampana wszystkim wokół. – Musi pani jutro przyjechać do willi Air-Bel.

Peggy zwraca się do Victora.

– Kochanie, możesz odebrać mnie z hotelu? Powiedzmy, w południe?

– Z wielką przyjemnością – mówi Victor, który bynajmniej nie wygląda na zachwyconego.

– Chcę to wszystko zobaczyć. Może się jakoś dogadamy… obraz za cenę pańskiego biletu do Ameryki. – Jej oczy migoczą w świetle świec… urzekający odcień zieleni. – Victor chyba panu powiedział? Po powrocie do Nowego Jorku otwieram galerię. – Jej śmiech dźwięczy w wiosennym powietrzu. – Ci wszyscy nowojorczycy, którym wydaje się, że znają się na sztuce. – Koniuszek języka pojawia się pomiędzy jej zaciśniętymi wargami i równie szybko się cofa. Wygina brwi w łuk. – Razem, mój drogi, rzucimy ich na kolana.

Przez cały ranek rozwiesza na ścianach salonu willi swoje obrazy, aranżując je tak, jakby robił to na wystawie: bierze pod uwagę kompozycję, kolor i rozmiar, i to, jak jeden obraz będzie wiódł do następnego. Poczynając od lewej strony pokoju posuwa się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, przeplatając najnowsze obrazy starymi, które udało mu się wywieźć z Saint-Martin. Popołudniowe światło powinno dobrze je wyeksponować. Jest winien Peggy jakiś obraz, obiecał jej to w zamian za sprowadzenie go do Ameryki, ale może zgodzi się kupić więcej. Potrzebuje własnych pieniędzy. Korzystanie ze szczodrości innych stało się męczące.

Peggy skupiona jest na interesach. Ma na sobie spodnie, podaje mu rękę tak, jak mógłby zrobić to mężczyzna, i prawie na niego nie patrzy. Pali papierosa i w milczeniu przechodzi od jednego obrazu do drugiego. Tyle tylko że zaczyna od końca i idzie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, odwrotnie w stosunku do tego, jak on sobie ten pokaz wyobraził. A on nie ma odwagi jej przerwać. Czuje się głupio, udając, że to wystawa, kiedy tak naprawdę bardziej przypomina to lombard. On jest zdesperowanym artystą, a ona amerykańską dziedziczką; może sobie wybrać, co tylko zapragnie, a on jej to odda za bezcen.

Co tam, może równie dobrze odgrywać rolę nędzarza. Prosi ją o papierosa, którego ona wyjmuje ze srebrnej papierośnicy. Pall mall, amerykański. Siada w kucki w rogu pokoju, pali i przygląda się jej, jak przy nowych

obrazach zakłada rękę na rękę, szczególnie przy *Leonorze w świetle poranka*. „Dla Leonory”, czyta inskrypcję, a on wzdraga się, słysząc jej imię w ustach Peggy. Ona wypuszcza powietrze i odkasłuje, jakby dla oczyszczenia gardła. Wciąga policzki przy *Toalecie panny młodej* – Leonora w czerwonych piórach, muza z własnymi pragnieniami, królowa w pół kroku, w drodze do Lizbony. Jeśli Peggy da mu dość pieniędzy, być może uda mu się zdążyć na czas. Może jego dziewczynka wciąż będzie na niego czekała.

Victor idzie w ślad za Peggy i stoi na tyle blisko niej, że kiedy rozmawiają, brzmi to jak szept, głuchy i okrutny, który przywodzi Maksowi na pamięć jego rodziców, kiedy – bardzo dawno temu – podejmowali decyzję, co z nim począć, gdy nie spełnił ich ambicji. Victor kiwa głową, podchodzi, powłócząc nogami… bezskrzydły jednooki Hermes. Mruga i przez chwilę jedynie przypatruje się szklanym okiem.

– Podobają się jej twoje stare rzeczy, ale gdybyś jej je oddał, weźmie też kilka z tych nowych.

– Weźmie je? – Max spluwa do wnętrza dłoni. Kiedy gasi papierosa, żar skwierczy. Wstaje, twarz ma rozpaloną. – Które stare? – pyta, zastanawiając się, dlaczego wywiesił *Oblubienicę Wiatru*. Należy do Leonory. Nie powinien był wieszać go razem z innymi. Może zrobił to na złość? A może chciał go znowu zobaczyć, przypomnieć sobie?

Peggy uważnie wpatruje się w obraz, a kiedy odwraca się ku niemu, oczy ma wilgotne.

– Ale ten obraz nie był przecież na sprzedaż. Powiedział mi pan, że należy do Leonory.

Podchodzi do niej, z ociąganiem, i staje na tyle blisko, by poczuć zapach jej perfum, rześki jak wiosna, przebijający się przez chmurę dymu.

– To już skończone – mówi i choć trudno mu w to uwierzyć, kiedy jej zielone oczy lśnią od łez, ma chęć ją pocałować, by stać się kimś, kogo będzie potrzebowała.

– Proszę mi wybaczyć. – Peggy odwraca się, by otrzeć policzki. – Nie wiem, co się dzieje.

Victor klepie go po ramieniu.

– Mam wziąć też twoje kolaże?

Jest zbyt uprzejmy. Zbyt bezinteresowny. Max czuje się jak szmata.

– Oczywiście.

Wszystko, co od niego weźmie, ma większą szansę na to, że wydostanie się z kraju. W jego rękach te kolaże to wyrok śmierci – to, jak je nazwali hitlerowcy, *aberracja* – lecz w jej rękach to sztuka. Tworzą historię, są świadectwem dadaizmu i tego, że Niemcy wydały niegdyś na świat ruch pozbawiony reguł, oparty na zuchwałych zbiegach okoliczności i absurdalnym przekonaniu, że życie bez wojny jest kwestią wyboru.

Victor bierze kolaże i rozkłada je na podłodze salonu. Peggy przygląda się im na kolanach, tym skamielinom zaginionego świata, zatopionego kontynentu. Lekarz z głową kruka przysłuchujący się stetoskopem sercu śpiącej dziewczyny. Lwiogłowy magik zawieszający w powietrzu talię kart. I pochylająca się nad nimi Peggy Guggenheim. Kupuje na czarnym rynku marzenia. Jego marzenia.

– Proszę wziąć je wszystkie – mówi do niej.

To załatwia sprawę. Peggy wstaje i wygładza spodnie, bo targów nie dobija się przecież na podłodze. Zgadza się dać mu dwa tysiące dolarów minus te sześć tysięcy franków, które jest jej winien, a on da jej wszystkie swoje stare obrazy i kilka nowych, nie *Leonorę w świetle poranka*, który przyprawia ją o mdłości, ale *Toaletę panny młodej*, do którego, jak mówi, sądzi, że będzie mogła przywyknąć.

Toaleta Leonory, tak powinien był go zatytułować.

Czyż jednak nie był zawsze mistrzem parcia do przodu, mistrzem odpuszczania? A poza tym przecież, to o n a go opuściła.

Podają sobie ręce, a Victor zbiera kolaże, zdejmuje obrazy ze ścian. Na zewnątrz słońce przebłyskuje przez liście ogromnego platana i Max proponuje, żeby uczcili to ostatnią butelką, jaką przywiózł ze swojej winnicy. „Mojej winnicy”, mówi, zamiast „naszej” czy ściślej – „jej”.

Wznoszą toast za gorące wiosenne powietrze, słodkie od zapachu kwiatów wiśni i moreli, i za lato, które nadejdzie potem, za Amerykę – słowo, które Max na widok blednącego Victora chciałby cofnąć. Kieliszki dźwięczą za ich zdrowie i kiedy spijają światło słońca rocznik 1939, on zamyka oczy, jakby to wino było magicznym napojem, który może zabrać go z powrotem do Saint-Martin, do owego bezpowrotnie straconego roku, lecz tym razem nie po to, by gościć przyjaciół, uprawiać sztukę, wino i miłość, lecz by się spakować i opuścić raj dla Ameryki.

– To j e j wino – mówi, choć ani Peggy, ani Victor go nie słyszą. Leonora przycinała winorośl i z jednym bądź dwoma robotnikami zbierała pękate grona, i gniotła je bosymi nogami, tak jak robią wino na Sycylii, a on teraz

spija palce jej stóp, jej pot, sól z jej szyi, obojczyków i spod krągłości jej piersi. Oni piją wino, on spija Leonorę.

Lipiec 1940, Andora

Leonorze śnią się dzikie konie – konie, których nie ujrzała już ponownie, choć tygodniami, dzień w dzień wałęsała się po wzgórzach – kiedy przed świtem rozlega się pukanie do jej drzwi. Zwleka się z łóżka i otwiera. Michel wciska jej do ręki jakiś świstek. W pełnym pyłu świetle korytarza widzi hiszpańską wizę z wbitą na niej pieczątką ze słowami *Imperial Chemicals*. On zabiera kartkę.

– Pakuj się – mówi. – Pociąg do Madrytu odchodzi za godzinę.

Na stacji celnik kręci głową, wskazując na kartce jakiś szczegół.

– Dla dwóch.

– Ja zostanę – deklaruje Leonora, myśląc o koniach, o tym, że na pewno je odnajdzie, jeśli nadal będzie ich szukać, a potem na jednym z nich pokłusuje w siną dal.

– To twój ojciec – nalega Michel. – Znajdę jakiś inny sposób.

Kobiety siadają przy oknie. Catherine kładzie na nim dłoń, a Michel przykłada do niej swoją. Przyciskają lustrzane odbicia swych rąk do szyby, która zachodzi mgłą.

Kiedy pociąg rusza, a Catherine przeciera oczy, Leonora wyciąga z torebki paszport Maksa. Po jej ciele rozchodzi się ciepło. Jest z nią. Ma na sobie garnitur, przekrzywiony krawat, a jego oczy są jasne i chłodne. Na zdjęciu jest młody, zakochany w Marie-Berthe, a jednak jest tutaj, w dłoni Leonory. Jest jej. Dotyka stempla, jego orła i swastyki. Znajdzie go przed Niemcami. Z czułością wsuwa go do torebki.

Na stacji w Madrycie uchodźcy kłębią się i cisną. Kochankowie, rodziny, dzieci. Powietrze duszne i słone od łez i potu. Gorąco lata chwyta ją za gardło. A może to Madryt ma w sobie coś takiego? Czuć jakąś chorobliwość, jakiś duszący smutek, od którego nikt nie jest wolny. Leonora i Catherine przeciskają się przez tłum na ulicę. Catherine przywołuje taksówkę. Spoglądając na Leonorę, przykłada palec do ust.

– Hotel Roma – zwraca się do taksówkarza.

W należącej do hotelu ulicznej knajpce Leonora podnosi do ust muszlę z ostrygą. Sałatę je palcami, liść po liściu. Jak wszyscy w knajpce, Catherine mówi cicho, na wypadek gdyby ktoś przy sąsiednim stoliku nasłuchiwał.

– Będziemy trzymać się planu. Zaczekamy na Michela, a potem we trójkę pojedziemy do Portugalii.

Przy barze jakiś mężczyzna kręci się na stołku i przypatruje im, jakby je podsłyszał. To ktoś nowy, żaden ze stałych klientów, których Leonora rozpoznaje po trzech dniach spędzonych w hotelu. Przywodzi na myśl jakiegoś gada, myśli, kiedy dociera do niej, że stołek jest nieruchomy, a on tylko obraca głowę. A potem, wraz z jakimś młodym człowiekiem, podchodzi do ich stolika. Strzela obcasami i ze sztywnym ukłonem przedstawia się jako Van Ghent.

– A to mój syn – mówi. – Pracuje w Imperial Chemicals, w angielskim oddziale.

Leonora zerka na Catherine, pragnąc, by ta nie odezwała się ani słowem. Ci ludzie to szpiedzy nasłani przez Ojca. A może są tutaj, by pomóc? Michel musi przedostać się do Hiszpanii i wszyscy potrzebują wiz do Ameryki – Max też, myśli, mocniej ściskając torebkę.

Kiedy mężczyźni dosuwają krzesła, by się do nich dosiąść, Leonora nie protestuje. Są w publicznym miejscu. Co mogą im zrobić?

Syn ma rzadkie blond włosy i bladą cerę. Są Holendrami, ale on mieszka w Anglii. A teraz jest tutaj jako swego rodzaju attaché, mówi, uśmiechając się słabo, jakby przepraszająco. Ojciec zamawia dla wszystkich gin z tonikiem.

– Na pewno lubisz gin – mówi z niderlandzkim akcentem. – Brytyjskie dziewczęta zawsze lubią gin. – Klatkę piersiową ma nadętą jak gołąb, na stoliku kładzie paczkę papierosów. – Śmiało. Możecie się częstować.

Papierosy to towar czarnorynkowy, a ponieważ Catherine już wkłada jednego do ust i zaciąga się, kiedy on jej go podpala, Leonora dołącza do niej. Dym smakuje Paryżem, jej starym, zuchwałym życiem. Lecz to jest właśnie to, czego on chce – by opuściła gardę, by się rozluźniła.

– Jest pan tutaj… d l a c z e g o? – pyta.

Uśmiecha się, tak jak mógłby to zrobić wąż albo jaszczurka. Wyjmuje paszport i przesuwa po stoliku, żeby mogła mu się przyjrzeć. Jest ostemplowany swastyką, jak paszport Maksa. Ale też Holandia jest teraz niemiecka. Zabiera paszport i chowa do kieszeni marynarki.

– Jestem Żydem, ale zostawiają mnie w spokoju. Widzisz, ja im pomagam.

W świetle lamp przechodnie na ulicy wydają się wystrugani z drewna. Poruszają się bez wyrazu, jakby połknęli kij. Piwne oczy ojca błyszczą, kiedy się im przypatruje, a do niej dociera zimna prawda. On je kontroluje. Są jego marionetkami i będą robić, co im każe.

Jakaś Cyganka pcha ku nim swój wózek. Jest wolniejsza niż cała reszta; nie jest jednym z jego robotów. Ubrana w jaskrawe szmaty jest stara jak świat, a jej ciemna skóra jest pomarszczona jak rozmazana farba dekalkomanii Maksa. Leonora kiwa, by podeszła bliżej. Jej wózek wypełniają świecidełka. Przekopując się przez bransoletki i pierścionki z kolorowego szkła, Leonora wybiera broszkę z czystego srebra, w kształcie spirali. Powoli wiedzie palcem po spirali ku jej środkowi i czuje, jak smutek Madrytu wkręca się jej w żołądek, jak w kocioł alchemika. To smutek całego świata, a wchłaniając go w siebie, może dokonać jego transmutacji. Może wyzwolić ludzkość. Ależ oczywiście! Ciarki przebiegają jej po skórze, jej pory otwierają się zrozumieniem. Oto jej przeznaczenie.

– Mógłbym ją teraz aresztować – śmieje się Van Ghent. Spod jego skóry przezierają łuski.

Leonora ignoruje go i podsuwa Cygance garść monet. Cyganka uśmiecha się bezzębnie, bierze monetę i odchodzi, pchając swój wózek. Leonora przypina broszkę do bluzki, tej samej, w której pozostawiła ją Leonor, i transmutacja się zaczyna. Dzieje się w mgnieniu oka. Żołądek jej się burzy, w ustach czuje żółć, a jej trzewia jęczą tak głośno, że jest pewna, iż wszyscy to słyszą. Zgięta wpół biegnie do ubikacji, gdzie wymiotuje długo i gwałtownie.

Kiedy wraca, przy stoliku trwa już następna kolejka. Policzki Catherine płoną. Wydała już każdy sekret.

– Gin? – pyta Van Ghent, przesuwając w stronę Leonory nowy kieliszek. – Co się stało z twoją broszką? – pyta z uśmiechem.

Obmacuje miejsce, gdzie ją przypięła, tuż nad sercem, ale jej tam nie ma. Jakim cudem mógł ją jej zabrać? A potem czuje, jak pod skórą – obślizgły i miękki – wykręca i krępuje jej wnętrzności. Co chce z nią zrobić? Jeśli zostanie jego marionetką, do czego ją zmusi?

– Znajdziesz ją w torebce – mówi spokojnie.

Otwiera torebkę i widzi przypinkę zwiniętą na paszporcie Maksa, a nie pamięta, żeby go tam wkładała.

Jeśli tak bardzo interesują go jej rzeczy, może je sobie wziąć. Wysypuje zawartość torebki na stół. Nie chce tego wszystkiego… szminki ani perfum. Nawet ich paszporty wydają się liche, brudne i skażone.

– Weź to wszystko – mówi. I wychodzi z kafejki, jedzie windą do swego pokoju i kładzie się na łóżku.

Gałka u drzwi się obraca. Zapomniała ją zablokować. Van Ghent, który staje nad nią, z dołkiem na podbródku, to jej ojciec. Jest Hitlerem, Mussolinim, Franco. Nie wystarczy się zbuntować, ona musi go powstrzymać. Zniewolił Madryt, a ona jest jedyną osobą, która może go wyzwolić. Wie to, a jednak nie jest w stanie się ruszyć. On stawia jej torebkę na nocnym stoliku.

– Powinnaś być ostrożniejsza ze swoimi rzeczami – skomle. – Jest tutaj twój paszport. Nie chcesz przecież stracić swojej tożsamości.

Ona mruga. Powoli. Czyżby ją czymś nafaszerował? Kiedy otwiera oczy, już go nie ma.

Zagląda do torebki. Jest w niej wszystko. Wszystko, czego już nie potrzebuje. Znajdzie kogoś innego, kto to weźmie. I odbierze Van Ghentowi Catherine. Ona, bez wątpienia, jest nieświadoma jego straszliwej mocy.

Przewiesza torebkę przez ramię. Jej ciężar to brzemię i nie może się doczekać, by się go pozbyć. Pospiesznie wraca do kafejki, lecz ich stolik jest już pusty. Ale bar tętni życiem.

Grupa wąsatych oficerów hiszpańskiej Requeté [1] w czerwonych beretach zaprasza ją do siebie. Kupują jej pomarańczową *aguardiente*. Spływając w dół, przejrzysty płyn pali. Czuje, jak wypływa z jej pustego żołądka i rozgrzewa jej ręce, stopy i twarz, ogniste oczyszczenie. Opowiada o Van Ghencie jednemu z oficerów, a potem kolejnemu i jeszcze jednemu, ale żaden nie chce jej słuchać. Kiedy nalega, żeby zabrali zawartość jej torebki, ci się jedynie śmieją. Jeden z nich wkłada jej do ust zapalonego papierosa, inny zamienia jej pustą szklankę na swoją, pełną. Ona pije i pali, a bar wokół niej się rozpływa.

Wszyscy już wyszli, jak się wydaje, z wyjątkiem oficerów. Jeden z nich pomaga jej wstać. Inny bierze ją pod wolną rękę. Prowadzą ją ulicą i pomagają wsiąść do samochodu. Ale kto prowadzi? I dokąd jadą? Chciałaby zapytać, lecz jej usta są odrętwiałe, sparaliżowane, a i tak dowie się wkrótce. Jadą, a każda ulica jest tak podobna do kolejnej, że nawet nie próbuje tego śledzić. Oczy jej się zamykają. W miarę jak samochód przyspiesza, zwalnia, skręca w prawo, a potem w lewo, jej ciało na tylnym siedzeniu

kołysze się między mężczyznami. Ich głosy i śmiechy przenikają przez nią. Jest jakby z powietrza, prawie jej nie ma.

A potem słyszy dudnienie, z początku niewyraźne, potem głośniejsze, nieustanne i głębokie. To serce Madrytu. Zabierają ją do serca miasta, do samego siedliska jego smutku.

Samochód staje. Jeden z oficerów wysiada, przytrzymuje drzwi.

– Mademoiselle – mówi. Widzi budynek, hiszpańskie balkony, wszystkie okna są ciemne. Mężczyzna obok niej popycha ją z siedzenia. Idzie z nimi, po schodach do pokoju z chińskimi wazami, łóżkiem z narzutą z czerwonego jedwabiu. Leży na plecach. Mężczyźni w czerwonych nakryciach głowy wirują razem z sufitem. Jeden z nich trzyma kolano między jej nogami, spódnicę ma zadartą na uda. Krople potu z jego twarzy spadają jej na twarz. Drapie go w policzek, a zadrapania wypełniają się krwią. Nadgarstki nad głową, ciasno. Bagno oddechów, jej ciało śliskie od potu. Ostry nos, bezlitosny wzrok, blizna przecinająca brew jak rozdarcie tkaniny. Łysa, postrzępiona przerwa w jakimś życiu. Twarz, której nigdy nie zapomni. Rozerwana bluzka. Guziki na kafelkach. Tyle porozrzucanych kawałków jej samej, że nigdy ich wszystkich nie znajdzie. Palące pchnięcia. Pokój czerwonym krzykiem. Jej. Jego ręka na jej ustach. Gryzie. Kolejny na niej, w niej. Martwe ciało. Szmaciana lalka, oszczędza energię. Wstrząsa nim dreszcz, wyszarpuje się z niej, a ona okręca się, uderza go kolanem w krocze. On krzyczy, klnie. Ona wstaje, a potem znów pada, ścięta. Jego oczy szeroko rozwarte, palcem wskazuje naszyjnik z chrząszczy, cofa się.

– *Bruja* – rzuca i zrywa jej naszyjnik z szyi. Chrabąszcze się rozsypują, uderzają o ścianę, o podłogę. Ona pełza, żeby je podnieść, ale potem zmienia zdanie. *Bruja* pozostawiłaby je jako oznakę przekleństwa. Obciąga spódnicę, zapina podartą bluzkę na jeden pozostały guzik. Tu jest torebka, pasek na ramieniu. Ktoś wylewa jej na głowę butelkę wody kolońskiej. Oczywiście, myśli, bo teraz jest gotowa na to miasto, kiedy już przeszła przez najgorsze, co ono ma do zaoferowania.

Nie najgorsze. Oto jej ciało, oddycha.

Dwóch mężczyzn zabiera ją do samochodu, zatrzymują się w jakimś parku, wypychają ją na zewnątrz. Potyka się, błąka. Gubi but, więc zrzuca drugi. Trawa chłodzi jej stopy. Kiedyś była dziewczynką, która uganiała się za wróblami na trawniku Crookhey Hall. Kim jest teraz?

Kładzie się w fontannie z głową pod wodą. Wstrzymuje oddech, a serce Madrytu, pulsujące jej za uszami, za oczami, trawi ją. Krzyczy pod wodą,

przenikliwie i długo. Ociekając wodą, łapczywie chwyta powietrze i siada na brzegu fontanny.

Trawę przecina promień latarki, ląduje jej na twarzy, oślepia ją. Policjant owija ją kocem. Odwozi ją do hotelu, którego nazwę jakimś cudem pamięta. *Roma*.

W holu nie patrzy na mężczyznę w recepcji, chociaż po drodze do pokoju czuje na swojej mokrej skórze jego wzrok.

Na łóżku leżą dwie jedwabne koszule nocne, bladozielona i różowa. Prezent od Van Ghenta? Przeprosiny? A może to ofiara, uznanie jej mocy.

Koszule są świeżo wyprane. Żeby je włożyć, ona też musi być czysta. Napełnia wannę zimną wodą i zanurza się. Jak rzeka zimą. Wyskakuje z wanny i trze skórę ręcznikiem, aż się zaróżowi. Wkłada zieloną koszulę, zdejmuje ją, wskakuje do lodowatej kąpieli, wyciera się, i wkłada różową. I tak na przemian, zielona i różowa, a pomiędzy nimi kąpiele, aż – skórę ma startą do krwi – przestaje czuć, gdzie cisnęły ich palce, w ogóle przestaje czuć swe ciało i odpływa na łóżko ubrana, jak gąsienica, w lśniącą zieleń.

W każdym kolejnym śnie Van Ghent śledzi ją jakby w pokojach jakiegoś domu. By mu ujść, zamyka na klucz drzwi i znika w innym śnie, w którym on za chwilę się pojawia. W przyklasztornej szkole jest księdzem, który oferuje jej zatrutą hostię. W Saint-Martin jest wieśniakiem szepczącym coś innym, zapalającym im pochodnie, kiedy okrążają ją i otaczają coraz ciaśniej. *Wiedźma*, skandują. *Sorcière*.

A teraz poranne niebo, błękit bez wyrazu, jest lichą i zdradziecką fasadą.

Opryskuje twarz wodą. W lustrze nad umywalką jej odbicie zaczęło blaknąć. Znowu znika, w lustrzany świat, tak jak to się wydarzyło w klasztorze. Lecz źrenice jej oczu się jarzą… świecą tak, że ledwo może w nie spojrzeć. Są słońcami, dwoma rozżarzonymi słońcami, a dookoła nich orbitują planety. Mruga, spogląda jeszcze raz. Układy słoneczne wciąż tam są – po jednym w każdym oku. Jej żołądek jęczy cierpieniem Madrytu, lecz już jej nie pożera. Nie jest w stanie. Ona ucieleśnia totalność. W jedności z kosmosem może odczuwać ból, a jednocześnie jest poza nim.

Wkłada czystą białą sukienkę i sandały i grzebie ubranie z poprzedniego wieczoru w śmieciach. Nawet bluzkę po Leonor, tę bluzkę, która dodawała jej odwagi. Już jej nie potrzebuje.

W kafejce Catherine czyta gazetę. Składa plasterek *jamon* i wkłada do ust. Leonora zamawia herbatę.

– Nie będziesz jadła? – pyta Catherine.

Szynka jest ohydna, upstrzona tłuszczem. Krztusi się.

– Czy moje nocne koszule skończyły u ciebie? – Catherine bierze łyk kawy, ciemnego, gęstego naparu. – Oddałam je do czyszczenia i przez pomyłkę mogli odesłać je do twojego pokoju.

– Tak, tak, mam je – mówi Leonora, lecz myślami błądzi wokół swoich oczu, wokół kosmosu w ich wnętrzu. – Widzisz we mnie jakąś różnicę? – pyta, pochylając się ku niej. Catherine spogląda sponad gazety. – Widzisz moje oczy?

– Wyglądasz tak samo – odpala.

– Przypatrz się dobrze. – Leonora szeroko otwiera oczy. – Widzisz te planety?

– Kochana, proszę – szepcze Catherine, wracając do lektury.

Leonora pozwala jej czytać, ponieważ w holu jest teraz Van Ghent. Nie musi go widzieć. Wyczuwa jego oślizgłą obecność.

Catherine przygląda się jej ponad gazetą i wzdycha.

– Co to było, co chciałyśmy, pamiętasz? Kiedy ty i Ursula byłyście jeszcze u Ozenfanta i jednego dnia spotkałyśmy się na herbacie, na podwieczorku w Savoyu? – Przerywa. Czeka. Naprawdę oczekuje, że jej odpowie? To było w innym życiu. Leonora była wówczas kimś innym. – Chciałyśmy tworzyć sztukę – mówi Catherine. – Chciałyśmy, by nasza sztuka zaistniała w świecie.

Jak ona może być tak nieświadoma? Jak Leonora może pomóc jej zrozumieć? Nie ma już świata. Został zahipnotyzowany przez Van Ghenta. Kiwa głową w kierunku holu, gdzie z synem planuje kolejny ruch.

– Widzisz to? – Wskazuje nagłówek *Nazis Ataque Inglaterra Por El Aire*. – To jego sprawka – mówi, wiedząc, że to prawda. – Gazety są jego instrumentami hipnozy.

Catherine zapala papierosa.

– Chyba powinnaś pójść do pokoju i odpocząć.

Leonora bierze do ręki paczkę papierosów – zostały dwa – i wie, dlaczego Catherine nie może jej zrozumieć, dlaczego odmawia pomocy. To te papierosy, ta paczka, którą dał jej Van Ghent. Leonora wsuwa je do torebki i przechodzi tuż obok faszystowskiego Holendra i jego syna.

Na zewnątrz bierze z kiosku całe naręcze gazet – ile tylko jest w stanie utrzymać – staje przed kafejką, gdzie wie, że ją będzie widział, drze je sztuka po sztuce i rzuca na wiatr. Zniweczy te jego moce, ale nie zrobi tego

sama. Ciska pozostałe gazety na ulicę i wbiega do środka, żeby przekonać Catherine.

W holu Van Ghent i jego syn odbywają naradę, jakby decydowali o jej losie. Van Ghent chwyta ją za ramię, krzyczy jej prosto w twarz.

– Jesteś obłąkana! Natychmiast przestań. Skontaktowałem się z twoim ojcem.

Syn cofa się, pełen poczucia winy i słaby. To nie jego wina – ona wie – to od ojców musi się uwolnić. Chwyta Van Ghenta za włochate przedramię i zatapia w nim zęby. On wyje i ją puszcza.

Z narożnika przypatruje się Catherine.

– No, dalej – ponagla ją Leonora, ale ona kręci głową i wpatruje się w podłogę. Nie będzie z niej żadnego pożytku. Leonora znajdzie pomoc gdzie indziej.

Wybiega na ulicę i zatrzymuje taksówkę.

– Ambasada brytyjska – rzuca taksówkarzowi.

W trakcie jazdy rzuca nią raz w prawo, raz w lewo, tak jak poprzedniej nocy, lecz tym razem wie, dokąd jedzie.

1. Monarchistyczna milicja walcząca w wojnie domowej 1936–1939 po stronie gen. Franco. [wróć]

Kwiecień 1941, Marsylia

Pięćdziesiąte urodziny Maksa to homar i małże na parze w marsylskiej *Vieux Port* o zachodzie słońca; to wino i grappa, i spacer z sojusznikami i innymi uchodźcami po alejkach i wejście przez tylne drzwi do czarnorynkowej restauracji; to dobry chleb, jagnięcina z rozmarynem i grzybami smażonymi w małej ilości prawdziwego masła, czekoladowy suflet z truskawkami na deser. Czuje się lepiej niż przez cały rok.

Varian Fry, szef Amerykańskiego Komitetu ds. Pomocy, przepija do niego. Ciemne oczy Frya błyszczą zza okularów. Skontaktował się z nim Jimmy, mówi; zaangażował swego szefa, dyrektora Metropolitan Museum, i amerykańska wiza dla Maksa wreszcie wydaje się możliwa do zdobycia. W tym tygodniu powinien wpaść do niego do biura, żeby nadać sprawie bieg.

Nieborak Victor Brauner też unosi kieliszek, a jego prawdziwe oko jest pełne łez.

– Będzie mi ciebie brakowało, przyjacielu – mówi, przełyka swego burgunda, zamawia więcej grappy i śpiewa razem z Edith Piaf. – *Moi j'suis malade, j'rêve à ma fenêtre*.

Maks też snuje marzenia, patrząc przez okno, ale z apetytem podrażnionym słonym powietrzem i gołą nogą Peggy napierającą na jego łydkę nie jest już tak chory ze smutku. Zamyka oczy, kołysze się w rytm muzyki i wyobraża sobie nowojorskie wybrzeże ze Statuą Wolności wyłaniającą się z mgły.

Ona wkłada do ust papierosa, a on go zapala. Fry mówi, ale on zawsze mówi.

– Więc Chagall ma dla ciebie propozycję – zwraca się do Peggy. – Musi przewieźć do Stanów osiem tysięcy dolarów. Chce je przekazać Komitetowi ds. Pomocy, żebyś ty mu je oddała, kiedy przyjedzie do Nowego Jorku.

– Kim ja według niego niby jestem? Rockefellerem?

Fry śmieje się i przeczesuje ręką włosy.

– Jedną z Guggenheimów, jak sądzę.

– Tak. Ale biedną. – Peggy zamawia więcej szampana. Z kieliszkiem w ręku skupia wzrok na rozmówcy. – Powiedz mu, że dla niego mogę się zgodzić na tysiąc.

– Sługa uniżony. – Rozluźnia się w widoczny sposób i zapala papierosa. – Wiesz, co teraz wyrabiają, co? Czyszczą hotele z Żydów. Nawet te najlepsze, nawet Grand hôtel du Louvre et de la Paix.

– Ale ja jestem Amerykanką.

– Owszem. I jesteś też Żydówką.

Max bierze w palce papierosa Peggy, dotyka ustami czerwonej smugi jej szminki, zaciąga się i oddaje go.

– Ma pani absolutną rację – mówi. – Jeśli policja będzie panią przesłuchiwać, musi pani podkreślać, że jest Amerykanką.

Fry nalewa wszystkim szampana.

– Chodzi mi o to, że musisz wyjechać stąd jak najszybciej.

– I wyjadę. Oczywiście muszę też zabrać do domu moje dzieci i Laurence'a, mojego byłego męża – wyjaśnia, przede wszystkim Maksowi – z jego żoną i ich dziećmi. To nie takie proste. Ale co jest proste w tych czasach? – Wypuszcza ponad ich głowami smugę dymu. – Nic nie jest pewne, wierz mi, Varianie. Ale najpierw muszę zabrać obrazy Maksa do Grenoble, gdzie jest reszta mojej kolekcji… zachomikowana w piwnicy tamtejszego muzeum. Jakaż byłaby ze mnie za kolekcjonerka, gdybym pozwoliła powstrzymać się czemuś tak przelotnemu jak wojna? – Wtyka niedopałek papierosa w porcję sosu czekoladowego. – Któregoś dnia postawię muzeum, które pozostanie na długo po tym, jak tego egomaniaka Hitlera zjedzą robaki.

Pod stołem Max kładzie rękę na jej nodze, na gruzełkowatej wełnie jej spódnicy. Emanuje z niej jakiś androgyniczny powab. W każdym towarzystwie sama sobie potrafi dotrzymać towarzystwa, pewna siebie jak Leonora. W przeciwieństwie do niej Peggy nie wzgardziła pieniędzmi rodziny… choć faktem jest, że kiedy jej ojciec poszedł na dno razem z *Titanikiem*, wypłacono je bez gadania i bez żadnych zobowiązań. A ona zaczęła z nich robić użytek. Max nie ma wątpliwości, że będzie miała swoje muzeum i będą tam wystawiane jego prace.

– Opowiadałam panu, jak to moja kolekcja była w Paryżu, kiedy zbliżali się hitlerowcy? Musiałam znaleźć jakieś miejsce, żeby ukryć obrazy. Luwr chciał wysłać je do jednego ze swych tajnych skarbców w głębi kraju razem z resztą ich prac, ale kiedy je zobaczyli, uznali, że są zbyt nowoczesne. Nie-

warte ratowania. Wyobraża pan sobie? Umieściłam je więc w stodole mojej przyjaciółki, w miasteczku niedaleko Vichy. Na szczęście Niemcy byli tam tylko parę tygodni i nie mieli zielonego pojęcia, że cała ta zdegenerowana sztuka jest złożona za belami siana w jej stodole.

Po kolacji Peggy reguluje rachunek. Bierze ją pod ramię i spacerują pod gwiazdami, kiedy zbliża usta do jej ucha.

– Gdzie się spotkamy? – słyszy samego siebie.

Ona przystaje i patrzy mu prosto w oczy.

– W Café de la Paix, jutro o czwartej. Mieszkam tam w hotelu. O piątej robię sobie drzemkę, bezwzględnie, a nie cierpię spać sama.

Lipiec 1940, Madryt

Leonora wciska dzwonek ambasady brytyjskiej. Nic jej nie powstrzyma. Powie im wszystko, co wie. Typowy angielski kamerdyner, wysoki i łysy, otwiera drzwi.

– Jestem brytyjską obywatelką – wyrzuca z siebie i wciska mu do ręki swój paszport.

On cofa się trochę, by mogła wejść, a jednocześnie próbuje jej go zwrócić.

– Proszę go zatrzymać. I ten też – dodaje, podając mu paszport Maksa. – Muszę zobaczyć się z konsulem, natychmiast.

– Jest pani umówiona?

– Mam informacje, bardzo tajne informacje. Zechce się ze mną spotkać.

Rzuca jej szybkie spojrzenie znad okularów.

– Dobrze – mówi i prowadzi ją po schodach na piętro, do pokoju z szerokim oknem wychodzącym na skwer, na którym sprzedaje się owoce i kwiaty.

Siedzący za biurkiem łysy mężczyzna podnosi wzrok znad gazety. Spogląda najpierw na kamerdynera, potem na nią. Wpada do środka, opowiada mu o Van Ghencie, holenderskim Żydzie hitlerowcu, który swym umysłem kontroluje cały Madryt, i na dowód rzuca na biurko napoczętą paczkę papierosów.

– Jego metoda hipnotyczna. Jak i to – mówi, zabierając mu gazetę i zgniatając ją w kulę. – Wojna jest wojną metafizyczną, wszczętą przez Hitlera i Mussoliniego oczywiście, ale Madryt jest terenem działania Van Ghenta. – Ciska gazetę przez okno.

Teraz konsul patrzy na nią inaczej. Wie, że ona nie żartuje. Ujmuje jej dłonie w swoje i prowadzi do kanapy.

– Kim jest ten człowiek? Gdzie go pani spotkała?

W końcu ktoś słucha! I jego oczy, kiedy im się bacznie przygląda, mają planety i słońca, zupełnie jak jej.

– W naszym hotelu, hotelu Roma. Twierdzi, że zna mojego ojca. A jego syn pracuje w Imperial Chemicals, więc zapewne mówił prawdę.

– A pani ojciec to…?

– Harold Carrington.

– Z Imperial Chemicals? – Zapisuje nazwiska na niewielkim bloczku, ale czy na pewno słyszy, co ona do niego mówi? Zdaje się nie rozumieć, że sprawa jest niecierpiąca zwłoki.

Stara się przedstawić ją możliwie najprościej:

– Jedynym sposobem na zakończenie tej wojny jest, by każdy człowiek zdał sobie sprawę ze swojej mocy. Jeśli połączymy nasze moce, Hitler nie ma szans. Musi pan stawić czoło Van Ghentowi. Kiedy będzie wiedział, że go przejrzeliśmy, uścisk, w jakim trzyma miasto, zostanie złamany.

On telefonuje. Dzwoni na policję czy do hotelu Roma? Próbuje namierzyć Van Ghenta?

– Doktor Alonso, *por favor*. – Przygląda się jej. Planety w jego oczach tańczą.

Wychodzi z hotelowej łazienki, kiedy pojawia się obsługa.

– *Por favor, señorita*, proszę włożyć choć szlafrok. – Alonso otacza ją ramieniem i prowadzi z powrotem. Są w pokoju w Ritzu i on nie chce pozwolić jej wyjść. Kąpie się więc w wannie na żeliwnych nóżkach, a on siedzi na krześle przy drzwiach, czytając i paląc fajkę. – Mnie pani nagość nie przeszkadza, ale kelnerzy! Mogliby nas stąd wyrzucić, a nie jesteśmy jeszcze gotowi.

– Na spotkanie z Franco? – pyta, bo to jest pierwszy krok. Obudzi Franco z tego ogólnoświatowego snu o tyranii i Hiszpania podpisze z Anglią porozumienie. Następne w kolejce będą Anglia i Niemcy, i wkrótce wróci do domu w Saint-Martin.

Doktor Alonso nalewa jej kieliszek bromku.

– Proszę to wszystko wypić, zanim pani wyjdzie, tym razem ubrana – mówi i zamyka ją w łazience.

Ubrana? Każdego dnia coraz bardziej znika w lustrze. Nie rozumie, dlaczego ubranie miałoby mieć jakieś znaczenie. Kiedy wypija gorzkie lekarstwo, jej krwiobieg rozprowadza po mięśniach uczucie spokoju. Jej ciało należy do niej, ale to nie jest o n a. Okrywa je białymi ręcznikami, by wyglądać odpowiednio odświętnie podczas wizyty u Franco.

Dni mijają, a nikt nie zabiera jej do Franco. Doktor Alonso nie zrozumiał powagi sytuacji, więc ona co rusz wraca do sprawy. Musi spotkać się

z Franco, a potem z Hitlerem. A jeśli Hitler nie przestanie, ona dokona na niego zamachu. Alonso przemierza pokój, nalewa sobie kieliszek bromku i telefonuje do innego doktora, Alberto, który przybywa tego popołudnia, by zająć jego miejsce.

Alberto jest inny, jego długie kończyny emanują jakąś magnetyczną beztroską. Kiedy ona chodzi nago po hotelowym pokoju i snuje teorie, on się nie sprzeciwia ani nie odwraca wzroku. Włącza radio. Jakiś mężczyzna śpiewa *Los ojos verdes* i Alberto wiruje z nią wokół pokoju w walcu, jego oczy są zielone jak Loara, zielone jak oczy jej braci, i Michela, i ona wie, że to jej bracia przybyli, by ocalić ją od ojców.

Pożąda Alberta tak, jak pożądała innych. Bardziej. Jest młody i głodny, a ona czuje, że krew powraca do rejonów jej ciała, które zbyt długo pozbawione były jej dopływu. Zamawiają jedzenie do pokoju i kochają się na każdym jego skrawku. Była zamknięta w skorupie, lecz teraz jest kobietą, zwierzęciem w rui. On przynosi jej kwiaty i owoce, sukienki i perfumy i zabiera ją na tańce i do ulicznych kafejek.

Pewnego popołudnia Alberto zabiera ją na spotkanie z panem Gillilandem, szefem Imperial Chemicals w Madrycie, i prosi, by zaczekała w holu, kiedy będą rozmawiać. Przyszedł po pieniądze Ojca, co do tego nie ma wątpliwości. Jakże inaczej mieliby pozostać w Ritzu?

W poczekalni siada na krześle ze sztywnym oparciem. Jest sierpień, ciepło. Ma na sobie białą letnią sukienkę na ramiączkach, lecz nawet tyle to za wiele i czuje, jak pot spływa jej po plecach. W lustrze na przeciwległej ścianie prawie już się nie widzi. Jej odbicie stało się ledwo widoczne i by się przyjrzeć, musi podejść bliżej. Zdumiewa ją ostrość rysów twarzy. Włosy ma zaczesane w ciasny koczek, jak tancerka flamenco. Ostatni raz miała włosy zebrane do tyłu w ten sposób przy okazji prezentacji na dworze królewskim, żeby zrobić Ojcu przyjemność. Dzisiaj Alberto cały ranek szczotkował jej włosy, zaczesywał je do góry, a przy lunchu zatknął jej za ucho hibiskusa. Wyszarpuje kwiat i rzuca go na podłogę. Szeroko otwarte płatki są w kolorze bladoróżowym. Jeszcze raz została zahipnotyzowana, tym razem pięknem i tęsknotą. Została zwiedziona.

Sekretarka siedzi za biurkiem, pisze na maszynie i co chwila obrzuca ją spojrzeniem. Być może kazali jej mieć na nią oko, powiedzieli, że może uciec? Z uśmiechem na ustach Leonora powoli się podnosi. Nie wypada jednak do holu. Otwiera drzwi do biura. Spokojnie staje w progu i przenosi wzrok z Alberta na mężczyznę za biurkiem, samego Gillilanda, kolejnego

jaszczurzego typa, z takimi samymi zimnymi oczami, takimi samymi długimi palcami jak Van Ghent. Alberto jest zdrajcą. Poszedł po pomoc do ojców.

– Widzę, kim naprawdę jesteś, Alberto. Wężem. Nie, taki dobry to ty nie jesteś. Jesteś robakiem. Czerwiem – mówi i wyjmuje z włosów spinki, rujnując koczek, nad którym tak wytrwale pracował, by go wygładzić. – Jesteś tutaj po pieniądze mojego ojca, a nie po to, żeby mnie choć odrobię przybliżyć do Franco albo Hitlera. A pan… – zwraca się do Gillilanda. – Jest pan drobnym głupcem… pracującym, bez wątpienia, dla mojego ojca, wykonującym jego polecenia.

– Leonoro, proszę. – Alberto wstał. Objął ją w pasie i próbuje skierować do wyjścia. – Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale posłuchaj…

– Kogo? Dwóch zahipnotyzowanych durniów? Wyjaśniłeś mu cokolwiek?

– A może pani mi to powie – odzywa się Gilliland wygodnie usadowiony za swoim biurkiem, uśmiechając się. – Co chciałaby pani wyjaśnić, Leonoro?

– Stan świata. Prawdę, z którą nie chcecie się zmierzyć. – Siada na miejscu Alberta i zaczyna od początku.

Wkrótce w biurze pojawia się niejaki d0ktor Pardo.

– Leonoro – mówi Gilliland – zechce pani łaskawie oświecić go co do wspomnianych spraw wagi państwowej?

Wszystko powtarza. Przyzwyczajona jest do tego, że wyjaśnia różne rzeczy co rusz na nowo, gdyż wydaje się, że nikt nie potrafi jej zrozumieć. Pardo jest starszym mężczyzną. Słuch mu szwankuje, więc ona krzyczy. Brzmi to, jakby ktoś stanął na rogu ulicy na drewnianej skrzynce i przemawiał do każdego, kto tylko zechce go wysłuchać, nie może jednak przerwać… przerwać to machnąć ręką na ludzkość. A jeśli uda się jej przekonać choć jedną osobę, wówczas być może będzie nadzieja.

Kiedy robi przerwę dla zaczerpnięcia tchu, otacza ją cień. Słońce albo już zaszło, albo w inny sposób zniknęło za budynkiem. Szuka Alberta, ale nie ma go w biurze, a kiedy Gilliland i Pardo ją wyprowadzają, nie ma go i w poczekalni. Zniknął bez słowa… to ten typ, który łatwo kupić i łatwo sprzedać. Sekretarka też zniknęła. Nie ma nikogo, kto byłby świadkiem jej zniknięcia.

Gilliland otwiera drzwi dla pasażera dużego czarnego samochodu, ona wślizguje się do środka.

– Jadę się spotkać z Franco?

– Tak, moja droga – mówi ze wzrokiem utkwionym w jej dekolt i zamyka drzwi.

Pardo siada obok niej. Alberto siedzi za kółkiem. Więc jednak jej nie porzucił! Ale nie odpowiada na jej uśmiech.

– Dlaczego taki posępny? – droczy się, bo jedzie spotkać się z Franco, w końcu, i Alberto powinien cieszyć się z jej sukcesu. Przygląda się, jak miasto ustępuje pofałdowanym wzgórzom, i nuci piosenkę, która już od wielu dni chodzi jej po głowie, *Ese barco velero*, żaglowa łódź, która wiezie ją w wielką niewiadomą. Przysuwa się do okna i śledzi gwiazdy… kot i ślimak nisko nad horyzontem.

Max, myśli. Ale sama wszystko rozwiąże. Niedługo się z nim spotka.

Wzgórza marszczą się jak suknia olbrzymki. Przypomina sobie swoje opowiadanie, to, które tak uwielbiał Max, i myśli, jak pewnego dnia chciałaby namalować swoją olbrzymkę, kiedy czuje ukłucie w ramię i ból, jakby ktoś ją mocno uderzył. Doktor Pardo wyciąga z jej ciała igłę. Wszystko się rozmywa – twarz Alberta, kiedy próbuje zapytać go, co się dzieje, słowa, których nie jest w stanie sformułować – i napiera na nią ciemność: miękka, ciepła i wilgotna.

Kwiecień 1941, Marsylia

Kobieta, która leży z nim w łóżku, pręży grzbiet. Max unosi jej włosy, przywiera ustami do szyi. Rankiem jej zapach nie jest zbyt mocny i jeśli zamknie oczy, kiedy ją ku sobie przyciąga, kiedy znajduje rozgrzeszenie w jej wnętrzu, jeśli porusza się wystarczająco wolno, jej jęki będą jękami Leonory, a ptaki za oknem będą strzyżykami z Saint-Martin.

Pukanie do drzwi, uprzejme, lecz uporczywe.

– Cholera! Nie rozpraszaj się.

Peggy zsuwa się z niego i odwraca się, by go pocałować… jej pocałunek jest tak pełen pożądania, że czuje się teraz winny, czuje się samolubem. Nie powinno go tutaj być. Powinien wrócić do willi Air-Bel i to zakończyć. Bierze ją w ramiona i ponownie całuje. Jest zbyt wcześnie rano na takie myśli.

Znów pukanie, ona jest na nogach i zarzuca na siebie hotelowy szlafrok.

– To tylko obsługa. Kawa. Załatwiłam to tak, żebyś był na czas – mówi.

Jak za każdym razem, kiedy ktoś wchodzi do środka, on zamyka się w łazience i siada w bezruchu na brzegu marmurowej wanny.

Od tygodni mieszka z nią tutaj, w Grand hôtel du Louvre et de la Paix. W ciągu dnia robi, co może, by załatwić wszystko jak trzeba z papierami. I stale, czy to w kolejkach, czy na ulicach, widzi znajome twarze, mężczyzn, których zna z Camp des Milles. Ledwo wczoraj, na chodniku, wpadł na Hansa Bellmera. A kiedy Peggy, uśmiechając się nerwowo, zaczęła go ponaglająco odciągać, przedstawił ją artyście. Rozpoznawszy od razu nazwisko, zaprosiła go na lunch. Apetyt miał iście wilczy. Smarując kolejne kromki chleba grubą warstwą masła, opowiedział, jak to udało mu się dotrzeć do Marsylii w bagażniku czyjegoś samochodu. Przyjechał, żeby spróbować zdobyć wizę, i mieszka u znajomego w suterenie.

Peggy była uprzejma, ale usiłowała skrócić lunch bardziej, niż gdyby byli w wykwintnym towarzystwie. Czuła się przy nim niekomfortowo, jak przy wszystkich znajomych Maksa o szarych twarzach, którzy tu, w Marsylii, robią, co mogą, by się wydostać, by dotrzeć do Ameryki czy Meksyku.

Żebrzą, a Max mieszka w Grand Hotelu. On doświadcza snu o pieniądzach – pieniądzach Peggy – w którym jest miejsce i na obsługę hotelową,

i na oddawanie rzeczy do prania, i na kogoś, kto zrobi manicure, jeśli akurat ma się taką fantazję. Lecz we Francji nawet pieniądze nie rozwiążą wszystkich problemów… choć pieniądze i to, że się jest z Amerykanką, bez wątpienia pomagają. Kiedy jest się z Amerykanką, urzędnicy emigracyjni nie przyglądają się człowiekowi szczególnie uważnie, nie sprawdzają nazwiska na listach osób poszukiwanych.

Ma starą wizę wyjazdową z Francji, tę, którą Georges ostemplował mu z takim entuzjazmem, lecz ponieważ od początku była dyskusyjna, wystąpił o nową, niebudzącą wątpliwości. Wszystko musi być idealne. Nie może ryzykować, że jakiś urzędnik zacznie się bacznie przyglądać. Spotyka się dzisiaj z Varianem Fryem w centrali Amerykańskiego Komitetu ds. Pomocy. Lou też tam będzie. Modli się, by wszystkie wysiłki Jimmy'ego, by wyekspediować ich do Ameryki, okazały się skuteczne, i by oboje wyszli ze spotkania z wizami wjazdowymi w ręku.

Słyszy pobrzękiwanie filiżanek, które pokojówka ustawia na stole.

– *Merci beaucoup* – śpiewnie odzywa się Peggy, po czym drzwi się zamykają.

Dołącza do niej przy śniadaniu, na które składają się ciepłe croissanty i gęsta, ciemna kawa ze spienionym mlekiem. Wkłada lniany garnitur, który kupiła mu Peggy, i rozsuwa kotary, by wpuścić dzienne światło.

Ktoś puka do drzwi pokoju Peggy.

– Max? – woła.

Czyżby czegoś zapomniał? Nie ma odpowiedzi, jedynie seria stuknięć.

Na pokojówkę jest jeszcze zbyt wcześnie, a obsługa zaczekałaby na jej wezwanie, by posprzątać naczynia. Przewiązuje szlafrok.

– Jeszcze nie skończyliśmy – mówi głośno, z nadzieją, że ktokolwiek to jest, usłyszy ją przez drzwi i sobie pójdzie. Chce się wykąpać. Leonor Fini przychodzi na lunch, przyniesie obraz, który Peggy kupiła (za gorącą namową Maksa), widząc jedynie jego fotografię, a ponieważ Leonor jest od niej dziesięć lat młodsza i – jak wieść niesie – jest wielką pięknością, chce wyglądać jak najlepiej.

Otwiera drzwi, za którymi stoi mężczyzna w ciemnym garniturze. Jego zapach uderza ją jak obelga. Nikt, kto pracuje w hotelu, na pewno by tak nie śmierdział.

– *Vos papiers, s'il vous plaît*.

– Co proszę?

– Pani papiery.

On otwiera drzwi na oścież. Ona, w szlafroku, z bosymi stopami, stoi nieugięta, wzrok ma lodowaty i patrzy z góry na cuchnącego mężczyznę. To niestety błąd.

– Dlaczego miałabym pokazywać panu moje papiery? Nie wiem, kim pan jest. Proszę natychmiast wyjść.

Dzwoni do recepcji. Będzie spokojna, będzie udawała oburzoną. Lecz z każdym dzwonkiem telefonu serce bije jej coraz szybciej. Przyciska słuchawkę do ucha, by ręka jej nie drżała. W końcu słyszy kobiecy głos.

– Jest tutaj jakiś mężczyzna, który wtargnął do mojego pokoju.

On wyjmuje z kieszeni marynarki plakietkę i trzyma ją tak, by mogła się jej przyjrzeć.

– *Oui*, *madame* – mówi kobieta. – Nie ma powodów do niepokoju. Oni tylko wyłapują Żydów. – Odkłada słuchawkę.

– Jestem Amerykanką – zwraca się do nieznajomego. – Lada moment wyjeżdżam do Ameryki.

– Pani papiery. – Śmierdzi rybą i przetrawionym alkoholem i bije od niego odór kogoś, kto nie kąpał się od miesiąca.

Nie może oddychać. Podchodzi do okna, żeby je otworzyć, lecz on zatrzymuje ją, chwytając za rękę.

– Gra pani na zwłokę. Być może od razu powinienem panią zatrzymać?

– Jedną chwilę – mówi. Jej torebka… gdzież też ją postawiła?

Mężczyzna obserwuje ją, kiedy krząta się wokół łóżka. Ubrania z wczorajszego wieczoru leżą na kupie… jej jedwabna sukienka, kapelusz i krawat Maksa, jego spodnie i koszula. On nie ma pozwolenia na pobyt w Marsylii i jeśli odkryją, że mieszka u niej, nie tylko ją zabiorą na przesłuchanie, ale i zaczekają na niego, zatrzymają go albo, co gorsza, odeślą do Niemiec.

– Czy mógłby pan otworzyć okno? Proszę, strasznie boli mnie głowa. – Przyciska dłoń do czoła.

On wzdycha niecierpliwie, ale otwiera je, dając jej tym samym czas na to, by – kiedy sięga po torebkę – mogła narzucić swoją sukienkę na rzeczy Maksa. W torebce wraz z jej papierami znajduje się plik banknotów, które poprzedniego wieczoru wymieniła na czarnym rynku… dość dużo, by Laurence i dzieci mogli z tego wyżyć aż do podróży Clipperem [1], na którą – właśnie to do niej dotarło – trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Zamyka torebkę, podaje mężczyźnie swój paszport, papiery podróżne są złożone wewnątrz, i siada na łóżku, bo teraz głowa jej naprawdę pulsuje. Sama

zmieniła zezwolenie na podróż, zmieniła datę już wiele miesięcy temu. Nie mogła jednak wyjechać, nim zezwolenie wygasło – było jeszcze tak wiele do załatwienia. Oznaczałoby to pozostawienie jej sztuki, sztuki, na której zebranie poświęciła lata.

Patrzy na jej zezwolenie pod światło.

– Te już są nieważne. Musi pani pójść ze mną.

– Ale o co chodzi? Dlaczego?

– Zmieniła pani datę.

Wstaje. Pokój wiruje.

– Nie.

– Nie?

– Nie zmieniłam jej. – Myśli najszybciej, jak tylko potrafi. – Zmienili ją urzędnicy w Grenoble. Widzi pan? To ich stempel. – Wskazuje na pieczątkę wyblakłą tak, że aż nieczytelną.

– Dlaczego nie zameldowała się pani w Marsylii?

– Dopiero co przyjechałam. Chciałam to zrobić dzisiaj.

Tajniak rozgląda się po pokoju, powoli podchodzi i podnosi jej czerwoną sukienkę. Wzdryga się na widok swego materiału w jego brudnej ręce. Intruz odrzuca sukienkę i chwyta ubranie Maksa, jego kapelusz i krawat, dowody jej zbrodni.

– Kogo pani ukrywa? Jakiegoś Żyda?

– To mojego męża. Wyjechał dziś rano do Cassis, ale za kilka dni będzie z powrotem. – Kiedy tylko to wypowiedziała, zdaje sobie sprawę, że to błąd. O ile prawdą jest, że Laurence, jej były mąż, jest w Cassis, o tyle prawdą jest również, że w Cassis dokonuje się segregacji Żydów, którzy są wysyłani Bóg jeden raczy wiedzieć dokąd.

– Cassis? – Jeszcze raz otwiera jej paszport. – Guggenheim to żydowskie nazwisko, nie?

– Nie. Mój dziadek był Szwajcarem. Pochodził z Sankt Gallen.

– Nie wiem, gdzie to jest. – Poważnie zaczyna rozglądać się wkoło, zagląda pod łóżko, do łazienki. Wskazuje na szafę na ubrania. – Co tam jest?

Otwiera drzwi.

– Niech pan patrzy. Nie znajdzie pan tam Żydów.

Mężczyzna sztywnieje, spogląda na nią gniewnie.

– Pani papiery nie są w porządku. Musi pani pójść ze mną na policję.

– W tym? – mówi, wpychając ręce do kieszeni szlafroka.

– Madame może się ubrać, nie mam nic przeciwko temu. – Opiera się o drzwi, obserwując ją.

– Ja jednak mam. Może pan zaczekać na korytarzu. Za chwilę wyjdę.

Przytrzymuje mu otwarte drzwi. Z jej paszportem w ręku mężczyzna wychodzi na zewnątrz.

Zamyka drzwi, próbuje myśleć. Wkłada spodnie i bawełnianą koszulkę, zapina pasek, przeciąga szczotką po włosach. Powinna ukryć rzeczy Maksa albo przynajmniej zostawić mu wiadomość, na wypadek gdyby nie wróciła, ale gdzie jest jakieś pióro?

– Nie wyobrażam sobie, że może pani potrzebować więcej czasu, madame! – woła mężczyzna stukając w drzwi.

Chwyta torebkę i kapelusz, chowa zwitek banknotów w skarpecie i zagrzebuje ją w szufladzie – niezbyt dobry to schowek, ale najlepsze, co może zrobić – i otwiera drzwi.

Korytarz jest pusty. Dokąd mógł pójść? Mogłaby uciec schodami ewakuacyjnymi, ale ten człowiek ma jej paszport. Bez niego jest zgubiona. Mogłaby być kimkolwiek. A poza tym ucieczka byłaby przyznaniem się do winy. Nie ma wyboru, jak tylko stanąć z tym wszystkim twarzą w twarz. Idzie korytarzem, stukając obcasami na drewnianej podłodze, naciska przycisk windy.

Uporczywie powtarzała, że jest Amerykanką – tak, jak Max kazał jej robić – i nic nie wskórała.

Kiedy wchodzi do windy – windy Narcyza, jak ją nazywa Max, bo jej ściany pokrywają lustra – pod kapeluszem i ubraniem spływa po niej pot. Operator w garniturze cielistego koloru i toczku do kompletu wygląda jak zawsze: czerwonolicy i dość krągły, by móc się odbijać; uśmiecha się na jej widok.

– Hol? – pyta, zamykając metalową bramkę.

– *Oui. Merci*, Paul.

Pociąga za dźwignię, a klatką szarpie. Strzałka opada do ósemki, siódemki, piątki. Z każdym mijanym piętrem zniża się do piekła wojny, ponad którą jakoś udawało się jej prześlizgnąć, a odbity w lustrze profil zjeżdża razem z nią.

Stara się nie patrzeć na swoją twarz, w szczególności na nos. Wiele lat temu próbowała go poprawić. Chirurg miał zwęzić go po bokach i nieco podciągnąć. Spartaczył jednak robotę, a ona była tak obolała, że kazała mu

przerwać. Teraz, kiedy patrzy, jak jej nos odtwarza się w coraz mniejszych wersjach w przeciwległych lustrach, żałuje, że nie zniosła bólu nieco dłużej.

Poprawia kapelusz, by ukryć nos, a gest ten w coraz mniejszej skali zwielokrotnia się ku nieskończoności. Zastanawia się, w którym momencie przestanie być widoczna dla ludzkiego oka, choć nadal będzie obecna, w jakiejś nieuchwytnej sferze substratu i postulatu. Myśli o miłości i pamięci, które również przynależą do tej sfery, i o historii Echo, nieszczęsnej nimfy zakochanej w Narcyzie, której w końcu nie zostaje nic oprócz głosu, obciążonego klątwą, gdyż jest jedynie powtarzaniem.

Za bardzo zakochała się w Maksie. Po Becketcie i Tanguym przysięgała, że już tego nie zrobi, nie zakocha się w artyście, który przedkładałby miłość do swojej sztuki, siebie i swych pięknych *femme-enfants* nad miłość do niej. Zawsze mogłaby służyć im wsparciem, być ich rękojmią i, tak, ich dobroczyńcą. A jednak nigdy nie miała ich dość. Nigdy nie była tak ożywiona jak w ich obecności. Kiedy swą uwagę – jakkolwiek przelotnie – skupiali na niej, stawała się – nie ma na to innej nazwy – dziełem sztuki.

Współczuje lustrom ich nagości. Wydają jej się teraz wstrętne jak oczy pozbawione powiek. Patrzy na strzałkę, aż ta opada do zera. Paul pociąga dźwignię, otwiera składaną metalową bramkę.

– Madame Peggy – mówi z lekkim ukłonem.

Dostrzega detektywa rozmawiającego z innym, postawniejszym mężczyzną o jednoznacznej aparycji dowodzącego. Trzyma w ręku jej paszport. Podchodzi prosto do nich. Pozwoli im się zatrzymać. Max zobaczy, jak to jest być w Marsylii skazanym na samego siebie, bez bogatej Amerykanki, która zrobiłaby dla niego wszystko.

Kiedy sekretarka Variana Frya wprowadza Maksa, Lou jest już w biurze. Siedzi, trzymając na kolanach torebkę, i spogląda przez okno w niebo, w pusty błękit. Ubrana jest w szarą tweedową spódnicę i żakiet, z niewielkimi dziurkami wzdłuż rękawa, w miejscach, w których zagnieździły się – i najadły do syta – mole; jest wymęczona i wychudła. Oczy ma jeszcze bardziej podkrążone. Postarzała się w obozie w Gurs, tak jak on postarzał się w Les Milles.

Kochana Lou. Kiedy widział ją ostatnio? Czyżby było to pożegnalne przyjęcie Jimmy’ego? Jakże różni byli wtedy oboje, głupio ufni pili szampana i wznosili toasty za swego wspaniałego syna.

Ona się uśmiecha, jej piwne oczy jaśnieją.

– Max – mówi i wstaje, by ucałować go w oba policzki.

Jej zapach pozostał taki sam, kawa i papierosy i coś, co jest tylko jej, cierpkie, słodkie i zaskakujące, jak zapach tulipanów. Wspomina – *dlaczego teraz, po tych wszystkich latach?* – pikniki, jakie przed pierwszą wojną urządzali o północy nad Renem. Byli wówczas studentami, upojonymi Goethem i światłem księżyca. Już samo dotknięcie jej ręki było elektryzującym przeżyciem. Oczy mu wilgotnieją; skonsternowany, mruganiem rozprasza łzy.

A przecież mógł postarać się znacznie bardziej. Mógł być tym mężczyzną, za którego – jak sądziła – wychodzi za mąż. Mężczyzną, który stałby przy niej, dopóki śmierć by ich nie rozłączyła, mężczyzną, który nie porzuciłby jej i ich małego dziecka, bo jego sztuka, jego dusza domagały się wolności.

Zawiódł ją. A teraz niczego nie da się już z tym zrobić.

– Kawy? Herbaty? – mówi Fry, podejmując próbę radosnej serdeczności. Odmawiają uprzejmie i siadają. Fry marszczy czoło. Kręci głową. – Poprosiłem was tutaj, bo, hm, myśleliśmy, mieliśmy nadzieję, że być może to zadziała. Widzicie, właśnie dostaliśmy odpowiedź.

Max pochyla się i ściska rękę Lou. Instynktowny gest. Jest tutaj dla niej. Pomoże jej, jak tylko będzie mógł.

Fry odchrząkuje.

– Jak państwo wiedzą, mamy amerykańską wizę dla Maksa Ernsta i jego żony – mówi, przenosząc wzrok z niego na Lou. – I kiedy Jimmy skontaktował się ze mną i wystąpił z sugestią, że, generalnie rzecz ujmując, nadal może pani być jego prawowitą małżonką… przynajmniej w rozumieniu władz francuskich, gdyż państwa rozwód pozostaje w mocy jedynie w Niemczech… skontaktowaliśmy się z panią Roosevelt, która ostatnio wydaje się coraz bardziej zaangażowana. – Fry zdejmuje okulary, pociera czerwone oczy. – Szczerze mówiąc, to nie ja zwróciłem się do niej. Nie uważałem tego za dobry pomysł… ona tak naprawdę nie ma pojęcia, w jaki sposób zasady są tutaj, by tak rzec, naginane.

– Proszę nam powiedzieć – mówi Lou. – Przyjmę to, cokolwiek to będzie. Mogę poczekać. Jimmy coś wymyśli. Troszczy się o mnie. Zawsze się troszczył. – Jej słowa przeszywają Maksa jak nóż… choć nie taka była jej intencja, on wie. I, szczerze mówiąc, oboje polegają teraz na Jimmym.

Fry wzdycha. Wpatruje się w podłogę, wyciera okulary i zakłada je z powrotem.

– Przykro mi. Nie może pani wystąpić jako żona Maksa. Kiedy Pierwsza Dama mówi „nie”, nie da się tego obejść, jakkolwiek byśmy próbowali.

– Wyjdź za mnie. – Max klęczy na kolanie, ręce ma złożone. – Proszę, Lou.

– Ale Marie-Berthe…

– Rozwiedliśmy się. W końcu się zgodziła. – Bierze ją za rękę. – Musisz za mnie wyjść, Lou. Nie rozumiesz.

– Nie rozumiem? – Spogląda na niego z góry, a jej oczy wypełnia miłość… prawdziwa miłość, po tych wszystkich latach. – Chcesz, żebym przehandlowała moje życie za wizę do Ameryki? Nie należymy już do siebie, Max. Od dwudziestu lat każde z nas żyje własnym życiem.

– Wiem, że mnie nie kochasz, Lou, nie oczekuję, że będziesz mnie kochała. Ale pomyśl o Jimmym. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób to dla niego! Gdybyś była tylko intelektualistką, to by była inna rzecz, ale jesteś Żydówką.

Ona wybucha śmiechem.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – Całuje go w czubek głowy i cofa rękę. – To piękny gest, Max. Doceniam go. Ale nie mogę. To by nie było właściwe. A poza tym wszystko to wciąż może okazać się zbyteczne. Jestem optymistką.

W holu Grand hôtel du Louvre et de la Paix Peggy podchodzi do detektywa i stojącego obok niego potężnego mężczyzny, który trzyma jej paszport. On kiwa głową.

– Naczelnik policji – mówi, wyciągając rękę, którą ona energicznie potrząsa. Serce jej łomoce, ale stoi niewzruszona.

– To, jak sądzę, moje – zwraca się do niego z tak pełnym opanowania przekonaniem, na jakie tylko potrafi się zdobyć.

On kieruje wzrok na jej fotografię, a potem znów na nią.

– Madame, proszę o wybaczenie – mówi, a ona pozwala sobie na nowo zaczerpnąć tchu. On spogląda na jej woniejącego prześladowcę. – Pozostawi pan tę kobietę, a jeśli chodzi o ścisłość, to i innych Amerykanów, w spokoju, zrozumiano?

Ona przygląda się, jak powłócząc nogami, brudny człowieczek oddala się z opuszczonymi ramionami. Ma szczęście. W tym tygodniu Amerykanie, którzy właśnie wysłali Francji statek z żywnością, cieszą się sympatią.

Naczelnik oddaje jej paszport.

– Ale proszę, madame, jeszcze dzisiaj musi się pani zarejestrować na policji.

– Ależ naturalnie. – Opanowuje głos, ręce. – Właśnie dzisiejszego ranka zamierzałam to zrobić. Nie jestem tylko pewna, gdzie to jest. – Jeśli kiedykolwiek był właściwy moment by nagiąć prawdę, to właśnie teraz.

Policjant wyjmuje z kieszeni niewielki notes i rysuje jej mapkę, kiedy przez drzwi wkracza Max z ubraną w białe koronki drobną kobietą przy boku. Peggy czuje, jak krew odpływa jej z twarzy. Dobry Boże, jakże straszliwie jest w nim zakochana. *Do diabła. Do diabła z nim.* Kobieta w białym przeciwsłonecznym kapeluszu kurczowo trzyma coś, co musi być obrazem owiniętym w pakowy papier. Przybyła Leonor Fini, a spocona Peggy wygląda koszmarnie.

Peggy odwraca wzrok, prosząc go w myślach, by nie podchodził, kiedy tuż obok stoi naczelnik policji. Kątem oka widzi, jak tych dwoje, roześmianych, kieruje się do kawiarni tuż obok holu. Max nawet nie spojrzał w jej kierunku. Z urodziwą kobietą u boku zapomina o bożym świecie… od którego ona, jak widać, niczym się nie odróżnia.

Naczelnik podaje jej mapkę, a ona dziękuje mu wylewnie i wymawia się.

Palcami przebiega równo obcięte włosy, usiłując je nieco poprawić. Chciała wyglądać jak najlepiej, a teraz to niemożliwe. Wszystko, cały ten bałagan, jakim jest jej życie, wydaje się niemożliwe.

Ale czy to nie z nią on się kocha? Prostuje plecy. Co miałaby udowodnić? Przyciemnia szminką usta, bierze głęboki oddech i wchodzi do Cafè de la Paix. Stoliki są w większości puste, a mimo to, kiedy serce jej cwałuje, dopiero po chwili dostrzega ich w kącie, dyskretnych i cichych.

Max podnosi wzrok i wstaje, by pocałować ją w oba policzki.

– Peggy, Leonor Fini. Leonor, Peggy Guggenheim, patronka sztuki – przedstawia je sobie, przyciągając dla niej krzesło na szczyt stolika.

Potrząsa odzianą w rękawiczkę dłoń Leonor. Patronka? Dlaczego nie przedstawił jej jako swojej kochanki? Drobne ukłucia, ale to Leonor podnosi sprzeciw.

– Patronka! A cóż to za określenie? Wiesz, że *patron* znaczy „ojciec”, co, Max?

– O Boże, Leonor! Musisz we wszystkim być tak pedantyczna? Było nie było, kupiła twój obraz.

– Za co jestem niezmiernie wdzięczna – mówi, uśmiechając się do Peggy. – Ale naprawdę, Max, patronka…?

Słowo kłuje jak sztylet. Dlaczego Leonor nie odpuści? Peggy posyła mu spojrzenie, ale on wpatruje się w swoją młodą protegowaną, a na twarzy błąka mu się głupawy uśmiech. Głowa jej pulsuje. Chce zniknąć, pobiec na górę i wziąć kąpiel wystarczająco gorącą, by ją unicestwiła. Zamiast tego zamawia wódkę z martini.

– Nawet nie masz pojęcia, co za poranek mnie dzisiaj czekał, kochanie – mówi.

Kiedy opowiada im o człowieku w swoim pokoju, Max blednie, oczy ma rozbiegane.

– Och, biedactwo! – Leonor dotyka jej dłoni. – Powiadają, że i na stacjach kolejowych zaostrzono środki bezpieczeństwa. Nie mam się czego obawiać, a przynajmniej wydaje mi się, że nie mam, ale i tak przyjechałam autem. Wszyscy ci mężczyźni w mundurach wzbudzają moją nerwowość.

Max podpija z kieliszka z martini Peggy i uśmiecha się do Leonor.

– Pokażesz nam swój obraz?

Fini rozpakowuje płótno; podchodzą do okna, by mu się przyjrzeć w promieniach słońca.

– Och – wyrywa się Peggy. – Jest piękny.

Max promienieje.

– A nie mówiłem?

Pośrodku obrazu stoi wojowniczka okryta jedynie niewielką przepaską umocowaną cienkimi paskami wokół bioder. Otaczają ją długowłose sfinksy z obnażonymi piersiami.

– Nosi tytuł *Pasterka sfinksów* – wyjaśnia Leonor, a Peggy zwraca uwagę, że Max nie może oderwać wzroku od sfinksa pośrodku obrazu.

– To ona – mówi on.

Leonor udaje zdumienie.

– Więc teraz nie chcesz dzielić się swoją muzą?

Peggy nie ma pewności, o czym mówią, ale czuje, że martini wywraca jej żołądek, a duszne pomieszczenie nieprzyjemnie kręci się wkoło. Przypatruje się twarzy na obrazie i wtedy do niej dociera… Te delikatne policzki, te ciemne oczy, te czarne, falujące włosy… to ta sama kobieta, która pojawia się na wszystkich najnowszych obrazach Maksa. To Leonora, a ona kupiła ją po raz kolejny.

Max dotyka włosów sfinksa, przeciąga palcem po lasce pasterki aż do jej twarzy, która, Peggy zauważa, jest twarzą Leonor.

– Chronisz ją – mówi on.

Peggy widzi, jak twarz Leonor tężeje, ale tylko na moment, po chwili łagodnieje.

– O niczym nie słyszałeś, jak rozumiem – mówi Leonor.

Max leciutko kręci głową. Wygląda, jakby zbierało mu się na płacz.

Peggy ma pewność, że jest niewidzialna. A jednak to jej ręka na płótnie, jej paznokcie pomalowane piaskowym lakierem, który poodpryskiwał na końcach. Powiedział jej, że cała ta sprawa, cała ta sprawa z Leonorą Carrington, to już przeszłość, nieprawda? No, tak mniej więcej. *Straciła głowę i wydała dom. Może być wszędzie*. Sposób, w jaki to powiedział, był raczej chłodny, lecz teraz widzi jego tęsknotę za tą utraconą dziewczyną. To jak tęsknota, którą Peggy odczuwa w stosunku do niego, choć on tutaj jest i stoi obok niej.

– Cóż, dziękuję za to, moja droga. – Pakuje obraz i wkłada go sobie pod pachę. – Koniecznie muszę się położyć. Okropnie boli mnie głowa.

1. Hydroplan Boeing 314 Clipper, w owym czasie największy samolot pasażerski świata. [wróć]

Maj 1941, Marsylia

Willa Air-Bel wyleguje się w południowym upale.

– Cześć, Max! – Z drzewa, na którym się usadowiła, macha do Peggy i niego Consuelo de Saint-Exupéry; jest tam też jeszcze ktoś inny.

– *Bonjour* – mówi jakaś kobieta, podnosząc wzrok znad książki. – Czytamy sobie!

Max mruży oczy, by lepiej ją widzieć. Już sam zarys sylwetki jest rozpoznawalny. Burza gęstych włosów zebranych w kok, powabne krągłości, uśmiech. To Remedios Varo, która wystawiała swoje obrazy w Paryżu na ostatnim pokazie surrealistów.

– Widzę! – krzyczy w jej kierunku.

– Bierzemy twój pokój! – odkrzykuje mu.

– Okno się zacina.

– Dobrze wiedzieć.

Peggy dźga go łokciem w żebro. Mają tylko kilka godzin. Wyjazd ma zaplanowany na popołudnie, przyjechał, żeby pozbierać swoje obrazy i się pożegnać. Przyjechał też po pieniądze.

– *Au revoir*, Max – mówi Remedios.

– *Je te verrai de l'autre côté*!

– Tak, do zobaczenia po drugiej stronie! A teraz ruszaj! – krzyczy z góry w jego stronę Consuelo. – Zostały mi jeszcze dwie strony *Słońce też wschodzi*! Mogę doczytać w spokoju?

– Słyszałeś, co powiedziała ta dziewczyna – ciągnąc go, mówi Peggy.

– Cześć, Max! – woła Remedios. – A gdzie Leonora?

– *Je ne sais pas* – mówi i czuje, że jest bliski łez. Ale musi wyjeżdżać. Z Leonorą też spotka się po drugiej stronie, przynajmniej taką ma nadzieję.

Kiedy Peggy go odciąga, razem z nią spieszy znaleźć Chagalla, który, liczą na to, będzie skłonny pożyczyć mu pięćdziesiąt dolarów… dość, by mógł dostać się do Lizbony i by coś jeszcze mu zostało na zakwaterowanie, dopóki Peggy do niego nie dołączy.

Ze trzy tygodnie potrwa rozpatrzenie złożonego przez nią w Banque de France wniosku o wypłatę pięciuset pięćdziesięciu dolarów, jakie każde

z nich ma prawo zabrać z sobą Clipperem, latającą łodzią, która zabierze ich dwoje razem z jej byłym mężem Laurence’em, ich dziećmi, jego żoną i ich dziećmi do Ameryki. Zwitek czarnorynkowych zaskórniaków Peggy trafił do rąk Laurence’a, który wczoraj wyjechał z dziećmi do Lizbony.

Z kraju nie wolno wywozić franków, a nie ma już czasu składać podania o pozwolenie na wywóz gotówki. Jechać bez pieniędzy to wariactwo, on wie, ale pojedzie, jeśli będzie musiał. W Marsylii nie da się już żyć. Na ulicach rekordowe ilości policji. To tylko kwestia czasu, kiedy ktoś zażąda od niego papierów i go zamknie.

Ukrytego w ogrodzie Chagalla znajdują, jak rysuje coś kredkami. Rysunek przedstawia kobietę na latającym koniu, na jej głowie siedzi ptak.

– Pieniądze? Nie zajmuję się finansami. – Ma na nosie zieloną plamę, zauważa Max, który czuje zazdrość, że Marc tworzy… nawet teraz, kiedy zbliżają się hitlerowcy. – To domena mojej córki – dodaje, przydając oku ptaka jasnoniebieskiego błysku. – Poszła na rynek, ale powinna być z powrotem za jakąś godzinę czy dwie.

Max wyobraża sobie, że najpewniej trzyma gotówkę na miejscu, w swoim pokoju.

– Podoba mi się twój rysunek – mówi. – Zwłaszcza koń. – Bierze Peggy pod rękę i odprowadza na bok, bo wygląda, jakby miała udusić tego człowieka.

– Pięknie. Po tym, jak w zasadzie podarowałam mu tysiąc dolarów – gorączkuje się, zapalając pall malla. – I co teraz? Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić.

Po powrocie do Marsylii parkują samochód i pędzą do jej hotelu. Max ma godzinę, by zdążyć na pociąg.

– Wszystko gra – uspokaja ją. – Wcześniej dawałem sobie radę bez pieniędzy, to i teraz dam.

Ale oto nadchodzi Varian Fry. Zmierza ku nim i jak anioł – którym bez wątpienia jest – zdaje się unosić nad chodnikiem.

– Max! – woła, a twarz mu się rozpromienia.

– Jadę – oznajmia Max.

Dziennikarz przyciąga go ku sobie, żeby go uściskać.

– Przykro mi, z powodu Lou i w ogóle… – mówi, ale Peggy wchodzi mu w słowo:

– Potrzebuje pięćdziesięciu dolarów na podróż.

Jest tak otwarta w kwestii pieniędzy, że Max nie może jej nie podziwiać.

Fry sięga do kieszeni. W pugilaresie ma dokładnie pięćdziesiąt dolarów amerykańskich, które wciska Maksowi do ręki.

Wysiada z taksówki. Na tylnym siedzeniu Peggy przeciera oczy.

– Hm, kochany, to chyba nasze pożegnanie.

– Spotkamy się w Lizbonie – mówi Max.

Ona wysiada, by go pocałować i przytulić jak należy.

– Och. – Wyjmuje z portmonetki jego bilet. – Byłabym zapomniała.

On bierze bilet, jeszcze raz ją całuje i odchodzi. Nie może się powstrzymać, by nie spojrzeć za siebie. Peggy macha mu chusteczką, na twarzy wystąpiły jej plamy. Max kiwa dłonią. Kiedy pogrąża się w chaosie stacji, czuje, że ona się zaciera.

Bez niej u boku czuje chłód. Mimo gorąca zimno przenika go do szpiku kości. Może to jej pieniądze albo fakt, że jest Amerykanką i nie podlega tym samym prawom, jak się wydaje, co cała reszta. Może to prawda, że go kocha, lecz jej obecność w jego życiu dała mu nadzieję – nadzieję, że może nawet w jakiś sposób odnajdzie Leonorę. Niewykluczone, że jest już w Lizbonie i czeka na niego. Na samą tę myśl przyspiesza kroku, kiedy przeciska się przez ludzką ciżbę, kurczowo trzymając walizkę. Przez ramię ma przewieszony plecak; niesie w nim obrazy Leonory i swoje własne – wszystko, czego nie kupiła Peggy, czyli niewiele. Wizę do Ameryki schował w kieszeni płaszcza. Poklepuje ją, by się upewnić, że tam jest. Jego wiza wyjazdowa, która wygasła miesiące temu, też tam jest, wetknięta pod nią.

Mijając żandarma, potem kolejnego, patrzy przed siebie i ma nadzieję, że jego maska obojętności jest przekonująca. Kolejnego obozu – czy innej formy uwięzienia – nie da rady przetrwać, ale nie ma wyboru i musi podjąć ryzyko podróży. Gdyby miał czekać na ważną francuską wizę wyjazdową, jego amerykańska wiza by wygasła i musiałby zaczynać całą procedurę od początku. Będzie musiała mu wystarczyć stara wiza. Musi mieć nadzieję.

W pociągu jakiś mężczyzna dziurkuje mu bilet pierwszej klasy – Lizbona przez Madryt. Układa bagaż nad głową i wygodnie rozsiada się na miejscu pod oknem.

Wyjeżdżają z Marsylii. Mijają pola, konie. Niemożliwe o niej nie myśleć. Ale nie może przypomnieć sobie jej twarzy, jej oczu. Nie do końca. Gdyby miał farby i pędzle, wyczarowałby ją na płótnie, ale ich nie ma,

a kiedy bierze do ręki ołówek, by narysować ją w swym małym notatniku, ręka mu się trzęsie.

To nie jest pociąg widmo, a on nie jest więźniem. Siedzi w czystym przedziale. Gdyby chciał, mógłby kupić w bufecie kawę, albo nawet i croissanta. Ale nie jest jeszcze wolny. Jest we Francji, a Francja jest we władaniu faszystów.

Na granicy z Hiszpanią pociąg się zatrzymuje. Bierze bagaże i ustawia się w kolejce do wyjścia z pociągu przez jedyne otwarte drzwi.

– Wiza wyjazdowa! – ryczy zawiadowca.

Wyjmuje swoją wizę z kieszeni. Wygląda absurdalnie, a pieczęcie Georgesa wypełniają każdy jej fragment. To ryzyko, jakie musiał podjąć, lecz teraz nie jest w stanie oddychać. Kolejka przesuwa się niemiłosiernie powoli, a on na nowo znalazł się w Camp des Milles, na nowo czeka, poci się, jedna z tabunu ludzkich istot, i nie jest już sobą. Za oknem widzi, jak na stacji, ponad głowami ludzi, lata gołąb. Znika z pola widzenia, a on przechyla się przez puste siedzenia, przyciska twarz do szyby, żeby go dojrzeć. Ptak zbudował gniazdo w wysokim narożniku krokwi. Ale dlaczego tam? Gdyby on sam umiał latać, tak sobie myśli, poleciałby wszędzie, tylko nie tutaj.

Na przedzie kolejki podaje zawiadowcy wizę wyjazdową. Mężczyzna spogląda gniewnie, mruży oczy.

– Co to jest? – Wymachuje dokumentem w jego stronę. – A poza tym już wygasła. Gdzie pański paszport?

Cały wysiłek, by zdobyć amerykańską wizę, na nic. Jakiż to wszystko miało sens? Mógł pozwolić, by hitlerowcy go zabrali prosto z Camp des Milles.

– Nie mam paszportu – odpowiada. – Został skradziony.

– Niech pan zaczeka w moim kantorku, monsieur – mówi mężczyzna.

Jego torby są teraz cięższe. Wahadła z piekła rodem zwieszają mu się z ramion. Hiszpański celnik kiwa na niego. Równie dobrze może pójść. Nie ma już nic do stracenia. Otwiera walizkę, lecz mężczyzna krzyczy, by otworzył plecak, z którego wystają dziwne tuby. Rozluźnia sznurek i mężczyzna wyjmuje jego obrazy. Rozwija je, sztuka po sztuce. Kilka małych prac jest na blejtramach, więc układa je na stole w małą wystawkę.

– *Bonito*! – mówi celnik, a inny urzędnik, gładząc wąsa, przytakuje.

Towarzysze podróży Maksa również się przyglądają. Wydają się zafascynowani. Nigdy nie widzieli takich obrazów: klarowne niebo, dziwne,

ciemne kompozycje ze ścięgien i kości.

– Ojej! – wykrzykuje jakaś kobieta. Wpatrując się w ludzkie oczy hieny Leonory, wyciąga rękę i dotyka pełnych sutków.

Jakiś mężczyzna wpatruje się w *Leonorę w świetle poranka*, a Max mógłby przysiąc, że w oczach ma łzy.

Lecz oto nadchodzi brzuchaty zawiadowca. Z wizą Maksa w ręku. On też przypatruje się obrazom. Wydaje fuknięcie.

– Mówiłem, żeby poszedł pan do mojego biura, monsieur, kiedy już zbierze pan swoje rzeczy.

Max ostrożnie zwija obrazy, jakby chciał w ten sposób uspokoić pulsowanie krwi w uszach. Jeśli to ostatnia chwila jego wolności, spędzi ją w służbie swej sztuki – to wszystko, co mu pozostało na tym świecie. Nie spieszy się, zwijając w rulon swoje życie, na powrót wkłada płótna do plecaka. Zamyka walizkę i idzie do niewielkiego, zawalonego papierami kantorka na spotkanie z zawiadowcą.

– Proszę zamknąć drzwi. – Brzuchacz gestem wskazuje Maksowi, by usiadł. Krzesło ma jedną nogę luźną i kołysze się pod nim. – Podziwiam talent. Pański talent, monsieur, jest bez wątpienia wyjątkowy. Szanuję to. – Zwraca mu jego wizę. – Proszę za mną.

Max wychodzi za nim na peron, na którym dwa pociągi są gotowe do odjazdu.

– To jest pociąg do Pau. Bardzo mi przykro, ale muszę odesłać pana z powrotem do Francji – mówi wystarczająco głośno, by przyciągnąć ukradkowe spojrzenia podróżnych. – Bez stosownej wizy wyjazdowej lub paszportu nie może pan wjechać do Hiszpanii. – Następnie wskazuje gestem drugi pociąg. – A to jest pociąg do Madrytu – mówi ciszej, tak że słyszy go jedynie Max. – Cokolwiek pan uczyni, monsieur, proszę nie wsiadać do niewłaściwego pociągu.

Po czym odchodzi, pozostawiając podjęcie decyzji Maksowi.

POWIASTKA, W KTÓREJ POJAWIA SIĘ NIEWIELKA, ZASCHŁA KUPA

Dziewczyna się budzi. Materializuje się pokój. Biały sufit i ściany. Wysoko umieszczone okno do innego pokoju, w którym słyszy głosy, ale nie może rozpoznać języka. Nie ma słońca, ani śladu nieba.

Była w tym świecie, w tym podziemnym królestwie, już wcześniej. Ale gdzie są sidhe, które w końcu nauczą ją alchemicznego procesu? I dlaczego nie może się poruszyć? Leży płasko na plecach na łożu twardym jak stół. Skórzane pasy krępują jej nadgarstki i kostki. Do nosa ma wetkniętą rurkę, a obok niej postękuje jakaś maszyna. Stawy ma rozpalone od bólu. To musi być jakiś szpital, myśli dziewczyna. Samochód musiał się rozbić.

Podnosi głowę najwyżej, jak tylko może, i choć to niecały cal, wystarczy, by pod pasami dojrzała swe nagie ciało. Przy drzwiach spostrzega kobietę robiącą na drutach. Wygląda jak niania dziewczyny, która myśli, że być może jest w domu, lecz kiedy kobieta unosi wzrok, oczy za grubymi szkłami okularów ma wybałuszone na podobieństwo żaby. Roztacza woń sardynek. To nie Niania.

– Kim pani jest? – pyta dziewczyna. Wydaje się, że ktoś inny wypowiada te słowa. Język ma obrzmiały, a głos cichy jak suchy piach.

– Frau *Asegurado – mówi kobieta.*

Frau? *Z wolna zaczyna opanowywać ją strach.*

– Czy to niemiecki obóz?

Kobieta uśmiecha się smutno.

– Nie – mówi.

Myśląc, że być może śpi, dziewczyna zamyka oczy. A chcąc się obudzić, otwiera je.

Nic się nie zmieniło.

– Gdzie jest Alberto? – pyta, przypominając sobie. Chyba że tylko jej się przyśnił?

– Madryt.

– A gdzie ja jestem? – pyta, choć wie, że to zbyt istotne pytanie, by ktokolwiek mógł udzielić na nie odpowiedzi. Jest przywiązana do łóżka i płynie… żaglówką w piosence, którą nuciła w samochodzie, kiedy wpatrywała się w gwiazdy. Teraz może być gdziekolwiek. Mogła przespać lata.

– Jesteś w miejscu, gdzie będziesz odpoczywać – mówi kobieta.

Dziewczyna czuje, że jej powieki zatrzaskują się jak wieczka niewielkich puzderek.

Kiedy się budzi, stoi nad nią jakiś tęgi mężczyzna w bieli.

– Ojciec? – mówi. Lecz jego oczy są ciemniejsze niż oczy Ojca. Dwa ciemne zagłębienia, dwie jamy, które nie emanują niczym. Dziewczyna nie daje tego po sobie poznać, ale jest cała roztrzęsiona. Tak czy owak, musi zapytać. – Dlaczego tu jestem?

On ogarnia ją milczącymi, pustymi oczami. Bez słowa wychodzi z pokoju.

Frau *pochyla się tak blisko, że dziewczyna zatraca się w porach jej długiego nosa.*

– Musisz zrozumieć, kim jest don Luis. Co noc z tobą rozmawia. A ty mu odpowiadasz tak, jak zechce. – Truchta za nim i zamyka drzwi.

Jak zechce? Dziewczyna wzdryga się na myśl o swym ojcu, o jego wściekłości, kiedy mu się stawia, i o tym, jak wielką jej to sprawia frajdę. Lecz w tym dziwnym świecie on jest lekarzem, a ona – jego pacjentką, lalką, nad którą może panować, jak tylko zechce, którą może zahipnotyzować, kiedy śpi. Kiedy… śpi.

Będzie czuwać. Będzie bronić swej przytomności, przyrzeka sobie, kiedy jej oczy jak puzderka się zamykają.

Kiedy jej oczy jak puzderka się otwierają, widzą przypatrujących się jej z góry z wielkim zaciekawieniem trzech mężczyzn. Mężczyźni są różni. Mają Osobowości. Wie, że są rodakami. Zdają się nie zauważać jej nagości, w każdym razie ona im nie przeszkadza, taki stan to tutaj rzecz normalna. Przedstawiają się.

Książę Monako, don Antonio, nosi monokl, jak ktoś, kogo dziewczyna niemalże pamięta, ktoś z tego drugiego, górnego świata. Ma też pudełko od zapałek, a w nim niewielką, zasuszoną kupę.

– Mój talizman – mówi, pokazując jej.

Widzi na niej brązowe włoski.

– Co to za zwierzę? Gdzie pan to znalazł?

Poklepuje ją po dłoni.

– Wszystko w stosownym czasie – odpowiada.

– A może wszystko, co stosowne na czas? – pyta mężczyzna z błękitnym piórem w szerokim, czarnym kapeluszu. Pochyla się i całuje jej przywiązaną dłoń. – Don Gonzalo.

– Proszę uważać. – Książę puszcza oko. – Ściga go arcybiskup Santander za pokalanie zbyt wielkiej liczby zakonnic.

– Cóż – mówi dziewczyna. – Nie jestem zakonnicą.

Trzeci mężczyzna kiwa jej głową, podkręcając długiego białego wąsa.

– To jest, koniec końców, stosowny czas. – Kłania się, długo i wolno. – Señorita*, jestem markiz de Silva. Byłem przyjacielem króla Hiszpanii Alfonsa XIII. Uznałby panią za olśniewającą i kazał natychmiast uwolnić. – Uśmiecha się, zęby ma poplamione tytoniem. Coś jest w tych jego wąsach. Przywodzi dziewczynie na myśl kogoś, kogo kiedyś znała, artystę z cienkim wąsem, którego stale podkręcał. Błysk; przypomina sobie jego nazwisko. Dali. Lecz włosy tego tutaj są białe, a on tytułuje siebie markizem. Sapiąc, kuląc się, wycofuje się do rogu i wpatruje w sufit.*

Książę trąca kupę palcem.

– Pająki giganty – wyjaśnia. – Jest jeszcze ktoś, kogo musisz poznać. Polubisz go. Nasz przyjaciel Etchevarria.

– Jest z nas najbystrzejszy – dodaje don Gonzalo. – Ale teraz choruje.

– Kiedy znowu będzie zdrowy – markiz strąca z ramienia nieustępliwego pająka – przyprowadzimy go, by mogła się pani z nim zapoznać.

Kiedy przygląda się, jak więźniowie odchodzą, wie, że ze wszystkich najgroźniejszym więźniem jest ona sama. Bo po co trzymaliby ją na tym łóżku, bezradną, jak jakiegoś przewróconego na plecy chrabąszcza?

Dni. Tygodnie. Czas przestał istnieć. Do jej pokoju nie przenika światło, które odróżniałoby ranek od nocy. Czasami Frau *siada na swym krześle i robi na drutach. Czasami znów jakiś ciemnowłosy młody człowiek przykłada jej do ust zapalonego papierosa, a ona go pali i czuje, jak jej ciało unosi się, jakby pasy zostały poluźnione. Daje jej kęsy swoich jabłek, oczy ma zielone zielonością liści, zielonością oczu jej brata. Na imię mu, mówi, Jose.*

– Hermano – *mówi ona. Brat.*

Kiedy trawi ją gorączka, przeciera jej ciało wilgotnym ręcznikiem. Wyciera z niej cały brud, kupę i siki, a ona – o dziwo – nie czuje wstydu. Jej ciało to tylko ciało. Im bardziej jest skrępowana, tym większe pole do popisu dla jej umysłu, który gromadzi wszystko, co potrzebne. Wszystko sobie poukłada. Jakoś ucieknie.

W trakcie jednej z wizyt Jose gra na rozstrojonej gitarze i nuci, więc nieomal go słyszy. Odpływa na falach muzyki. Jest żaglową łodzią podążającą za zielonymi oczami brata, który z nieskrywaną tęsknotą spogląda na nią

pomiędzy wierszami. To nie twoja wina, chce mu powiedzieć. To sprawka Ojca.

Kiedy otwiera usta, żeby się odezwać, czuje, jak w jej ciało wnika jakiś podmuch, jakiś duch. Czarniejszy niż śmierć, ból czy pustka, przepełnia ją swą żądzą… żądzą zniszczenia. Ptaków, koni i kotów – wszystkich tych żywych istot, które kocha. W głowie czuje pulsowanie. Kończyny ma ciężkie i rozpalone. Doktor ją opętał i ciężko jej oddychać.

Jose odkłada gitarę. Przykłada jej do czoła niewielki ręcznik.

– Proszę – mówi ona. – Rozwiąż mnie. Zabierz mnie do Madrytu.

– Ale doktor?

– Nie ma go tu. Jestem pewna. Nie mógłby mi tego zrobić, gdyby tu był.

– Si *– mówi on. – Okay. – Rozwiązuje ją i pomaga jej się ubrać; na stopy, w których czuje mrowienie, kiedy budzą się do życia, wkłada buty. Otwiera szafkę, z której ona zabiera swoją torebkę, a w niej wszystko, co posiada.*

Idą korytarzem, powoli, miarowo. Są blisko drzwi na zewnątrz, gdzie ptaki śpią pod gwiazdami. Jose przekręca gałkę, z rozmachem otwiera drzwi, wprost na doktora. Serce jej zamiera. On przygląda się jej ze spokojem, niezaskoczony, jakby stanowiło to część jego planu. Mówi coś po hiszpańsku do Josego, a biedny chłopak wpatruje się w podłogę. On też był nieposłuszny Ojcu. Policzki mu płoną tak, jak – dziewczyna pamięta – płonęły policzki jej brata, kiedy zostali przyłapani w lesie na zabawie w czarownice. Trzeba było pomyśleć, rzekł Ojciec, a jego rozczarowanie było gorsze niż policzek wymierzony w twarz. Jej brat poszedł z nim; ona jednak wzięła nogi za pas i pobiegła ścieżką wydeptaną przez zwierzęta w miejsce, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć.

Biegnie korytarzem – nogi ma tak sztywne, że nie chcą się poprawnie zginać – skręca za róg i za następny. Budynek to istny labirynt i zmusza ją do dokonywania wyborów. Teraz w prawo. Teraz w lewo. Kiedy biegnie, czuje radość przemieszczania się. Po tak długim bezruchu czuje się, jakby frunęła. Wybiega przez ostatnie drzwi, frunie przez jabłkowy sad. Liście lśnią u jej stóp, żółte w świetle księżyca. Jak długo była przypięta do tego łoża? Jaką część życia straciła? A może śni i czas nie jest tym, czym się wydaje?

– To mój sen! – wykrzykuje z nadzieją, że ktoś w tym innym świecie usłyszy ją i obudzi. Gałęzie drżą i zsyłają deszcz liści. Na spadłym jabłku skręca kostkę i upada.

Jose ciężko nad nią dyszy. Ona wyczuwa w powietrzu ocean. On ją podnosi. Lo siento, *szepcze. A może to wiatr szumi w gałęziach? Kiedy niesie ją z powrotem, ona wlecze stopy po ziemi, spogląda na księżyc w pełni i wyje.*

Jej pokój, łóżko, jej nagie ciało i sny, tak wiele snów. Konie rżą w nocy, a ona jest jednym z nich, przebiega góry. Jastrząb, który jest mężczyzną, krzyczy do niej z nieba, gdzie jest plamką na błękicie, gdzie zatacza koła. Jest trytonem i przystraja ją wodorostami. Są malarzami w Paryżu i wydają przyjęcie, a ona nie może nigdzie go znaleźć, pozostawił ją bez słowa, ona otwiera jakieś drzwi, widzi, że on rozbiera jakąś kobietę, którą kiedyś, gdzieś już spotkała. Nie kochasz mnie? – pyta. Miłość to skomplikowana rzecz, mówi jej, biorąc nagą damę w ramiona.

Jose rozpina jej pasy, napuszcza wody do wanny i zmienia prześcieradło na łóżku. W ciepłej kąpieli ona usiłuje przypomnieć sobie swe sny, lecz bez powodzenia. Jest pusta, tak jak puste jest światło. Woda jeszcze nigdy nie sprawiała jej takiej przyjemności i roztapia się w niej, kiedy zsuwa się pod powierzchnię. Jej oddech zmienia się w pęcherzyki powietrza. Tak oto powróci do świata, który musi nadal istnieć – jeśli tylko odnajdzie do niego drogę – schodząc pod powierzchnię rzeczy, odpuszczając.

Duże dłonie Josego pod nią, podnoszą ją z kąpieli. Łapczywie wciąga powietrze, jak przy narodzinach. Jose wyciera ją szorstkim ręcznikiem i jej skóra staje się nowa i różowa. Siada na krześle, a on rozczesuje jej włosy, jak niegdyś robiła to Niania. Są okropnie skołtunione, ale on zaczyna od końcówek i z cudowną cierpliwością posuwa się coraz wyżej. Niania dla zabicia czasu opowiedziałaby jakąś historię i dziewczyna myśli, że też mogłaby coś opowiedzieć, ale – zastanawia się – co się dzieje, kiedy opowiada się historię w historii? A ponieważ nie jest gotowa na odpowiedź, zamiast tego nuci piosenkę. Jose całuje ją w czubek gładko uczesanej głowy.

Po kąpieli czuje się ciężka, jak dojrzały melon na łodydze, kładzie się na czystym łóżku i pozwala Josemu zapiąć pasy. Jak może dotrzeć do tego innego świata? Jaką wiedzę musi posiąść? Jaką zagadkę rozwiązać? Jej pytania trafiają w próżnię. Oczyszczona, jest gotowa.

Oczyszczona, czeka.

Oto stoi nad nią inny doktor.

– Musimy zbadać pani krew – mówi. Żeby sprawdzić, czy jestem wystarczająco czysta, by powierzyć mi prawdę, myśli. Lecz kiedy lekarz się zbliża, a w ręku trzyma strzykawkę, widzi, że nie może mu wierzyć. Jego oczy to piwnego koloru oczy ojców. Tętno jej skacze, ale musi pozostać niewzruszona.

Postawi sprawę jasno, będzie uprzejma.

– Nie wyrażam zgody, by stosował pan na mnie swoje igły. Niczego nie podpisywałam.

On pstryka w strzykawkę grzbietem paznokcia.

– Nie musiałaś – mówi jej doktor, który stoi teraz obok pierwszego mężczyzny.

Jej doktor trzyma ją za rękę. Patrzy na nią, w nią. Ona czuje ból w udzie. Otwiera usta, lecz nie może krzyczeć ani mówić. Oczy jej doktora są nagimi kałużami słońca. Szpikulce do lodu dźgają ją od stóp do głów, a ona wpada do tunelu, studni, czarnej i tak zimnej, że nie może przestać się trząść. Zęby jej szczękają i stukają. Nie potrafi zlokalizować siebie w tym bezgwiezdnym wirze. Jest nikim, nikim. Nigdzie nie potrafi się odnaleźć.

Z trudem chwytając powietrze, otwiera oczy wprost na jego straszne, pozbawione powiek spojrzenie, wprost na jego hipnotyczne zaklęcie. Jej moce nijak mają się do jego mocy. Jest czarnoksiężnikiem i pożarł jej serce. Zamyka oczy pod presją jego wzroku, lecz on jest w jej wnętrzu albo ona jest w nim, jej poddanie jest całkowite. Należy do niego.

Doktor rozpina jej pasy. Przespała noc czy tydzień? Nogi ma tak ciężkie, że musi się mocno sprężyć, by poruszyć palcami.

– Więc już się czujesz lepiej? – pyta, pomagając jej usiąść. Kładzie kciuk pomiędzy jej zwiotczałe wargi, pomiędzy jej zęby, tak delikatnie, że ona czuje ciepłe pulsowanie pomiędzy udami, zaciska usta na jego kciuku i ssie. On wciska go głębiej, jego piwne oczy są łagodne, niemal delikatne, a potem go wysuwa. – Wydaje się, młoda damo, że schowałaś pazurki?

Podaje jej rękę – rękę ojca – a ona ją ujmuje.

Weranda jest cała oszklona. Stoi tam biurko, kanapa, stolik, na którym znajduje się wazon pełen róż i salaterka z cytrynami. Ona siada na kanapie i zjada wszystko, co przynosi jej Jose – chleb, krakersy, mleko, jagody. Słońce łukiem przesuwa się po niebie, jakby dzień trwał tylko godzinę. Wpatruje się w przemieszczające się światło, doskonałe jak matematyka, i czuje,

jak wnika w jej pory. Och, jak bardzo stęskniła się za słońcem! Niczemu się nie opiera. Nienasycona, zjada cytryny, skórkę i całą resztę. Godzinami wpatruje się w róże, wodzi palcami po ich gładkich łodygach, zanim do niej dociera… ktoś pozbawił je kolców.

Obok niej na kanapie leży torebka. Odpina zatrzask i oto rozwiera się ciemny otwór. Wyjmuje ze środka złotą tubkę. Kiedy ją obraca, wysuwa się z niej laska czerwieni. Przeciąga nią po wargach i z tyłu na języku osadza się metaliczny zapach, który o kimś jej przypomina. Przebłysk ledwie, przelotny duch z owego drugiego życia, którego w ogóle mogło nie być. Nie jest już pewna.

W torebce jest kieszeń, tajna skrytka.

Rozgląda się, dyskretnie, by mieć pewność, że nie jest obserwowana, rozpina zamek i znajduje dwa paszporty wetknięte jeden w drugi, a ich strony są jak palce splecionych dłoni. Otwiera ten w środku.

Brytyjka. Leonora Carrington *głosi wpis. Oto dziewczyna o pełnej twarzy, bezczelny, naiwny uśmiech, niezachwiany wzrok, a jej pewność siebie… wygląda, jakby miała rzucić wyzwanie całemu światu. Drugi paszport należy do* Maksa Ernsta. *Przygląda się mężczyźnie z białymi włosami i pustą twarzą, oczy ma wąskie i skupione, jakby czegoś się obawiał. Wpatruje się we wstemplowany na wszystkich stronach symbol – orła trzymającego czarnego pająka, kwadrat z czterema brakującymi fragmentami w kształcie prostokątów. Wpatruje się, dopóki nie widzi niczego poza tymi brakującymi elementami. To korytarze… każdy z nich przecina się z innym, a każdy kierunek to sytuacja bez wyjścia.*

Słysząc równy krok doktora, na powrót wsuwa paszporty do kieszeni. Jej palec natrafia na coś ostrego – szpilkę srebrnej broszki, spirali, którą szybko przypina sobie do sukienki. Śledzi jej bieg, od środka, ruchem wskazówek zegara, i czuje, jak otwiera się jej serce, i wydaje się jej, że rozumie. Doktor w nagrodę pogładzi ją po głowie. Może znów włoży jej kciuk do ust. Na tę myśl przebiega ją prąd i ślini się, myśląc, jak by też mogła sprawić mu przyjemność. Przekona się, że dobra z niej córka, i wskaże jej sposób na opuszczenie tego świata.

Kiedy on wchodzi na werandę, ona dyga długo i nisko. Na widok jej czerwonych ust uśmiecha się, lecz kiedy spostrzega spiralę, odpina ją grubymi, niezgrabnymi palcami.

– Jose mógł pomyśleć – mówi i wkłada ozdobę do kieszeni.

Teraz, kiedy jest już poskromiona, pozwalają jej spać bez pasów.

Przechadza się po ośrodku w towarzystwie Frau *i dziwi się na widok budynków innych niż jej własny. Jeden z nich miga jej między drzewami w sadzie. Bryza niesie śmiech dobywający się z wysokich, pozbawionych krat okien.*

– Co to za miejsce? – pyta.

– Tutaj się przeniesiesz, kiedy wydobrzejesz – mówi Frau. *– Nazywamy to miejsce* Abajo.

– Dół? – Ta ostoja radości i wolności, to Abajo, *przyzywa ją. Biegnie ku niej, pewna, że droga powrotna jest gdzieś tam w środku. Miała rację, ten inny świat może znajdować się powyżej, ale żeby tam dotrzeć, musi wniknąć pod powierzchnię rzeczy. Gałka u drzwi zrobiona jest z kryształu, który rozsiewa tęcze. Trzyma ją w ręku.*

Lecz kiedy przekręca gałkę, Frau *ją powstrzymuje.*

– Na tyle to jeszcze nie wydobrzałaś.

Pewnego ranka jakaś kobieta, która wygląda zupełnie jak jej Niania, powłócząc nogami, wchodzi do jej pokoju. Ma na sobie szarą chustę, jaką nosiła Niania, lecz ta kobieta jest starsza, chudsza i dużo bledsza.

– Tulipanku! – woła, a ona rozumie, że to naprawdę Niania, tutaj, w tym dziwnym świecie.

– Nianiu, jak się tutaj dostałaś?

Siada na krześle Frau.

– Okrętem podwodnym – mówi. – To część floty Royal Navy.

– Oczywiście! – Jakżeby inaczej miała do niej dotrzeć tu, do tej podziemnej krainy?

– Podróż trwała wiele dni. Było okropnie – mówi.

Nie tak okropnie jak tutaj, myśli dziewczyna, mając nadzieję, że Niania zabierze ją z powrotem z sobą, chociaż gdzie jest to „z powrotem”, co to jest to „z powrotem”, stawało się coraz bardziej tajemnicze, sen, który przypomina sobie jedynie wtedy, kiedy śni.

Prawa ręka Niani drży, kiedy wyjmuje ją z kieszeni, by poklepać ją po ramieniu.

– No dobrze, opowiedz mi, jak się to wszystko stało. – Gestem wskazuje prosty, biały pokój.

Dziewczyna bierze ją za rękę, która w ten sposób drży mniej, lecz wiele jej nie mówi. Jakże miałaby to zrobić, skoro sama nie wie?

Kiedy Frau *przychodzi, by zabrać dziewczynę do biblioteki, przynosi czarną chustę, którą robiła na drutach, i narzuca ją dziewczynie na ramiona. Na widok* Frau*, kobiety, która ją zastąpiła, Niania robi grymas niezadowolenia. Podoba się to dziewczynie, która żwawo zaczyna dzień, pełna mądrości rodem z przysłów. „Nie od razu w Rzymie odważnym szczęście sprzyja”. I „Nie można nikogo uszczęśliwić na siłę, nie brudząc sobie rąk”.*

W rozświetlonej promieniami słońca bibliotece półki sięgają wysokiego sufitu, a sięgnąć po książki pozwala przesuwana drabina. Jest tutaj Don Kichot *i* Podróże Guliwera*. Są nawet* Kwiaty zła *Baudelaire’a. Książka, którą wręcza jej* Frau*, to* Filozofia lojalności*.*

– Dlaczego sama nie mogę wybrać sobie książki?

– Będziesz musiała zaczekać – mówi – aż doktor zdecyduje, że jesteś gotowa.

Dziewczyna bierze ją, ponieważ jakaś książka jest lepsza niż żadna, i idzie za Frau *na słoneczny pagórek, gdzie kobieta rozkłada koc i zostawia dziewczynę samą.*

Książka jest ciężka, a jej słowa jeszcze cięższe i nudne. Kiedy budzi się z drzemki, słońce jest już nisko, powietrze przenika chłód. Zastanawia się, jaki to jest miesiąc… Październik? Listopad? Mogłaby zapytać Nianię, ale czas jest tutaj inny i nie jest pewna, czy mogłaby jej o tym powiedzieć.

Wykrada się korytarzami w noc, a każdy jej krok jest bezdźwięczny. Odwiedza księcia Monako, który mieszka w sąsiednim pawilonie. Zapewnił ją, że zdobyła ten przywilej, ale nie do końca mu wierzy, i na każdym zakręcie spodziewa się, że jej doktor ją pochwyci, na nowo skrępuje pasami i zahipnotyzuje.

W swym pokoju książę pisze na maszynie. Ma okrągłe puzderko z papierosami; ona się częstuje.

– Korespondencja dyplomatyczna – mówi książę, tłukąc w klawisze.

Ona pali papierosa i studiuje pokrywające ścianę mapy. Oto mapa Francji i Hiszpanii. Wykonana czerwonym ołówkiem linia wyznacza trasę z południowej Francji przez Andorę do Madrytu i z powrotem na północ, do Santander, kawałka Hiszpanii położonego najwyżej, tuż nad morzem. Kiedy śledzi trasę palcem, dociera do niej, że w pokoju panuje cisza.

Książę przestał pisać.

– Coś ci to mówi? – pyta.

Ona przytakuje, choć nie wie dlaczego.

– Tutaj jesteśmy? – Wskazuje na Santander.

– Tak. Czerwona linia to twoja trasa – wyjaśnia on.

– Taka krótka? – pyta, próbując zrozumieć.

– Wszystko wygląda mikro, kiedy jest przyszpilone do ściany.

Obok mapy w szklanej gablotce znajduje się błękitny motyl. Jego skrzydła, które wyglądają jak celofan, są wielkie jak jej dłoń. Przypatruje się motylowi i widzi własną twarz odbitą w lustrze. Jedno oko połyskuje, a tutaj widać cień jej ust. Jakim cudem nie zwróciła na to uwagi wcześniej… w całym tym miejscu nie ma ani jednego lustra.

Kiedy obserwuje swe niewyraźne odbicie, widzi, że czułki motyla drgnęły. A może to tylko jej oko, mrugnięcie? Zdejmuje gablotkę z motylem ze ściany.

Książę wyciąga z maszyny kartkę i kładzie ją na stosiku listów.

– To Morpho. Z lasu w Meksyku.

Ona odwraca gablotkę. W porównaniu z wierzchnią spodnia strona skrzydeł jest nijaka. Są brązowe i mają siedem złotych kółek, jak oczy. Książę poprawia monokl i spogląda na nią.

– Po to, by mógł sobie odpocząć i pozostać niezauważony.

Ona unosi ramię do światła, by mógł dojrzeć, że skrzydła motyla drżą.

– Widzi pan?

– Oczywiście, ma chérie, *ale nie wolno ci mówić o takich rzeczach nikomu innemu. Musisz nauczyć się trzymać to, co widzisz, i to, co wiesz, dla siebie.*

– Powinniśmy stłuc szkło, żeby mógł oddychać i był wolny!

– Nie przeżyłby w Hiszpanii. Za zimno i za sucho. Tylko w Meksyku – wyjaśnia książę, wysuwa z pudełka od zapałek szufladkę ze starym ekskrementem i dotyka go lekko gestem, jakim by można pogładzić jaszczurkę.

– To Lis? – zgaduje ona.

Lecz on tylko szeroko się uśmiecha.

Frau *trzyma w swej tłustej, piegowatej pięści listę. Książki, których doktor zabronił dziewczynie czytać. Lecz biblioteka jest pełna książek. Powinna móc znaleźć choć jedną dobrą powieść. Z górnej półki wyjmuje* Podróże Guliwera, *ale* Frau *znajduje ją na liście. Zdejmuje* Don Kichota, *który również jest na liście. Ale oto* Po drugiej stronie lustra, *aż piszczy, że ją znalazła.*

Oczywiście! – myśli, trzymając ją w ręku. Przeszła przez lustro, jest teraz w jego wnętrzu. To dlatego nikt nie może jej pomóc uciec. Nie wiedzą, jak się wydostać. Ale ta książka wskaże jej drogę.

Głowa Frau *tyka, od prawa do lewa. Pokazuje jej tytuł, pierwszy na liście… jakby doktor wiedział, co najbardziej będzie chciała przeczytać. To nie w porządku, myśli, a może powiedziała to na głos? Sądząc po wyrazie wybałuszonych oczu* Frau*, wydaje się, że to wręcz wykrzyczała. No cóż. Ma dość. Wymaszerowuje z biblioteki z książką w ręku.*

W pobliżu swego pokoju słyszy głos doktora. Niania mówi coś o „życzeniach pana Carringtona”. Dziewczyna przystaje. Kto to jest pan Carrington? Ojciec dziewczyny, której paszport jest w jej torebce… ta pozostałość z tego innego świata?

– Mogę zabrać ją z powrotem z sobą – mówi Niania.

Z powrotem? – zastanawia się dziewczyna. Na zewnątrz lustra – z pewnością, ale z powrotem… dokąd?

Wkraczając do pokoju, wyciąga książkę w kierunku don Luisa.

– Proszę mi podać jeden powód, dlaczego nie powinnam tego czytać. Na miłość boską – zwraca się do Niani. – Czytałaś mi to, kiedy miałam sześć lat!

– Otóż to – mówi don Luis. – Nie powinnaś uciekać się do dziecinady, młoda damo.

– Odmawiam uznania pańskiej władzy nade mną.

Jej głos jest kategoryczny. Dobywa się z ziemi, po której stąpają jej stopy, dobywa się z jej trzewi, gdzie mają siedzibę jej moce. Nie będzie tolerowała tej protekcjonalności, tej obrazy dla jej inteligencji. Jeśli chce, może ją zabić, ale ona nie da przyzwolenia. Nie będzie niczyją młodą damą.

– Nie jest pan moim właścicielem. Mojego życia wewnętrznego nie będzie pan kontrolował.

Odchodzi z książką w ręku, po drodze chwytając rękę Niani i ciągnąc ją z sobą. Lecz doktor trzyma jej drugą rękę i ciągnie. Niania też ją ciągnie, jakby mieli rozedrzeć ją na pół. Ramiona przeszywa jej ból. Puszcza szew sukienki. Niania leży na ziemi, a doktor zabiera dziewczynę tam, gdzie chce, by się znalazła. Ona wie, co z nią zrobi, i nie stawia oporu.

Jest ponad to.

Przywiązuje ją pasami do łóżka. Przy nim pojawia się inny doktor, ten sam co przedtem, i ona wie, że tak naprawdę są jedną osobą – lub że jej doktor jest dwoma. Jest tym mężczyzną, który się uśmiecha i trzyma ją za

rękę, i tym człowiekiem z czarną torbą i strzykawką, który ma zbadać jej krew, żeby sprawdzić, czy ona wciąż jest tylko dziewczyną, żeby upewnić się, że nie zmieniła się jeszcze w wiedźmę. Czuje ukłucie i wpada, jak przedtem, w bezdenne studnie jego oczu, lecz tym razem zamyka swoje przed nimi i modli się, by jej tutaj nie znalazł, w ciemności, by nie wydarł jej woli z podszycia jej wnętrzności, jak zębów wyrywanych z dziąseł.

Wirując, spadając, bez jednego świadka, wyczuwa w mroku nić wolności. Jest maleńka. Pojedynczy błyszczący włos. Wyciąga po niego rękę.

Na krześle przy jej łóżku Niania łka.

– Tulipanku, mój tulipanku! Co oni zrobili?

Dziewczynie brakuje słów, by to wyjaśnić. Chciałaby wypłakać się jej na piersi, jak robiła to niegdyś, lecz kiedy Niania otwiera ramiona, to choć nie jest przypięta pasami, dziewczyna nie jest w stanie się do niej przytulić. Ciepło Niani to magnes, który ciągnie ją do domu, z powrotem do pana Carringtona, jej ojca. A ona zna prawdę. To ona jest dziewczyną w paszporcie. Ona jest Leonorą Carrington, a gdyby miała pojechać z Nianią, nigdy nie byłaby już wolna.

– Musisz mnie zostawić – mówi.

Głowa Niani opada jak więdnący kwiat, a dziewczyna czuje, że razem z nią odchodzi odwieczne poczucie winy.

Otwiera drzwi na światło słońca. W końcu znalazła się w Abajo.

W dniu, w którym Etchevarria czuje się na tyle dobrze, by z nią porozmawiać, powietrze jest chłodne, gałęzie jabłoni nagie. Szczelniej owija ramiona chustą. Jose, który idzie obok niej, podaje jej papierosa, a kiedy się pochyla, by go zapalić, ona zachwyca się, jaki on śliczny, włosy ma tak czarne jak sweter pod kitlem.

Zostawia ją, kiedy dochodzą do pokoju księcia. Drzwi są otwarte, a wewnątrz, na niskim wyścielanym taborecie siedzi wyprostowany mały mężczyzna ze srebrną brodą i w czarnym berecie. Ma skórę koloru żyznej gleby i ręce rzeźbiarza, które poruszają się, kiedy mówi do księcia niskim i łagodnym głosem. Na jej widok podnosi się o lasce. Zrobiona jest z kości słoniowej rżniętej w sceny leśne, uświadamia sobie, kiedy pochyla się, by z bliska przyjrzeć się małpom i ptakom.

– Siadaj, moje dziecko – mówi.

Książę stuka w swą maszynę do pisania. Może to ten rytm coś w niej budzi, a może to uprzejme słowa Etchevarrii i sposób, w jaki jego ręka ujmuje jej dłoń – nie na tyle mocno, by nie mogła jej cofnąć, acz wystarczająco, by okazać szczerość – lecz czuje się tak, jakby znalazła się na szczycie wielkiej grani, wzgórza, na które się wspięła, by spojrzeć dalej niż dotychczas, w przeczystym powietrzu.

– Wkrótce stąd wyjedziesz – mówi.

Czuje poruszenie w piersiach. Jak bardzo chciałaby wierzyć, że to prawda.

– Ale jestem teraz w Abajo *– mówi, bo tutaj, w jego obecności, jest szczęśliwa.*

On skubie brodę i pociera kciukiem jej dłoń.

– Abajo *to pawilon dla obłąkanych, a ty, moja droga, nie jesteś obłąkana. – Ona opowiada mu o dzikich koniach na wzgórzach Andory, jak pozwalały jej dotykać swych pysków, lecz on jedynie chichocze. – Oczywiście, że mówisz językiem zwierząt. Jesteś bratnią duszą.*

Nachyla się do niego, bardzo blisko, i – na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał pod drzwiami – szepcze:

– Ale jak mam uciec mojemu doktorowi? Jego magiczne moce są potężne. – Zwierza się ze swego pociągu do don Luisa, jak jego kciuk w jej ustach spowodował, że go zapragnęła. – Dlaczego miałabym odczuwać żądzę w stosunku do kogoś tak odrażającego?

– Żądza to władza – mówi Etchevarria łagodnie. – A w tym przybytku jesteś bezsilna. Z niego to kawał bydlaka. Lekarz, który żeruje na swej władzy nad pacjentami.

– A napady, które on powoduje? Doznaję takich gwałtownych spazmów.

– Kardiazol – wyjaśnia. – Wstrzyknął ci lek. On nie ma żadnych mocy.

Książę przestaje pisać. W słońcu dziewczyna widzi wszystko wyraźnie. Spogląda na ścianę, zaznaczona czerwonym ołówkiem jej podróż, trasa z Francji przez Hiszpanię aż tutaj. Na widok Madrytu przypomina sobie swój plan uwolnienia świata od despotycznej władzy ojców – Hitlera i Franco, i tego okropnego człowieka, Van Ghenta. A co, jeśli to M w słowie „Madryt" miałoby oznaczać mnie? – myśli.

A jeśli świat jest, jaki jest, a to ja muszę się zmienić?

Obok mapy nieruchomo w gablotce tkwi motyl. Książę zdejmuje ramkę z haczyka i podaje jej.

– Zabierz z sobą – mówi. Pokój nagle wydaje się smutny i mały. – Do domu, do Meksyku.

– Nie wybieram się do Meksyku – odpowiada, lecz książę nie chce wziąć motyla z powrotem.

Słychać pukanie.

– Czas na lunch – oznajmia Jose.

Oczy Etchevarrii błyszczą.

– Masz na niego chrapkę, co? – szepcze.

– Och! – szczebiocze. – Jeszcze jak!

W sadzie zaciąga Josego za drzewo i całują się, aż Frau, *która przechodzi w pobliżu, cmoka w ich stronę, a oni ocierają usta i odchodzą, dzieląc się papierosem.*

Tego wieczoru Niania przychodzi do jej pokoju, oczy ma napuchnięte i czerwone.

– Jutro wyjeżdżam – mówi.

– Och, Nianiu. – Dziewczyna głaszcze łóżko obok siebie i Niania siada. Jej ciało przypomina worek mokrego piasku. – Nigdy ci nie podziękowałam. Nie dość.

– Ale to moja wina – zacina się i duka Niania. – To magiczne spojrzenie na świat. Opowiadałam ci te historie, kiedy byłaś jeszcze za mała, żeby wiedzieć, że to tylko historie.

– Masz na myśli sidhe?

Niania kiwa głową. Płyną jej łzy. Słońce zaszło i w półmroku przedmioty w pokoju – krzesło i biurko, niezapalona lampa i oparty o nią błękitny motyl – przychodzą i odchodzą, są tutaj i ich nie ma. Niania drży. Dziewczyna widzi, jak z jej spódnicy zerkają duszki, przezroczyste i promieniejące. Słyszy ich poszeptywania, ich prastary język zamglony jak brzegi Irlandii.

– Nianiu! – woła i już ma jej powiedzieć, kiedy skrzydła motyla drżą. – To nie jest taka zła rzecz – mówi i odwraca motyla, teraz więc widać prosty brązowy wzór.

Przy drzwiach Niania przystaje.

– Depeszowała twoja matka. Masz kuzyna w Santander. Chirurga. Spotkam się z nim jutro przed wyjazdem. Być może zdoła cię stąd wydostać. To nie jest miejsce dla ciebie, Tulipanku.

Pomimo sprzeciwów jej doktora kuzyn spotyka się z nią w bibliotece. Frau *przynosi im herbatę, a oni gawędzą o rodzinie i szkołach z internatem, i marmoladzie. Jest od niej nieco starszy, ma ciemne włosy i oczy zielone jak oczy Josego. Dopijając herbatę, kuzyn zapisuje coś w swym notatniku.*

– Znam ambasadora w Madrycie. Wyjdziesz stąd w ciągu tygodnia – mówi, a ona słyszy, jak Jose, który ustawia na półkach stos książek, gdzieś tam za nią pociąga nosem.

Wstaje przed wschodem słońca i wynosi motyla do ogrodu, gdzie siada na trawie. Jest sama i nie sama. Kiedy unosi się zasłona nocy, widzi wszystkie te stworzenia, które istnieją jedynie w półmroku. Patrzy, jak migocą – duchy kobiet o kocich twarzach, duchy mężczyzn o ptasich twarzach – patrzy, jak zacierają się do postaci kawałków nocy pochwyconych, nieruchomych, w kącikach jej oczu, dzięki czemu, kiedy rozpoczyna się ptasi śpiew, ona jest już pełna witalności. Ptaki nawołują się w jej wnętrzu.

Ustawia gablotkę motyla tak, że szkło odbija słońce, i kiedy zasłania jej tył czarnym materiałem spódnicy, może dojrzeć swoją twarz unoszącą się w powietrzu za motylem. Twarz wspak. Duże, ciemne oczy, mocno zaciśnięte usta, jakby usiłowały zatrzymać jakąś tajemnicę. Przesuwa opuszkami palców po zapadniętych policzkach, by mieć pewność, że należą do niej. Pomiędzy brwiami znajduje zmarszczkę, której tam nie było. Sprawia wrażenie, jakby przez dłuższy czas koncentrowała się na jakimś problemie. A ponieważ nie może sobie przypomnieć, co to było, zastanawia się, czy przypadkiem go nie rozwiązała.

NAPOLEON W DZICZY

Czerwiec 1941, Lizbona

Max ubiera się w ciemnościach wczesnego poranka. Choć nigdy nie był rannym ptaszkiem, szczerze polubił tę chwilę chłodnego powietrza i ciszy przerywanej jedynie niewyraźnym pogwizdywaniem jakiegoś przechodnia lub warkotem sporadycznie przejeżdżającego samochodu.

Jest w Lizbonie od trzech tygodni, czekając na przyjazd Peggy, i chociaż skończyły mu się pieniądze, osiągnął coś na kształt spokoju, jeżeli spokojem można nazwać swego rodzaju próżnię, całkowitą pustkę, którą raz po raz może wypełnić światło. Chociaż przez większość czasu chodzi głodny, nie bardzo może powiedzieć, że do niej tęskni, nie, jeśli ma być szczery. Brakuje mu tego, w jaki sposób się o niego troszczy, dogląda, by dobrze zjadł i aby ubrania, które nosi, na niego pasowały. Teraz, kiedy Peggy jest już w drodze, w pociągu z Marsylii, który przywiezie ją po południu, czuje w powietrzu zmianę, jakby zbierało się na burzę po długim okresie suszy, a on może już wręcz posmakować deszczu.

W maleńkim pokoiku w pensjonacie – za który będzie w stanie zapłacić, kiedy ona przyjedzie – zapina guziki niewypranej płóciennej koszuli i przygląda się, jak pierwsze promienie słońca rozpalają okna kamienic po drugiej stronie bulwaru. Śniła mu się Leonora i obudził się z ciężkim bólem w klatce piersiowej. Sen tak prawdziwy, głos i śmiech dokładnie jej, wydaje mu się, że musi tutaj być, w Lizbonie, tak jak zaplanowali. Fakt, że rok później, ale jednak jemu udało się tutaj dotrzeć. Dlaczego i ona nie miałaby tutaj dojechać? To znaczy – gdyby żyła.

Całymi dniami chodzi po ulicach, przepatrując twarze wszystkich smukłych ciemnowłosych kobiet, przekonany, że gdy tylko skręci za róg, ona tam będzie, promieniejąca inteligencją i tajemnicą, jakimś cudem nietknięta uściskiem tej wojny. Bo nie wyobraża sobie, by miała się zmienić. Gdyby miała wrócić przygaszona, pomniejszona, oznaczałoby to, że faszyści odnieśli zwycięstwo, skradli ich kreatywność, ich radość… nie nazwała tego przypadkiem ikrą? Znaczyłoby to, że jego młodość, a nawet jej odblask byłyby stracone, a on miałby przeżyć resztę swoich dni w ich cieniu.

Wczoraj poszedł za jakąś kobietą od fontanny w starej części miasta przez labirynt wąskich uliczek, aż udało mu się zerknąć jej w twarz. Kobieta, która – uświadomił sobie – nie była Leonorą, spojrzała na niego tym samym nieobecnym wzrokiem, jaki Leonora często miewała na zdjęciach, jakby przyglądała się jakiejś odległej rzeczy, którą tylko ona potrafiła dostrzec. A potem otworzyła drzwi jakiejś kamienicy i zamknęła je za sobą.

Wkładając spodnie, przygląda się, jak wstaje miasto. Chłopiec na rowerze płoszy w niebo stado gołębi, które – przypominając sobie, że są ptakami zdolnymi do lotu – z trzepotem skrzydeł wznoszą się na linię telefoniczną, a kiedy collie, który ciągnie za sobą starszego mężczyznę, przystaje, by zaszczekać na ptaki, kobieta pchająca wózek z tulipanami zatrzymuje się, by porozmawiać ze starszym mężczyzną w ów niezobowiązujący sposób, w jaki ludzie rozmawiają z sobą, kiedy od zawsze są sąsiadami. Maksowi wydaje się, że kobieta zna mężczyznę przez całe życie.

Scenka ta wywołuje na jego twarzy uśmiech. I łapie się na tym, że myśli o Niemczech, o Kolonii, mieście dadaizmu, i o mieszkaniu, jego i Lou, które służyło za centrum ruchu – całonocne imprezy, tańce, hałaśliwe dyskusje i cała ta beztroska. Kochana Lou. Przed tą wojną, a i przed tamtą, poprzednią, spacerowali wzdłuż pola tulipanów, żółtych i różowych, czerwonych i białych. Byli wówczas studentami. Pławili się w uderzającym do głowy zapachu, byli młodzi i nieśmiertelni, rozprawiali o Dürerze i Goi, jakby byli pierwszą parą ludzi, którzy ich odkryli. A potem myśli o tym, co Lou powiedziała mu w Marsylii, aż musi przysiąść.

Po owym spotkaniu z Varianem Fryem, na którym odmówiła wyjścia za niego za mąż, mimo iż miało to pozostawać tylko na papierze, a dla niej oznaczałoby bilet do Ameryki, wyszli z biura razem. Na chodniku wyjęła z torebki papierosa; jego też poczęstowała. Stali w słońcu, palili, a dzień był zbyt łagodny jak na kwiecień, zbyt jasny, więc to, co nastąpiło później, spowodowało, że cały świat wydał się niedorzeczny.

– Gdybym miała cię już nie zobaczyć – powiedziała rzeczowym tonem. – Gdyby mnie złapali, zamknęli w obozie dla Żydów, powinieneś chyba wiedzieć. Kiedy zostawiłeś Jimmy’ego i mnie, byłam w ciąży. To było twoje dziecko.

Stał tam jak idiota.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – wydusił pytanie.

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok, gdzieś w głąb ulicy.

– Nie chciałeś być ze mną. Pozbycie się twojego dziecka było ceną twojej wolności. – W oczach miała łzy.

– Ale – zaczął, nie dał rady jednak dopowiedzieć reszty. Nie mógł nawet powiedzieć jej, że być może by został. – Przepraszam – powiedział.

Z typowym dla niej stoicyzmem opanowała łzy.

– Nie rozumiesz? Twoje odejście oznaczało przestrzeń dla mnie samej. Znowu miałam miejsce we własnym domu. Dowiedziałam się, do czego jestem zdolna.

– Zawiodłem cię.

Jeszcze raz ucałowała go w oba policzki, uśmiechnęła się swym najsmutniejszym uśmiechem i pomachała mu na pożegnanie, tak jak to zawsze miała w zwyczaju.

To była prawda. Zawiódł ją, tak jak Marie-Berthe i Jimmy'ego, i Leonorę też. Zawiódł ich wszystkich.

Wzuwa i sznuruje buty. Wybiera się na targowisko na placu nad morzem. Jest tam pewna kobieta, sprzedawczyni owoców, która da mu koszyk drobnych, świeżych truskawek za cenę jednego z jego rysunków. Ma ich dzisiaj do wyboru pięć.

Idąc ulicami, na nowo budzi się do życia. Lizbona wydaje się jednocześnie i stara, i młoda, pobudzona oceaniczną bryzą i nie do końca budząca zaufanie. Podoba mu się tutaj. W takim mieście mógłby mieszkać, gdyby nie ta wojna, której oddech czuje na plecach.

Na rynku sprzedawczyni truskawek długo przegląda plik rysunków i wybiera w końcu szkic ołówkiem, na którym skrzydlaty mężczyzna, przypatrując się sobie w kałuży, widzi odbicie konia.

– *Obrigado* – mówi i oddaje mu pozostałe rysunki wraz z koszykiem truskawek.

Kiedy w drodze nad morze kluczy po targu, mijając stragany z kwiatami i warzywami, pomidorami, pomarańczami i rybami, zjada truskawkę. Truskawki nie wystarczą, by powstrzymać burczenie żołądka, ale są przepyszne, kwaskowate i słodkie; delektuje się każdą z osobna.

Na skraju rynku pewna kobieta sprzedaje jajka i żywe kurczaki. Jeśli kupi się kurczaka, ukręci mu na poczekaniu łeb i zapakuje do jutowego worka, razem z zakrwawionymi piórami i całą resztą. Max przygląda się, jak wykonuje swoją robotę tak naturalnie, jakby zawiązywała dziecku but

czy wycierała zasmarkany nos. I wtedy spostrzega kobietę, której to wszystko podaje.

Rozpuszczone ciemne włosy, grube jak włosy Leonory, lecz rysy twarzy bardziej wyostrzone. Ma na głowie szerokoskrzydły czarny kapelusz z woalką, która zakrywa oczy, lecz mimo to widzi, że kobieta jest starsza, ma surowszy profil, niczym któraś z owych nauczycielek z czasów jego młodości, które tak biegle posługiwały się linijką. Zaciśnięte szczęki, usta jak zasznurowane, nie uśmiecha się. A mimo to jest piękna, jej skóra tak alabastrowa, że mogłaby uchodzić za marmur. Patrzy, jak kobieta płaci handlarce i wkłada kurczaka do koszyka. On zwraca się w stronę plaży, dokąd się wybiera, ale czuje, że nie może się ruszyć.

Kiedy odwraca głowę, kobiety już nie ma.

Grudzień 1940, Santander

Kiedy Jose żegna się na stacji, wciska jej w rękę paczkę papierosów. Wyjmuje coś z kieszeni. Przedmiot błyszczy w świetle i ona się orientuje, że to jej broszka w kształcie spirali, ta, którą kupiła od Cyganki w Madrycie.

– Don Luis ci to zabrał – mówi i przypina ją do jej sukienki, pod obojczykiem.

Przykłada sobie jego dłoń do policzka. Jose całuje ją swymi delikatnymi ustami, a ona czuje, jak w piersiach rośnie jej małe słoneczko, i żałuje, że nie może zabrać go z sobą. Dlaczego on nie może być jej opiekunem zamiast *Frau*, która kolebie się, gdy idzie, z głośnym cmoktaniem wysysa resztki spomiędzy zębów i sapie.

– *Es hora*.

– *Si*. – Zielone oczy Josego jaśnieją. – *Adios*, Leonoro.

Przyciska broszkę do piersi, by powstrzymać własne łzy. *Frau* bierze ją pod rękę i zawraca w stronę pociągów.

– *Adios*! – krzyczy, wyciągając szyję, by widzieć go dopóty, dopóki tłum nie zamknie się wokół niego i już go nie będzie.

Jest sylwester, popołudnie tak zimne, że aż bolą ją kości. Owija się chustą. Na pierwszy rzut oka *Frau* mogłaby uchodzić za jej ciotkę. Ubrane w jednakowe stroje z czarnej wełny przemieszczają się po stacji bezgłośnie jak cienie. *Frau* drepcze z walizką, lecz Leonora ma tylko swoją torebkę, bo walizkę dawno temu porzuciła w jakimś pokoju hotelowym w Madrycie. Roma, myśli i przypomina sobie. Hotel Roma, całe wieki temu.

Ludzie, których mijają, głównie pary, śmieją się i gawędzą. Wystrojeni na przyjęcia, gotowi przywitać Nowy Rok, mężczyźni wyglądają szykownie w czarnych garniturach i fedorach nasuniętych nisko na oczy. Jak błyski księżycowego światła suknie kobiet migoczą pod futrami z wiewiórek, piżmaków i bobrów, a Leonora musi z sobą walczyć, by ich nie pogłaskać. Przygląda się, jak młoda kobieta wspina się na palce, kiedy jej mężczyzna pochylił się, by ją pocałować, i myśli o Maksie, o tym, jak spotkała się z nim na stacji kolejowej w Paryżu. Jak to nie miała dosyć jego zapachu. Teraz go utraciła, nawet jego wyobrażenie nie ma klarownych granic. Cza-

sami czuje go za sobą. Słyszy cichutki gwizd, jak ptasi śpiew, lecz kiedy patrzy, gałąź jest pusta i jeszcze drży po tym, jak odleciał.

Wchodząc do pociągu, ma poczucie, że na nowo wkracza w czas. Zajmują miejsca. Siada przy oknie, a kiedy ruszają, wyciąga z torebki gablotkę z motylem i tak ją ustawia, by błękitne skrzydła błyszczały w świetle. Meksyk, powiedział książę. Lecz to przecież niemożliwe! Czy też może miała to być metafora? Meksyk jest ciepły, pełen kolorów i woni, a przynajmniej tak twierdził Breton, że jest bujny i nieprzewidywalny. Może jakiś kraj w jej wnętrzu jest Meksykiem. Zamyka oczy i czuje bicie pełnego miękkości i wilgoci serca.

Pociąg zatrzymuje się na stacji w Avili. Chłód nocy przesącza się przez okno i Leonora ciasno owija się chustą. Na sąsiednim torze stoi pociąg załadowany owcami, które ryczą w zimnym powietrzu. Ich beczenie jest upiorne, jak upiorni są ludzie, którzy je tu stłoczyli i pozostawili, by zamarzły. Żołądek przeszywa jej ból tych owiec i uświadamia sobie, że zaciska zęby, dłonie. Ludzie są potworni w stosunku do siebie, ale w stosunku do zwierząt są jeszcze gorsi. *Frau* chrapie i się ślini. Mogłaby wyślizgnąć się i uwolnić je, lecz to by oznaczało chaos, owce biegające po całej stacji, a ona – tego jest pewna – na nowo znalazłaby się pod kluczem. Zagryza więc tylko policzki i wbija paznokcie w dłonie.

Wreszcie pociąg z szarpnięciem rusza i mkną w ciemności. Cudowna prędkość, która uwozi ją od doktora i jego pustych oczu. Uwozi ją też od ślicznego Josego, który zwrócił jej małą cząstkę jej samej. Wodzi palcem po spirali i – kiedy tak *Frau* chrapie przy oknie – wypala jeden z cennych papierosów.

Pociąg zwalnia i zatrzymuje się. Są w Madrycie, inni pasażerowie wysiadają. Mogłaby wysiąść razem z nimi. Zniknąć w tłumie i być wolna. Ale nie ma nic. Żadnych przyjaciół, bez wsparcia rodziców nie ma też pieniędzy, a ci już zadbali o to, by *Frau* była przy niej. Wyczuwa w tym ojca. *Frau* jest warunkiem jej zwolnienia.

Leonora ją budzi. Po wyjściu ze stacji przywołuje taksówkę.

Do Ritza przyjeżdżają tuż przed północą. To ten sam Ritz co w sierpniu, kiedy hol był pełen kwiatów. Teraz rozświetlają go świece, płoną żyrandole. Przemierzając marmurową posadzkę w stronę kontuaru, zwalnia – przeszywa ją lodowate spostrzeżenie. Znów znalazła się w królestwie ojca i, jak poprzednio, on planuje ją tutaj zatrzymać, naiwną więźniarkę Ritza, aż

zdoła coś załatwić, znaleźć jakieś nowe miejsce, by ją w nim zamknąć. Nie dziwota, że nie padło ani jedno słowo, dokąd jedzie bądź co się teraz wydarzy. Martwi ją tylko to, dlaczego nie pomyślała, by zapytać.

Kiedy *Frau* je melduje, ona zachodzi do baru, gdzie rozlegają się radosne okrzyki, jakby ten nowy rok miał być lepszy, dużo lepszy niż poprzedni. Korki strzelają do sufitu, leje się szampan, stukają kieliszki.

– Za 1941! – ktoś krzyczy i wszyscy się całują. Pary kołyszą się w swoich objęciach, kiedy jazz-band zaczyna grać nowy utwór. Jeden mężczyzna przerasta wszystkich o głowę. Śniady, z czupryną białych włosów, jest pełen gracji, urodzony tancerz, i… jest znajomy. Leonora zna go, jest tego pewna. Okręca partnerkę i spogląda prosto na nią.

Renato de Luc! Przyjaciel Picassa.

Renato podchodzi wprost do niej i zgarnia ją w objęcia. Prowadzi ją do swego stolika, nalewa kieliszek szampana.

– *Dios mio* – mówi z uśmiechem. – Opowiadaj. Jak się masz?

Frau już ku nim pędzi, twarz ma jeszcze bardziej pobrużdżoną niż zwykle. Lecz szampan jest wytrawny i lekki, a Leonora czuje się dziewczęco, jest rozemocjonowana, niemal szczęśliwa.

– *Plus terrible* – odpowiada.

– Ale gdzie byłaś? Gdzie jest Max?

– Mamy już pokój. – Oczy *Frau* się zwężają, kiedy taksuje wzrokiem Renata. Owija pulchne palce wokół nadgarstka Leonory.

Leonora klepie ją po ręku, jakby była dużym krnąbrnym dzieckiem. Dopija szampana i opowiada mu – po francusku, żeby *Frau* nie rozumiała – jak to Ojciec kazał ją zamknąć w szpitalu dla wariatów, jak Francuzi zabrali Maksa i zamknęli w obozie dla internowanych. – A teraz… może być wszędzie – mówi, próbując nie myśleć, że mógłby znaleźć się w rękach hitlerowców. – A ty… mieszkasz w…

– Lizbonie. Jestem tam w meksykańskiej ambasadzie.

– Och, Renato, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. – Wykręca się z uścisku *Frau* i zarzuca mu ręce na szyję.

Potrzebuje odpowiedniego ubrania; w bezkształtnej sukni z czarnej wełny mogłaby równie dobrze uchodzić za zakonnicę. Garderoba wymaga jednak pieniędzy, a to oznacza konieczność zwrócenia się do ludzi Ojca zamiast oczekiwania, że to oni zwrócą się do niej. Tak więc w towarzystwie *Frau* spotyka się z panem Gillilandem, szefem Imperial Chemicals w Madrycie,

który zorganizował jej pobyt w Santander. Rozmawiają w jego biurze, pan Gilliland siedzi za wielkim biurkiem i omiata ją wzrokiem.

– Zdajesz się być w o wiele lepszym stanie. Nadal zamierzasz zgładzić Hitlera? – Chichocze, jakby już sama jej obecność go bawiła. – Więc potrzebujesz garderoby? To powinno wystarczyć. – Przesuwa plik peset po blacie i chociaż Leonora wyciąga rękę, oddaje je *Frau*, która składa banknoty i chowa do biustonosza.

Zaprasza ją na kolację bez ogona w postaci *Frau*. Jego żona siedzi po przeciwnej stronie stołu, wyfiokowana i wymuskana, i tak zdenerwowana, że kiedy kelner przynosi Leonorze nóż do steku, wyrywa go jej.

– Ale jak ma teraz zjeść mięso, kochanie? – Pan Gilliland zabiera go żonie i oddaje z mrugnięciem.

Musi lubić ryzyko, bo często aranżuje różne okazje, by się z nią spotkać. Zabiera ją do zoo, do Prado, by obejrzeć prace Goi, a później, pewnego wietrznego wieczoru, do restauracji z białymi obrusami, kryształową zastawą, porcelaną i kelnerami ślicznymi jak Jose. Jedzą paellę i piją białe wino.

Odstawia kieliszek, bierze ją za rękę.

– Podobasz mi się. – Uśmiecha się, między dwoma przednimi zębami tkwi strzęp czegoś zielonego. – Dostałem polecenie od twojego ojca, by wysłać cię do sanatorium w Południowej Afryce, ale mogę cię przed tym uchronić. Możesz zostać tutaj. Urządzę cię w bardzo przyjemnym mieszkanku. – Jego ręka wędruje na jej udo, napiera. – Nic się nie martw, nie będziesz samotna, zdecydowanie nie.

To trzeba rozważyć. Kolejne sanatorium ją zabije. I tak miała mnóstwo szczęścia, że z tego udało się jej wydostać. Jeśli zostanie zesłana do Afryki, rodzina o niej zapomni – o co właśnie chodzi jej Ojcu – zapomnieć, że kiedykolwiek miał córkę. I może to zrobić. Ma pieniądze, ma możliwości i cóż miałoby go powstrzymać… z wyjątkiem chuci tego człowieka? Może powinna przyjąć jego ofertę. Mogłaby przeczekać wojnę i zorganizować ucieczkę, kiedy wszystko się ułoży.

– Pomyślę o tym – odpowiada i najlżejszym gestem z możliwych zdejmuje jego rękę.

Po kolacji, kiedy otwiera przed nią drzwi, a ona wychodzi na chodnik, silny podmuch wiatru zwiewa jej włosy na oczy. Grzechocze wielkim metalowym szyldem restauracji, i porywa go z zaczepów. Szyld z łoskotem pada u jej stóp. Gdyby była o krok bliżej, mógłby odciąć jej rękę albo głowę.

Odgarnia włosy i spogląda panu Gillilandowi w oczy.

– Moja odpowiedź brzmi „nie”.

Przed końcem tygodnia wszystko jest przygotowane. Na chodniku przed Ritzem *Frau* wyciera łzy za grubymi szkłami okularów. A Leonora, ku swemu zaskoczeniu, ją obejmuje… swą strażniczkę o figurze rzepy, która pomogła jej przejść przez najgorsze.

Gilliland zabiera ją na stację i wsadza do pociągu do Lizbony. Wręczając jej teczkę z potrzebnymi papierami – wizą wyjazdową i wjazdową, wszystko w najlepszym porządku – przebiega wzrokiem po jej piersiach i biodrach, dłużej zatrzymując się na jej nogach pod nową, sięgającą kolan spódnicą.

– Co za strata – wzdycha. – Cóż, sanitariusze będą cię ubóstwiać.

Rok temu pewnie dałaby mu w twarz. Teraz jedynie wsiada do wagonu, nie oglądając się za siebie. Kiedy pociąg rusza, patrzy prosto przed siebie.

Nie pojedzie do Afryki. Tyle wie.

Kurczowo trzyma motyla, swój talizman, jego skrzydła drżą pod szkłem. Meksyk, myśli, i zaraz potem, Renato.

Otwierają się drzwi do przedziału i konduktor prosi o bilety. Podaje mu swój, a kiedy mężczyzna go dziurkuje i oddaje jej, zwraca uwagę na datę. 2 kwietnia. Urodziny Maksa. Skończyłby dzisiaj pięćdziesiąt lat. Co oznacza, że za cztery dni ona będzie miała dwadzieścia cztery. Kartka z życiorysu zerwana i spalona. Ale Max, pięćdziesiąt? I oto w końcu jedzie do Lizbony. Brzmi to jak jakiś ponury żart, że przyjeżdża na tyle późno, iż kiedy o nim myśli, czuje pustkę. Jakby był zamknięty w jakimś pokoju w jej wnętrzu, a ona zgubiła klucz albo schowała go gdzieś przed samą sobą. Chciałaby ten klucz odnaleźć, otworzyć drzwi i wypuścić go, by na nowo stał się realny, stał się człowiekiem, a nie jej wyobrażeniem o nim, ulotnym jak duch. Tak, chciałaby, żeby wyszedł i odezwał się sam z siebie… choć nie ma pojęcia, co ona by mu powiedziała.

W Lizbonie wysiada z pociągu prosto w ręce surowej angielskiej świty z Imperial Chemicals. Mężczyźni w czarnych garniturach przypominają strażników. Jeden bierze jej walizkę, drugi torebkę. Krok w krok z nią idzie kobieta; przysadzista i krzepka, z łatwością dałaby jej radę.

– Masz szczęście, moja droga – mówi, podnosząc głos o oktawę, jakby chciała zabrzmieć uprzejmiej. – Przez kilka dni będziesz mieszkać w Esto-

ril, ślicznym miasteczku nad morzem.

– Wspaniale – wtóruje jej Leonora.

– Tak. Wszyscy tam będziemy – ciągnie kobieta, jak matka, która chce, by jej dziecko zaakceptowało jej kłamstwo. – Na jakiś czas – dodaje, zapewne chcąc być szczera.

Pakują się do taksówki. Na tylnym siedzeniu wciśnięta jest pomiędzy obu srogich mężczyzn. Kobieta siedzi z przodu, obok kierowcy. Słońce odbija się od budynków i krople potu spływają Leonorze z czoła i dalej, pomiędzy piersi. Jak się domyśla, jeden z mężczyzn ma w ręku strzykawkę i szykuje się, żeby zaaplikować jej środki uspokajające. Serce bije jej jak oszalałe. *Myśl. Myśl. Jesteś sprytniejsza od tych ludzi*. Musi spowodować, żeby się zatrzymali, żeby wyszli z samochodu.

Pochyla się w stronę kobiety.

– Wybacz, kochana – mówi, przyjmując typową dla klasy wyższej intonację, która dla jej ojca byłaby powodem do dumy. – To słońce to absolutny koszmar dla rąk. Muszę znaleźć jakieś rękawiczki na tę podróż i jakiś kapelusz.

W gorącej ciszy auto zamiera. Ona wstrzymuje oddech.

– Racja – mówi w końcu kobieta. – Dama musi mieć rękawiczki.

Mężczyźni niechętnie się zgadzają. Nie zarabiają wystarczająco dużo, by jeszcze chodzić na zakupy.

– Wyrzucimy was przy biurze i ja się nią w takim razie zajmę – oświadcza kobieta.

– To chyba nie jest dobry pomysł – odszczekuje jeden z mężczyzn, lecz ku wielkiej radości Leonory kobieta piorunuje go wzrokiem, a jej twarz to istna forteca powagi, z którą lepiej nie zadzierać.

W butiku Leonora znajduje prosty kapelusz przeciwsłoneczny i białe rękawiczki. Kobieta, której na imię Nancy i o której zaczęła myśleć jak o odległej angielskiej kuzynce *Frau*, sama przymierza kapelusze – wyszukane, cudaczne. Leonora mówi jej, że jest gotowa, a ponieważ Nancy jeszcze się nie zdecydowała, daje Leonorze pieniądze, by zapłaciła za swoje rzeczy. Jest ich akurat tyle, ile trzeba, więc wymienia rękawiczki na tańsze. Kiedy Leonora ma już w kieszeni trochę drobnych, ot, takie małe zwycięstwo, mówi, że umiera z głodu, że od Madrytu niczego nie jadła. Więc kiedy Nancy decyduje się na kapelusz – czarny filc, nisko osadzone, pochyłe rondo i pojedyncze czerwone piórko, coś, w czym, jak sobie Leonora wyobraża, stylowo wyglądałaby Leonor Fini, lecz zdecydowanie

nie ta kobieta – zachodzą do restauracyjki, która dzięki Bogu jest wystarczająco duża dla jej celów.

Kiedy studiują menu, kelner przynosi chleb, masło i wodę, na które ona się wręcz rzuca. Jest naprawdę wygłodniała. Je tak szybko, że kolejny krok jest bardzo prosty.

– O Boże – jęczy. Cała roztrzęsiona chwyta się za brzuch i jak może, stara się nadać swojej skórze zielonkawy kolor. – Którędy do ubikacji?

Nancy, przerażona, że Leonora może zwymiotować tak jak stoi, wskazuje za siebie, na koniec restauracji, a ona chwyta torebkę i biegiem puszcza się w tamtym kierunku.

Okna w łazience są wysoko i są zbyt małe, by się mogła przez nie przecisnąć. Wygląda za drzwi. Przy ich stole na drugim końcu sali Nancy wpatruje się w menu, a rondo jej kapelusza zasłania jej widok Leonory. Teraz albo nigdy, myśli Leonora i puszcza się pędem w kierunku kuchni, wypada tylnymi drzwiami i biegnie do końca kwartału, gdzie skręca za róg i zatrzymuje taksówkę.

– *Embajada de México* – rzuca kierowcy. Krew pulsuje jej w uszach. Przeraźliwie wolno rusza spod krawężnika. Jest wczesne popołudnie, ruch niewielki, samochody przemykają obok. Jesteś prawie na miejscu, jesteś prawie na miejscu. Powtarza te słowa jak mantrę, kiedy jadą przez miasto, kierując się w stronę centrum. Nigdy wcześniej nie była w Lizbonie; budynki przywodzą jej na myśl Paryż, żelazne ślimacznice balkonów, mieszkania na poddaszach i dachy z czerwonej dachówki. Tyle że tutaj niektóre budynki są tak stare, że się rozpadają, a inne już są kupą gruzu. Opuszcza okno, wiatr znad oceanu smaga jej włosy.

Prawie na miejscu.

Ulice robią się coraz węższe, kiedy wjeżdżają do centrum miasta. Taksówka skręca w ulicę jednokierunkową, gdzie auta posuwają się w żółwim tempie. Szybciej byłoby piechotą.

– *Donde esta…*?

– *O amarelo*. – Kierowca wskazuje bladożółty budynek w połowie kwartału.

– *Bueno. Cuanto*?

Podjeżdża do krawężnika.

– *Sete* – mówi.

Daje mu garść escudo, wszystko, co ma, i przynajmniej dwa razy tyle, ile on żąda. Opierając się chęci, by pobiec, podchodzi do meksykańskiego

konsulatu i naciska dzwonek. Kiedy czeka, próbuje przypomnieć sobie jakąś rymowankę, która pomogłaby jej spowolnić bicie serca, lecz wierszyk, który przychodzi jej do głowy, tylko wzmaga jej niepokój.

Do ślimaka rzecze rybka: „Mógłbyś nieco żwawiej iść?

Tuż za nami bieży morświn, po ogonie depcze mi”.

Pięścią okrytą rękawiczką łomocze w bramę. Jakiś policjant przystaje na chodniku, żeby się jej przyjrzeć, a ona składa ręce na plecach i wpatruje się w swoje stopy.

Głowa jej pulsuje. Otworzą. Ktoś przyjdzie, jeśli zaczeka. Podest pokrywa czarno-żółto-zielona mozaika maleńkich kwadratowych kafelków. To labirynt, uświadamia sobie, czarny labirynt przybrany zielenią i żółcią, a ona jest w środku. Spogląda za siebie i widzi, że chodniki tworzą dywan barwnych mozaik, jedna za drugą. Jakim cudem nie spostrzegła, że stąpa po dziele sztuki?

Policjant, dzięki Bogu, już sobie poszedł.

Drzwi się otwierają.

– Señorita? – mówi młody mężczyzna, z wąsem i w czapce na głowie.

– Czy mogę wejść?

– *Por que?* – Prostuje się i spogląda na nią z góry.

– Szukam Renata Leduca – mówi po hiszpańsku. – Jest tutaj?

– Nie ma go. Proszę przyjść później. *Un momento*. Dam pani jego wizytówkę. – Zamyka drzwi.

Na ulicy policjant zawrócił i wolno zmierza z powrotem w jej stronę. Kiedy mężczyzna otwiera drzwi, by podać jej wizytówkę, ona przekrada się obok niego do wnętrza ambasady.

– Zaczekam. – Siada na jaskrawoniebieskiej kanapie pod oknem. – Nie będę przeszkadzała.

– Ależ señorita, dlaczego nie zostawi mu pani wiadomości? Zadzwoni do pani do hotelu.

Widzi, że policjant zapala papierosa i opiera się o pobliską latarnię.

– Policja mnie szuka – mówi i sama wyjmuje z torebki papierosa.

– Ach, rozumiem, señorita. – Mruga do niej. – Może pani tu zaczekać na Renata.

Godzinę później wchodzi Renato. Rozpromienia się na jej widok. Po drodze do jego biura opowiada mu o swojej ucieczce i o miejscu, do którego Ojciec planuje ją wysłać. Ręce jej się trzęsą i Renato bierze je w swoje spokojne dłonie.

– Wyjdź za mnie – mówi. – Będziesz miała immunitet dyplomatyczny. Twój ojciec nie będzie mógł nic zrobić.

Jego piwne oczy są nieruchome. Tym oczom może zaufać. W ich brązie dostrzega plamkę zieleni. Podoba jej się, jak pobłyskuje w promieniach słońca.

– Pojedziemy do Ameryki?

– Pojedziemy. Ameryka, a potem, być może, Meksyk. Myślę, że by ci się tam spodobało.

Nie udaje, że to, co czuje, co, jak zwykle w takich przypadkach, doprawione jest desperacją i euforią, to miłość. Czuje coś, czego potrzebuje nawet bardziej, ulgę tak ogromną, że całe jej ciało słabnie. Jest jednym z jej braci, silnym starszym bratem, który ochroni ją przed światem. Obejmuje ją, a ona pozwala sobie wypłakać się w jego ramionach.

Czerwiec 1941, Lizbona

W poszukiwaniu ciemnowłosej kobiety Max pospiesznie przechodzi przez rynek, mija stragan, na którym kupiła kurczaka, a potem zniknęła. Skręca za róg i spogląda w kolejną krętą alejkę pełną kramów. Jest zatłoczona, w większości kobietami; lawiruje między nimi, wypatrując jej koronkowej bluzki, czarnej spódnicy i kapelusza, jej ciemnych włosów.

Odwrócił się tylko na sekundy. Nie mógł jej zgubić.

Przystaje, by złapać oddech, i spostrzega, że z powrotem znalazł się w miejscu, w którym zobaczył ją po raz pierwszy. A oto i ona sama, u boku kołysze się jej koszyk, spódnica zamiata zakurzoną, pokrytą mozaiką alejkę i zaciera jej ślady. Zatrzymuje się przy straganie z włoszczyzną, burakami i ziemniakami, a on podchodzi bliżej. Staje tuż przy niej i bierze do ręki buraka. Udaje, że mu się przygląda, i rzuca ukradkowe spojrzenie. Ich ramiona się muskają, a jego przeszywa prąd.

Zwraca twarz w jego stronę, mruży oczy, piwne oczy podkrążone ciemnymi fioletowoczarnymi obwódkami kogoś, kto nie śpi dobrze od miesięcy, a może lat.

– Max? – mówi, unosząc woalkę. Oczami szuka jego wzroku. To oczy wróżki, czarodziejki. Czuje mrowienie nerwów, jakby jego ciało od roku pogrążone we śnie na nowo wracało do życia. Ma wrażenie, że gdyby tylko miała mrugnąć, mógłby razem z nią zniknąć, ochoczo.

– Nora? – Świat wiruje wokół nich. To ona. Odnalazł ją.

Jej twarz się rozjaśnia, jakby to on powrócił ze świata umarłych, a on widzi, że to naprawdę jego szalona dziewczynka.

– Ach, Nora! – krzyczy z radości, upuszcza koszyk z truskawkami i zarzuca ręce na jej drobne ciało.

Ujmuje go wolnym ramieniem, lecz pozostaje dziwnie sztywna, w ręku nadal trzyma koszyk, jakby nie znaczył dla niej więcej niż jakiś daleki znajomy. Inaczej też pachnie, metalicznie, jak powietrze w Prowansji tuż przed burzą, kiedy wilgotność jest najwyższa. Cofa się o krok, by się jej na nowo przyjrzeć, by mieć pewność, że to ona. Schudła i choć on nie chce tego przyznać, wydaje się słabowita i niemalże przestraszona jego widokiem.

Mroczna tajemnicami, niczego nie ujawnia, oczy ma utkwione w jego oczach, wpatruje się w niego tak głęboko, że jest pewien, iż widzi wszystkie jego strachy lat dziecinnych, dżunglę nocy, w której się zgubił, lwa, który się do niego podkrada, tocząc z pyska ślinę.

Niczego przed nią nie da się ukryć.

– Już mi się wydawało, że nie jesteś realny. Nie byłam pewna – mówi. Twarz ma teraz o ton bledszą, jest duchem.

Śni. Bez wątpienia śni. Gryzie się w język i czuje smak krwi.

– Nora – powtarza; w jej obecności czuje się jak idiota. Jej obraz się rozmazuje, przeciera więc raz jedno, raz drugie oko w obawie, że w każdej chwili mogłaby zniknąć, ale wciąż tu jest, już nie dziewczyna, lecz kobieta.

Obrzuca czujnym okiem rynek, podchodzi do niego bliżej, opuszcza woalkę i pochyla kapelusz do przodu.

– Nie powinno mnie tutaj być, w publicznym miejscu. Chciałam zaskoczyć Renata i ugotować obiad.

– Renato? – Staje w słońcu spocony. Na szyi czuje chłód.

– Pamiętasz go.

– Ten nudny kumpel Picassa?

– Muszę wracać. – Kupuje buraki i ziemniaki, wkłada je do koszyka. – Przejdź się ze mną – prosi, biorąc go pod rękę.

Schodzą po starych kamiennych schodach i idą brzegiem morza, zdejmują buty, idą ramię w ramię, a przypływ rzuca się na nich i rozbija w kropelki, które chwytają promienie słońca. Jej spódnica jest mokra do kolan, więc zbiera ją w węzeł na biodrach. Przekrzykując szum bijących o brzeg fal, opowiada mu, jak Catherine przyjechała z Michelem do Saint-Martin, jak uciekli z Paryża i przywieźli z sobą cały swój strach. Opowiada mu różne osobliwe szczegóły, o tym, jak czasami jej ciało nie chciało się ruszyć, jakby kierowało się własnym rozumem. Dzikie konie, które pozwoliły jej, by dotykała ich pysków. Doktor, który uczynił z niej swą więźniarkę, który zahipnotyzował ją czarnymi oczami i kardiozolem. On próbuje usłyszeć znaczenie jej słów, próbuje nadążyć za jej tułaczką, lecz zwodzi go jej głos, głos, o którym śnił, głos, którego nie mógł sobie na jawie przypomnieć bez względu na to, jak bardzo chciał. A teraz wymknęła się z rąk ludzi swego ojca, mówi.

– Jego ludzi? – pyta, bo teraz już słucha. A ona opowiada mu o sanatorium w Południowej Afryce, więzieniu, w którym ojciec chce ją zamknąć.

– Ale nie jesteś przecież obłąkana.

– Może byłam, trochę. – Głos ma słaby, głosik małej dziewczynki. Odchrząkuje i odzywa się normalnym głosem, który on rozpoznaje. – A poza tym znasz Ojca. Nigdy nic tak nieistotnego jak prawda nie powstrzymało go przed zdobyciem tego, co chce. Jedyne, co go obchodzi, to to, które prawa jest w stanie obejść, a których nie, i z tego właśnie powodu Renato i ja się pobieramy.

– Małżeństwo z rozsądku. Małżeństwo na papierze.

– Małżeństwo to małżeństwo.

Przystaje, żeby na nią spojrzeć. Ona również staje, wydaje się, że mu się wymyka. Zmieniła się, całkiem się zmieniła.

– Noro, nie przemyślałaś tego.

Rzuca mu gniewne spojrzenie. To spojrzenie, które zna aż nazbyt dobrze od swych ekszon, podszyte orzeczeniem o winie. Ona biegnie, on rusza za nią, chwyta ją za rękę, a warzywa i kurczak z impetem wypadają z koszyka i rozsypują się po plaży. Nie puszcza jej.

– Kiedy?

– Jak szybko się da – mówi to z takim spokojem, że aż czuje do niej awersję. – Kiedy tylko wszystko uporządkuje. A teraz mi pomóż. – Powoli, bezkompromisowo, łokciami, odsuwa go od siebie.

Zbierają zakupy i siadają na piasku.

Kamienie syczą, kiedy ocean pędzi ku nim, a potem się cofa. Opowiada jej o koszmarze pociągu widma i o tym, jak okropnie było wrócić do domu bez niej. Kiedy to mówi, ona wpatruje się w swoje stopy i starannie wyciera z piasku każdy palec z osobna. Opowiada jej o willi Air-Bel i o tym, jak naczelnik stacji pozwolił mu wyjechać z Francji tylko dlatego, że podobały mu się jego obrazy… nasze obrazy, mówi. Wyjaśnia, że Peggy Guggenheim pomaga mu w wyjeździe do Ameryki. Pomija fakt, że sypia z Peggy, i mówi, że być może i jej mogłaby pomóc wyjechać.

– To wszystko załatwia już Renato – ucina Leonora.

Milczy. Nie jest w stanie się spierać.

Niedaleko ich stóp ląduje mewa i przekrzywia głowę.

– Miałem truskawki – zwraca się do mewy. – Dałbym ci jedną.

– Chyba mam jeszcze herbatnika. – Leonora sięga do torebki i rzuca ptakowi okruch za okruchem, które ten żarłocznie połyka, za każdym razem podchodząc nieco bliżej. Kiedy wyciąga rękę, by go pogłaskać, odlatuje i krąży nad nimi. Ląduje nieco dalej, zwołuje inne mewy, które otaczają ich szerokim, postrzępionym kołem.

Jej wzrok omija krzyczące ptaki i wpatruje się w blady horyzont. Max zwraca się w jej stronę.

– Noro, nie wychodź za niego – prosi.

Potrząsa głową.

– Jeżeli nie jestem własnością mego męża, jestem własnością mego ojca.

– Ale ja mogę się z tobą ożenić. Mogę ożenić się z tobą natychmiast. Papiery mam już załatwione.

Ona wstaje i przesadnie długo otrzepuje spódnicę z piasku. Kiedy próbuje na nią spojrzeć, słońce go oślepia.

– Muszę iść do domu.

– Do domu? – Pomarańczowo-fioletowe słońce tańczy mu przed oczami, kryjąc jej twarz.

– Do Renata – uściśla. I jakby w geście przeprosin wyciąga rękę i pomaga mu wstać. – Jeśli chcesz, możesz mnie odprowadzić. W ten sposób będziesz wiedział, gdzie jestem.

Czerwiec 1941, Marsylia

Peggy idzie za swym bagażowym na początek kolejki.

– Pani paszport i wiza wyjazdowa, madame? – mówi naczelnik stacji.

Podaje mu paszport otwarty na właściwej stronie, wystarczy, by rzucił okiem.

Przytupuje czubkami swych tenisówek od Valentino. Dlaczego nie podstemplowuje jej wizy? Kolejka ludzi czeka. Jej bagażowy poszedł do przodu i zapewne wstawił już jej walizy do pociągu.

– Coś nie tak? – pyta.

Nie odzywając się do niej ani słowem, naczelnik stacji kiwa głową do oficera, który pozornie stoi na uboczu. Ten podchodzi, ujmuje ją pod rękę i idą.

– Ale moje rzeczy – protestuje.

– To potrwa tylko chwilę. – Prowadzi ją do drzwi pilnowanych przez dwóch gestapowców.

Wewnątrz pozbawionej okien biurowej klitki stoi z rękami na biodrach francuska celniczka – duża, ponura kobieta.

– Proszę zamknąć drzwi – mówi.

Peggy wykonuje polecenie.

– Proszę zdjąć ubranie.

Peggy zdejmuje przez głowę bluzkę, rozpina zamek spódnicy, zzuwa tenisówki.

– Wszystko? – pyta.

Kobieta potakuje.

Peggy szybko rozpina haftki biustonosza, zsuwa czarne jedwabne majtki. Naga spogląda na zegarek. Jej pociąg odjeżdża za dziesięć minut. Widzi, jak tamta przeszukuje każdą kieszeń, jak wywraca spódnicę i bluzkę na lewą stronę i sprawdza szwy. Wyjmuje wkładki z jej butów, obmacuje jej majtki między palcami. Peggy miałaby ochotę zapytać ją, czy zamierza sprawdzać również w pochwie, ale jest zbyt przerażona, by wydać choć jeden dźwięk.

Kobieta niczego nie znajduje, ponieważ nie było czego znaleźć. Peggy zabrała dokładnie taką ilość dolarów, jaką wolno jej wywieźć z kraju, lecz mimo to nie może pozbyć się myśli, że – mimo iż robi wszystko zgodnie z prawem – ta wyśle ją do obozu. Nigdy wcześniej nie potraktowano jej jak przestępczyni ani też nie przyszło jej do głowy, jak łatwo można by ją pozbawić praw i dobytku.

– Może się pani ubrać – mówi w końcu kobieta ze wzrokiem utkwionym w jej diamentowy naszyjnik i kolczyki.

Peggy wkłada bieliznę, zapina biustonosz, zamek błyskawiczny od spódnicy, kiedy spostrzega, że kobieta trzyma w ręku jej paszport.

– Guggenheim to żydowskie nazwisko, nieprawdaż?

Gdyby miała zniknąć ze stacji, nikt by jej nie odnalazł. Byłaby kolejną Żydówką, której Francja z ogromną ochotą by się pozbyła.

– Jestem Amerykanką, mój dziadek był Szwajcarem – mówi, zapinając guziki bluzki, próbując uspokoić rozedrgane dłonie.

Kobieta z rozdrażnieniem podaje jej paszport.

– Może pani iść.

Peggy puszcza się biegiem, by złapać pociąg, i wślizguje się przez drzwi tuż przed ich zamknięciem. Bezpieczna na swym siedzeniu, dopija butelkę laudanum. Lecz dopiero kiedy przejadą z Francji do Hiszpanii, poczuje, że oddech jej się uspokaja.

Pociąg zwalnia, co wybudza ją ze snu. Wjeżdżają na stację, ale zamyka oczy, by zapamiętać sen. Przechodziła kontrolę osobistą na granicy pomiędzy rozumem – długim pasem pustyni, a miłością – górzystą, podmokłą krainą. Oficerem z krainy rozumu była kobieta w hełmie i niebieskiej marynarce. Miała na rękach białe bawełniane rękawiczki, którymi delikatnie dotykała całego jej ciała, obsypanego proszkiem w celu ujawnienia odcisków palców, których ta nie miała prawa przewieźć przez granicę.

– Wszelkie dowody dotyczące pani kochanków należą do nas – stwierdziła kobieta.

Otwierając oczy, Peggy czuje się obnażona, potargana i dość mocno podniecona. Maksowi spodoba się ten sen, myśli, kiedy przygląda się, jak pozostali pasażerowie zbierają do kupy kapelusze, bagaże i dzieci. Granica rozumu i miłości. Lecz kiedy myśli o prawdziwym przeszukaniu, musi wziąć głęboki oddech. Tym razem było za bardzo na styk. No, ale jest już w Lizbonie. Ostatni przystanek. A Max obiecał wyjść po nią na stację.

Większość pasażerów zdążyła już wysiąść, kiedy podnosi się z fotela i zbiera swoje rzeczy. Porusza się powoli, laudanum wciąż krąży w jej żyłach, lecz gdy schodzi ze stopni na peron, serce zaczyna jej żywiej bić. Kiedy spostrzega w tłumie Maksa, dochodzi do wniosku, że nigdy nie cieszyła się tak bardzo na czyjś widok. Jego włosy są bielsze, niż pamiętała, są wręcz spektakularnie białe. Ze wzrokiem utkwionym w chodnik, z opuszczonymi ramionami przypomina upadłego anioła. Laurence przyprowadził dzieci, Pegeen i Sindbada… chociaż w wieku szesnastu i osiemnastu lat to już prawie nie są dzieci. Minęły pełne dwa tygodnie, odkąd je widziała, i – niezwykłe – wydaje się, że urosły. Rusza ku nim z pośpiechem. Moje śliczności, myśli i zastanawia się, kiedy ostatni raz była tak szczęśliwa.

Wtedy Max podnosi wzrok i ona widzi, że coś się zmieniło. Czoło ma zmarszczone, skórę wokół oczu napuchniętą, jakby płakał. Laurence spieszy w jej stronę.

– Peggy! – woła ze swą zwykłą wylewnością i wszyscy się z nią obejmują.

Max otwiera ramiona i ona odchyla się w jego stronę.

– Kochanie – mówi – nie uwierzysz, co mi się przytrafiło.

Przyciskając ją do piersi, niezgrabny i zapamiętały, zbliża usta do jej ucha. W jego oddechu czuć alkohol.

– Nie. To ty nie uwierzysz – szepcze. I opowiada jej.

Stacja cichnie. Wyswobadza się z jego nieudolnych objęć. Jego usta nadal się poruszają, lecz ona nie słyszy już nic więcej. To początek końca, myśli, który zaczyna się od słów Jest tu Leonora. Odnalazłem ją. Skóra jej ziębnie. To muszla, w której wnętrzu może się schować. Jej kręgosłup wykonany jest ze stali z zatopionych statków. A jednak stacja wiruje. Musi zmrużyć oczy, by ostro widzieć Maksa.

– Cieszę się twoją radością – wydusza, beznamiętnie, pewna, że zaraz dopadną ją mdłości.

Jej dzieci obejmują ją z niezwykłą żarliwością. Chcą mnie chronić, uświadamia sobie, kiedy kierują uwagę na Maksa. Spotkał się z nimi już kiedyś, w Marsylii, i opowiadał im historię za historią, zachwycając je drastycznymi detalami. Camp des Milles, pociąg widmo, Saint-Martin, ucieczka Leonory, mężczyźni o czterech palcach, Georges i jego pies. Ale teraz trzymają się na rozsądny dystans. Sindbad patrzy spode łba. Nawet Pegeen zaciska usta, przenosząc wzrok z Maksa na Peggy i z powrotem.

Laurence, który nuci coś pod nosem, bierze jej torby i jak to ma w zwyczaju – jeśli nie dotyczy to jego samego – bagatelizuje konflikt.

– O krok bliżej. Zanim się obejrzymy, wszyscy będziemy w Ameryce.

– Pozwól – oferuje się Max i chwyta mniejszą z jej dwu toreb.

Dostrzega, że ręka mu drży, a usta ma spierzchnięte. W kąciku, gdzie pękł mu zajad, tkwi strup.

Nigdy nie widziała go w tak niechlujnym stanie. Leonora może go sobie wziąć, postanawia, przyspieszając kroku. W pociągu pewien bardzo miły Anglik wsunął jej do ręki wizytówkę. Zadzwoni i spotka się z nim na kolację. Kto wie, może to będzie jej kolejny mąż, a ona przeniesie się do Anglii i podejmie jakąś pracę na potrzeby wojny. Raz zrobi coś sensownego.

Kiedy w hotelowym pokoju Laurence'a zwierza mu się przy winie ze swego najnowszego planu, były mąż zarzuca jej bezmyślność.

– Masz dzieci, na miłość boską. Mogłabyś spróbować im pomatkować. Zabierz je przynajmniej do Ameryki.

Choć wolałaby, by to on znalazł się w tej roli – to również jego dzieci – wie, że Laurence ma rację. Włóczy się po Europie, jakby należała wyłącznie do siebie i mogła robić ze swoim życiem, co jej się żywnie podoba. Czas jednak wracać do domu.

Kolacja w hotelu gromadzi przy stole całą ekipę jak jedną szaloną rodzinę, każdy przekrzykuje każdego, byle tylko włączyć się do rozmowy. Każdy z wyjątkiem Maksa, który je w milczeniu. Ale po posiłku prosi ją, by się z nim przeszła, a ona się zgadza.

Kiedy z rozjazgotanej warkotem samochodów głównej ulicy skręcają w wąską boczną uliczkę, gdzie blado się jarzą uliczne lampy, Max bierze ją za rękę. Rozsnuwa przed nią swą historię; opowiada wszystko o Leonorze. Kiedy opisuje jej ciężki los, powody, dla których uciekła się do odszukania „prostackiego Meksykanina" – którego imienia Peggy za bardzo nie chwyta – jest tak przejęty, że wydaje się, iż katusze Leonory odbiera jako własne.

– Powinienem był znaleźć sposób, by wcześniej wrócić do domu. To moja wina. Ufała mi, a ja ją pozostawiłem. – Ostatni fragment wypowiada z łkaniem. – Masz papierosa?

Zapala podanego przez Peggy papierosa i wyciąga w jej stronę, kiedy zaczynają iść pod górkę. Nigdy nie widziała go tak przejętego kimś poza samym sobą, a czuje, że sama znowu zaczyna się angażować. Sukinsyn.

– Dlaczego mi to mówisz? – Musi być chłodna, racjonalna. – Bądź z nią, jeśli tego właśnie chcesz.

Kiwa głową w roztargnieniu.

– Zmieniła się. Nie do poznania – mówi do siebie, lecz po chwili znowu jest z nią. – Jutro – postanawia – musisz ją poznać.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

Droga jest stroma. Zatrzymują się, żeby złapać nieco tchu, i on zwraca się ku niej. Oczy ma niemożliwie błękitne, a ona go nienawidzi.

– Może… – zawiesza głos. – Myślisz, że mogłabyś? Nie. To zbyt wiele.

– Co?

– Mogłabyś pomóc jej dostać się do Nowego Jorku?

Gdyby była silniejszą kobietą, dałaby mu w twarz, powiedziała, że wszystko skończone, to wszystko pomiędzy nimi. Niech sam spróbuje dostać się do Ameryki. Może Meksykanin zapłaciłby za jego podróż. Gdyby była silniejsza, zostawiłaby go tu i teraz i sama wróciła do hotelu.

Zamiast tego przechadza się z nim, choć nie jest szczeniakiem na smyczy. Aż tak źle to nie jest. Kiedy przystaje, żeby przydeptać niedopałek, uświadamia sobie, jak bardzo piją ją buty, więc zdejmuje je i dalej idzie boso.

Docierają do jednego z górnych poziomów miasta i natykają się na ruiny kościoła; wchodzą do środka przez wielką dziurę w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi. Dach się zapadł i leży w kawałkach u jej stóp. Ponad nimi niebo ma kolor wysezonowanego burbona, jest ciemne i czyste. Gdyby była w stanie wypić je w całości, wie, że by się rozpuściła, włosy i skóra, i kości, nawet jej biżuteria by się rozpuściła. Nie pozostałby po niej żaden ślad. Peggy Guggenheim najzwyczajniej by zniknęła. Jak cudnie, myśli wydając coś pomiędzy westchnieniem a jękiem.

Nazajutrz po południu zabiera ją do domu jakiejś Angielki, z tego, co zrozumiała, przyjaciółki przyjaciółki Leonory.

Kiedy Leonora ich wprowadza, całuje ją w oba policzki. Maksa całuje w usta – przelotnie, powściągliwie – i prowadzi ich do ogrodu, na patio porośnięte jaśminem i białymi pnącymi różami. Kiedy wychodzi do kuchni, Max wierci się na krześle jak uczeń, jakby się bał, że może nie wrócić, a to wszystko, co może zrobić, żeby za nią nie pobiec.

Ale oto i ona, z parującym dzbankiem herbaty, herbatnikami i wiśniami. Ma na sobie bezkształtną niebieską bawełnianą sukienkę, a jej włosy utrzy-

mywane z dala od twarzy pojedynczą wsuwką tworzą ciemną falę. Jej oczy są oczami poetki, udręczone i błyszczące. I ma właśnie taki zadarty nosek, o jaki Peggy prosiła wtedy, kiedy chirurg schrzanił robotę. Leonora jest zapewne najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała. Oczywiście, że on ją kocha. Oczywiście.

Nalewa im herbaty. Jej niespieszna, pewna dłoń, biała jak alabaster, zdaje się roztaczać blask, ona zdaje się roztaczać blask i Peggy ma wrażenie, że się unoszą, że cały ogród się unosi, nieważki jak pajęcza sieć. Kiedy patrzy, jak Leonora przygotowuje dla Maksa mały talerzyk wiśni i herbatników, próbuje być obiektywna. Przy niej sprawia wrażenie, jakby był wujkiem, drogim wujkiem, do którego ona czuje ogromną sympatię.

– Peggy może zdobyć ci bilet na Clippera – mówi Max.

– Mogę spróbować – odpowiada, rzucając mu szybkie spojrzenie. Powiedziała mu, że spróbuje.

Leonora, która siedzi bardzo blisko Maksa, nalewa sobie filiżankę herbaty i sprawia wrażenie, jakby ich nie usłyszała. Max wyciąga rękę, by dotknąć jej ramienia, lecz zaraz splata palce rąk, próbując się powstrzymać. Jego bezruch uderza Peggy jako rzecz wielce nietypowa. Tego człowieka, który pozostaje w bezustannym ruchu, jej obecność paraliżuje.

– Ależ mój drogi – Leonora ich jednak usłyszała – nie zmienia to mojej sytuacji, jeśli chodzi o paszport.

– Bardzo chciałabym ci pomóc. – Kiedy Peggy pije herbatę, dociera do niej, że to prawda. Dlaczego miałaby jednak wypowiedzieć takie słowa? Jeżeli Leonora wychodzi za Meksykanina dla paszportu, dlaczego jej na to nie pozwolić? Choć nigdy taka postać nadgorliwości jak małżeństwo nie stanęła na drodze romansowi, może jednak sprawy nieco skomplikować.

– To miło z pani strony. Ale Renato już wszystko pozałatwiał. Do Nowego Jorku popłyniemy chyba statkiem. Gdy już małżeństwo się uprawomocni, oczywiście. Ale proszę… – Leonora pochyla się tak blisko, że Peggy czuje się rozświetlona jej światłem, zelektryzowana. – Ale proszę się nie zdradzić, że pani wie. Renato jest na tym punkcie bardzo drażliwy. Bardzo by się zdenerwował, gdyby się dowiedział, że rozmawiałam z wami na ten temat.

Na wspomnienie Renata Max zapada się w sobie. W pełnej poirytowania ciszy przełyka herbatę. Kiedy mówi, głos ma napięty i głośny.

– Ten Meksykanin jest *un homme inferieur*.

– Max, proszę – mówi Leonora, bardziej tonem polecenia niż prośby.

Ogród jest za mały dla nich trojga.

– Przepraszam. – Peggy wstaje. – Gdzie jest ubikacja?

W łazience spogląda w lustro, wyciera makijaż spod oczu, z miejsc, gdzie się rozmazał. Nie używa dużych ilości makijażu, ale z powodu gorąca zawsze się rozmazuje. Myśli, że mogłaby wyjść frontowymi drzwiami i złapać taksówkę. Ta sytuacja to zbyt wiele. Kipiący i jadowity Max, i Leonora tak obojętna, a jednak dziwnie skora, by załagodzić sytuację. Chryste Panie, Peggy powinna się cieszyć, że nie jest zakochany – w taki sposób – w niej. Gdyby był, wyobraża sobie, że by uciekła. Przynajmniej ta myśl wywołuje jej uśmiech.

Myje ręce i spryskuje sobie wodą twarz. Dlaczego nie mogła urodzić się piękna, myśli, jak zwykle koncentrując się na swym nosie. A potem słyszy małpy, hieny, słyszy, jak walczą z sobą dwa prehistoryczne ptaki. Ich głosy podnoszą się, kiedy przechodzi przez mieszkanie, nie spiesząc się, by dołączyć do tumultu. Kiedy widzi, że drzwi na patio są zamknięte, z ulgą staje za nimi i słucha.

– Ocaliłam ją, Max. Wolałbyś, żeby została? Hitlerowcy byli wszędzie. Gdzie byłeś? Gdzie ty byłeś?

– Zabrali mnie! – To krzyk dziecka, rozpaczliwy i bezradny. – Tydzień! Rozminąłem się z nią o tydzień! Dlaczego nie mogłaś zaczekać? Do diabła. Do diabła z tobą.

– Proszę, Catherine, zostaw nas – mówi Leonora.

Przez drzwi wypada jakaś kobieta. Przebiega obok Peggy, chwyta torebkę.

– Radzę pani trzymać się z daleka. Od obojga. – Wychodzi. Frontowe drzwi zatrzaskują się za nią.

Max wychodzi z patio z wpiętą w klapę różą, jego twarz wyraża poruszenie i konsternację. Peggy bierze go pod rękę i wyprowadza na zewnątrz, w kojące lizbońskie popołudnie i do restauracji na dachu jej hotelu. Piją martini i palą w niemym przygnębieniu.

– Powinnam już iść – mówi po jakimś czasie.

– Wolałbym, żebyś nie szła – mówi on.

A ponieważ zdaje się mówić to z przekonaniem, ona zamawia następnego drinka. Nie próbuje go pocieszać. Po prostu nie ma na to siły. Pozwoli mu samemu polec, jeśli tak mu na tym zależy. Co do niej, jej przypadek jest beznadziejny. Nie cierpi romansowych trójkątów, a czyż wszystkie romanse

nie są trójkątami? Chyba że są czworokątami. Odnosi wrażenie, że dzieje się tak równie często.

Czerwiec 1941, Lizbona

W restauracji, w której i wczoraj, i przedwczoraj jedli z Leonorą lunch, w niewielkim miejscu na skraju miasta, Max siedzi przy ich stałym stoliku na patio. Pali, wpatruje się w Atlantyk, a przed nim stoi otwarta butelka wina i pusta miseczka na oliwki. Kiedy z powrotem przenosi wzrok na restaurację, już tam jest, stoi w cieniu drzwi, przygląda mu się zza woalki, a jej twarz – o ile jest w stanie się zorientować – pozbawiona jest wyrazu. On się uśmiecha, macha. Po chwili odwzajemnia uśmiech, ale co też, na miłość boską, myśli?

Leonora siada. On nalewa jej wina. Ona sięga po oliwkę. Lustruje patio. Pary, głównie. Kilka kobiet przy obiedzie. Nikogo, kto przypominałby pracownika Imperial Chemical, nikogo, kto wyglądałby jak detektyw. Zdejmuje kapelusz z woalką, wpycha wsuwki głębiej w kok.

– Śniłaś mi się – mówi Max. I zanim zdołała wziąć choćby łyk wina, on wylewa cały sen na stół pomiędzy nimi. Zbyt niezdarnie. Zbyt gorliwie. – Powiedziałaś, że zaraz wracasz, i zniknęłaś. Nie mogłem cię znaleźć. Miasto było jak labirynt. Straszne. Zgubiłem się. – Jej oczy są czerwone. Chryste Panie, ależ ona wygląda na zmęczoną. Dlaczego jej to mówi? Nie może jednak przestać. – Kiedy cię w końcu odnalazłem, wydawało się, że nie przejmujesz się tym, że mnie zostawiłaś, że został ze mnie żałosny strzęp człowieka. Wcale się mną nie przejęłaś.

– To nie tak – mówi ona. Opiera rozpalone czoło na dłoniach, głowa zbyt jej ciąży, by opierała się tylko i wyłącznie na szyi.

Lecz oto i czujny kelner.

Max się prostuje, przyciska kieliszek wina do skroni i spoglądając w menu, zamawia dla obojga. Ośmiornica z grilla i abalony.

– I więcej oliwek, *por favor* – dodaje ona.

– *Sim, senhorita* – mówi kelner. Wlewa resztkę wina do kieliszka Maksa. – *Outro*? – Max kiwa głową i kelner odchodzi, zostaje po nim tylko ciężka cisza.

Palą i piją wino.

– Przykro mi – przepraszająco mówi Leonora. – Znowu dręczą cię koszmary.

– Jeśli ty w tym jesteś, to nie może być koszmar. Nie całkiem. Czy twoje sny były chociaż lepsze? – pyta, a ona znowu ma to pozbawione wyrazu spojrzenie. Chciałby móc zajrzeć w te szerokie źrenice i ujrzeć ten świat w jej wnętrzu, ten, który widzi ona.

Leonora potrząsa głową i znów jest z nim.

– Tak – mówi. – Teraz pamiętam. Byłam z tobą w twoim studio. Byłam zwinięta na dywaniku u twoich stóp, jak kot.

– Och – wyrywa mu się. Wspaniale, myśli.

– Byłam jak twoje tuby farb albo jak twoje słoje z pędzlami i terpentyną, byłam tam, gdzie chciałeś, bym była. Nazywałeś mnie swoją śliczną dziewczynką, a na ścianie wisiał namalowany przez ciebie mój portret, lecz kiedy spojrzałam w lustro, patrzyła na mnie stara kobieta. Była siwa, miała zmarszczki i się zaśmiewała. Ponoć ta scena wydała się jej komiczna.

– Ale ty jesteś taka młoda, kochanie. Wciąż masz przed sobą całe życie.

Ona wybucha śmiechem. Nie może się powstrzymać. Stara kobieta jej nie przeraża. Wręcz ją lubi. Przeraża ją uczucie satysfakcji, jaką czuła u jego stóp. Jak zamiast o swoim, śniła o jego obrazie. Wyjmuje wsuwki z koka i rozpuszcza włosy.

Kiedy rozczesuje palcami splątane włosy, znowu jest gdzieś daleko. On chce wyciągnąć rękę, delikatnie odplątać jedne pasma włosów od drugich, żeby nie szarpała ich tak mocno. Chce przywieść ją z powrotem.

Otwiera torebkę, kładzie na stole jego paszport. Jego paszport!

– Nadal go masz, po tym wszystkim.

I chociaż słońce jemu świeci prosto w twarz, to jej oczy się szklą.

– Byłeś ze mną cały czas.

Nie opowiada mu, jak próbowała wydać jego paszport. Kiedy to się stało, nie była przecież tak naprawdę s o b ą. Była sobą, kiedy wpadła do króliczej nory, a świat i panujące w nim zasady zmieniły się w sposób, który już nie obowiązuje.

Kelner otwiera butelkę alvarinho i napełnia im kieliszki. Jest dobre, lekko kwaskowe z cytrusową nutą.

– Moje wino było lepsze.

– Oczywiście. Było twoje.

Ona wznosi kieliszek.

– Za tę chwilę.

– Taką chwilę – mówi on.

Kieliszki muskają się i dźwięczą.

A oto i abalon w swej opalizującej muszli. Usmażony w panierce, jest delikatny i słodki. Nigdy wcześniej nie próbowała tych ślimaków, je więc powoli, a potem wymiata okruchy z pięknej muszli, którą wsuwa do torebki. Ośmiornica również jest wspaniała, zwłaszcza z winem, a popołudnie – myśli – najlepsze, jak tylko sięga pamięcią.

Kiedy kończą wino, Max zamawia szampana. Przyniósł ołówki i papier, siedzą w niewymuszonej ciszy i rysują, dopóki żółte słońce nie znajdzie się nisko nad wodą.

Jest tak skupiona na swym szkicu, że nie zwraca uwagi na Maksa, który coś tam kręci w palcach. Kiedy unosi wzrok, zdumiona widzi, że ukląkł na jedno kolano.

– Noro – mówi. W ręku trzyma drucianego ptaszka, wyplecionego z koszyczka, który przytrzymuje korek od szampana. W dziobie trzyma druciany pierścionek.

– Nie – mówi ona.

Ale on, z nadzieją w jasnych oczach, wszystko miesza.

– Czy ty…

– Proszę. Nie.

– Wyjdź za mnie.

Ileż to razy marzyła o tej chwili? Teraz, kiedy nadeszła, wydaje się jakimś ponurym żartem. Nie może się poruszyć. Nie może mówić. Żołądek jej się wywraca i znowu czuje smak ośmiornicy.

Zbiera swoje rzeczy i wstaje, ociera łzy z policzków.

– Zepsułeś doskonale piękne popołudnie.

– Nie kochasz go.

– Od kiedy to w małżeństwie chodzi o miłość?

– Dobrze więc. Wyjdź za niego, ale jedź do domu ze mną. Bądź ze mną. Kiedy jestem sam, nic po mnie, przecież wiesz.

Fala cofa się ze spokojnym, srebrzystym oddechem.

– Tak – mówi. – Wiem.

Tej nocy Max czeka na Leonorę. Nic na to nie może poradzić. Noc jest łagodna, siedzi przy stoliku, rysuje i spogląda przez okno na przechodniów, za każdym razem mając nadzieję, że może to będzie ona.

Kiedy Laurence stuka w drzwi, by wyciągnąć go na ich zwyczajowy nocny spacer, nie porusza się, aż ten odchodzi. Choć znają się od dziesiątków lat z kawiarnianych kręgów Montparnasse'u, w ostatnim miesiącu połączyło ich coś na kształt przyjaźni. Wie, że Laurence wyperswadowałby mu tę jego pełną determinacji obsesję, a poza tym chce być sam. Jeśli będzie sam, może ona przyjdzie.

Choć Peggy jest w pełni świadoma sytuacji z Leonorą, wydzieliła mu kieszonkowe, z którego on płaci za ich lunche. A dzisiaj, tak na wszelki wypadek, kupił butelkę ulubionego alkoholu Leonory – whiskey. Lecz teraz, kiedy jest już dobrze po północy i powoli zbliża się świt, butelka jest bardziej pusta niż pełna.

Żeby jakoś zabić czas – szkicuje. W zamian za kieszonkowe obiecał Peggy duży obraz w technice dekalkomanii, który w jej mniemaniu zostanie dobrze przyjęty w Nowym Jorku. Choć do dekalkomanii nigdy nie robi szkiców – zabiłoby to cel całego tego procesu, element zaskoczenia – w miarę jak ołówek przesuwa się po papierze, a twarz Leonory pojawia się co rusz, on już wie, że to ona pojawi się na tym płótnie. Jej obecność jest nieunikniona.

Kiedy wstaje słońce, Max niepewnym krokiem idzie chodnikiem. W torbie, która kołysze mu się w ręce, kiedy przechodzi mozaikę i kieruje się w jej stronę, są fotografie, książki i zrolowane obrazy Leonory. Zapamiętał trasę całe tygodnie temu i nie raz, nie dwa złapał się na tym, że idzie w stronę jej mieszkania, kiedy tak naprawdę zamierzał pójść w inne miejsce.

Kiedy skręca w jej ulicę, przepłasza stadko gołębi, które zrywają się w powietrze. W niemal somnambulicznym stanie patrzy, jak ptaki stają się światłem słońca.

Przy innych okazjach, kiedy tutaj docierał, zachowywał się cicho, wystarczało mu, że opiera się o ścianę budynku po przeciwnej stronie ulicy, wpatruje się w jej okno na drugim piętrze, to z białymi koronkowymi zasłonami, i zastanawia się, czy jest w środku i co też może w tej konkretnej chwili pisać, rysować czy śnić. Lecz teraz chce zostawić jej torbę. Ściska więc w ręku kamień, nierówny i zimny. Jej okno (jakże miałby pomyśleć o nim jako ich oknie?) jest zamknięte – w przeciwnym wypadku mógłby po prostu zagwizdać lub ją zawołać. Obraca kamień w ręku i rzuca go zdecydowanym ruchem.

Dźwięk jest głośniejszy, niż to sobie wyobrażał. Kamień wybija w szybie dziurę, od której odchodzą pęknięcia jak nogi jakiegoś wielkiego pająka.

W sam środek.

Ale to Renato rozsuwa zasłony, otwiera okno i ryczy.

– Max? *Joder! Eres loco*!

Max nie mówi za wiele po hiszpańsku, ale chwyta, o co chodzi. Kurwa i porąbany. Czy cię, kurwa, porąbało? A jeśli tak? Ostatecznie – jest zakochany!

Renato wychyla się z okna, bez koszuli, białe włosy ma rozczochrane. Gestykuluje, plując inwektywami.

No, chodź, myśli Max. Chodź, walcz ze mną.

Stawia torbę i zakasuje rękawy.

Leonora otwiera drzwi. Wychodzi na bosaka na chodnik, a wokół niej wydyma się biała jedwabna szata, jakby była świętą zbliżającą się ku niemu na chmurze. Ale nie. Wcale nie jest anielska. Włosy ma jak Meduza, jej oczy błyszczą fioletem. Nie może zebrać się w sobie, by na nią spojrzeć, więc wpatruje się tylko w swoje stopy. Stoi na mozaice we wzór czarno-białej szachownicy. Na palcu jego prawego mokasyna widnieje dziura, której wcześniej nie zauważył; przez skórę widoczna jest jasna skarpetka.

O czym myślał, przychodząc tutaj?

– *Je m’excuse* – mamrocze.

Ona stoi na szachownicy, królowa przy bezproduktywnym pionku. Swój nowy obraz zatytułuje *Napoleon w dziczy*, bo tu właśnie jest. Podnosi wzrok, by spojrzeć jej w oczy.

– Biedny Max – wzdycha.

Bierze go w ramiona, a on łka, strasznie, pierś ciężko mu faluje. Cała ta gonitwa na nic. Równie dobrze mógł dać się złapać hitlerowcom, dla niej byłoby to to samo. Nie chce go. Postanowiła.

Wyswobadza się z jej objęć. Budynki falują. Podnosi torbę, wtyka jej do rąk.

– Twoje rzeczy. Rzeczy, które zostawiłaś. Pomyślałem, że możesz ich zechcieć.

Czuje się znowu jak dziecko, które lubi stroić fochy, odwracać się plecami. Które wyobraża sobie, jak bardzo jego odejście zaboli rodziców. Jak bardzo będzie im przykro.

Nie oglądając się za siebie, chwiejnym krokiem idzie w stronę pensjonatu, brnie pod wiatr, który wieje od wybrzeża i niesie z sobą chmury, ciemne i gęste, prawdziwą burzę. A niech niebo się otworzy, myśli. Niechaj mnie pochłonie. Deszcz jest nagły i ulewny, a on się z tego cieszy. Mijają go spieszący do pracy mężczyźni, mężczyźni w kapeluszach i marynarkach, z teczkami w dłoniach i parasolami rozpostartymi nad pochylonymi głowami. Przemoczona koszula przywarła mu do ciała, więc ją zdejmuje. Przechyla twarz w stronę nieba.

O pół kwartału od pensjonatu, przed ich hotelem, spostrzega Laurence’a ze wszystkimi bagażami na chodniku. Usiłuje zatrzymać taksówkę, a Max biegnie, by zatrzymać jego.

– Dokąd jedziecie? – pyta.

– Monte Estoril. Przyszedłem wczoraj wieczorem, żeby ci powiedzieć. Wynajmujemy tam hotel, Peggy, Kay, dzieci. Nad morzem zaczekamy na przejazd Clipperem. To lepsze miejsce dla dzieci, lepsze miejsce dla nas wszystkich.

– Zabierzcie mnie ze sobą – mówi Max. – Proszę.

Sam bowiem nie jest w stanie się stąd zabrać. Nie ma siły.

– Mogę chyba jeszcze zaczekać. – Odprawia taksówkę, otacza Maksa ramieniem. – Chodź. Zbierzmy twoje rzeczy. Peggy ucieszy się na twój widok.

Czerwiec 1941, Lizbona, Monte Estoril

Ich hotel stoi nad wodą, a Peggy weszło w zwyczaj codziennie o zmierzchu siadywać na małym balkoniku obok swego pokoju, by się przyglądać, jak słońce, ta bezwstydna słoneczna brzoskwinia, zsuwa się do oceanu. Sączy wino, rozmyśla o krągłości Ziemi i próbuje poczuć jej ruch, poczuć, jak w tej właśnie chwili razem z całą Europą zapada się w ciemność.

Niebo i woda, przystrojone w rozkołysane pomarańczowe i żółtozielone wstęgi, przywodzą jej na myśl najbardziej ulubiony obraz Tanguya, ten, który kupiła od niego, kiedy byli kochankami. *Słońce w swojej szkatułce*. Tytuł niemal tak świetlisty jak sam obraz i niemal tak samo przepełniony samotnością. Chciałaby móc na niego spojrzeć – zawsze zdaje się wywierać na nią kojące wrażenie – lecz w tej chwili jest gdzieś w trzewiach statku, gdzieś na Atlantyku, razem z resztą jej kolekcji, setkami obrazów, które dobrze by było, gdyby czekały już na nią w Ameryce, kiedy ona sama tam dotrze. Wysłała je razem z lampami, książkami i paroma garnkami i oznaczyła przesyłkę jako *wyposażenie domu*, by nikomu nie przyszło do głowy podawać tego w wątpliwość, ale zeszłej nocy przyśniło się jej, że jej kolekcja utonęła, tak jak w lodowatym oceanie utonął jej ojciec, kiedy *Titanic* poszedł na dno.

Dzisiaj jest już tylko mglistym obrazem nawiedzającym jej wspomnienia z dzieciństwa. Jak to, że kiedy była mała, sadzał ją sobie na kolanach i huśtał, jak to, że kiedy wracał do domu z pracy, pogwizdywał, idąc schodami na górę, a ona biegła do niego, by pochwycił ją w ramiona. Jak ten raz, kiedy kazał jej iść do swego pokoju, za to, że przy kolacji spytała go, czy przypadkiem nie ma jakiejś kochanki, bo tak często nie ma go z nimi. Wszystko to jest odległe, jakby było częścią życia jakiejś postaci z książki, którą czytała dawno temu.

Ale jej kolekcja… obudziła się spanikowana. To wszystko, co zebrała w ciągu dwudziestu lat spędzonych w Europie, w kręgach bohemy, jako kolekcjonerka sztuki i artystów. Tanguy, Beckett, Penrose, a teraz Max, którego kocha najbardziej i, jakimś cudem, najbardziej też go nie cierpi.

Przyjechał do hotelu dziś rano. Spacerowali nad brzegiem morza i opowiedział jej o Leonorze i o tym, że odmówiła odejścia od Meksykanina.

– Po sprawie.

Wypowiedział to z marszu, z kącików jego oczu wyzierało przygnębienie. Kiedy usiłował wziąć ją za rękę, jego dłoń miała w sobie jakiś bezwład. Odtrąciła ją.

– Musi ci być bardzo ciężko – powiedziała i pozostawiła go, wymawiając się jakimiś sprawami do załatwienia.

Da mu przestrzeń, postanawia. Puści go, a jeśli do niej wróci, hm, wtedy się zobaczy. Nie powinna tak łatwo wybaczać, wie o tym, ale nad oceanem wszystko delikatnieje. Ser i krakersy na stojącym przed nią talerzu, czerwona szminka, którą nakłada na usta, nim zejdzie na kolację.

Przy ogromnym okrągłym stole Max siedzi naprzeciw Peggy, która robi wszystko, byle tylko na niego nie spojrzeć. On się nie odzywa, więc nie jest to trudne. Niemniej nie uchodzi jej uwagi, że najpierw zjada do końca jedną rzecz, zanim przejdzie do następnej, najpierw zjada stek, potem homara i kończy sałatą z ogórkiem i zieloną papryką. Gdyby tylko tak postępował ze swymi kobietami.

Pegeen omawia z Sindbadem poobiednie plany. Jest tutaj pewien klub, gdzie grają muzykę na żywo, o którym powiedziała Sindbadowi miejscowa dziewczyna, kiedy byli dzisiaj na plaży. O Gato Azul.

– A jeśli nie stracę dziewictwa, jak mam wracać do Stanów? – mówi Sindbad. – Na miłość boską, mam prawie dziewiętnaście lat.

– Cóż, nie trać go z miejscowymi. Choroby weneryczne szaleją. Chcesz, żeby ci odpadł nos? – Peggy upija łyk wina. Wyszło bardziej szorstko, niż zamierzała.

Pegeen wyciera serwetką usta i wstaje.

– Ja się piszę. Chodźmy do Błękitnego Kota.

– Ja też – piszczy Jacqueline, druga szesnastolatka przy stole.

Jacqueline, przyjaciółka Pegeen z jej szkoły z internatem we Francji, która została mniej więcej adoptowana przez Laurence’a i jego wkrótce byłą żonę, Kay Boyle, wkłada do ust ostrygę i spogląda na Sindbada z takim żarem, iż wydaje się, że bez trudu mogłaby się roztopić. Przypomina Peggy ją samą, kiedy miała szesnaście lat i beznadziejnie łaknęła miłości. Nie to, żeby aż tak wiele się od tamtej pory zmieniło.

Kay trajkocze. Ku jej wielkiej uldze udało się jej wyekspediować „przyjaciela” – mężczyznę, dla którego zostawia Laurence’a – do Ameryki, a teraz dopilnuje, by ich podróż Clipperem odbyła się raczej wcześniej niż później; mówi to z takim mniemaniem o sobie, że Peggy wybucha śmiechem. Nie może się powstrzymać. Będzie ubaw móc obserwować ją, jak próbuje zdziałać więcej, niż już udało się Peggy, która chodzi wokół tej sprawy od tygodni.

– Najwyższy czas wyjechać z Europy, nie sądzicie? To miejsce rozpada się pod naszymi stopami.

Cóż za wyświechtana metafora. Wyświechtana i łatwo przyswajalna, jak jej okropne powieści. Nie potrafi pisać z werwą, pozbawiona jest własnego głosu, nie jest też urodziwa; jest nijaka, z długim nosem i małymi, surowymi oczami. I chociaż jest o cztery lata młodsza od Peggy, zaczyna już zdradzać oznaki wieku, skóra w okolicach żuchwy jej wiotczeje, a ramiona flaczeją i pokrywają się piegami.

Peggy nie rozumie, w czym też Laurence się zakochał. Nawet teraz, po roku separacji, patrzy na nią ze zranionym podziwem, czułością, która bardzo ją irytuje. Dlaczego jest dla niej taki miły, kiedy Kay zostawiła go dla kogoś innego? Był taki wredny w stosunku do Peggy, kiedy to *oni* się rozchodzili… zabrał jej Sindbada i zmuszał, by się płaszczyła, jeśli chciała spędzić z synem choć jeden dzień. Zapala papierosa i dmucha dymem ponad ich głowami. To było dziesięć lat temu, uświadamia sobie, a nie zapomniała z tego ani krztyny. Mimo to w tym roku stali się sobie z Laurence’em naprawdę bliscy. Są lepszymi przyjaciółmi, niż kiedykolwiek byli mężem i żoną… a wszystko dzięki temu, że Kay zakochała się w kimś innym. Być może powinna jej podziękować, przy jakiejś okazji, gdy dźwięk głosu Kay nie będzie powodował u niej bólu zębów.

– Słyszeliście? – mówi Kay. – Wczoraj zatonął kolejny francuski statek, zdaje się, że był w drodze do Nowego Jorku.

Peggy właśnie zjadła kęs homara, który utknął teraz w połowie drogi. Z głośnym przełknięciem popija go winem, ale on nadal tkwi w przełyku.

– *Który* statek? – chrypi.

– Och – mówi Kay. – Dlaczego?

– Moja kolekcja! – Gwałtownie łapie powietrze. – Moje prace!

Przykuwa to uwagę Maksa.

– Moje obrazy? – pyta, blednąc.

Kay zanosi się śmiechem. To jeden z jej beznadziejnych dowcipów.

Peggy nie może znieść widoku jej twarzy ani sekundy dłużej. Dopija wino i spłukuje homara. Zamawia koniak i zabiera go do pokoju.

Pójdzie wcześnie do łóżka, postanawia. Obudzi się ze wschodem słońca i wybierze się na długi spacer, a potem może popływa. Zdejmuje ubranie, gasi światło i leży na łóżku, lecz noc jest ciepła, nawet tak blisko morza, i gdzieś tam rozlega się muzyka – gitara, trąbka i perkusja, długie jazzowe riffy, które ją pobudzają. Wkłada szlafrok i idzie na poszukiwanie Laurence'a, by życzyć mu dobrej nocy i może wypić z nim kieliszeczek przed snem, ale nie może przypomnieć sobie numeru jego pokoju. A oto Max, idzie korytarzem w jej stronę ze swym przekrzywionym uśmiechem i tymi nieznośnymi, cholernymi oczami.

– Znasz numer pokoju Laurence'a? – pyta go. – Chcę mu powiedzieć dobranoc.

Robi krok w jej stronę, tak blisko, że może poczuć bijące od niego ciepło.

– Jemu, a mnie nie?

– Właśnie sobie życzymy dobrej nocy, nieprawdaż? – Zaciska usta w cienką linię; choć niewielka próba, by nie ustąpić pola.

– Jest w pokoju 26 – mówi Max, wciąż się uśmiechając.

– Do jutra zatem.

Odchodząc, czuje, że się jej przygląda. „Wchodzisz czy wychodzisz?", miałaby ochotę go spytać, ale to zbyt nudne pytanie, na które – jeśli ma być szczera – nie chce tak naprawdę znać odpowiedzi.

Jedzie niewielką windą piętro niżej i puka pod dwudziestkęszóstkę. A drzwi otwiera nieco zdyszany Max.

– Co za wspaniała niespodzianka! – mówi.

Wysłał ją do swego pokoju. Na takie coś musi się roześmiać. Jego urok zadziałał na nią po raz kolejny.

Noce spędzają w jej lub w jego łóżku, dni – na słońcu i w morzu. Mijają tygodnie. Ona przygląda się, jak Max rysuje z Pegeen w cieniu plażowego parasola, a kiedy poziom wody opada, puszcza z Sindbadem kaczki na spokojnej wodzie.

Aż któregoś dnia na lunchu zjawia się Leonora, a on zabiera ją na konną przejażdżkę po okolicy. Nie ma ich całe popołudnie.

Kiedy Max puka tej nocy do jej drzwi, Peggy nie pozwala mu wejść. Zostawia założony łańcuch, a drzwi uchyla tylko na tyle, by go słyszeć.

– Peggy – mówi, w jego głosie słychać skomlenie. – Nic między nami nie zaszło. – Opiera się o ścianę, jego usta są teraz bardzo blisko jej ust. Czuje w jego oddechu zapach whiskey. – Nadal pragnę ciebie.

– Co nie zmienia faktu, że to ją kochasz – zwraca się Peggy tyleż do niego, co do siebie.

Max jest cicho. Będzie z nią szczery. Jest wdzięczna przynajmniej za to.

– Nie. Chyba nie zmienia – zgadza się.

Peggy zamyka drzwi. On znów puka, tym razem mocniej. Ona zdejmuje łańcuch i wychodzi na korytarz.

– A co powiesz na spacer? – mówi, bierze go za rękę i idzie z nim, by uniknąć sceny. Jeśli oboje stracą panowanie nad sobą, lepiej, by nie było jej wtedy w hotelu.

Wieje ciepła bryza, a pełnia księżyca nadaje morzu srebrzystobłękitną barwę. Prowadzi go nad brzegiem oceanu w stronę skalistej zatoczki, którą odkryła ledwie wczoraj.

Jest już koniec czerwca; do podróży Clipperem zostały jedynie dwa tygodnie. Nowy Jork wszystko zmieni, jest tego pewna. Max będzie zmuszony znaleźć swoje miejsce w Ameryce i będzie jej potrzebował. Będzie jednak tęskniła do tego niewielkiego nadmorskiego miasteczka. Tyle jeszcze rzeczy chciałaby zwiedzić, a i codziennych morskich kąpieli będzie jej brakowało.

Prawie się do siebie nie odzywają, ale pozwala mu trzymać się za rękę. W końcu dzielenie się swymi mężczyznami to dla niej nie pierwszyzna. Choć nie może powiedzieć, że jej to odpowiada, zwłaszcza kiedy nadal jest aż tak bardzo zakochana. Być może rozwiązaniem byłoby zaproszenie Leonory do ich życia, jej i Maksa. To takie nowoczesne, nieprawdaż? Dowód na to, jaka jest cywilizowana, ani odrobinę niezazdrosna.

– Powinniśmy wydać przyjęcie przed wyjazdem. Możesz zaprosić Leonorę i jej Meksykanina… jak tam mu na imię?

– Renato – mamrocze i zaciska zęby.

– Tak. Renato – pozwala imieniu wybrzmieć. – Laurence i Kay mogą przyjść. Zrobimy wieczorek w tym klubie, który dzieciaki tak bardzo lubią. O Gato Azul. Byłoby fajnie, nie sądzisz?

Kiedy dochodzą do zatoczki, zrzuca ubranie i wbiega do zimnej wody.

– Peggy! – krzyczy za nią Max. – Co ty wyrabiasz? Wracaj!

Goni ją aż do linii wody. Przypływ jest wysoki, po obu stronach zatoczki piętrzą się poszarpane głazy. Również pod nią znajdują się głazy, a fale są

większe niż zazwyczaj. Jednak dzisiaj, kiedy do zwykłej dawki wina i koniaku dodała wysoką na kilka palców porcję grappy, gotowa jest stawić czoło każdemu wyzwaniu.

– Wychodź! – Wymachując ramionami, Max wygląda jak nakręcana lalka. – Mogłabyś się utopić!

– Ale cudownie! Ty też mógłbyś wejść! – krzyczy.

Fale biją nieustannie, raz za razem. Zlicza je, w miarę jak nadchodzą. Cztery, pięć, sześć. Siódma fala przewyższa pozostałe, jej strzępiaste krawędzie piętrzą się ponad nią. Nurkuje i trzyma się tak blisko dna, jak tylko może, ale fala zabiera ją z sobą, Peggy przewraca się, gdy fala rozbija się o brzeg. Wypływa na powierzchnię i widzi, że Max – cały ubrany – ku niej brodzi.

– Wychodź! – krzyczy. – Mogłaś się utopić! Co bym bez ciebie zrobił?

Trafne pytanie. Co by zrobił? Jak niby miałby bez niej dostać się do Ameryki? Wybucha śmiechem… nie jest pewna, z jakiego powodu. Może na myśl o bezsensie tego wszystkiego.

Na płytkiej wodzie oplata ją ramionami i wyprowadza na brzeg. Wspinają się na głazy, znajdują gładką płytę i kochają się na swych ubraniach, które służą im za materac.

Mokra i naga, na świeżym powietrzu czuje się bezwstydna, nieposkromiona, oczy ma otwarte, napawa się widokiem jego pałąkowatych ramion i klatki piersiowej lśniących w świetle księżyca. On jest skupiony i w ogóle jak na jej gust zbyt szybki, ale kiedy jest już po wszystkim, ona niespiesznie wpatruje się w księżyc. A potem dochodzi ich zapach. Wiatr musiał zmienić kierunek. Uświadamiają sobie ze śmiechem, że najwyższym uniesieniom oddawali się w miejskiej kloace.

Na płyciźnie płuczą swe ubrania i ciała i piechotą wracają do hotelu. Biorą prysznic, każde z osobna. Następnego ranka pozostawiają hotelowej pralni rzeczy do wyprania wraz z dodatkowym napiwkiem i nadzieją, że cały ten bałagan nie jest zapowiedzią przyszłych wydarzeń.

Lipiec 1941, Lizbona, Monte Estoril

O Gato Azul to niewielkie miejsce tuż nad wodą; tłum jest nieprzebrany, gdyż tego dnia przypadają urodziny pewnego znamienitego torreadora obecnego tutaj wraz ze swą pełną uwielbienia świtą. Lecz Peggy udaje się zdobyć stolik przy parkiecie i dzieci, Laurence i Kay, Leonora i Renato, Max i ona przekrzykują muzykę i siebie wzajemnie, tworząc w ten sposób coś na kształt własnej enklawy.

Wkrótce Sindbad i Pegeen informują dorosłych, że wychodzą do jeszcze innego klubu. Sindbad wciąż nie stracił jeszcze dziewictwa, przypomina wszystkim Pegeen. Ciągnie go z sobą, a Jacqueline, zadurzona, biedaczysko, wybiega, aby ich dogonić.

Leonora nie powiedziała Peggy więcej jak trzy słowa. *Dziękuję za zaproszenie*. Peggy też nie była w stosunku do niej specjalnie wylewna. Mimo to jest świadoma każdego jej ruchu. Spostrzegła, że Leonora przygląda się torreadorowi na długo przed tym, jak przyłapała ich na rozmowie przy barze. Zwróciła też uwagę, jak szybko Max zajął miejsce obok niej, jak pochylił się ku niej i szeptał jej do ucha różne rzeczy, których Peggy nie mogła usłyszeć. Promienieje w obecności Leonory i dąsa się, kiedy ona zwraca uwagę na kogokolwiek innego. Jak dziecko, myśli Peggy pogardliwie.

Odwraca się tyłem do Maksa, rozmawia z Renatem i śmieje się perliście, kiedy ten powie cokolwiek, co choć sprawia wrażenie dowcipnego.

Lecz śmiech przychodzi łatwo, kiedy whiskey rozluźniła jej język, szczęki, owo spięte miejsce pomiędzy łopatkami, a i zdolność rozumowania. Wszystko to jedna wielka żałosna komedia, czyż nie? Max pożąda Leonory, która jest dość młoda, by być córką Peggy. A ten stateczny Meksykanin, Renato, również jej pożąda. Lecz ona sprawia wrażenie zadowolonej, kiedy tańczy z silnym, ciemnowłosym torreadorem, który kręci nią najpierw od siebie, a gdy z powrotem okręca ją ku sobie, robią wychył jak maleńka łódź na smaganej wiatrem wodzie.

Zespół zaczyna nową piosenkę.

– Każda pszczółka pęka z zazdrości, kiedy widzi cię razem ze mną [1] – nuci gitarzysta.

Peggy przygląda się tańczącej Leonorze i zastanawia się, jakie to uczucie być tak piękną, tak pożądaną. Nawet kiedy była w jej wieku, nie mogłaby z nią rywalizować, mimo iż jej taneczne popisy naprawdę przyciągały wzrok.

Peggy wstaje i podaje rękę Maksowi.

– Zatańcz ze mną.

Jego oczy są zimne jak oczy pytona, a on sam ani drgnie. Tańczy więc z Renatem. Laurence i Kay też są na parkiecie, a Max siedzi sam przy stole i sączy drinka przez słomkę. Jakżeż staro wygląda, myśli Peggy, zastanawiając się, co też w nim widzi.

Na parkiecie ścisk. Pot spływa jej po szyi aż na krzyż. Renato bierze ją w ramiona, lecz oczy ma utkwione w torreadorze. I na koniec piosenki przeprasza i wymienia z nim kilka słów. Niezbyt dobrze ich słyszy, a poza tym rozmawiają po hiszpańsku, lecz ich nadęte klatki piersiowe mówią same za siebie.

A gdzież to zniknęła Leonora? Siedzi na powrót przy stole, obok Maksa w pomiętej koszuli i z pomiętym uśmiechem. Peggy wkracza pomiędzy torreadora i Renata.

– Chodź, zaczerpnijmy trochę świeżego powietrza – mówi, biorąc Meksykanina za rękę.

A ponieważ zespół zrobił sobie przerwę, reszta ich niewielkiej grupy chwyta drinki i dołącza do nich na balkonie.

Bryza jest cudowna i żeby poczuć ją jeszcze lepiej, Peggy unosi spódnicę. Oddałaby wszystko za kąpiel w morzu, ale nie chce uronić ani słowa, ani jednego.

– I co teraz będziemy robić? – pyta Kay. – Nie damy się chyba zjeść nudzie.

– Co powiecie na jakąś opowieść – proponuje Renato. – Noro, *querida*?

Noro? Dłonie Maksa zaciskają się w pięści. To jego imię dla niej. Powinien bezzwłocznie odejść, zanim rozkwasi Renatowi nos.

– *Por favor*? – Renato przekrzywia głowę i przesuwa palcem po jej ramieniu.

Peggy siada obok Maksa, a na jej twarzy gości pełen samozadowolenia uśmiech. Zorganizowała to przyjęcie po to, by się nad nim popastwić, jest tego pewien.

– Nie wiem. – Leonora rzuca przelotne spojrzenie na Maksa.

– Skończyła je dziś po południu – Renato zwraca się do Peggy. – I jest wspaniałe, naprawdę. Czysta rozkosz.

– Dobrze – zgadza się Leonora i wyjmuje z torby swój notatnik. – Zobaczymy, czy będę umiała przeczytać własne pismo. Jeszcze się pogorszyło od czasu… – Śmieje się nerwowo – coś, co nie zdarzało się jej nigdy wcześniej – a głos jej cichnie, kiedy przerzuca kartki, które, nie uszło to jego uwagi, oprócz jej tajemniczych gryzmołów pokryte są rysunkami.

Jej głos brzmi cicho. Ledwie może go usłyszeć poprzez fale przypływu.

Powiastka, w której pojawia się minotaur

Powiadają, że przeraża panie we dworze. Mnie nie przeraża.

To prawda, nie wie, jak pić herbatę z porcelanowej filiżanki. Earl grey ścieka mu po brodzie, a kiedy ma dość nudnego absurdu dobrych manier, zjada i filiżankę, i spodek.

Śpi w dzień, a w nocy wędruje między rzędami żywopłotu. Jest biały jak księżyc, ma białe rogi i jarzy się własnym światłem. Widzę go z mego okna. Porusza się po ogrodzie zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a potem zawraca i idzie po własnych śladach. Szuka kogoś, kto zniknął… kobiety, którą nadal kocha.

Była jedyną córką w rodzinie samych synów, więc jej rodzice pilnowali jej i płacili służącym, by jej również pilnowali. Odkąd była małą dziewczynką, wykazywała tendencję do stawania na głowie, a zbyt wiele krwi dopływającej do głowy prowadzi do uporu. Kiedy miała siedemnaście lat, jedyną rzeczą, o jakiej potrafiła mówić jej matka, była prezentacja na dworze królewskim… kto zaprojektuje jej suknię i jacy stosowni kawalerowie wolnego stanu będą tam obecni. Przerażonej myślą o przyjęciu dziewczynie śniło się, że jej nagie ciało spoczywa na ogromnym srebrnym półmisku, że wstrzyknięto jej jakiś środek uspokajający i że jest niezdolna do ruchu, a mężczyźni wzięli do rąk noże i widelce i zaczęli wkrawać się w jej uda i piersi, jakby była brojlerem. Kiedy doszli do serca, podzielili je na równe porcje.

– Smakowite – orzekli zgodnie. – Doskonały posiłek.

Koszmary nie ustępowały i wnet w ogóle nie mogła spać. Wobec tego włóczyła się po ogrodzie.

Pierwszy raz spostrzegła go nad jeziorem. Siedział na końcu mola i przypatrywał się, jak jego odbicie rozcina czarną wodę. Mógł z nią zrobić

wszystko, na co tylko miałby ochotę – biło z jego ciemnych oczu – ale nie krzyczała. A kiedy pomiędzy nagie palce jej stopy spadła łza, wiedział, że ją kocha.

Każdej nocy wychodziła, by się z nim zobaczyć, a on nauczył ją okultystycznych sposobów… jak wydobyć swe marzenia na światło dzienne i jak odbyć podróż w przeszłość, siedząc na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, zamykając oczy i odliczając wstecz, jednocześnie obierając ugotowane na twardo jajko jedną nieprzerwaną spiralą.

Zawsze budził się o zmierzchu i zaczynał jej wtedy szukać.

Był koniec września, kwiaty już wyschły i opadły. Przetarł oczy i ujrzał ją z mężczyzną, z którym była zaręczona. Był staroświecki, nosił cylinder i monokl i choć był młody, podpierał się laską, kaszlał w chusteczkę i spoglądał na ogród i niebo przymrużonymi oczami, jakby sama natura nie zasługiwała na zaufanie. Brylant na jej ręku pochwycił ostatni promień słońca i odbił go w stronę jej minotaura. On pomyślał o łzie pomiędzy jej palcami, o tym, jak się skrzyła, i wiedział, że to pożegnanie. Patrzył, jak się odwraca, patrzył, jak drzwi zamykają się za nimi. I zaryczał, ale przeciw sobie miał wiatr, który poniósł jego żal daleko w morze.

Minęło już pięćdziesiąt lat, a on wciąż czeka. Czasami siada nad jeziorem i obiera jajko. Być może, tęskniąc do niego, ona zrobi tak, jak ją uczył. Być może pewnej nocy on otworzy oczy, a ona, młoda, będzie siedziała u jego boku.

We włosach gnieżdżą mu się modliszki. Trzepoczą pokrytymi pyłem skrzydełkami i próbują go pocieszyć.

Kiedy Leonora kończy swą opowieść, wszyscy są cicho. Słychać jedynie szum fal. Max nie jest w stanie na nią spojrzeć. Oczywiście minotaur to on.

Nie będę na ciebie czekał, chce powiedzieć. Kołyszący się na wodzie księżyc jest bardziej samotny, niż może znieść. Czuje w piersiach ból. Chciałby wyjść, ale nie może się zebrać, by wykonać jakiś ruch. Ona musi się dowiedzieć, jakie to dla niego bolesne. Jej opowieści były dla niego, zawsze, nigdy nie były przeznaczone dla nikogo innego, a teraz, na komendę Renata, podzieliła się swoją opowieścią – opowieścią o nich – z tymi ludźmi, których dopiero co poznała, ludźmi, którzy nigdy nie poznają jej tak jak Max.

Jest pewien, że zniknął, a kiedy się odzywa, to głównie po to, by się przekonać, czy wciąż istnieje czy nie.

– Breton byłby zachwycony. Uczłowieczyłaś jego ukochanego minotaura.

Leonora przygląda mu się z lekkim zdziwieniem w oczach, jakby mówił językiem, którego nigdy wcześniej nie słyszała, i zamyka notatnik.

– No cóż, na mnie czas – mówi Kay. – Fantastyczne opowiadanie. – Całuje Laurence'a w policzki, a reszcie macha ręką i przerzuca torebkę przez ramię. – Jestem na samym końcu mojej powieści. Teraz już go widzę. Dziękuję ci, Leonoro!

Zespół zaczyna grać na nowo i Leonora wstaje.

– Muszę siusiu – oznajmia i śladem Kay wchodzi do klubu.

– Ja też – wtóruje jej Peggy.

W toalecie Leonora i Peggy sikają w sąsiednich kabinach i nie odzywają się do siebie ani słowem. Leonora jej nie zna zbyt dobrze, ale odnosi wrażenie, że Peggy nie za bardzo ją lubi.

Przy lustrze Leonora przetrząsa torebkę w poszukiwaniu szminki, a Peggy bardzo długo myje ręce. Jakaś kobieta staje między nimi i pudruje sobie nos. Kiedy tylko wychodzi, Peggy zakręca kran, wyciera ręce małym białym ręcznikiem i zwraca się do Leonory z bezpośredniością, która ją zaskakuje.

– Jeśli go kochasz, dlaczego z nim nie jesteś?

– Maksa?

– Nie sądzisz chyba, że mówię o Renacie, co? – Peggy wrzuca ręcznik do kosza i krzyżuje ramiona na piersiach. – Albo wróć do niego i go uszczęśliw… albo pozwól mu dzielić życie ze mną. Wiesz, jaki ból mu zadajesz, tak przychodząc i odchodząc?

Peggy ma na sobie sukienkę w ptaki i kwiaty, a jednak – w sobie coś oficjalnego. Przypomina Leonorze kobiety, jakie spotykała na różnych balach. Sformułowała jakieś roszczenie i zamierza go bronić. A wtedy Peggy rzuca:

– Kocham go.

Wyrzuca to z siebie byle jak, z taką oczywistością, że Leonora czuje się zawstydzona. Kimże jest, by ją osądzać?

– Zostaw go mnie – mówi Peggy. – Błagam cię.

Leonora cofa się w kierunku drzwi.

– Oczywiście. Nie zdawałam sobie sprawy, że wy dwoje jesteście… – Trzyma rękę na gałce. – Przepraszam, spotkałam się z nim ze współczucia – mówi, choć wie, że to nieprawda.

Peggy przeciska się obok niej, otwiera drzwi i przytrzymuje je dla niej otwarte.

– Dziękuję ci. – Mówi to tak szczerze, że Leonora obawia się, iż kolana Peggy mogą ugiąć się pod ciężarem tej wdzięczności. Chwyta ją za rękę i prowadzi przez bar na patio.

Max przysłuchuje się paplaninie Laurence'a na temat Nowego Jorku, o tym, że z pewnością będzie to następna artystyczna mekka, Breton już tam jest, i Duchamp oczywiście, i kiedy tylko on i Max tam dojadą, to wszystko eksploduje.

– Zobaczysz – mówi, klepiąc Maksa po plecach. – To miasto buzuje. Jest elektryzujące, zaraźliwe. Będziesz zachwycony.

– Z pewnością – mówi.

Będzie zachwycony, bo Leonora tam będzie. Może nie z nim, ale przynajmniej tam będzie. O, właśnie nadchodzi, ale dlaczego trzyma za rękę Peggy? Staje nad nim, twarz jej się rumieni, usta poruszają bezgłośnie. Wygląda na smutną, ale i spokojną, jakby jakiś istotny problem znalazł rozwiązanie.

Popycha Peggy w jego stronę i odchodzi.

– Co to było? – pyta Max.

Peggy znowu płacze. Ostatnio tyle płacze, że to robi się już męczące.

– O co chodzi? – powtarza tak spokojnie, jak to tylko możliwe. W głowie czuje rosnące napięcie. Pole widzenia mu się zawęża, tak że widzi jedynie jej twarz, bladą i pokrytą plamami.

Renato wstaje, wywracając krzesło.

– Dokąd poszła moja żona? – mówi, dopijając brandy.

– Twoja żona? – Choć Max się tego spodziewał, wiedział, że to się w końcu stanie, jednak słowo to odebrało mu dech w piersiach.

– Pobraliśmy się we wtorek, nie mówiła ci?

Zbiera mu się na mdłości. Będę rzygał, myśli, przełykając żółć. Przechyla się przez barierkę patio i wymiotuje na skały poniżej.

Peggy staje obok niego, masuje mu plecy i mruczy coś pod nosem.

Nienawidzi tych ludzi. Wszystkich ich nienawidzi.

– Powiedziałam jej, żeby przestała się z tobą widywać – mówi Peggy. – Jeśli cię kocha, powinna z tobą być albo zostawić cię dla mnie.

– Co? – Strząsa jej rękę z taką mocą, że aż jego samego to przeraża. – Jakim prawem? – Ona zaczyna łkać, ale zupełnie go to nie wzrusza. Trzyma

ją za ramiona, jego palce wpijają się w jej miękkie ciało. – Natychmiast ją znajdziesz. Rozumiesz? Znajdź ją i powiedz, że nie miałaś racji. Powiedz jej, że bez niej jestem zgubiony. Powiedz jej, że musi się ze mną widywać, gdzie i kiedy tylko będzie mogła. Powiedz jej albo nie chcę mieć z tobą nic do czynienia, nic a nic.

Ona kiwa głową, wyciera oczy i wchodzi do środka, żeby znaleźć Leonorę. On opada na krzesło.

– Co to wszystko było? – pyta Renato. – Coś przegapiłem.

– Wszystko jest nie tak – mówi Max.

Renato pije z czyjejś szklanki drinka, jest brązowy i wodnisty, lód rozpuścił się już dawno temu.

– A gdzie Leonora?

– Najpewniej tańczy z torreadorem – odpowiada Laurence.

– Cóż, na nas czas. Całe to podekscytowanie jej nie służy. Zupełnie nie służy.

Max staje na równe nogi i zastawia Renatowi drzwi.

– Ona wyszła za ciebie tylko po to, żeby uciec od swego ojca. Nie masz prawa dyktować jej, co może, a czego nie może robić.

Renato cofa się o krok. Jest spokojny, raptownie wytrzeźwiał.

– Jestem jej mężem, Max. To rola, w jakiej… z tego, co rozumiem… ty się nigdy specjalnie nie sprawdzałeś. Zamierzam ją chronić, zabrać ją do Ameryki. A teraz… mógłbyś łaskawie zejść mi z drogi?

Jego słowa działają jak zimny prysznic. Max pozwala mu przejść. Bar jest duszny; kluczy w rozgrzanym, pełnym zapachów tłumie. Spostrzega Leonorę pośród podrygujących ciał. Rzucają mu się w oczy jej włosy, potem uniesione ramiona, tu i ówdzie miga falująca dłoń. Jej twarz to fantazmat, porusza się zbyt szybko, by naprawdę mógł ją dojrzeć. Dla odmiany torreador, który ją okręca, pozostaje nieruchomy. Jest jej punktem podparcia. Pełnymi gracji rękami żongluje nią… namiętną, genialną, utraconą dziewczynką Maksa. Przez te wszystkie lata, kiedy z nią był, nie sądził, iż jest możliwe, by mógł kochać ją jeszcze bardziej. A teraz jego miłość jest obrzmiała jak siniak, spuchnięta i – za każdym razem, kiedy ją widzi – coraz bardziej drażliwa.

Patrzy, jak Renato ujmuje ją za ramię i ciągnie ku drzwiom.

Renato ma rację. Max nigdy nie był dobrym mężem dla nikogo.

1. Słowa piosenki *Honeysuckle Rose* Fatsa Wallera. [wróć]

Lipiec 1941, Clipper, Lizbona

Max, który nigdy wcześniej nie leciał samolotem, nie spodziewał się, że aż tak będzie się bał. Kiedy Peggy przyniosła na tę okoliczność butelkę laudanum, wyśmiał ją, lecz wypita przed lotem whiskey wcale nie ukoiła mu nerwów, teraz więc, kiedy Clipper, latająca łódź, przygotowuje się do startu z powierzchni wody, prosi ją o specyfik.

– Już jedna kropelka działa cuda – przekonuje Peggy z powolnym uniesieniem brwi i rozmarzonym uśmiechem.

Wyciska ciemny płyn na tył języka i połyka. Jest gorzki i kiedy spływa mu do gardła, kaszle, lecz już po chwili wszystkie krawędzie wygładzają się, zaokrąglają. Peggy, która siedzi na siedzeniu obok, wygląda pięknie z zamkniętymi oczami. A kiedy Clipper przyspiesza, a on czuje, jak moc silników ugniata mu pierś, wciska głowę w siedzenie, myśląc, jak bardzo mu się poszczęściło. Jakim szczęściem jest to, że Peggy przypadła do gustu jego sztuka i on sam. Sprawy mogły przecież potoczyć się zupełnie inaczej.

Odrywają się od powierzchni wody i wznoszą w niebo. Przyciska czoło do okna, jak to robił w dzieciństwie, kiedy przyciskał czoło do okna w pociągu. Czy był przy nim ojciec? Matka? Było ciepłe, duże ciało, poczucie bezpieczeństwa. I do jakiego miasta jechali? To już stracone, tak jak stracona jest jego rodzina, i Niemcy też… uciekł, nie oglądając się za siebie, pozostawił wszystko za sobą tak dawno temu, że kiedy myśli o tym teraz, wydaje się, że to życie kogoś zupełnie innego.

Coraz wyżej i wyżej, leci. Pierwszy raz porusza się w przestworzach. Samolot się przechyla, a on widzi, jak wiatr marszczy błękitną materię oceanu, jak jakiś statek wspina się na jej spienione szczyty i ciągnie za sobą kilwater na podobieństwo ogona gigantycznej ryby. Peggy pochyla się ku niemu i wygląda przez okno.

– Leonora wypłynęła dzisiaj, prawda? Założę się, że to właśnie jej statek.

– Tak – mówi. – Pewnie tak.

Ona wiezie z sobą jego obrazy. Jakby ta jego realna część – dusza, sny i wyobraźnia – była tam, w dole, z nią, bezpieczna na wodzie, a nie trzęsła

się w niezbyt budzącym zaufanie powietrzu.

Osiemnaście płócien, razem z najnowszym, które wyschło ledwie na tyle, że można je było zrolować… oddał jej wszystkie, stare i nowe. Powierzył je jej. To praktyczne rozwiązanie. Na Clipperze nie było dla nich miejsca, każdy pasażer miał prawo zabrać jedynie walizkę i podręczną torbę, ale świadomość, że to Leonora wiezie jego obrazy, jak pasterka przeprawia je przez ocean, sprawia mu przyjemność.

W jej kuchni, kiedy przyglądał się, jak ubrana w długą suknię klęczy na podłodze i pakuje je, sztuka po sztuce, do swego kufra, obok własnych obrazów, tych, które uratował z Saint-Martin, poczuł spokój, jakiego nie czuł od bardzo dawna. Ich losy ponownie się z sobą splotły. A potem wstała i objęła go… prawdziwy uścisk, pierwszy od jakże długiego czasu ich rozłąki. Przy jej piersi pomyślał, że teraz mógłby już umrzeć. Tak właśnie chcę umrzeć, myśli, kiedy zapada w sen; chce, by unicestwiła go cudowna erupcja jej serca.

Lipiec 1941, w drodze do Ameryki

Leonora stoi sama na pokładzie. Renato zgadał się z innym mężczyzną, młodszym, bardzo przystojnym Francuzem, z którym weszli do środka, żeby napić się przy barze. Opiera się o reling i wpatruje w bezmierną połać wody, tam gdzie zakrzywia się ona w odległe, nisko zawieszone chmury.

Zachód. A zatem to takie uczucie płynąć na zachód, ku wolności. Wiatr unosi jej spódnicę, smaga włosami oczy i usta. Zwija cały ten bałagan w kok z nadzieją, że się będzie trzymał. Chce widzieć, dokąd płynie, sięgać wzrokiem tak daleko, jak tylko się da.

Gdzieś w górze sunie wielki samolot. Clipper. To musi być on. Odprowadza hydroplan wzrokiem po jasnym niebie, oczy zachodzą jej łzami. Pomimo jej starań i Max, i ona wyruszają do Ameryki równocześnie. Koń – wodą, ptak – powietrzem.

Myśli o ostateczności tego, co się dzieje, o tym, że może już nie wrócić. Musi zobaczyć Europę jeszcze raz, uświadamia sobie; sądziła, że jest gotowa na to, by nie oglądać się za siebie, uważała, że jest tym białym koniem z autoportretu, który wyskakuje przez okno jej dziecinnego pokoju w szeroki świat, lecz teraz przeciska się na rufę statku, klucząc w tłumie mężczyzn, kobiet i dzieci. Chce ujrzeć, jak kontynent się oddala, ujrzeć, jak staje się brązową plamką, zanim się zmieni w siną dal pamięci. Myśli o Matce i braciach, i o tym, czy ich jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Myśli o Ojcu, który w jednym miał rację. Jej cień nigdy nie padnie na jego próg. Będzie żyła na innym kontynencie, a między nimi ocean.

Kiedy dociera na rufę, siada na ławce i wyjmuje z torebki ołówek i szkicownik. W zamyśleniu rysuje klacz, kucyka. W jej sercu przybiera kształt coś, co przypomina rozkwitającą gwiazdę, a pomiędzy jej długimi nogami gonią się dwie postacie. Są małe i lekkie, ledwo widoczne, o ciałach z gatunku tych, co to potrafią przenikać przez ściany. Jedna trzyma w ręku jajko, wokół drugiej obracają się kule i spirale.

Za statkiem, niesiona prądem powietrza, szybuje mewa. Siada na relingu i przekrzywia głowę w jej stronę. Leonora wyjmuje z torebki herbatnika, odłamuje narożnik i rzuca ptakowi.

LEONORA W ŚWIETLE PORANKA

Lipiec 1941, Nowy Jork

Max wysiada z samolotu w Morskim Terminalu Lotniczym LaGuardia pierwszy. Clipper okazał się klimatyzowanym koszmarem, a Kay i Peggy warczały na siebie jak wycieńczone żółwice, wszyscy wstawieni ginem z tonikiem, wszyscy oddychający dymem papierosów. Lecz teraz jest już wolny. Znów stąpa po ziemi i wciąga oceaniczne powietrze.

Peggy dołącza do niego, kiedy kierują ich do poczekalni. Ludzie napierają, powietrze jest gorące i duszne. Przepatruje morze twarzy, dostrzega Jimmy'ego, zanim syn spostrzega jego. Splecione z przodu ręce, nieśmiały uśmiech, jakże się wydaje podobny do matki. A jednak pozbawiony jest jej hartu ducha. Jakby odziedziczył tę kruchość, którą obaj skrywają w głębi duszy. A może… może to ma coś wspólnego z faktem, że Maksa przy nim nie było. Chłopak był pozbawiony ojca, ale już nie jest. Max macha i syn przybiega.

– Ty musisz być Jimmy – mówi Peggy i przyciąga go ku sobie, żeby go objąć.

On się czerwieni.

– Przypłynęły pani obrazy! – mówi radośnie. Zwraca się ku ojcu, otwiera ramiona, a Max czuje się podle z poczuciem winy. To Lou powinna pierwsza dotrzeć do Ameryki, nie on.

Jakiś mężczyzna wkracza pomiędzy nich, a inny zachodzi Maksa od tyłu. Otaczają ich urzędnicy imigracyjni. Błyskają flesze. Aparaty, które prawie dotykają ich twarzy, łapczywie pstrykają. Czyżby prasa się dowiedziała? Niemalże pada pod ciężarem tego wszystkiego. Ale z drugiej strony, to może pomóc sprzedać się moim obrazom, myśli z goryczą.

– Ile wynosi kaucja? Zapłacę! – wykrzykuje Peggy.

Jednakże na Ellis Island musi odbyć się przesłuchanie. Linie lotnicze Pan Am nie mogą zostać obarczone odpowiedzialnością za to, że obywatel Trzeciej Rzeszy – który tym samym podlega jej prawom – tłumaczy urzędnik, wjechałby do Stanów Zjednoczonych bez przesłuchania.

– Nie możecie go wydać. Jest wrogiem Hitlera! Zamknęliby go, zabili! – krzyczy Peggy, kiedy go pospiesznie wyprowadzają.

Na tylnym siedzeniu samochodu, wciśnięty pomiędzy dwóch urzędników pocących się w niebieskich garniturach, jeszcze raz jest więźniem. Ale to jest Ameryka, myśli otępiały. Przynajmniej tyle. A i Leonora jest w drodze. To ostatnie bardziej wzbudza dreszcz emocji, niż stanowi pocieszenie. Boże, jakże jego ciało wciąż gorączkowo reaguje na samą myśl o niej!

Samochód skręca, a on czuje, że będzie wymiotował. Nie zna wystarczająco dobrze angielskiego, by wyjaśnić, ale urzędnik najwidoczniej zauważa jego bladość, bo na czas opuszcza okno. Max w pośpiechu wychyla głowę, bierze głęboki haust świeżego powietrza, a urzędnik zrzędzi coś po angielsku, po czym zamienia się z nim miejscami.

Miasto pachnie samochodami, tak jak żadne europejskie miasto. To rozmazana plama czerni, bieli i szarości, a ludzie to jasne kropki, jak konfetti. Jakby po zakończonym karnawale pozostał zakurzony radosny śmietnik. Unosi wzrok, usiłuje sięgnąć szczytów tych drapaczy chmur, które, jak się wydaje, przybyły z jakiejś brutalnej a nieuniknionej przyszłości.

Prom na wyspę jest lepszy, oceaniczne powietrze chłodne i czyste. Widzi Statuę Wolności tak, jak nie mógł jej ujrzeć z Clippera – pochodnię trzyma w górze jak toast ku czci Stanów wzniesiony przez Francuzów… Francuzów, którzy go internowali. Pół roku z życia za drutami kolczastymi. Przyczyna utraty Leonory. Jakie ma prawo żywić nadzieję? A jednak… jest tak blisko. Nie mogą go odesłać, kiedy jest Jimmy, który pracuje w Museum of Modern Art; kiedy jest Peggy, z miłością do niego i pieniędzmi. Będzie dobrze.

Na wyspie młody, przejęty urzędnik o okrągłej twarzy prowadzi go do budynku. Zaciąga się głęboko morskim powietrzem i wchodzi do środka. Gęsta od ludzi Ellis Island, gdzie panuje harmider wielu języków używanych jednocześnie, to dla niego szok; nie był na to przygotowany. Owiewa go kwaśny zapach. Jest gorąco, a on zapewne musiał się zachwiać, bo urzędnik zwalnia i bacznie mu się przygląda. Potrzebuje pomocy? Kręci głową. Nie potrzebuje.

Wchodzą do ogromnej sali. Mężczyzna gestem wskazuje w górę, jakby pokazywał mu wysokie, kopulaste sklepienie i okna, przez które potoki promieni słonecznych wlewają się na dobrze mu znane kolejki wycieńczonych ludzi. Jakieś dziecko zawodzi żałośnie. To tutaj odbywa się ta cała obróbka, myśli z rezygnacją. Na szczęście jednak urzędnik wyprowadza go na zewnątrz i prowadzi do dormitorium. Młody człowiek wskazuje mu jego łóżko.

– Wiemy, kim pan jest, sir – mówi. – Jest pan wielkim artystą. Daliśmy panu łóżko przy oknie. Ale najpierw musi pan coś zjeść.

Długie stoły w kantynie są pełne. Ponieważ większość już je, kolejka po posiłek jest niezbyt długa. Ciepła zupa. Nie myślał o jedzeniu, ale kiedy tylko stanął w kolejce, dotarło do niego, że jest głodny jak wilk. Chętnie słucha urywków rozmów w różnych językach – niderlandzki, hiszpański, portugalski i inne, których nie rozpoznaje. Wkrótce będzie słyszał jedynie angielski, język o ostrych krawędziach niemieckiego, acz pozbawiony jego romantyczności. Siada przy stole i próbuje rosołu. Może to nie jest Le Flore, ale nie jest to też Camp des Milles.

Nie. Ellis Island w niczym nie przypomina Camp des Milles. Ma łóżko, prawdziwy materac… na tyle cienki, że wyczuwa przez niego sprężyny, ale i tak bije na głowę twarde klepisko zasłane pozostałościami słomy. No i są tutaj toalety ze stosowną instalacją.

Poznaje innych Niemców, Włochów. Gra nawet w szachy i dociera do niego, jak bardzo mu tego brakowało, bo Peggy w szachy nie gra. Prawdę mówiąc, z dala od Peggy i od świata odczuwa tutaj dziwny spokój.

Jeśli już, to w tych dniach zatrzymania, oczekiwania na przesłuchanie ma zbyt wiele czasu na myślenie. Wpatruje się, jak kwadrat słonecznego światła rozciąga się w poprzek podłogi dormitorium, i zastanawia, czy kiedykolwiek kochał Peggy. Kiedy pierwszy raz byli z sobą, w Marsylii? Wie, że kocha to uczucie, jakie dzięki niej zyskał. Że jest na nowo dostrzegalny. Mój Boże, ależ z niego farciarz. A gdyby nie był artystą? Prawdopodobnie tkwiłby teraz gdzieś w Niemczech. Ale też nie zostałby nazwany degeneratem. Jego sztuka okazała się tak jego przekleństwem, jak i wybawieniem.

Trzeciego dnia zostaje zabrany do sądu na przesłuchanie. Peggy i Jimmy szukają właśnie miejsc, kiedy sędzia wzywa Jimmy’ego i syn Maksa staje za barierką dla świadków. Na widok jego dużych błękitnych oczu i słodkiego uśmiechu Max wie, że jest ocalony. Ma listy polecające z Muzeum Sztuki Nowoczesnej, które sędzia przegląda.

– A czy pani, panno Guggenheim, zapewni panu Ernstowi miejsce do życia?

– Tak, Wysoki Sądzie – wyrzuca z siebie Peggy. W oczach ma łzy.

Max przełyka ślinę i łapie się na tym, że kurczowo trzyma się krzesła. Znów jest dzieckiem, dzieckiem w wesołym miasteczku, a gdy karuzela rusza, uświadamia sobie, że wcale nie ma ochoty na tę przejażdżkę. Lecz

już za późno, by wysiąść. Jedzie. Będzie musiał zaczekać, aż jazda dobiegnie końca.

Uderzenie sędziowskiego młotka.

– Jest pan wolny. Może pan dołączyć do przyjaciół.

Peggy i Max zajmują osobne, niełączące się z sobą pokoje w hotelu Shelton; nalega na to Jimmy, który przypomina jej, że Nowy Jork w roku 1941 nie jest taki sam, jak mógł być w latach dwudziestych, i że nie jest to też Europa. Powinni zachowywać się powściągliwie. Co jemu akurat odpowiada.

Przeczesują miasto, zwiedzają każde muzeum. Z wyjątkiem Muzeum Historii Naturalnej i Muzeum Indian Amerykańskich sztuka wydaje mu się przebrzmiała. Nawet nowsze prace przynależą do czasów realizmu, do okresu poprzedzającego pierwszą wojnę… jakby dadaizm nigdy się nie zdarzył. Odwiedzają Bretona, który jest doskonale miły, zadowolony, że ma go z powrotem w swej zagrodzie. Spotykają się z Tanguyem i jego żoną, Kay Sage, która znalazła mieszkanie dla Bretona z rodziną i przekonała Peggy, by wypłacała mu dwustudolarowe miesięczne uposażenie.

Peggy jest ostrożniejsza z pieniędzmi, do jakich dopuszcza Maksa. Ale jemu udało się już sprzedać kilka obrazów. A kiedy ona oferuje Jimmy’emu zatrudnienie w charakterze swojego sekretarza zamiast pracy w kancelarii MoMA, Max może wcisnąć synowi w dłoń studolarowy banknot i poradzić, żeby zaczekał i zanim przyjmie tę posadę, zorientował się co i jak. Lecz Peggy uwielbia wyzwania i nagabuje Jimmy’ego, który jest zbyt miły, by odmówić. Teraz, kiedy ma swoją kolekcję pod ręką, zaczęła z jego pomocą tworzyć katalog. Jest zdeterminowana, by na swoją galerię znaleźć miejsce idealne, a wtedy jej katalog będzie już czekał.

Przed kolacją Peggy i Max raczą się w jego pokoju wieczornym drinkiem, kiedy rozlega się stukanie do drzwi, nagłe i energiczne. Czuje, jak serce mu się ściska, przekonany, że to jakiś urzędnik, który przyszedł go zamknąć. Peggy otwiera drzwi zarumienionemu i jąkającemu się Jimmy’emu.

– Widziałem ją! W aptece. Leonora kupowała aspirynę.

W twarz Maksa uderza fala gorąca. Pocą mu się dłonie. Uśmiecha się do syna. Jest pewien, że Peggy widzi jego głupią nadzieję, ale nie przejmuje się tym. Nie zdołałby ukryć swoich uczuć, gdyby nawet próbował.

– Dała mi swój adres. – Jimmy wyjmuje z kieszeni kurtki kawałek papieru i wręcza mu go. – Powiedziała, że powinieneś wpaść jutro rano. Odebrać swoje obrazy – dodaje roztropnie.

Z cierpkim uśmiechem Peggy kręci szklanką ginu z tonikiem, jakby to było wino.

– Tak. Możemy złożyć wizytę przed lunchem z Bretonem. Który, przypominam ci, jemy jutro o pierwszej.

– Tak – mówi. – Chyba. – I pierwszy raz od wylądowania zdaje sobie sprawę, że jest szczęśliwy.

Peggy miesza sobie nowy gin z tonikiem.

– Jak tam spotkanie z Leonorą? – pyta.

Od tygodnia codziennie spotyka się z Leonorą i chociaż nic nie mówi Peggy na ten temat, ta jakimś cudem zawsze wie. I jakoś tak wspomina o tym pomiędzy swym drugim a trzecim koktajlem.

Strudzony pada na kanapę w rozkosznym otępieniu. Cóż miałby jej powiedzieć? Że było pięknie? Transcendentalnie? Miałby jej powiedzieć, że kiedy jest w towarzystwie Leonory, unosi się w powietrzu co najmniej stopę nad chodnikiem? Ale znów coś mówi. Nie czekała tak naprawdę na odpowiedź.

– Wiesz, spryskujesz się wodą kolońską jedynie, gdy idziesz spotkać się z nią.

Tej nocy zakrada się do pokoju Peggy, którego drzwi nie są zamknięte na klucz. Choć, między bogiem a prawdą, nigdy nie są. Seks jest nieokiełznany i chaotyczny. Wbija mu paznokcie w ramiona, w plecy, i chce, żeby na nią patrzył, żeby jej powiedział, że ją kocha. Dla świętego spokoju wypowiada te słowa, by móc wrócić do świata za powiekami, w którym jest z Leonorą.

– Pojedźmy na wycieczkę – mówi Peggy, kiedy jest już po wszystkim.

Odpowiada jej cisza ciemnej sypialni. Ale Max bije się z myślami. Jest tutaj Leonora, z którą spotkania to boska tortura. Lecz kiedy nie ma jej w pobliżu, Nowy Jork wydaje mu się miastem tak ciasnym i pozbawionym poczucia humoru jak wtedy, w trakcie jazdy na Ellis Island. Z dnia na dzień zdaje się lubić go coraz mniej. Jest sierpień i gorąco i smród śmieci są nie do zniesienia.

– Moja siostra chce, żebyśmy odwiedzili ją w Los Angeles. Weźmiemy Pegeen i Jimmy’ego. A może kupimy tam samochód i wrócimy nim tutaj?

Moglibyśmy zobaczyć cały kraj.

Kiedy mówi Leonorze o wyprawie, ta milczy.

– Będę do ciebie tęskniła – mówi po chwili, a on wie, że to prawda. – Obiecaj mi, że jeśli będzie tam rzeka, to się w niej wykąpiesz.

Hazel, siostra Peggy, ma dom w Santa Monica, gdzie Max maluje na werandzie. Odwiedzają Mana Raya, który teraz tam mieszka, a Max spotyka się z reporterem „Art Digest", który pyta go, jaki rodzaj amerykańskiego malarstwa podziwia najbardziej. Kiedy odpowiada, że uwielbia obrazy i ceramikę rdzennych Amerykanów, uwielbia to, jak prawdziwe, jak pełne wyobraźni są te prace, reporter odmawia dalszej rozmowy.

– Nie jestem pewien, co powiedziałem – przyznaje się później Peggy, która dzwoni do zirytowanego mężczyzny.

– Max nie chciał, żeby zabrzmiało to jak obelga czy jakiś ponury żart – wyjaśnia. – On naprawdę podziwia ich prace.

Max słyszy jego krzyki w słuchawce.

– A niby jak nie miałby to być afront dla amerykańskiej kultury?

Ale cóż mogłoby być bardziej amerykańskiego, myśli, niż petroglify?

Peggy kupuje srebrnego buicka, kabriolet. Wyjeżdżają z Los Angeles wczesnym rankiem, żeby uniknąć żaru bijącego za dnia od pustyni Mojave, która nawet przed dziesiątą rano jest rozpalona. Maksowi to nie przeszkadza. Nieskończone błękitne niebo nad pustynią jest jak sen, urzeka.

Ale to w Sedonie, w stanie Arizona, Max aż musi zatrzymać samochód. Nie może uwierzyć własnym oczom. W oddali, prosto w błękit, wznoszą się gigantyczne czerwono-pomarańczowe monolity.

– Jak z twoich obrazów – mówi Peggy.

Jimmy przytakuje. I mają rację. Zupełnie jak dekalkomanie, które malował w Saint-Martin, kiedy był z Leonorą, i po Camp des Milles, kiedy tak bardzo do niej tęsknił. Peggy dotyka jego ramienia. Odjęło mu mowę. Na zewnątrz musi być ze czterdzieści stopni, a jego przechodzą dreszcze. Bolą go zęby. To zrządzenie losu. Wszystko to – i Leonora, i wojna, i Peggy – wszystko to przywiodło go tutaj, do tego surrealistycznego krajobrazu, do tego miejsca, w którym – wie to – rozpocznie nowe życie, gdzie oni będą wiedli życie jak w Saint-Martin, ale bez wojny. Poniżej drogi widzi połyskującą rzekę. Rusza w jej kierunku, a Peggy woła za nim:

– No chyba żartujesz, Max! Co niby mamy robić? Jest chyba ze sto stopni!

– Chodźcie popływać! – odkrzykuje. – Peggy! Jimmy! Pegeen!

Nie czeka jednak na nich. Schyla się pod rachitycznym dębem i wchodzi na ścieżkę wydeptaną do wodopoju przez zwierzęta. Zrzuca ubranie i wskakuje do strumienia. Jest czysty i zimny i sięga jedynie do pasa, ale Max wykonuje kilka pływackich ruchów, a kiedy płynie, pije wodę, która smakuje wybornie.

Zgrzana i spragniona Peggy nie odzywa się do niego aż do Wielkiego Kanionu, ale jemu to nie przeszkadza. Myśli o Sedonie. Nawet nazwa jest piękna. W Kanionie Peggy w dziecięco dramatyczny sposób nalega, by stanąć na krawędzi przepaści.

– Bądź ostrożna – prosi.

Na co ona wybucha śmiechem.

– Bo co byś beze mnie zrobił? Mam rację?

Pozostawia ją i całe to jej przedstawienie i wchodzi do sklepu Indian Hopi, który pełen jest kaczynów – rzeźbionych i jaskrawo malowanych figurek przedstawiających duchy przodków plemienia. Są tak niezwykłe, że nie potrafi wybrać między nimi. Dotyka dziobu ptasiogłowej postaci, wiedzie palcem po piórach jej skrzydeł.

– Weź je po prostu wszystkie – mówi Peggy, kiedy spostrzega, jak się w nie wpatruje. – Tak czy siak, zawsze dostajesz to, czego chcesz.

Ma rację. Chce je wszystkie.

Nowy buick, który wiezie ich czwórkę i cały ich bagaż, już jest przepełniony. A mimo to udaje im się wypełnić kaczynami każdy wolny zakamarek.

Jadą przez Nowy Meksyk, Teksas i Luizjanę, a w każdym stanie zatrzymują się tylko na tyle, by Peggy mogła wysłać Jimmy’ego do sądu w celu zasięgnięcia informacji, jak wyglądają stanowe przepisy dotyczące małżeństwa. Max nie protestuje. Mówi się o tym, że Ameryka przystąpi do wojny, a w takim przypadku na powrót będzie wrogim cudzoziemcem, no chyba że poślubi Amerykankę. Jeśli nie akt ślubu, co miałoby stanąć na przeszkodzie przed wtrąceniem go do kolejnego obozu? Jedna niepozorna kartka papieru mogłaby zapewnić mu wolność.

Marzec 1942, Nowy Jork

Trzy tygodnie po Pearl Harbor Max ożenił się z Peggy. Musiał. FBI zatrzymało go na przesłuchanie i dzięki Bogu, że miał żonę Amerykankę, bo w przeciwnym wypadku zamknęliby go na nowo. Zamieszkali razem: Peggy, Max, Jimmy i Pegeen wprowadzili się do trzypiętrowego domu nad rzeką Hudson, gdzie Max ma dużą, zalaną światłem pracownię.

Pracownią Leonory jest kuchnia ich mieszkania na drugim piętrze w budynku bez windy na Upper West Side. Rano, kiedy Renato wychodzi do pracy, ona parzy herbatę przy dźwiękach klaksonów i pisku hamulców, kierowców wydzierających się na siebie w najbardziej szorstkim z języków – po angielsku. Spogląda w dół na poczerniałe kupy śniegu na skraju chodnika, na przygarbionych ludzi w ciemnych jesionkach maszerujących jak najżwawiej, by się rozgrzać. Nowy Jork to Paryż bez jego romantyki. To Lizbona bez jaskrawych mozaik, bez ruin budowli, które przydają miastu ducha. Jeśli to miasto cokolwiek jej przypomina, to Londyn z całą jego chłodną sztywnością. Wszystko jest tutaj uporządkowane, rozległa siatka ulic, nie tyle labirynt, co więzienie. Chciała polubić Nowy Jork. Daj mu szansę, powiedział Jimmy. Z początku go nie cierpiał, a teraz nie mógłby mieszkać gdzie indziej. Ale ona jest tutaj już od ośmiu miesięcy, a zaczęła jedynie jeden obraz. Mogłaby się usprawiedliwiać, że nigdy nie ma dość czasu, ale to nie tak. Jest tutaj zbyt oderwana od ziemi. Maluje w powietrzu.

Płótno jest niewielkie. Stoi na blacie z białych kafelków, na stojaku, na którym oparta jest również jej książka kucharska, ta z XVI wieku, z wytartą skórzaną oprawą i kartkami kruchymi jak zasuszone liście. Kupiła ją pewnego popołudnia na ulicznym straganie, kiedy spacerowali z Maksem, i wydaje się, że poświęca więcej czasu na gotowanie z niej niż na malowanie. Nie jest łatwo, pewne składniki – jeże, żółwie, bobrowe ogony – trudno znaleźć. Nie żeby naprawdę miała ochotę na żółwie czy bobry. Zadowala się zamiennikami: cielęcy łeb zamiast żółwi, króliki zamiast jeży. Robi, co może. Przychodzą André i Jacqueline, Tanguy i Kay, Max i Marcel Duchamp. Zaprasza Peggy, ale Max mówi jej, że jest pochłonięta poszukiwaniem miejsca na swoją galerię. Jakoś tak zawsze jest zajęta.

W te noce, gdy ona gotuje, Renato zostaje w domu. Odgrywa rolę męża. Przy innych okazjach – za bardzo upił się w barze, mówi jej, i musiał przespać się u kolegi na kanapie. Albo zawczasu wyjaśni jej, że musi wyjechać służbowo, z ambasady.

Nie przejmuje się tym. Nie bardzo. Lubi swoją samotność. Choć nie waży się malować w nocy. Boi się, dokąd mogłoby ją to zaprowadzić, boi się, kto mógłby pojawić się w jej kuchni. Nie jest gotowa na przyjmowanie małych promieniejących istot. Miasto jest bardzo surowe, metaliczne i bezlitosne… nie takie, w jakim mogłaby pozwolić sobie na takie wizyty.

Ale rankami na miejscu książki kucharskiej ustawia swoje płótno. Popija herbatę. Pali i zanurza pędzel w zieleni angielskich łąk po deszczu. Maluje wypielęgnowany krajobraz. Kobieta w okręgu, jak kokonem owinięta wstęgą materiału w sposób, w jaki krępowano czarownice, kiedy wieszano je do góry nogami i zmuszano, by przyznały się do winy. Jest tam kocioł z jeleniami o rozwidlonych białych rogach. Jest też podziemna kraina nietoperzy, dalszych zamotanych w kokony kobiet i ptaka strzegącego jaj. Wreszcie, jako element sceny naziemnej, są tam dwa konie, i jeden, i drugi ma obrożę i przywiązany jest do drzewa wyrastającego z ogona drugiego. Ustawione są w przeciwnych kierunkach. Nie kierują się donikąd.

Kiedy Renato zapytał ją, co to oznacza, potrząsnęła głową.

– Po prostu jest – odparła, a on tak to pozostawił. Sztuka, rozstrzygnęła, to coś, co się uprawia, nie coś, o czym czuje się potrzebę mówić. Istnieje bez tłumaczenia. I tak każdy będzie miał własną interpretację. Oczywiście ta nowa teoria wyłącza opinie Maksa – nie może się już doczekać, by mu to pokazać… jeśli uda się jej skończyć gruszę, zanim przyjdzie, być może będzie gotowe jeszcze dzisiaj.

Dzwonek do drzwi. Odkłada pędzel. Chryste. Pragnie rozwiania obaw tak samo jak w Paryżu i w Saint-Martin. Po całym tym czasie rozłąki jest tak, jak gdyby się nic nie zmieniło. Zakrywa obraz kawałkiem tkaniny i szybko ją zdejmuje. Nic na to nie poradzi. Musi wiedzieć, co on o nim myśli.

Kiedy mu pokazuje, Max milczy tak długo, że chce zakryć go na nowo.

– Chodźmy – mówi i ciągnie go za rękaw. – I tak zresztą nie jest gotowy.

– Nie. Jest przejmujący. Ten podziemny świat jest kompletnie surrealistyczny. To twoja własna wizja. Jest świetna, Noro, ale…

– Tak? – Oto jest. Jego prawdziwa opinia.

– Wciąż uciekasz, a jednak nadal trzymasz się Anglii… jakiegoś przekonania, że nie jesteś wolna.

I ciebie, myśli ona.

– Czujesz się tutaj jak w potrzasku? – pyta Max. – Moglibyśmy się przenieść… do Sedony. Czerwone urwiska i bezkresne błękitne niebo. Można tam poczuć ziemię.

– Max…

Bierze jej twarz w swe ciepłe, krzepkie dłonie i odwraca ją ku sobie powoli. Całuje ją. Tym razem mu na to pozwala. I czuje stare, dzikie poruszenie. Przeraża ją.

Odsuwa się i trzyma jego dłonie, by powstrzymać drżenie swoich.

– Umieram z głodu – mówi. – Zabierzesz mnie na lunch?

Zanim ponownie się z nim spotyka, mija miesiąc. Jest przeziębiona, mówi, kiedy on dzwoni, może to nawet grypa. Ale teraz to ona dzwoni do niego. Wyzdrowiała, kłamie, na tyle, by przyjść na spotkanie, jedno ze spotkań Bretona, jakie ma się odbyć w nowym domu Maksa i Peggy.

Była tam już kiedyś, na parapetówce – wieczorku, który nad ranem rozwinął się w ożywione bicie piany. W którymś momencie wieczoru Max sprzedał obraz królowej striptizu, Gypsy Rose Lee, a kiedy Peggy zaprotestowała, że sprzedał go zbyt tanio, podarował Gypsy inny obraz jako prezent z okazji rocznicy ślubu. Owej nocy ten dom wydał się jej jak czyste płótno i gdyby wstrząsnąć tą mieszaniną gości, uciekinierów z Europy i ekscentryków z Nowego Jorku, być może powstałoby jakieś nowe, wybuchowe połączenie. Bo choć to wojna zebrała ich wszystkich razem, tutaj nie mogła uczynić im krzywdy. Mogli być głośni i absurdalni. Mogli krzyczeć i śmiać się na jednym oddechu, jeśli tylko mieli na to ochotę. Czyli robić to właśnie, co robiła Peggy, a Leonora wsunęła się w kąt i z przyjemnością to wszystko obserwowała.

Dzisiaj, pod nabrzmiałym niebem, dom z postawionym kołnierzem i uniesionym podbródkiem wygląda dostojnie i wyzywająco. Puka w czarno lakierowane drzwi. Kiedy nikt nie przychodzi, chwyta za gałkę, a jako że ta jest niezamknięta – wpuszcza się do środka.

Szuka salonu, lecz łapie się na tym, że chodzi z piętra na piętro. Nic w tym domu nie kojarzy się z Maksem. Nie ma żadnych cementowych postaci wyłaniających się ze ścian. Nie ma żadnych murali. Pokoje nie

wyglądają na zamieszkane. Jakby wciąż leciał, tak jak ona. A potem trafia na jego pracownię. Drzwi są otwarte i wchodzi do środka.

Sufit jest wysoki, a ściany białe. Okna wyglądają na szarą, przemysłową rzekę. Nie taką, jak rzeka w Ardèche, nic, w czym chciałoby się popływać. Ale jednak woda odbija nieśmiałe promienie słońca, pierwsze tego dnia, i jest w tym jakaś nadzieja. Drobinki kurzu leniwie wirują w jasnym powietrzu. Półkę zapełniają kaczyni. Rzeźbione opiekuńcze duchy z Arizony. Pomalowani na czerwono, czarno, turkusowo i żółto, kaczyni są osobliwi i nie z tego świata. Przypominają jej miniatury rzeźb Maksa. To w tej pracowni mieszka, tutaj śni. Farby na jego palecie są świeże. Jednym palcem dotyka modrego, innym – marzanowego brązu. Niebo i ziemia.

Duże płótno na sztaludze odwrócone jest tyłem do drzwi, obchodzi je więc, by na nie spojrzeć. Obraz zapiera jej dech w piersiach, tak bardzo przypomina *Toaletę panny młodej*. Jest ten przeczysty błękit nieba, jak niebo w Saint-Martin. Jest kobieta w czerwonej pelerynie z dekalkomanii, z obnażoną piersią, krągłością brzucha. I jest jej twarz. Znowu. A potem spostrzega obrazy oparte o ścianę. Przedstawiają różne sceny, ale w każdej z nich kobieta w czerwonej pelerynie jest ta sama. Cofa się, aż zatrzymuje ją przeciwległa ściana. To niepokojące, oglądać siebie w takim świetle, zwielokrotnioną, na nowo wykorzystaną. Uproszczoną. Nie ma bruzdy między brwiami, jej czoło wygładzone, pozbawione trosk.

Jeśli Gala miała rację, jeśli wystarczy być muzą wielkiego mężczyzny, dlaczego zsysa farbę z koniuszków palców, jakby ten gorzki, toksyczny olej mógł rozniecić w niej samej jakiś twórczy ogień? Pokój ze światłem. Metoda, mitologia. Chce tego, co ma Max.

– Zgubiłaś się, moja droga? – Peggy zastawia sobą drzwi. Idzie ku niej zamaszystym krokiem i obnaża zęby w próbie uśmiechu. – Podziwiasz siebie?

– Och, nie, nie, ja…

– Nie chce namalować ani obrazka ze mną. Za to ciebie, zdaje się, nie może przestać malować.

Leonora obchodzi sztalugę, a Peggy idzie jej śladem i kieruje ją w stronę drzwi. Na widok obrazu, który podarował jej w Saint-Martin, *Leonora w świetle poranka*, Leonora przystaje. Kiedy dotarli do Nowego Jorku, chciał, żeby go wzięła, ale nalegała, żeby to on zatrzymał go nieco dłużej.

– Odmawia jego sprzedaży, wiesz. Był pewien chętny, a Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebuje tych pieniędzy. Mówi, że należy do ciebie.

Jest bardziej zrezygnowana niż zła i przez chwilę po prostu stoją i oglądają obraz. Leonora zwraca uwagę na swoje włosy: są dziko rozwichrzone, są ucieleśnieniem siły. Odkąd znalazła się w Nowym Jorku, zbiera je do tyłu, loki zaczesane, i bliżej głowy. Została poskromiona, myśli ze smutkiem. Wojna ją poskromiła.

Wbiega Jimmy. Ma na sobie wymięty brązowy garnitur z czerwoną muszką i przez chwilę wygląda jak młodsza wersja Maksa. Staje jak wryty, kiedy spostrzega Leonorę.

– Dzwoni Duchamp – zwraca się do Peggy. – Znalazł miejsce na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, które według niego będzie doskonałe na galerię.

– Cudownie – mówi Peggy i mija go w pośpiechu. Odwraca się, ręka na biodrze. – Zaprowadź ją do salonu, dobrze? – Ton oschły, lekceważący.

Dobry Boże, jakże ona musi jej nienawidzić.

Jimmy uśmiecha się jakby z zakłopotaniem.

– Czujesz się lepiej? – pyta i przez chwilę Leonora nie jest pewna, co ma na myśli. Potem sobie przypomina… swe miesięczne przeziębienie.

– W końcu. – Idą w niezbyt wygodnej ciszy. Odnosi wrażenie, że lubiłby ją bardziej, gdyby jego ojciec nie lubił jej aż tak bardzo. – Jakieś wieści od twojej mamy?

Ożywia się.

– Och, nie słyszałaś? – mówi. – Konsulat amerykański wystawia jej wizę. Teraz potrzebuje już tylko wizy wyjazdowej.

– Och, Jimmy, jakże się cieszę. – Leonora bierze go za rękę i ściska ją, bo ta ręka potrzebuje ściskania, on potrzebuje ściskania, a i, szczerze mówiąc, ona też.

W ten sposób, ręka w rękę, wchodzą na spotkanie. Grupka jest niewielka. André, Tanguy z żoną, Max i Luis Buñuel, ten filmowiec. Max spogląda na nich i nic nie mówi. Jimmy siada na krześle u jego boku, a ona siada na kanapie, obok Luisa.

Max siedzi na czymś, co można jedynie określić mianem tronu. Słyszała o tym tronie od Bretona, ale nigdy przedtem go nie widziała. Ogromny fotel sięga kilka stóp ponad jego głowę i powoduje, że on sam wygląda jak rozpuszczony chłopiec. Jak jakiś książę. Ma na sobie białe futro, a w pomieszczeniu, jak gdyby po to, by wyjść temu kaprysowi naprzeciw, jest przeraźliwie zimno.

Kiedy Leonora siada, Luis kiwa jej głową. Jest w nim jakaś cicha intensywność, która przypomina jej coś, czego nie potrafi do końca umiejscowić.

Opiera się o kanapę i próbuje odprężyć, próbuje słuchać André, który mówi coś o pokazie Duchampa, tym, któremu kuratoruje, a który ma wspomóc Francuskie Towarzystwo Pomocy Humanitarnej, lecz wpatruje się w Maksa, który na nią ani spojrzy. Na zewnątrz wyszło słońce, oświetla go od tyłu. Białe futro mogłoby uchodzić za pióra. To, jak wygląda, przywodzi jej na myśl jego portret, który namalowała podczas ich ostatnich wspólnych dni w Saint-Martin, kiedy w tym zmrożonym krajobrazie był on po części rybą, po części ptakiem, a po części człowiekiem. Próbuje się tego trzymać, myśli. Ale ona też.

Wyjmuje z torby notatnik i łapie się na tym, że w trakcie przemowy André rysuje dwoje kochanków obejmujących się tak ciasno, że zdają się dzielić jedno ciało. Ich włosy skręcają się w jeden węzeł. Rysuje okrąg oplatający ich w pasie. Jak ów pierścień na obrazie, który Max podarował jej na ich pierwsze wspólne święta – *Oblubienica Wiatru*. Okrąg otacza kochanków jak cyrkowe koło, jak magiczna sztuczka, jakby mógł spowodować, że zapadną się w jakieś miejsce, gdzie mogliby być sami, gdzie mogliby stworzyć własny świat. Jakby wszystko to mogło wydarzyć się na nowo. A potem, gryząc się w język, rysuje parę nożyczek, rysuje je otwarte, gotowe do przecięcia okręgu. Podnosi wzrok na Maksa, który wpatruje się w nią smutnym psim wzrokiem, i czuje napływające łzy, łzy, którym nie pozwalała płynąć aż do teraz. Odgania je od siebie mruganiem i pisze słowa, które są tutaj najtrudniejsze. *To już było, minęło*.

Buñuel najwidoczniej dojrzał jej rysunek.

– O tym właśnie mówi André – mówi jej szeptem. – Tylko ty powiedziałaś to lepiej.

– A co ja powiedziałam? – pyta.

– Automatyzm. Połączenie z nieświadomością – wyjaśnia, ale ona przypatruje się jego oczom.

To oczy jej doktora. Obok niej siedzi don Luis i wypełnia pokój ładunkiem elektrycznym, który ona rozpoznaje jako strach. Nikt inny zdaje się tego nie zauważać, ani Tanguy, ani jego żona, która chłonie każde słowo André, ani Max, który patrzy przez okno. I dociera do niej, że to, co czuje, to jej strach, który podchodzi jej do ust. Boi się, że będzie miała mdłości. Jego oczy wciągają ją, połykają ją, tak jak to robiły, kiedy leżała przypięta pasami do tego łóżka.

Wstaje wolno, by nie podrażnić wnętrzności, i zamyka się w łazience, na którą trafia w holu. Włącza światło, ale zamiast swego odbicia w lustrze

widzi jedynie szarą ścianę za sobą. Czuje, jak krew odpływa jej z twarzy. Opiera rękę o ścianę i wolno opuszcza się do wanny.

Woda, myśli. Rzeka zawsze ożywiała jej ciało. Zatyka odpływ i odkręca kran na całość. Ciepła woda najpierw wypełnia jej mokasyny. Moczy jej spodnie i w miarę jak jej przybywa, pełznie w górę jej bluzki. Przykręca zimną wodę i robi kąpiel tak gorącą, jak tylko może znieść. Wypuszcza powietrze i czuje, jak jej ciało i twarz opadają w wodzie. W czerni za powiekami widzi namalowane przez Maksa obrazy samej siebie. Swe obnażone piersi i brzuch, swą twarz gładką jak u dziewczęcia. Jeśli na nowo odda mu całą siebie, jakimż cudem miałaby mieć prawo się zestarzeć? Jak ma stać się tą kobietą, tą artystką, którą – wie to – może zostać? Pęcherzyki jej oddechu wznoszą się ku powierzchni.

Nie zostało jej nic. Ma tylko siebie samą.

To dość. Więcej niż dość.

Gwałtownie siada i łapczywie chwyta powietrze. Zakręca gorącą wodę, ustawia prysznic, tylko zimny, staje w pełnej gorącej wody wannie i pozwala spływać po sobie lodowatej wodzie. Rozkłada ramiona, spogląda na swe dłonie, palce, porusza nimi.

Choć wychodząc spod prysznica, dygocze, z jej klatki piersiowej bucha gorąco. Przechodzi obok zaparowanego lustra i wchodzi do pokoju. Sprzeczają się po francusku. Brzmi to, jakby byli gdzieś daleko, jakby ich głosy dobiegały z jakiegoś tunelu. Breton mówi Maksowi, by przestał kupować figurki kaczynów, Peggy się martwi… on nie odkłada ani grosza na podatki. Siedząc na swym tronie, o głowę wyżej niż wszyscy, Max przemawia łagodnie. Książęta nie muszą krzyczeć.

– Gdyby nie to, że co miesiąc płaci ci kieszonkowe, mielibyśmy więcej niż dość na podatki.

Siada obok Buñuela.

– Jest pan atrakcyjnym mężczyzną. Jest pan kropla w kroplę podobny do mojego doktora – tłumaczy i zdaje sobie sprawę, że mówi po hiszpańsku.

Mężczyźni wpatrują się w nią, ich milczenie jest sztywne i ciężkie.

– Powódź w korytarzu! – krzyczy Peggy. – Jimmy! Max! Pomóżcie mi, do ciężkiej cholery!

Jimmy rzuca się pędem do łazienki. Leonora słyszy, jak zakręca prysznic. Peggy zmierza ku Maksowi, kiedy spostrzega Leonorę.

– Moczy nową kanapę! – wykrzykuje i szarpie ją za ramię. – Wstawaj!

Kiedy Peggy podnosi Leonorę, pociąga ją za włosy, aż ta wydaje okrzyk bólu. Stoi na równych nogach, a wokół niej rozlewa się kałuża wody.

– Nie dotykaj jej – groźne warknięcie.

Max chwyta Peggy za nadgarstki i odpycha ją na bok.

Siedzi na podłodze i rzuca mu gniewne spojrzenia.

– Nie masz prawa mnie tak traktować.

To okropna scena, ale Leonora nie potrafi odwrócić wzroku.

– To koniec, słyszysz? – mówi Max. Całe jego ciało jest napięte i gotowe, jak sprężyna.

Ona wstaje, patrzy spode łba.

Jimmy wkracza między nich.

– Przestańcie. Oboje. To nie miejsce.

Peggy odgarnia włosy z twarzy.

– Mam lunch z Marcelem – oświadcza, niby to wszystkim, i wychodzi, trzaskając za sobą drzwiami.

Wydaje się, że Tanguy i Kay też już sobie poszli, i Buñuel razem z nimi.

Breton nadal siedzi, a na twarzy błąka mu się coś na kształt uśmiechu.

– Musisz opisać swoje doświadczenia, Leonoro.

– Nikt nie wie, jak od wewnątrz wygląda szpital dla wariatów – odpowiada. – Trzeba się tam znaleźć, żeby się dowiedzieć.

– No właśnie – potakuje Breton.

Leonora słyszy na zewnątrz warkot uruchamianego samochodu. Jimmy owija ją ręcznikiem, a Max okrywa jej ramiona kocem. Po policzkach płyną mu łzy. Obejmuje ją oboma ramionami, przyciska do piersi, a jego serce bije tak równo i spokojnie, że mogłaby zasnąć na stojąco, mogłaby się tam skryć, w tej wieży, w tej wymarzonej jedności, na bardzo długi czas.

Lecz nawet teraz, kiedy odwzajemnia uścisk, wie, że to naprawdę koniec. Musi się wyleczyć. Żeby znowu być sobą, musi stanąć na własnych nogach, a żeby tego dokonać, trzeba będzie wziąć do ręki te nożyce i ciąć.

Wrzesień 1942, Nowy Jork

Żeby nie spaść, Max kurczowo trzyma wodze i kolanami ściska żebra klaczy. Prowadzi ją najszybciej, jak mu na to pozwala, ale i tak klacz Leonory jest szybsza. Galopują polem. Po obu stronach drzewa płoną. Czerwień indyjska, szkarłatny lazur, żółcień chromowa i złota ochra. Nie widział takich kolorów od czasu, kiedy jako dziecko włóczył się po lesie niedaleko domu. I oto znowu jest dzieckiem, w wieku pięćdziesięciu jeden lat. Przy niej wykluwa się na nowo, a świat jest nowością.

W końcu pole, jak to pole, musi się skończyć. Jej koń zwalnia do stępa, a on dojeżdża. Jadą przez las, w impulsach popołudniowego światła.

Włosy Leonory to atramentowy gąszcz liści i gałązek. Nigdy nie wyglądała piękniej. Widzi ją pierwszy raz od miesiąca. Od czasu epizodu z prysznicem jest chłodna, znajduje wymówki, by unikać spotkania z nim. Smok wiatru wije się między wierzchołkami drzew i zsyła na nich deszcz liści. On chciałby móc tutaj być, z nią, aż z drzew pozostaną same szkielety, aż dywan liści zamieni się w śnieg.

Jej czarne oczy lśnią. Podnosi głos, by przekrzyczeć wiatr.

– Już więcej nie mogę.

– Nie możesz czego? Jeździć konno?

– Nie mogę się z tobą dalej spotykać. Po prostu nie mogę.

Smok wiatru odlatuje, by fruwać nad innym lasem, innym polem. Jemu wystarczy ledwie szept, by go usłyszała, ale co można w takiej chwili powiedzieć?

Próbuje otworzyć usta.

– Dlaczego?

Wolno potrząsa głową, pogrążona w tym swoim świecie, zawiłym i nieprzetłumaczalnym.

– Potrzebuję czasu, sama, żeby wszystko sobie poukładać.

– Poczekam na ciebie.

Patrzy przed siebie. Jej profil niczego nie zdradza.

– Nie czekaj – mówi.

On słyszy w oddali pohukiwanie puchacza.

– Ale ja cię potrzebuję – szepcze, choć miałby ochotę krzyczeć na nią, na Wszechświat, na tego Boga, w którego nigdy nie wierzył. Pytał ją dziesiątki razy. Dlaczego znowu nie może z nim być, tak jak przedtem? Ale odpowiada mu milczeniem albo zagadkami. Gdyby potrafił zrozumieć, być może pozwoliłby jej odejść. Jej klacz pochyla się, żeby skubnąć trochę trawy, więc i on swojej pozwala popasać. – Noro, proszę, powiedz dlaczego.

Spogląda na niego z taką czułością, że aż myśli – ma nadzieję – że może zmieniła zdanie. Twarz rozjaśnia jej uśmiech… ten sam wolny, dziki, otwarty uśmiech, jaki mu posłała, kiedy zatkał jej butelkę piwa pierwszej nocy, gdy się spotkali.

– Są takie pokoje, do których nie da się ponownie wejść, choćby były nie wiem jak piękne – mówi.

Jest skonsternowany.

– Jak możesz nie być smutna?

– Bo w tej chwili jesteś ze mną. Smutna będę później, kiedy przyjdzie czas.

Słońce opadło za dalekie wzgórza, ot tak.

W szarówce zawracają konie, kierują się z powrotem do stajni. Jadą pod wiatr, który zdążył zrobić się chłodny. Musi coś powiedzieć, cokolwiek, albo ta chwila umknie, a na to nie jest gotowy.

– A Sedona? Moglibyśmy tam urządzić sobie życie takie jak w Saint-Martin. Jest tam dziko. Naprawdę dziko. Dookoła sama dzicz, strumień, lasy i zwierzęta, bezkresne niebo. Byłabyś zachwycona. Byłabyś tam wolna. – Pomiędzy nich wdziera się podmuch wiatru. Ręce i nogi wydają mu się tak ciężkie, jakby były z cementu, jak jego rzeźby.

– Za późno. – Jej słowa są ciche, beznamiętne jak spadające liście.

To, co pozostało z jego życia, zdaje się rozpościerać przed nim, pusty ocean wiatru; stoi jak skamieniały.

– Ale… w końcu cię odnalazłem.

– Tak. Odnalazłeś – mówi i na nowo promienieje.

To najbardziej osobliwe. Jakby radowało ją to wszystko… cała ta nieobliczalna, fatalna, sławetna przeprawa.

– Odnalazłeś – powtarza. – I ja też.

W milczeniu jadą stępa na polanę. Leonora znowu puszcza się galopem, koń i kobieta stają się jednym ciałem rwącym przez pole. Jego klacz szarpie do przodu gotowa do biegu, lecz powstrzymuje ją ściągnięciem wodzy.

Tym razem nie będzie próbował dogonić Leonory. Tym razem siedzi na koniu na skraju lasu i pogrąża się w zachwycie. Odprowadza ją wzrokiem, patrzy, jak ginie w oddali i zapadających ciemnościach. Mój Boże, myśli, jakaż ona jest cudna.

– Nie podniecaj się za bardzo – mówi Peggy któregoś wieczoru, kiedy – jakby to on był tu żoną – wita ją w drzwiach ginem z tonikiem. Teraz, kiedy galeria jest już otwarta, pozostawia go samego w domu na całe dni, bez choćby kanapki w lodówce. Peggy bierze długi łyk i pada na kanapę. – Oddaję ci kierownictwo. Następna wystawa będzie pokazem samych kobiet. Pomysł Marcela. Powołamy komisję, która wybierze artystki, ale zdecydowałam, że to ty wybierzesz konkretne obrazy. Powinno ci to podpasować.

Kiedy jedzie przez miasto w czasie rannego szczytu, a śnieg z minuty na minutę pada coraz gęstszy, zastanawia się, jak to się stało, że pozwolił się jej w to wszystko wmanewrować. Mógłby siedzieć w domu i malować, a tu, proszę, jest kuratorem wystawy. Ale dzisiaj ma spotkanie z Dorotheą Tanning, której prace, jeśli wierzyć jego staremu marszandowi, Julienowi Levy'emu, warte są tej wyprawy. Spotkał ją krótko po przyjeździe do Nowego Jorku, na jednym z przyjęć u Juliena. Jest blondynką, do tego bystrą i dowcipną; ledwo kupiła go swym uśmiechem i naturalnym śmiechem, a już Peggy stała obok i odciągała go, by pomówił z tym czy innym kolekcjonerem.

Kiedy zbliża się do mieszkania Dorothei, zdaje sobie sprawę, że dopada go ciekawość, co też tam zastanie.

Skręca w niewłaściwą stronę, w lewo zamiast w prawo, podjeżdża więc do krawężnika i próbuje zawrócić, ale samochód ślizga się na śniegu i prawie zderza się z taksówką. Kierowca wymija go, trąbiąc i obrzucając stekiem wyzwisk. Zajście wprawia go w roztrzęsienie. Ręce z trudem utrzymują kierownicę. To miasto dobija go i powoduje, że czuje się starszy, niż faktycznie jest. A bez Leonory w jego życiu jedyne, co mu pozostało, to marzyć o wyjeździe. Potrzebuje światła i przestrzeni, i tego spokoju, który pojawia się wraz z przejrzystym lazurem nieba i śpiewem ptaków.

Odnajduje dom Dorothei – z gładkiej cegły, jak i cała reszta. Parkuje i dzwoni do drzwi. Brzęczykiem wpuszcza go do środka. Jakżeby inaczej, marsz po schodach. Jakżeby inaczej, mieszka na czwartym piętrze.

Brakuje mu tchu i jest spocony, kiedy otwiera mu drzwi. W spódnicy w jaskrawe kwiaty i różowej bluzce przywodzi mu na myśl Alicję, kiedy zaprasza go do swej Krainy Czarów. Prowadzi go do wyścielanego krzesła pośrodku dżungli roślin doniczkowych.

– Kawy? – pyta, odgarniając z czoła lok różowych włosów, jedno pasmo różu w lśniącej żółci.

– Poproszę.

Zostawia go i idzie do kuchni, niewielkiej wnęki w narożniku pokoju, gdzie ma elektryczną kuchenkę i niewielką lodówkę. On wyciera czoło i opada na krzesło. Kawalerka nie jest zbyt duża, ale ma więcej życia niż reszta miasta. Fikusy, filodendrony i kurdybanek obejmują w posiadanie półki z książkami, biurko z zeszytami i piórami, niewielki stolik z marmurowym zestawem do szachów i, w narożniku, łóżko z narzutą tak radosną jak spódnica Dorothei. A pośrodku tej cudownej plątaniny, wciąż na sztaludze, stoi jej obraz. Chociaż w pokoju nie czuć chłodu, włosy jeżą mu się na rękach, a on wie, że to ten obraz, który przyjechał obejrzeć.

To duży autoportret, tak piękny, że czuje, jak zdejmuje z niego całe brzemię wojny, które odpływa, by dręczyć jakąś inną biedną duszę. Jej bluzka z przeświturającej fioletowej tkaniny jest rozchylona, ukazując nagi tułów, małe, sterczące piersi. Ciemna atłasowa spódnica jest plisowana na kształt róży, a wokół niej zwiesza się coś nieuładzonego, jakieś korzenie albo wyschnięte wodorosty, trudno powiedzieć. Skrzydlata małpka wygląda, jakby dopiero co wylądowała tuż u jej bosych stóp. Lecz Maksa najbardziej wciągają drzwi. Ona trzyma rękę na gałce pierwszych, za którymi znajduje się rząd pięcioro kolejnych otwartych drzwi… lecz naprawdę ów pełen wejść korytarz ciągnie się w nieskończoność.

Być może otwarcie pierwszych otwiera je wszystkie. To dziwne i niekiedy fantastyczne, że coś takiego może się wydarzyć.

Piją kawę, a ponieważ znowu zaczął padać śnieg, grają partię szachów, którą on wygrywa, kiedy po dłuższej potyczce ona pozostawia królową bez ochrony, a on zastanawia się, czy przypadkiem nie zrobiła tego umyślnie. Zabiera ją na lunch, do baru za rogiem, jej ulubionego. Rozmawiają o wszystkim i o niczym, a brzmienie jej głosu przywodzi mu na myśl kościelne dzwony w Paryżu, to, jak budził się na ich dźwięk, pod kołdrą przyciągał nagie ciało Leonory bliżej siebie, to, jak było mu ciepło i jak zadowolony zasypiał na nowo.

Niebo ciemnieje zbyt szybko i światła miasta zaczynają się zapalać. Nie może zabrać z sobą jej obrazu, bo farba wciąż jest mokra.

– Wrócę po niego wkrótce – mówi. Kiedy całują się na pożegnanie i ona tak nadstawia policzek, że on muska ustami jej usta, czuje ten pocałunek w koniuszkach palców rąk i nóg. Uszy mu płoną. Jej oczy, tak blisko jego oczu, są otwarte. Lśnią jak granatowe jeziora Tyrolu, gdzie wieki całe temu spędzał wakacje z Lou i małym Jimmym, z Galą i Paulem. Był młodym człowiekiem, kiedy pływał w tych jeziorach, jego życie dopiero się zaczynało. – Wkrótce – powtarza.

– Może jutro? – mówi Dorothea. – Musi mi pan dać okazję do rewanżu w szachy.

– Tak. Zatem do jutra.

Odwraca się od niej – zmusza się, by się odwrócić – zbiega po schodach i przez drzwi wypada w biały świat, gdzie lampy mają aureole, a śnieg wiruje wokół niego.

Styczeń 1943, Nowy Jork

Na otwarciu „Wystawy 31 kobiet”, swej trzeciej ekspozycji, Peggy wchodzi na drabinkę z podestem przed tłumem gości zebranych przy wejściu do jej galerii. Normalnie przy takiej okazji w ogóle by się nie odzywała – to trochę jakby wygłaszać oficjalne przemówienie na własnym przyjęciu – nawet przez myśl by jej to nie przeszło, ale Marcel nalegał.

Marcel stuka nożem w kieliszek do szampana i rozgląda się wokół z ostrożnym zniecierpliwieniem, uważnie, jak to ma w zwyczaju. Czekając, by w pomieszczeniu zapadła cisza, Peggy słyszy w uszach pulsowanie serca, tak głośne, że boi się, iż każdy również je słyszy. Wpatrują się w nią, mrowie twarzy, pomiędzy nimi Breton i Jimmy, Marcel i Max, Gypsy Rose Lee i Kay Sage, Leonora i najnowsza protegowana Maksa, Dorothea Tanning, urodziwe dziewczę rodem z farmy w jakiejś dziurze w stanie Illinois. Nawet teraz, w obecności Peggy i wszystkich innych, klei się do niej. Czy to na jej biodrze to przypadkiem nie jego ręka? Ludzie przepychają się przed nimi i teraz już sama nie wie.

To jej wina… zrobiła go kuratorem tej wystawy, co wiązało się z odwiedzinami w pracowniach tych kobiet, samodzielnym wyborem obrazów i zwożeniem ich do galerii. Choć tak naprawdę wiedziała, co robi. Wiedziała, że nie jest dość silna, by odejść.

Wyrzuca z głowy uroczą pannę Tanning, posyła uśmiech wyczekującemu tłumowi i wyciera wilgotne dłonie w spódnicę. Przemawianie do grupy ludzi zawsze wprawia ją w zakłopotanie – wydaje się takie pretensjonalne – lecz jak tylko złapie swój rytm, wie, że sobie poradzi. Nie ma żadnego scenariusza, żadnych notatek. Mowy, jak życie, najlepiej wychodzą improwizowane.

– Ostatnie dwadzieścia lat życia spędziłam, odnoszę wrażenie, zakochując się w artystach.

Lekki śmiech, Bogu dzięki. Rozluźnia się, bierze oddech, porusza palcami stóp.

– A zakochać się w artyście znaczy zakochać się w jego sztuce. Mówię „jego”, ponieważ kiedy myślimy o sztuce, najczęściej myślimy o mężczy-

znach. Kiedy słyszą państwo terminy „dadaizm” i „surrealizm”, jakie nazwiska przychodzą państwu do głowy? Dali? Duchamp? Tanguy? Ernst? Hmm, ja zapewne pomyślałabym o Maksie – dodaje, rzucając spojrzenie w jego stronę.

Jeszcze trochę chichotów. Max uśmiecha się słabo, z zażenowaniem.

– Istnieje wszakże grupa współczesnych artystów, która w znacznej mierze pozostaje w cieniu, i to nie dlatego, że jest w jakimkolwiek stopniu mniej interesująca, w jakimkolwiek stopniu mniej zasługująca na uznanie niż wspomniani artyści, ale dlatego, że to kobiety, a w naszym przekonaniu przeznaczeniem kobiet są inne rzeczy, mianowicie rodzenie dzieci, gotowanie, sprzątanie, bycie muzami mężczyzn, cokolwiek by to oznaczało.

Na twarzy Bretona dostrzega wyraźne niezadowolenie. Chociaż odmawia nauki angielskiego, jest pewna, że zrozumiał wtręt o wieloznaczności bycia muzą. Bez wątpienia nie puści jej tego płazem. Na razie jednak ciągnie dalej, a kiedy wygłasza swój sąd, czuje się nadzwyczaj silna i zaskoczona prawdziwością tego, co mówi:

– Nie spodziewamy się, że kobiety mogą tworzyć sztukę, a tym bardziej sztukę wybitną. Prawda jest taka, że by móc dokonać na tym świecie czegoś wartościowego, kobiety muszą pokonać na swej drodze więcej przeszkód niż mężczyźni. Muszą zdobyć więcej szczytów. Jednakże owe wysiłki, ów triumf, jakże często przechodzą niezauważone. Kiedy mowa o sztuce uprawianej przez kobiety, co rusz słychać komentarze w rodzaju „to naprawdę coś jak na kobietę”. Mam nadzieję, że ta wystawa zmieni owo nastawienie. Jak bardzo bym próbowała zignorować sztukę tych kobiet… są bowiem młode, piękne i uwielbiane przez wszystkich artystów płci męskiej… – przerywa i pozwala ucichnąć kaskadom śmiechu. – Cóż, nie udało się. – Kiedy już wsiadła na ulubionego konia, sięga wzrokiem dalej niż Leonora, dalej niż bardziej kłopotliwa Dorothea. – Jeden rzut oka wokół i będą państwo wiedzieli dlaczego. – Gestem wskazuje swą galerię, The Art of This Century, tę przestrzeń, którą stworzyła, tę świątynię sztuki żyjących artystów. Jej niewielki wkład. – To wystawa trzydziestu jeden czołowych artystów naszych czasów… artystów, którymi, tak się składa, bez wyjątku są kobiety. A ja jestem dumną gospodynią pierwszego takiego pokazu na świecie. Jestem bardzo wdzięczna Marcelowi Duchampowi za poddanie mi pomysłu i Maksowi Ernstowi za wkład w jego realizację.

Czy aby nie za bardzo zaakcentowała ten wkład? Dlaczego, do diabła, miałaby się tym przejmować? Kiedy tłum eksploduje owacją, widzi, że ramię Maksa faktycznie obejmuje wąską talię Dorothei. Wpatrzony w nią promienieje. A Peggy wie, że ich małżeństwo się rozpadło. Utraciła go.

Ale oto Marcel, cudowny Marcel, wyprostowany jeszcze bardziej niż zwykle, jakby był naprawdę zadowolony. Unosi kieliszek.

– Za Peggy – mówi i szampanówki dźwięczą.

Leonora stuka się kieliszkiem z Maksem i Dorotheą.

– Na zdrowie – mówi. – Za Peggy!

Dorothea uśmiecha się z roztargnieniem, sączy szampana i nie bardzo patrzy jej w oczy. Obok niej uśmiecha się rozradowany Max. Nie widziała go takiego od czasu owych tygodni, jakie spędzili w Lambe Creek, i później, czasami, w Saint-Martin. Kiedy powiedział jej, że planuje zabrać Dorotheę do Sedony, żeby tam zamieszkać i urządzić sobie życie, ucieszyła się. Nigdy nie tracił czasu. Ale teraz, kiedy widzi tych dwoje razem, jak jedno jaśnieje w świetle drugiego, czuje się nieswojo. Musiała od niego odejść, musiała zacząć polegać na samej sobie. Nie sądziła tylko, że to będzie takie trudne.

Wymawia się, całuje Dorotheę i chłodne policzki Maksa. Kiedy odchodzi, czuje się tak ciężka, że myśli, iż zapadnie się w posadzkę. W gardle czuje ucisk. Nigdy nikogo nie pokocha tak, jak kocha Maksa.

Wędruje od obrazu do obrazu; niektóre z nich są znajome, inne zachwycająco nowe. Są prace Kay Sage, Meret Oppenheim, a nawet Gypsy Rose Lee. Jedną rzecz Peggy trzeba oddać – nie chowa urazy. A jak wspaniale to wszystko urządziła. Sama sala, z pokrytymi korkiem krzywymi ścianami, z drewnianymi sufitami i podłogami, to dzieło sztuki. Zawieszone na linkach obrazy unoszą się w powietrzu.

Trafia na własny, *Konie lorda Candlesticka*, obraz, który Peggy kupiła od niej zimą trzydziestego ósmego. Spoglądając na tkwiącą na drzewie zieloną klacz, przerażoną, iż znajduje się tak daleko od ziemi, Leonora chce ją z tego drzewa zdjąć. Postawić ją na ziemi i pozwolić jej pobiec.

Nad jej obrazem wisi *Pasterka sfinksów* Leonor Fini. Nigdy wcześniej nie widziała tego obrazu i nie może oprzeć się wrażeniu, że czarnowłosy sfinks mocno ją przypomina. Ją dawną. Sfinks na obrazie jest delikatny, ale zdecydowany, i na poły ciekawskim, na poły drwiącym spojrzeniem spogląda ponad ogonem przez ramię, na widza. Za nią pasterka z pastorałem

w ręku, bez wątpienia Fini, stoi na straży. Otacza ją stado sfinksów z obnażonymi piersiami; jak mogłaby stać się jej jakakolwiek krzywda?

Leonora czuje chłód, jakby ktoś otworzył okno. Przez cały czas czuwała nad nią pasterka, a to jest dowód.

Słyszy za sobą Bretona, który rozmawia z Peggy.

– Nie obchodzi mnie, czy Max ją kocha. Leonor Fini jest niegodna ciebie – mówi po francusku.

Leonora się uśmiecha. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Gdyby Fini była tutaj, a nie w Monte Carlo, miałaby co nieco do powiedzenia.

Breton bierze Leonorę pod ramię.

– Chodź, chcę ci coś pokazać.

– Jedną chwileczkę. – Dotyka ramienia Peggy. Ta odwraca się do niej nieco zaskoczona i, jak sądzi, jakby pełna nadziei. – Pokaz jest imponujący – mówi Leonora.

– Tak – potwierdza Peggy. – Naprawdę niezły, prawda? – A potem już rozmawia z kimś innym, wychwalając właśnie ten obraz, o którym Breton wyraził się, że jest jej niegodny.

Leonora odnajduje go w barze, gdy wymienia pusty kieliszek po Manhattanie na pełny. Ona zamawia whiskey z lodem.

– Słyszałaś – Breton zwraca się do niej – Lee Miller jest pierwszą korespondentką wojenną. Jest na froncie z amerykańskimi żołnierzami i fotografuje Bóg jeden raczy wiedzieć jakie okropieństwa.

Ona sączy whiskey i czuje falę gorąca, jaka rozlewa się po jej ciele.

– Zawsze wiedziałam, że zrobi coś niezwykłego – mówi, uświadamiając sobie, jak bardzo są różne. Leonorę wojna przerażała i z tego przerażenia poprzestawiało jej się w głowie. I jest Lee, która rusza w sam jej środek, nieustraszona i zdecydowana, taka współczesna Joanna d’Arc. Przywodzi jej na myśl inną silną kobietę, Lou, i pyta André, czy coś słyszał.

On wzdycha.

– Nikt niczego nie słyszał. – W listopadzie, kiedy wojacy Hitlera wkroczyli do Vichy, Jimmy był załamany. Jakiekolwiek szanse wydostania jego matki z Francji przepadły. – Miejmy nadzieję, że jest dobrze ukryta – dodaje.

Prowadzi Leonorę na koniec galerii, gdzie wisi samotny obraz; niewielki, acz potężny jak magnes. Pośrodku siedzi kobieta, a w rękach trzyma nożyczki. Ma krótkie włosy. Wygląda jak mężczyzna, lecz garnitur, który ma na sobie, jest o trzy rozmiary za duży. Perspektywa, jaka rozciąga się

dookoła niej, ukazuje pustkę, upstrzoną obciętymi puklami jej włosów. Żal. Spełnienie. Spokojna determinacja.

– Frida Kahlo – mówi André. – *Plus charmante*. Poznałem ją w Mexico City razem z Trockim i Diegiem, jej mężem, teraz już byłym. Ponoć miał romans z jej młodszą siostrą. Nie mogę powiedzieć, że to mój ulubiony obraz. Znacznie bardziej lubię jej autoportrety, na których ubrana jest w odświętne meksykańskie stroje i ma długie włosy. Ach – niemal na tym samym oddechu zwraca się do Kay, która akurat tamtędy przechodzi: – *Madmoiselle* Sage, muszę pani coś pokazać.

I ot tak, po prostu, André się z nią zabiera.

Kiedy Leonora ogląda obraz, sala, terkot głosów, lodu w szklankach, cichnie. Czyta słowa namalowane nad portretem: *Mira que si te quise*, *fué por el pelo*, *Ahora que estás pelona*, *ya no te quiero*. Widzisz, jeśli cię kochałem, to było dla twoich włosów, teraz jesteś łysa, już cię nie kocham. Pod tekstem znajdują się nuty. To wers piosenki. Znów czuje ów ucisk w gardle, czuje, jak z jakiegoś głębokiego źródła – źródła, które zostało zatkane tak dawno temu, iż zapomniała, że w ogóle istnieje – płyną łzy. Wyciera policzki rękawem bluzki, lecz gest ten jest bezużyteczny. Całe jej ciało niepowstrzymanie drży. Z każdym spazmem wzruszenia jej ramiona unoszą się w ten absurdalny sposób, w jaki szlochała, kiedy była dzieckiem.

Ta kobieta, Frida Kahlo, namalowała jej udrękę. Surowa i zwyczajna, bez śladu przebrania, wisi tam, na oczach wszystkich. Ona niczego nie ukrywa. Żeby stać się panią samej siebie, zabiła muzę. To aż takie proste.

Ktoś klepie ją w ramię. To Renato, który był przekonany, że tego wieczoru nie uda mu się tutaj dotrzeć.

– Jestem gotowa jechać – mówi Leonora.

– Ależ *cariño*, dopiero co przyjechałem.

– Do Meksyku – precyzuje. – Jestem gotowa jechać do Meksyku.

Maj 1943, Sedona w stanie Arizona

Maksa budzi śpiew ptaków; z każdą chwilą podnosi się odrobinę wyżej, jakby powstawał z dna oceanu, w którym może swobodnie oddychać, w zwolnionym tempie wznosi się – a wszystkie morskie stworzenia wciąż krążą wokół niego – do światła i powietrza. Otwiera oczy i widzi obok siebie dziewczynę… jak księżyc w pełni, gdy śpi. Dorothea. Amerykanka do szpiku kości, konkretna i gospodarna, praktyczna. Cechy charakteru, które przywodzą mu na myśl Lou; dopiero teraz, w wieku pięćdziesięciu dwóch lat, jest gotów w końcu się ustatkować, zapuścić korzenie, pozwolić światu iść własną drogą albo i przyjść do niego, jeśli taka będzie jego wola, tak jak przyszedł owego cudownego lata w Saint-Martin z Lee i Rolandem, Manem i Ady, z Leonor Fini, która przyjechała z wizytą i zdecydowała się na jakiś czas zostać.

Dorothea i Max ściągnęli tutaj na lato, ale już zaczęli robić plany, a Dorothea wręcz sporządziła już listy: dom, jaki zbudują, z całą masą rzeźb dookoła, i co tam jeszcze trzeba pokończyć, zanim będą mogli wyrwać korzenie i przenieść się tutaj. Na szczęście ich nowojorskie korzenie są płytkie. Nawet rozwód z Peggy nie powinien być przesadnie trudny. Ponieważ ma już inne plany, wydaje się, że będzie szczęśliwa, mogąc się go pozbyć.

Max całuje gładką skórę na czole Dorothei i wychodzi nagi z drewnianej chaty na ostre słońce. Staje na kamiennej płycie i sika na leżące poniżej skały, krzewy i wysokie trawy. Chata jest jedyną budowlą w okolicy, a płynący w dole strumień lśni jak wąż stworzony z nieba, który wije się pomiędzy kamieniami i czerwonym piachem i znika za zakolem. Max siada na kamieniu i czuje, jak promienie słońca wsączają mu się w skórę, odżywiają go, a on rośnie spokojnie niczym jakaś roślina.

W błękitnej dali jaśnieją wieże z czerwonej skały, a on ma niejasne wrażenie, że jest na jednym ze swych obrazów, z czasów Saint-Martin, na tym z Leonorą. Wciąż trudno o niej myśleć, myśleć, że może jej już nigdy nie zobaczyć, ale kiedy jest w Sedonie, wydaje mu się, że jest niedaleko… że w każdej chwili może nadejść nad potokiem, że może przejść boso po

porozrzucanych w poprzek rzeki kamieniach i dać mu się napić chłodnej, czystej wody ze złączonych dłoni.

Wieże przycupnęły na tle nieba niczym rada starszych. Pomarszczone i kruszejące, uformowane z wiatru, wody i czasu, owe iglice są mądre obojętnością tych, którzy trwają, a w miarę jak wznoszą się coraz wyżej w błękit, czerwony piaskowiec ustępuje miejsca najbledszej żółci.

Czuje, że ziemia już jest gorąca, czuje, że w promieniach słońca sam już się poci. Wdycha suche powietrze. Może tak właśnie powinno uczyć się na nowo ufać światu, światu, który wciąż tu przecież jest, cichy i pulsujący.

Ponad nim krążą trzy kruki unoszone prądem wstępującym. Ponad kamieniem przeskakuje strzyżyk; przystaje, by zwrócić przekrzywioną główkę w jego stronę. Z dzioba zwiesza się mu ćma, jej skrzydła trzepoczą. Ptak wlatuje w jakąś szczelinę, a powietrze przeszywa jazgot jego młodych.

Maj 1943, Meksyk

Statek trzyma się blisko brzegu. O świcie Leonora pije herbatę na pokładzie, a mgła czepia się lądu jak prawie zapamiętany sen, jak oddech tysiąca koni rozwiewający się wraz ze słońcem, które – kiedy wstaje – sprawia wrażenie, jakby było tak ostre jak ostatniego lata w Saint-Martin, kiedy pracowała w ogrodzie, aż stała się czysta, lśniąca i silna.

Renato dla zabicia czasu w jednej z kabin dołączył do partyjki pokera. Ona jednak każdą chwilę, gdy nie śpi bądź nie je, spędza na pokładzie. Zbyt długie przebywanie we wnętrzu wywołuje u niej mdłości, a poza tym chce poczuć odległość, jaką pokonuje, doznać jej własnym ciałem, poczuć, jak sama zmienia się wraz z krajobrazem.

Meksyk to zawiesisty, zielony kraj, który karmi się wprost z powietrza, z zupy tak ciepłej i gęstej, że Leonora może jej posmakować. Gleba i ślimaki, liście rozkładające się w lekkim deszczu. Gorący oddech jaszczurek i lśniący skrzek żab. Kwiecie wyśpiewujące miękkie samogłoski szeroko rozwartymi gardłami. W powietrzu tym ożyły jej włosy, stały się bytem niezależnym, falującym i niespokojnym, miotanym na wszystkie możliwe strony kaprysami słonego wiatru. Jej skóra jest tak wilgotna, iż czuje, że ze zgięć łokci, kolan, z cienkiej skóry za uszami i z wklęsłości obojczyków mogłyby wystrzelić pędami kwiaty.

Zamieszkują w starym centrum Mexico City. Tutaj, w opuszczonej i zapuszczonej części miasta, stać ich na czynsz. Wybudowana przez Hiszpanów w XVI wieku na ruinach azteckiej stolicy, Tenochtitlan, dzielnica sprawia wrażenie zawieszenia między wiekami i kulturami. W jednym z pokoi mieszkania, które mieści się w opustoszałym budynku ambasady rosyjskiej, urządza sobie pracownię. Masywne kości budowli pozostają nienaruszone – jej pracownia ma wysokie łukowe sklepienie i rzeźbione drzwi, które wiodą na balkon.

Poranek jest bezchmurny, otwiera więc drewniane drzwi i zaprasza do środka światło i oszusta wiatr, który dmucha bez ostrzeżenia, tworząc w wilgotnym powietrzu wiry, które unoszą papierki od cukierków, skrawki

papieru, liście i blade płatki kwiecia wysoko ponad budynki. Choć nadal trwa wiosna, w jej pracowni jest gorąco. Zrzuca buty. Spódnica klei się jej do ud, a pasma włosów przywierają do szyi. Zwija całą tę niesforną masę na głowie w kok… niezbyt staranny, niezbyt zgrabny, ale się trzyma.

Rozpakowuje kufer, zbiera do kupy pędzle i farby. Montuje sztalugę, którą Renato kupił jej ledwie wczoraj, razem z belą płótna i listwami, na których będzie mogła je naciągnąć. Ma już jeden blejtram, niemal trzy na cztery stopy, wystarczająco duży, jak sądzi, by pomieścił wszelkie zawiłości i mnogości, a teraz ustawia go na sztaludze i mocno przykręca. Ma niewielki stolik na farby, ceramiczny dzbanek na pędzle, drewnianą paletę, słoiki na terpentynę. Ma wszystko, czego potrzebuje, ale pomieszczenie jest zbyt czyste jeszcze, by w nim malować. Gdyby wiedziała, co chce namalować, być może czułaby się inaczej. Ale nie wie. Takie pomysły muszą przyjść do człowieka same, myśli. Nie ma tak, że da się je gdziekolwiek znaleźć.

Wyjmuje z kufra kolejne rzeczy: powieść-kolaż Maksa i książki, które sama napisała, a on zilustrował. W *Domu strachu* trafia na zdjęcie, które Lee zrobiła im na schodach ich domu na wsi. Siedzą obok siebie, plecami do ściany, a jednak Max dominuje, wydaje się od niej dwa razy większy, jego ramię wokół niej, chroni ją. Ależ drobna się wydaje… szczęśliwa, ale taka malutka. Zamyka zdjęcie w książce i odkłada ją na półkę. Może któregoś dnia przypnie je do ściany, ale jeszcze nie teraz.

Parę rzeczy chce jednak powiesić. Wyciąga z kufra *Leonorę w świetle poranka* i wbija w ścianę gwóźdź. Poprawia obraz i cofa się, by się przyjrzeć. Dżungla jest fantastyczna i wściekle bujna. To Meksyk, dociera do niej, kiedy wiesza obraz. Jakby Max wiedział, że tutaj wyląduje.

Dzień przed jej wyjazdem przyszedł rano, kiedy Renata nie było w domu. Wypili herbatę. Dała mu jego portret i album ze zdjęciami ich wspólnych chwil, ten, który on ocalił z Saint-Martin, a on dał jej to.

– Wciąż cię przeraża? – spytał. Powiedziała mu, że nie, że już nie. Wówczas ją objął, przytknął ucho do jej serca, a ona przytuliła go ostatni raz.

Wyjmuje z kufra gablotkę z motylem Morpho i trzyma ją pod światło. Pod szkłem jego skrzydła są nieruchome. Od czasu podróży pociągiem do Lizbony nie zauważyła, żeby chociaż drgnęły. Ale teraz, kiedy wrócił do domu, jest w tym coś niewłaściwego, by miał pozostawać w gablotce. A poza tym – choć nie wie dlaczego – chce go dotknąć.

Otwiera dłoń i patrzy, jak gablotka upada. Zanim się roztrzaska, przez sekundę wydaje się zawisać w powietrzu. Kawałki szkła rozpryskują się po wyłożonej kafelkami podłodze. Szklane odłamki fruwają w powietrzu i zanim spadną, chwytają promienie słońca. Morpho leży u jej bosych stóp odwłokiem do góry, więc to, co widać, to brązowo-białe spody jego skrzydeł, które wyglądają jak martwe, wyschłe liście. *Po to, by mógł sobie odpocząć*, rzekł książę. Kiedy schyla się, żeby podnieść motyla, rozwiązuje jej się kok. Ujmuje brzeg jednego skrzydła, przewraca go i zamyka w dłoni. Na palcach, omijając kawałki szkła, idzie na balkon.

Leciutko głaszcze smukłe, ciemne ciało motyla. Wiedzie palcem po jego żyłach, tym rozgałęziającym się rusztowaniu jego skrzydeł, od miejsca, w którym łączą się z tułowiem, aż do cienkich, ząbkowanych krawędzi. Błękitne skrzydełka migocą w słońcu. Pod nią błyszczy gorące, wypłowiałe podwórko i ciągnąca się za nim ulica. Podwórko jest puste, jeśli nie liczyć dwóch kotów śpiących w cieniu wyschniętej fontanny. Nawet jak na tę część miasta jest tutaj pusto, każdy albo właśnie je obiad, albo zażywa sjesty. Przygląda się trzymanemu w ręku motylowi, a przynajmniej próbuje. Blask słońca częściowo ją oślepił i kiedy spogląda na Morpho, widzi jedynie biały krąg. Przykrywa motyla drugą ręką; nie dotyka go, ale stara się wyczuć w nim życie… ową niewidzialną siłę, która by oznaczała, że może się jeszcze obudzić. Jej dłonie robią się ciepłe. Wyczuwa, że powietrze między nimi się rozszerza, to najdelikatniejszy nacisk z możliwych. Mogłaby przysiąc, że czuje, jak jego drobniutkie odnóża chwytają skórę palca. Przygląda się jeszcze raz. Motyl jest zupełnie nieruchomy. Podnosi go do oczu, mruży je, by zyskać ostrość widzenia. Wydaje się, że jego czułki rozprostowują się i badają powietrze. Czy to tylko lekki powiew wiatru?

W słońcu poruszają się jego skrzydła. Zamykają się i otwierają.

I wtedy poryw wiatru zwiewa jej włosy na twarz. Odgarnia długie kosmyki i szuka motyla po całym balkonie, ale nigdzie go nie ma. Wpatruje się w jasne niebo i wydaje się jej, że widzi, jak brąz i biel jego skrzydeł rozpościerają się na tle błękitu. Opada czy się wznosi? Porwany wiatrem, jest teraz pod nią, spływający ku fontannie skrawek błękitnego celuloidu.

Być może to tylko figle, jakie płata wiatr, ale zbiega po schodach, wypada na podwórko i goni motyla księcia, nie wiedząc, dokąd ją może zaprowadzić.

Wzdłuż jednej ulicy i kolejnej Morpho płynie, wznosi się i opada, ale ani razu nie dotyka ziemi. Kiedy przelatuje przez ulicę, ona niemal wbiega pod

koła jakiegoś forda. Auto, którego w ogóle nie zauważyła, zatrzymuje się z piskiem opon, ale ona podąża już tropem błękitnego duszka za róg, na ulicę Gabina Barredy.

W ogrodzie dwurodzinnego domu zarośniętym bugenwillą i powojem, hibiskusami i gardeniami, Morpho znajduje pobratymca, choć motyli tych nie widuje się tutaj zbyt często; oba spiralnie wznoszą się w tańcu aż na poziom chmur i ostatecznie rozpływają się na tle nieba.

– *Hola* – z balkonu odzywa się jakaś kobieta. Zgarnięte na bok ciemne włosy spływają jej na białą bluzkę. Wyciera ręce w ścierkę i podchodzi do balustrady.

Leonora zdaje sobie sprawę, że stoi w ogrodzie tej kobiety bez butów na nogach i jak obłąkana wpatruje się w niebo. Kobieta osłania oczy ręką i patrzy spod przymrużonych powiek.

– Leonora? To ty? Słyszałam, że przyjechałaś do Meksyku.

Leonora podchodzi bliżej. Kobieta ma na twarzy tego rodzaju uśmiech, który – jak słońce – niczego nie żąda w zamian. Choć wydaje się znajoma, Leonora nie potrafi jej umiejscowić.

– Zachodź – zaprasza kobieta.

Leonora przebiera w trawie palcami stóp i jeszcze raz spogląda w niebo, lecz znalazłszy partnera, motyle zniknęły bez śladu. Wchodzi po schodach.

– Drzwi są zepsute! – dobiega z wewnątrz. – Wejdź przez okno.

Leonora pochyla głowę i wspina się przez okno. Czarne koty, pięć, zbierają się na kuchennym stole wokół misek z jedzeniem. Na kuchni perkoczą garnki. Każdy parapet, półka i kontuar to kapliczka, a każdy kamyk i muszelka ułożone są z niezwykłą starannością. Dotyka opuszką palca gładkiego wnętrza muszli abalona, jak ta, którą wciąż ma z lunchu z Maksem, kiedy się jej oświadczył.

– Leonora? – Głos dochodzi z krańca korytarza, z pokoju, w którym znajduje tę kobietę przy pracy… przy malowaniu obrazu. Bardzo nisko pochyla się nad płótnem i pracuje najdelikatniejszymi pociągnięciami pędzla. Leonora obchodzi ją wkoło, by dojrzeć jej profil, a to, co widzi na obrazie, oszałamia ją. Nie jest pewna, co widzi. Podłoga z wzorem szachownicy zawija się w górę, przechodząc w szachownicowy strój kobiety pochylającej się nad maszyną, na której szyje ów strój, podłogę, materię całego świata, w którym się znajduje. To nadzwyczajne. Artystka spogląda na nią i znów się uśmiecha.

– Remedios?

Tutaj, w Mexico City, o kilka ulic od niej, mieszka Remedios Varo.

– Musiałam jeszcze… – Pociągnięcia pędzla dodają plamki światła wieżyczkom zamku na drugim planie. – Gotowe. Napijmy się kawy.

Leonora poznała ją w Paryżu, na wystawie surrealistów, gdzie ich prace wisiały obok siebie. I oto ona, nalewa im po małej filiżance gęstego, ciemnego naparu. Siedzą przy stole z kotami, które przestały jeść i się do nich łaszą. Leonora bierze jednego na kolana i głaszcze jego miękkie futro.

– Ależ mi ich brakowało.

– Nie masz kotów? – Remedios jest szczerze zdumiona.

– Kiedyś miałam, lata temu, ale Renato, mój mąż, ma alergię.

– Renato? Ten przyjaciel Picassa?

Leonora się uśmiecha.

– To długa historia.

– No, cóż – mówi Remedios – jedyne, na czym mi zbywa, to czas.

W przypadku niektórych osób już od chwili ich poznania wiadomo, że człowiek się z nimi zaprzyjaźni. Coś się między ludźmi otwiera, jak polana w lesie, tam gdzie dotąd były tylko drzewa. I w tej pogodnej serdeczności rozmawiają, tańczą, gotują albo malują. Dzielą przestrzeń, jaka może istnieć jedynie pomiędzy nimi. Jeśli ma się dużo szczęścia, coś takiego może przytrafić się raz, no, może dwa razy w życiu. Leonorze przytrafiło się to, kiedy spotkała Maksa. I ponownie, w Mexico City, kiedy drugi raz spotyka Remedios.

– Och! – rzuca malarka i skacze na równe nogi. Kipi duży, czarny garnek, więc przykręca gaz i miesza zawartość. – Frida i Diego pobierają się jutro wieczorem, a ja obiecałam przynieść jedzenie i kwiaty. Nie miałabyś ochoty mi pomóc?

– Jutro jest pełnia?

– Tak. Pomyślałam, że jedzenie i kwiaty powinny być białe.

– By wzmocnić blask księżyca.

Przynoszą dania z jicamy, obranych rzodkiewek i gotowanych na twardo jajek, wazę zimnej zupy z ziemniaków i porów przybraną płatkami białych róż, tacę meksykańskich ciasteczek weselnych, kruche ciasteczka obtaczane w cukrze pudrze i ustawiają je na stołach na podwórzu pomiędzy domami Diega i Fridy. Układają gardenie w misach z wodą i długonogie lilie w smukłych wazonach. Inni również nie próżnują: wieszają sznury elek-

trycznych lampek umieszczonych w niewielkich papierowych lampionach, przystrajają altanę winną latoroślą i rozstawiają rzędy krzeseł.

Frida spotyka się z nimi na podwórzu; ma na sobie białą koronkową suknię, a włosy splecione w warkocze zwinięte jak precle i ozdobione pojedynczą białą lilią. Wygląda tak, jak na swoim obrazie, ma wszakże włosy i jest o wiele szczęśliwsza, co prawie wzbudza w Leonorze chęć wyjścia za mąż – kiedyś – z miłości. Jest drobna i kiedy podaje rękę, Leonora ujmuje ją w swoją dłoń, prawie nie ściskając z obawy, że mogłaby ją skruszyć. Jawi się jej jak jakaś księżniczka i – nim zdąży pomyśleć – pochyla się, by pocałować ją w rękę.

Diego i Frida pobierają się przy świetle księżyca. Leonora muska kąciki oczu chusteczką, którą dzieli z Remedios. Renato poszedł na corridę, ona więc siedzi pomiędzy Remedios a jej mężem, poetą Benjaminem Peretem, który pochyla się ku niej i szepcze jej do ucha:

– Księżyc ze wszystkich nas robi kłamców.

Ale bez względu na to, jak bardzo chciałaby mu wierzyć, kiedy tak patrzy, jak ta drobna kobieta i ten zwalisty, potężny mężczyzna trzymają się za ręce, patrzą sobie w oczy i mówią, że biorą drugiego dopóty, dopóki będą stąpać po tej ziemi – tej ziemi wirującej w wirującym Wszechświecie stworzonym z muzyki gwiazd, planet i księżyców – wie swoje. I myśli o Maksie, i zastanawia się, jak światło księżyca wygląda na czerwonych skałach Sedony i co on właśnie teraz porabia pod tym rozświetlonym niebem.

Kiedy Frida i Diego wymieniają się obrączkami, jej umysł spływa obrazami. Jej serce nimi wzbiera i jeśli ich nie uwolni – eksploduje. Jaja, ogromne jaja, koty, kobiety o ciałach koników polnych, kobiety o twarzach w kształcie motyli i włosach z gałęzi, kuchnia z kotłem, stół z wielką wazą złocistej zupy i granatów nakryty dla sidhe i zebrane wokół niego wszystkie białe lśniące istoty. Promieniejące kule światła, księżyce i ptaki, białe ptaki świecące na nocnym niebie. Minotaur, labirynt, spiralny wąż i olbrzymka z tłoczącymi się wokół niej żywymi stworzeniami, gęsi wzlatujące z poł jej peleryny.

Później, po tańcach i piciu, kiedy białe potrawy zostały zjedzone, kiedy świece się wypaliły, a każdy jest już wyczerpany, idzie do domu i podśpiewując sobie – *Ese barco velero,* żeglarską pieśń, która jakimś cudem dotarła tutaj z Hiszpanii – zamyka drzwi do pracowni i maluje, aż wschodzi słońce.

A potem maluje jeszcze trochę dłużej.

Tytuł oryginału: *Leonora in the Morning Light*

Copyright © 2021 by Michaela Carter
All rights reserved

Published in arrangement with Fletcher & Company, USA and Book/lab Literary Agency, Poland

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2021

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Urszula Gireń

Fotografia na okładce
© Marka/Universal Images Group/Getty Images Poland

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Surrealistka*, wyd. I, Poznań 2021)

ISBN 978-83-8188-835-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**